

The book cover features a stylized illustration of a woman with short, vibrant red hair, shown in profile from the waist up. She is wearing a dark blue jacket with a subtle emblem on the sleeve and a red skirt. She is crouching in a forest of tall, thin trees. The background is a warm, golden sunset or sunrise, with a large, bright sun partially obscured by the trees. The overall mood is serene and atmospheric.

DOM
WSCHODZACEGO
SŁOŃCA

ALEKSANDRA JANUSZ



Aleksandra Janusz

DOM WSCHODZĄCEGO SŁOŃCA

W świetle przewodów, w cieniu sufitów
W wietrze oddechów, w błocie napisów
Rodzą się szajby małe i biedne
Karmię się nimi i karmić się będę

Kuba Sienkiewicz *Jestem z miasta*

Srebrny Rycerz

Miasto Farewell, 1969

Na miejscu zebrało się już blisko pół miliona uczestników i wciąż nadciągają nowi. Autostrady w całym stanie są nie-praw-dopodobnie zakorkowane! O największym festiwalu w dziejach ludzkości będziemy was informować na bieżąco. Jeżeli również zdążacie na Woodstock, pozdrawiam was – love and peace! Tymczasem zostańcie z nami – grają Janis Joplin i Koooozmic Blues!

Lloyd Dark powoli dopił swoją whisky, a potem z cichym brzękiem odstawił szklanekę na kuchenny blat. Tak, zakup radia to był dobry pomysł. Muzyka wypełniała puste przestrzenie, oszukiwała echo i samotność. Wiedział, że teraz szybciej oswoi się z domem, do którego wprowadził się poprzedniego dnia.

Miał nadzieję, że dom także oswoi się z nim.

Pokruszył w dłoni resztki krakersów i rozrzucił je po ceglanych kafelkach. Gwizdnął cicho. Zza szafki wychyliło się coś, co na pierwszy rzut oka przypominało kłębek mgły. Istota błyskawicznie pochwyciła jeden z okruszków i natychmiast schowała się z powrotem.

Gdyby chciał, mógłby kupić starą posiadłość Suarezów już ze dwadzieścia lat temu. Spadkobiercy pierwszych właścicieli od dawna mieszkali w Europie. Odkąd señor Suarez zbankrutował w czasach Wielkiego Kryzysu, a jego żona popełniła samobójstwo, o siedzibie rodowej mówiono, że jest dotknięta klątwą. Nikt nie chciał tam wracać. Nie znaleziono kupca. Z bliżej nieokreślonych powodów przyszli nabywcy szybko się zniechęcali. Po Farewell krążyła plotka, że domostwo jest nawiedzone.

Nieboszczka Suarez rzeczywiście miała charakter. Jak przystało na pełną pretensji damę z początku wieku, wierzyła święcie w supremację białej rasy. Nowy właściciel rodowej posiadłości był półkrwi Azjatą i to ją rozwścieczyło. Ubiegłej nocy wytlukła sporą część porcelanowej zastawy, zanim Lloydowi udało się zamienić z nią kilka słów. Cóż, albo się przyzwyczai, albo za jego sprawą odejdziesz na dobre. Najwyższa pora.

Nie zamierzał pozbywać się małych domowych duchów, takich jak ten za szafką. Były pożyteczne, skutecznie odstraszały myszy. Ponadto ich obecność świadczyła jak najlepiej o kondycji astralnej domu. Kiedy tylko rozwiąże problem señory Suarez, odpocznie tutaj, wreszcie nabierze sił.

W kominku tliły się ostatnie węgle. Nie podsycił ognia, w salonie zrobiło się już wystarczająco ciepło. Usiadł na wielkiej kanapie o brązowym, skórzanym obiciu i umościł się na niej wygodnie. Długo szukał takiej, na której nawet mężczyzna jego wzrostu mógłby się swobodnie wyciągnąć. Co prawda nieco kontrastowała z rzeźbionym stolikiem oraz secesyjnymi krzesłami zdobnymi w złoczone pnącza winorośli. Pójdą na strych, zdecydował Lloyd. Wyglądały dekoracyjnie, ale właściwe zastosowanie mogłyby znaleźć chyba dopiero w sali tortur. Zresztą czasy świetności dawno już miały za sobą. Większość mebli została zniszczona przez korniki i kołatki, a dywan nosił wyraźne ślady niestrudzonej pracy moli.

Zamknął oczy. Chropowaty głos Janis Joplin kołysał go do snu. Warto by uciąć drzemkę przed północą, zanim znów pojawi się señora.

– Od jutra porządku – szepnął.

– Radzę zacząć od generalnego remontu łazienki. Kurek od kranu został mi w ręku. I uprzedzam, że kafelki rzucają się na ludzi bez ostrzeżenia.

Lloyd Dark usiadł gwałtownie. To na pewno nie jest pani Suarez.

– Timothy?

Z pogrążonego w półmroku korytarza wyłonił się młody mężczyzna na wózku inwalidzkim opatulony w kilka warstw swetrów. Tylko po wyglądzie jego kościstych dłoni można się było domyślić, jak bardzo musiał być chudy. Bujne, zmierzwiłone włosy niemal całkiem zasłaniały mu twarz.

– Gdzie się podziała twoja słynna czujność? – zapytał cicho. – Słowo daję, mogłem do ciebie podejść i nawet byś nie zauważył. I co ty sobie w ogóle wyobrażasz, zostawiając mnie na pastwę tej

megiery...? A co z Weroniką, co z Krzysztofem? Jaki z ciebie przyjaciel?

Lloyd westchnął.

– Timmy, proszę cię, nie desperuj. Nie chciałem, żeby tak wyszło. Ostateczną decyzję podjęła Emily. Nasze relacje znacznie ucierpiały już podczas Wojny.

– Ty i twoje wiktoriańskie eufemizmy – sarknął Timothy. – Gdybyście oboje nie byli w tak słabej formie, pozabijalibyście się nawzajem. Tak czy owak, już tam nie wracam. Mam dość.

– Sądziłem, że w Mandali na niczym ci nie zbywało. W każdym razie znakomicie dajesz sobie radę.

– Właśnie – fuknął tamten. – Potrafię zdecydować, kiedy mam spać. Nie muszę już przez cały dzień leżeć plackiem. Nie szkodzi mi praca przy radiostacji. Mam zresztą po dziurki w uszach tych budyniopodobnych papek. Nie jestem niemowlakiem, żeby odżywiać się kleikami. Chcę wina, mocnej herbaty i kanapek z szynką.

– To mogę zapewnić od ręki, ale na wygody trzeba poczekać. Dom wymaga remontu zarówno materialnego, jak i astralnego. Poza tym nadal potrzebujesz fachowej opieki.

Timothy wzruszył ramionami.

– W tej kwestii nic się nie zmieni. Weronika będzie przychodzić tutaj. Ba, nawet Krzysztof zapowiedział, że czasem wpadnie. Pomożemy ci w urządzaniu domu. Dla mnie miła odmiana po miesiącach upiornej nudy.

Lloyd potarł czoło.

– Wszystko już sobie zaplanowałeś, prawda?

Timothy zaśmiał się cicho, a może raczej zakasłał.

– Trzeba oblać nowe lokum – powiedział wreszcie. – Masz to wino?

– Mam whisky.

– Nalewaj. Muszę sobie przypomnieć, jakie to paskudztwo.

Miasto Farewell, początek drugiej dekady XXI wieku

Irene Pearl nie miała żadnego pomysłu na to, jak utrzymać dyscyplinę w klasie podczas obowiązkowej pogadanki o stosownym zachowaniu i ubiorze. Do świadomości uczniów nie dotarło jeszcze, że wakacje dobiegły końca. Słuchało jej zaledwie kilku chłopców, którzy jak plotkowano w pokoju nauczycielskim, podkochiwali się skrycie w zgrabnej, jasnowłosej anglistce. Pozostali wyglądali przez okno albo toczyli między sobą ożywione dyskusje. Kiedy tylko się odwracała, zaczynali strzelać do siebie z długopisów przerobionych na dmuchawki. Jej najlepsza uczennica bez żenady czytała książkę pod ławką. Inna utknęła z nosem w smartfonie. Kilka osób grało w karty.

Jako nauczycielka z kilkuletnim stażem pani Pearl wiedziała już, że w walce z tłumem jest z góry skazana na porażkę. Uciszanie uczniów donośnym głosem przynosiło jeszcze skutki w podstawówce, ale gimnazjaliści byli już zupełnie innym gatunkiem dzikich zwierząt. Zastosowała więc tę samą metodę, jakiej powszechnie używa się do zastraszania zbiorowości. Postanowiła wyciągnąć z tłumu jedną osobę i ukarać ją dla przykładu.

Rozejrzała się wkoło i zatrzymała spojrzenie na Eunice Wight. Dziewczyna, siedząca na swoim stałym miejscu z tyłu sali, gryzmoliła coś zawzięcie z nosem niemal utkwionym w pulpicie. Pani Pearl nie mogłaby znaleźć lepszej ofiary. Eunice od tygodnia przychodziła do szkoły z włosami w formie szaroburych, zbrylonych dredów. Gdyby to jeszcze była fryzura etniczna – ostatnio kierownictwo zrobiło się czułe na tym tle. Ale nie. Ktokolwiek dołożył się do wybuchowej mieszanki genów, jaką reprezentowała dziewczyna, nie uznał za stosowne obdarzyć jej naturalnie kręconymi lokami. Nieważne, z czym utożsamiała się w tym tygodniu, sama wytypowała się na dywanik. Ciekawe, czy użyła starych, wypróbowanych metod chałupniczych. To się chyba robiło na miodzie i białku jajka, pomyślała nauczycielka i odruchowo wzdrygnęła się z obrzydzenia. Chociaż nie, w takich specyfikach gustowało pokolenie hipisów, teraz pewnie używa się zwyczajnej pianki.

Oczywiście można by się przyczepić nie tylko do fryzury Eunice. Powszechną przypadłością

w jej wieku był nagły wysyp kolczyków. Pani Pearl naliczyła siedem w uszach i jeden w nosie. Właściwie ciekawiło ją, czy dolegliwość rozniesie się także na inne części twarzy. Poza tym zawsze się zastanawiała, czy kolczyk w nosie nie przeszkadza w smarkaniu. Takich pytań jednak, rzecz jasna, nie zamierzała jej zadawać.

Z głośnym stukotem obcasów nauczycielka zbliżyła się do stolika Eunice. Wyrwana z transu dziewczyna uniosła głowę i popatrzyła na nią nieprzytomnym wzrokiem.

Pani Pearl zdecydowanym ruchem zgarnęła papiery z ławki. Miała nadzieję, że to będzie coś obrazoburczego – karykatury nauczycieli w komiksie, albo przynajmniej młoda poezja. Dawno nie widziała takiej porządnej, grafomańskiej, młodej poezji.

Wystudiowanym gestem wyprostowała kartki, zerknęła na nie... i straciła wątek.

– Figury geometryczne...?

– Figury geometryczne – potwierdziła Eunice.

Irene Pearl ściągnęła usta. Trzymała przed oczami coś znacznie bardziej interesującego niż zwykle ćwiczenia rysunkowe. Zakrzywione pod dziwnymi kątami linie oraz niewystępujące w rzeczywistości kształty kpiły z trzeciego wymiaru, kończyły się w nieoczekiwanych miejscach, oszukiwały wzrok. Wyglądały inaczej w zależności od tego, jak na nie spojrzano. Figury niemożliwe. Jak się nazywał ten malarz? Dawno temu, gdy nauczycielka zastanawiała się jeszcze nad wyborem kierunku studiów, interesowała się podobnymi dziełami sztuki.

Większość obrazków została wydrukowana, ale kilka z nich dziewczyna kończyła własnoręcznie. Czyżby ukryty talent matematyczny? Pani Pearl poczuła, jak odzywa się w niej powołanie nauczycielskie, od dłuższego czasu nieco zaniedbane i przytłoczone prozą życia.

– To z internetu, prawda? – zapytała. – Bardzo ciekawe.

– Prawda? – Eunice się rozpromieniła. – Składają się w czwartym wymiarze, a przynajmniej powinny. To są takie zagadki, trzeba dorysować dalszy ciąg...

Nauczycielka nagle zorientowała się, że większość jej podopiecznych ucichła. Zerkali w ich kierunku z wyraźnym zaciekawieniem. Speszyła się trochę.

– Eunice, co ty w zeszłym roku miałaś z matematyki?

– Ja? Ledwo zdałam.

Dziewczyna odchyliła się na krześle i spojrzała podejrzliwie na nauczycielkę, przybierając zwykłą pozę buntowniczkę. Dialog został ucięty w zarodku.

Pani Pearl jeszcze raz przyjrzała się figurom.

– Dostaniesz to po lekcji. Poza tym twoje włosy... – Zrezygnowała w połowie zdania. Te szkice wyglądały naprawdę fascynująco. Może sama spróbuje poszukać w necie czegoś podobnego? – Nieważne. Dopóki nie płuczesz ich w miodzie i białku jajka, nie będą wabić much.

Bunt zrodził się w Eunice tego dnia, w którym jako świeżo upieczona gimnazjalistka odwiedziła swoją starą szkołę podstawową. Musiała załatwić kilka spraw: przenieść papiery z gabinetu lekarskiego, zdjęć na pamiątkę ostatnią pracę z gazetki ściennej. Pominawszy zakupy w miejscowym spożywczaku, matka Eunice niechętnie opuszczała mieszkanie. Tłumaczyła się obolałymi nogami. Prawda była taka, że pani Wight nie zajmowała się niczym poza oglądaniem telewizji i stopniowo stawała się coraz bardziej otyła. Chociaż próbowała utrzymywać pozory kontroli, z roku na rok wymykało jej się coraz więcej spraw dotyczących córki. Brakowało też ojca, który odszedł od matki wiele lat temu, więc Eunice właściwie wychowywała się sama.

Dziewczyna siedziała przed gabinetem i czekała, aż pielęgniarka wróci z przerwy śniadaniowej. Z nudów oglądała prace pierwszaków, przybite szpilkami do korkowych tablic. Wisiało tam chyba ze dwadzieścia wyklejanych schematycznych portretów Waszyngtona. Różniły się szczegółami, odcieniem cery albo kolorem włosów, ale powstały według tego samego wzoru i w gruncie rzeczy były identyczne. Eunice wróciła wspomnieniami do nie tak bardzo dalekiej przeszłości. Wyobraziła sobie dziecięcą manufakturę portretów Waszyngtona. Ktoś miał ochotę narysować księżniczkę, ktoś psa, ktoś inny

rycerza Jedi. Pozostali woleliby może pograć w piłkę. To nie miało żadnego znaczenia. Dwadzieścioro drobnych, chudych pierwszaczków wyklejało strzępkami kolorowego papieru historyczną gębę.

Nie zastanawiała się nad tym wcześniej, ale nowo uzyskany status gimnazjalistki pozwalał jej spojrzeć z dystansu na pewne sprawy. A co, jeśli całe życie składało się z metaforycznie ujętego powielania portretów Waszyngtona? Jeżeli cała nauka w szkole to po prostu pranie mózgow na olbrzymią skalę?

Postanowiła sprawdzić to osobiście.

Od tej pory Eunice czytała wszystkie obrazoburcze i zakazane książki, jakie wpadły jej w ręce. Słuchała antysystemowej muzyki. Z premedytacją nie uczyła się tego, co pachniało jej propagandą, nie poważała także nauczycieli, którzy jej zdaniem nie zasłużyli na szacunek. Poszukiwała.

Oczywiście, była tylko gimnazjalistką i cały jej bunt miał jak najbardziej nastoletni odcień. Chłoneła wszystkie popularne antyideologie, na jakie udało jej się natknąć. Przez krótki czas fascynowała się komunizmem, potem przerzuciła się na anarchię. Zbyt młoda, aby zrozumieć, że wiedzę można zdobywać choćby od diabła, stała się etatowym kłopotliwym uczniem. W gruncie rzeczy Eunice nie brakowało inteligencji. Tyle tylko, że całą jej energię pochłaniała ogólnie pojęta walka z Systemem. W pewnym sensie była to postawa godna podziwu. Chciało jej się kontestować zastaną rzeczywistość w czasach, w których pojawiały się markowe kolekcje mody nawiązujące do stylistyki punk.

Nieocenione źródło wiedzy na temat ruchów alternatywnych stanowił oczywiście Google. Kłopot w tym, że dopóki nie wprowadzono pakietów promocyjnych, pani Wight uważała, że internet nie jest wart podwyższonej opłaty za kablówkę. Przesiadując więc po lekcjach w szkolnej pracowni komputerowej, Eunice drukowała antysystemowe plakaty oraz zapisy prostych chwytów na gitarę.

Właśnie podczas jednej z takich sesji przypadkowo trafiła na *Silver Tower*, darmową grę online, w której sens rozgrywki stanowiło rozwiązywanie łamigłówek.

Nigdy nie przypuszczała, że zagadki logiczne mogą tak ją wciągnąć. Zajęło jej to kilka dni, ale w końcu rozwiązała wszystkie próbne zadania i postanowiła się zapisać. Były tam figury przestrzenne, które nie miały prawa istnieć. Rebusy z wieloznacznymi rozwiązaniami. Połącz kropki, które dawały obrazy godne Picassa. Coraz częściej otrzymywała też zadania powiązane ze sobą na trudno dostrzegalnym poziomie albo takie, których w ogóle nie potrafiła ugryźć. Nieraz zastanawiała się, kim są moderatorzy i czy przypadkiem omyłkowo nie trafiła na grupę Mensan, bo wypowiedzi graczy na forum często w ogóle nie dawały się zrozumieć.

Ostatnio miała wrażenie, że doszła do granicy możliwości. Najnowszy zestaw figur geometrycznych był tak trudny, że już od tygodnia bezowocnie ślęczała nad kartkami. Miała ochotę wypisać się z gry, ale zwlekała. Nie po raz pierwszy trafiła na ścianę. Jej myśli krążyły wokół możliwych rozwiązań i podświadomie wiedziała, że wkrótce je znajdzie.

Moja wolność jest w gitarze

Z dala od banalnych zdarzeń

Od ponurych hipokrytów

Księży oraz polityków

Oni nie chcą, żebyś czytał

Oni nie chcą, żebyś śpiewał

Chcą nas wszystkich mieć na smyczy

Mnie to zwisa i powiewa
Jestem całkiem niemoralny
Jestem całkiem nienormalny
Jestem całkiem niemożliwy
Ale przecież jeszcze żywy
Będę czytał to, co zechcę
Będę krzyczał, jeśli trzeba
Nie pozwolę się ogłupić
Nie pozwolę sponiewierać
Nie ma zgody dla spokoju
Konformiści to faszyci
Oddasz palec, potem rękę
Dla nich wciąż nie będziesz czysty
Moja wolność jest w gitarze
Moją wolność noszę w sobie
Wszystko mogą ci odebrać
Tylko nie to, co masz w głowie
Neverland Freedom

Dziewięć opalizujących, obramowanych srebrnym brzegiem dysków lewitowało swobodnie jeden nad drugim w przestrzeni stworzonej z miękkiego światła. Kierunki były tutaj zaledwie symboliczne, grawitacja zależna wyłącznie od linijek kodu, który w miejscu zwanym Ponadsiecią – znacznie większym niż ta skromna wieża – od dawna pisał się już sam, mnożąc się, mutując i rekombinując bez ustanku.

Na dziewiątym piętrze w pozycji kwiatu lotosu siedział srebrny posąg, schematycznie przedstawiający rycerza – zarys zbroi, cień przyłbicy, jakby sugestia dwuręcznego miecza – i gestykulował. Jak dyrygent przed orkiestrą, wędrowny opowiadacz sprzed wieków albo choćby czarodziej rzucający zaklęcia. Z każdym jego gestem w powietrzu, jak wysnute z dymu, materializowały się kolejne elementy geometrycznej układanki.

Srebrny Rycerz tworzył.

Tworzył w pośpiechu, ponieważ był spóźniony z kolejnym zadaniem dla graczy. Nie spodziewał

się, że *Silver Tower* w tak krótkim czasie zyska popularność. Dynamika rozwoju sieci czasem zaskakiwała nawet jego. Tydzień temu ich grę zauważył większy portal i Silver Knight, zamiast spokojnie zajmować się łamigłówkami, musiał zwiększyć przepustowość serwera, poprawić filtr antyspamowy, preselekcjonować dziesiątki zgłoszeń z błędnie rozwiązanymi zadaniami próbnymi.

Zakładając grę, celowo umieścił stronę w zwykłym internecie. Tylko część magów odwiedzała Ponadsieć, a inne istoty dysponujące nadnaturalnymi mocami były jeszcze rzadsze. Chciał świeżej krwi, rywalizacji, może nawet wyzwania. W zamian musiał się użerać z internetowym drobiazgiem, ciekawskimi niemagicznymi, którzy uznali, że sobie poradzą. *Silver Tower* tylko wydawała się prosta. Czasami trafiał się spryciarz, który intuicyjnie przechodził wstępny etap, a potem wykladał się na trudniejszych zagadkach. Razem z Tetris wciąż opracowywali nowe, ale mimo to...

Przed wieżą z kręgów zmaterializowała się kobieca sylwetka, w całości stworzona z różnobarwnych wielościanów. Z niewymuszoną gracją uniosła się w górę, po czym lekko opadła na powierzchnię najwyższego dysku.

– Jak widzę, nadal rzeźbisz.

Westchnął metalicznie.

– Cześć, Tetris. Nie obrażę się za zmianę warty. Zaczynam się czuć jak w pracy, a nie powinienem. Zakładaliśmy *Silver Tower* dla rozrywki...

Tetris przechyliła głowę. Wielościany, z których składały się jej włosy i dłonie, wciąż się odłączały i przyłączały, cały czas pozostając w dynamicznej równowadze.

– Mhm. Może powinniśmy utajnić stronę i przenieść serwer. Inaczej pozostaje tylko rozkręcić interes, dobrać moderatorów, dokupić przestrzeń dyskową...

– Nie rozpędzaj się tak – parsknął śmiechem. – Nie istnieje tylu magów, żebyśmy mieli stały przypyły graczy. Chyba że zaprzęgniesz do współpracy Lustrzany Zamek.

– Wątpię, żeby w ogóle zauważyli taki wynalazek jak internet. Jeżeli ktoś liczy sobie dwieście lat, dwadzieścia jest dla niego niewiele znaczącym poślizgiem.

– Cóż. – Silver Knight wstał. – Myślę, że odpowiedź na twoje pytanie brzmi: obstawiamy serwer botami. Przy selekcji do pewnego stopnia może mnie zastąpić Homer, robimy to dla siebie, najwyżej system się zatka. Przypominam, że według ciebie zainteresowanie miało być minimalne.

Tetris zerknęła na niego zaintrygowana.

– Mmm. Jednak coś cię gryzie.

– Mam kłopot z pewnym graczem... Muszę to jeszcze przeanalizować. Czy wiesz może, kim jest RedXIII?

– Nie wiem. Nikt od nas. Chyba nie szpieg?

– Trudno powiedzieć. Wydawał mi się bardzo bystry, ale w ostatnim zestawie porobił takie błędy, że nawet początkujący by się wstydził. Nie uczestniczy też w dyskusjach.

– Może ktoś z za wielkiego chińskiego firewalla. Albo siedzą tam dwie osoby na tym koncie. Dlaczego właściwie się tak przejmujesz?

– Nie, to ten sam człowiek. Styl rozwiązań jest identyczny. Tylko... z ręką na sercu, Tetris. Tego się nie da przejść przypadkiem, prawda?

– A, tu cię mam! – Tetris na ułamek sekundy rozpadła się w chmurę wielościanów i uformowała z powrotem. – Uważasz, że się opuszczasz. Że zagadki są zbyt łatwe. Że, o zgrozo, przypadkowo wpuściłeś na serwer normalna... Szczerze wątpię. Daj sobie spokój. Moim zdaniem ktoś po prostu gra na bani i stąd jest taki nierówny.

Silver Knight w zamyśleniu narysował półprzejrysty znak nieskończoności.

– Nie, nie o to chodzi. Mam przecucie. Jestem magiem i czasem mam prawo do wizji, przecuć i tym podobnych.

– Jesteś perfekcjonistą. Ale jeśli cię to dręczy, zajmij się tym.

– Nie omieszka.

Eunice stała pochylona nad parapetem, postukując ołówkiem w zadrukowaną kartkę. Odczuwała frustrację. Szukała prawideł, według których naszkicowano bryłę, i nie dostrzegała żadnych. Każde rozwiązanie wydawało się dobre, a zarazem każde miało jakieś luki. Bezskutecznie czekała na olśnienie.

Machinalnie sięgnęła do umocowanego przy pasku starego odtwarzacza mp3, zmieniła piosenkę i podregulowała głośność. W tej samej chwili ktoś wyjął jej z ucha jedną słuchawkę.

– Kiedyś się doigrasz, Matt – mruknęła, nawet się nie odwracając. – Nie powinno się bić ludzi w okularach, ale dla ciebie zrobię wyjątek.

– I tak się nie przestraszę – oświadczył zuchwale pucułowaty blondynek. – Jeszcze jedna wizyta u dyrektorki i wylatujesz ze szkoły. Serio zrobiłaś sobie dredy na miodzie?

Eunice odwróciła się i oparła plecami o parapet. Matt był rasowym kujonem z ambicjami, nie widział życia poza naukami ścisłymi. Jeżeli tylko znalazł odpowiedniego słuchacza, godzinami potrafił nadawać jak nakręcony. Chodząca encyklopedia. Eunice chętnie wysłuchiwała jego monologów, działały na nią uspokajająco. Świat Matta składał się z liczb i faktów. Był jasny, przewidywalny i napawał otuchą. A przede wszystkim od czasu do czasu mogła liczyć na ściągawki.

Trzymali się razem, obydwójce nielubiani w klasie, chociaż każde z odmiennych przyczyn. Poza szkołą jednak mieli inne życie, innych znajomych, inny świat. Dlatego też Eunice zachowywała pewien dystans. Nie wyobrażała sobie Matta na koncercie rockowego Neverlandu, nie mówiąc już o punkowych Smutnych Palantach czy też Radykalnych Pomidorach. Z takimi szklami nie mógłby nawet pójść w pogo.

– Daj spokój. Dlaczego od razu nie powiesz, że chcesz to sobie obejrzeć? – Potrząsnęła plikiem kartek.

– No – powiedział. – Próbowałem dojrzeć z daleka. Nie wiem, czy już ci mówiłem, ale jestem absolutnym fanem Eschera.

Eunice zmarszczyła brwi. Nie wiedziała, dlaczego to nazwisko zabrzmiało znajomo, ale może nie zapamiętała wszystkich adminów *Silver Tower*.

– W sensie, grasz w grę?

– Jaką grę? – zdumiał się Matt.

Dziewczyna poczuła, że oto pojawia się okazja, z której wstyd nie skorzystać.

– Właściwie... – Chytrze zmrużyła oczy. – Skoro taki z ciebie geniusz, to może mi podpowiesz.

Tę figurę trzeba dokończyć. Tak, żeby miała sens.

Matt chciwie chwycił kartki.

– Jakie to fajne! – Przybliżył obrazek do oczu i znów go oddalił. – Skąd je wzięłaś?

– No przecież, że z netu. Słyszałeś może o *Silver Tower*?

– A podrzucić mi linka w wolnej chwili. Rozwiązanie, powiadasz? Widzę kilka...

Powiodł ołówkiem po kartce.

– Tutaj... i tutaj... Ot, i masz swoją iluzoryczną figurę.

Eunice zajrzała mu przez ramię.

– Prawie. Zastanawiałam się już nad tym. Powinna sprawiać wrażenie obracającej się bryły, a tymczasem z lewej strony nadal jest płasko.

Matt nadął się nieco.

– Moim zdaniem jest zupełnie dobrze.

– Ale popatrz tutaj... – Wskazała palcem.

Poczerwieniał.

– No to po co prosisz mnie o pomoc, skoro i tak wiesz lepiej?

– Mówię, że znasz kilka rozwiązań. Myślałam...

– W takim razie źle myślałaś – fuknął chłopak ostro. – W ogóle nie mam ochoty pomagać ci oszukiwać. Zmieniłem zdanie. Daj mi linka, albo nie, lepiej wygooglam sobie. Pokażę ci, jak wygrywać. Ja nie miałem poprawki z matematyki!

Eunice osłupiała. Przez krótką chwilę przyglądała mu się, jak tupiąc, odchodził w głąb korytarza. Jak to możliwe, że obraził się z powodu głupiej łamigłówki? Tylko dlatego, że raz jeden coś wychodziło

jej lepiej niż jemu? Dziewczyna pokręciła głową. Czuła się rozczarowana i w pewnym sensie zdradzona. Zawsze wiedziała, że Matt lubi znajdować się w centrum uwagi, ale nigdy nie przypuszczała, że jest zwykłym egoistycznym bubkiem.

Odetchnęła głęboko i ponownie zerknęła na wydruk. Niemal machinalnie zaczęła błędzić ołówkiem po krawędziach figury. Problem Matta polegał na tym, że zbyt dużo wiedział. Stosował wyuczone schematy, spacerował po wytartych ścieżkach. Czasami trzeba odrzucić wzorce i myśleć nieszablonowo.

No jasne. Dlaczego nie wpadłam na to wcześniej, pomyślała. A potem zgięła kartkę w trzech miejscach.

Myśli o zagadkach nie opuszczały jej nawet podczas imprezy u Jamnika, chociaż, łagodnie rzecz ujmując, nie były to odpowiednie miejsce ani pora na jakąkolwiek pracę umysłową. Atmosfera ciasnego mieszkania Jamnika już jakiś czas temu nabrała prawie namacalnej konsystencji. Z rozkręconej na pełen regulator wieży dobywał się piekielny jazgot na trzy akordy. Jamnik, Platon i kilku innych, niezłe już zaprawionych panów rzucało sobą o ściany przy akompaniamencie donośnych okrzyków. Piegowata Caroline obściskiwiała się na kanapie z Jayem. Meg siedziała pod drzwiami i rozpaczliwie szlochała, wspominając swojego świętej pamięci chomika.

Eunice, która tego wieczoru wypila stosunkowo niewiele, popadła w filozoficzny nastrój. Skierowała więc kroki do kuchni, gdzie rozsiadło się już dwóch kolegów w stanie głębokiej zadumy. Przez ostatnią godzinę prowadzili poważne rozmowy o sensie życia, racząc się koktajlami na bazie grappy podwędzonej z barku rodziców Jamnika.

– Mam zejście północne – oznajmiła zmęczonym głosem.

– Napij się z nami.

Tasior z wprawą zawodowca nalał alkoholu do szklanki, dosmaczył sokiem i wrzucił szczypczykami kilka kostek lodu.

– Dzięki. – Eunice ciężko opadła na kuchenny taboret. – Co z wami, nie skaczecie? To do was niepodobne.

– Starzejemy się – westchnął Danny. Chłopak za miesiąc kończył dziewiętnaście lat i był najstarszy z całej grupy. – Jak sobie pomyślę, że w tym roku mam testy do college'u...

– Najwyższa pora – dogryzł mu Tasior, o dwa lata młodszy. – Głupio, żebyś zdawał razem ze mną.

– Odwlekałem, jak mogłem – mruknął tamten. – Przecież wiesz, że nie dostanę się nigdzie w Farewell.

Eunice położyła rękę na jego ramieniu.

– Masz jeszcze przed sobą cały rok, Danny. Dasz radę.

Danny z rezygnacją oparł twarz na dłoniach.

– Ale wiesz, tak naprawdę to mi zwisa. Chciałbym zostać rysownikiem komiksów. A ojciec ciągle tylko księgowość i księgowość. Mam zakuwać po to, żeby jak idiota wklepywać numerki w Excelu? Szczere dzięki.

– Rób więc swoje i bądź ponad to! – oświadczył Tasior z mocą. – Słuchaj, opowiem ci o wodospadzie Niagara.

– Hę?

Tasior odchrząknął, zakręcił koktajlem w słoiku, a potem zagaił głosem spikera radiowego.

– Wodospad Niagara. Jeden z iluś tam cudów świata i niewątpliwie symbol narodowy. Kilotony czystej żywej potęgi w postaci spienionych kaskad wody. A teraz, Danny, uważaj: człowiek składa się z osiemdziesięciu procent wody, która podlega ciągłej wymianie, no nie?

– No tak.

– A wodospad też paruje, no nie? Woda leci do chmur, spada na ziemię...

– Ty masz rację! Ale jaja! – ucieszył się Danny. – To znaczy, że jak się odlewam, to jakbym sikał

prosto do wodospadu Niagara.

Eunice, która właśnie pociągnęła łyk tasiorowej mieszanki, ze śmiechu obryzgała stół koktajlem. Tasior złapał się za głowę.

– Coś pokręciłeś... – powiedział. – Chodzi mi o to, że też masz w sobie tę cząstkę wodospadu. No rozumiesz, moc jest z tobą. Coś jakby zen.

– Zen, czyli takie kółko czarne i białe z kropkami pośrodku?

– Nie, to yin i yang. – Eunice wycierała chusteczkami blat oraz własną bluzkę. – Zen masz wtedy, kiedy wszystko jest jednością, jedność jest wszystkim i w dodatku nic nie istnieje.

– Chińska filozofia. – Danny ziewnął. – Woda może sobie parować, ale ani ja się nagle nie zamienię w Tasiora, ani Tasior we mnie. A jeśli mój ząb nie istnieje, to czemu napierdala? Świat nie istnieje, wszystko marność, nalejcie mi jeszcze.

Chłapnęli sobie po dużym łyku.

– Skoro jednak – Tasior czknął lekko – po wymianie wszystkich twoich molekuł, do czego z pewnością doszło już kilkakrotnie, nadal jesteś Dannym, czy to nie zwyczajstwo ducha nad materią? Albo formy nad treścią?

– Może jakieś atomy Danny'ego znajdują się nawet w tej grappie. – Eunice popukała w szklanekę. – Co znaczy, że popełniamy mimowolny kanibalizm. Wampirzimy się nawzajem. Jesteśmy jednej krwi...

– Atomy też nie istnieją! – ryknął stanowczo Danny. – Widzieliście kiedyś chociaż jeden jedyny malutki atom?!

– Danny, tobie już nie nalewam. Jesteś pijany.

Wszyscy troje jesteśmy pijani, pomyślała Eunice. Szumiało jej w głowie i czuła się lekko jak na Księżycu. Woliała nie wstawać, aby trwać w ułudzie braku ziemskiej grawitacji. Osiągnęła właściwy stan, by dyskutować o sprawach, o których nikt nie rozmawia w biały dzień. No, może oprócz naukowców i filozofów.

Śmieszna sprawa z tymi filozofami, zastanawiała się. Uważają, że dzięki nim można lepiej zrozumieć świat. Tymczasem większość z nich tworzy jedynie gąszcz pojęć, za pomocą których tłumaczy się potem inne pojęcia. Wielotomowe spory o definicje, setki przegadanych traktatów, do których Eunice nigdy nie miała cierpliwości.

Uczeni są jeszcze gorsi. Próbuje przeniknąć tajemnice natury, więc wyjmują z niej śrubka po śrubce i patrzą, jak działa. Niewielu wznosi się ponad perspektywę śrubki. Kolejne dane, wzory i dane, ale żadnego głębszego zrozumienia. A wielkie religie? Albo wszelkiej maści ideologie? Eunice tylko niejasno sobie wyobrażała, jak pracują filozofowie albo uczeni, ale sporo wiedziała o różnych ideologiach. Prędzej czy później każda z nich zaczynała zjadać własny ogon, tworząc spójny system obsesji karmiących się sobą nawzajem, i przez to gubiła się w sprzecznościach.

Tymczasem świat – myślała Eunice – jest zbyt skomplikowany na spójne systemy, a ludzie zbyt głupi, aby go pojąć. Gdyby tylko istniały takie sztuczki dla rozwiązania zagadek rzeczywistości jak dla łamigłówek z *Silver Tower*. Sprytne triki, które pozwalają wyjść poza trzeci wymiar, przybliżyć niemożliwe. Może wtedy moglibyśmy zrozumieć choćby odrobinę więcej?

Eunice spojrzała na plastikową pokrywkę od słoika po masło orzechowym, która leżała na stole. Okrągła, biała, o ząbkowanych brzegach.

Na przykład, co sprawia, że pokrywka jest tutaj, a nie, dajmy na to, unosi się w powietrzu?

Siła grawitacji.

Wzajemne powiązania w trzecim wymiarze.

Ale gdyby przestrzeń wokół niej...

Gdyby piąty wymiar...

Odrzuć wzorce. Pomyśl po swojemu.

– Aaa! – wrzasnął Tasior, zrywając się z krzesła. – Mam delirkę!

Pokrywka od słoika wirowała mniej więcej dziesięć centymetrów nad powierzchnią stołu.

– To ja też mam delirkę. – Danny wygodnie ułożył głowę na rękach. – Dobranoc. Chrrr.

– Ja... tego...

Eunice wytrzeźwiała natychmiast. Serce podeszło jej do gardła, z najwyższym wysiłkiem zachowała opanowanie.

Pokrywka spadła na blat.

– Widzisz białe myszki?

– To lewitowało! – Chłopak wskazał przedmiot drżącą ręką. – Przysięgam, że nie ćpałem! Tylko piłem! Aaaa!

– Tasiór, uspokój się. – Położyła mu dłonie na ramionach. – Spokojnie! Idź się położyć, zrobię ci herbaty. Jaką chcesz? Czarną, zieloną?

– Assama. Czarnego jak szatan – jęknął Tasiór słabo. – Nie słodzę.

Eunice pomogła mu dojść do pokoju siostry Jamnika, przykryła go kocem z polaru w tygrysie pasy i wróciła do kuchni. Mechanicznym ruchem otworzyła szafkę i tak niezręcznie sięgnęła po herbatę, że część paczek pospadała z półki. Danny nawet nie drgnął, chrapał dalej.

– Kurwa – szepnęła.

Wiedziała, jak to zrobiła. Co więcej, wiedziała też, że przy odrobinie skupienia tak samo potrafiłaby unieść w powietrze każdą łyżeczkę, szklankę, puszkę herbaty. Czowała się tak, jakby nagle odkryła nowy zmysł. Przedmioty miały dodatkowy... kolor albo zapach, nie umiała określić tego słowami. Miejsce we wszechświecie? To było takie oczywiste, takie naturalne. Aż dziwne, że nie dostrzegała tego wcześniej. Chociaż... Zreflektowała się. Tak naprawdę od zawsze wiedziała, że ów... kolor, zapach, dźwięk – istnieje. Tyle tylko, że nie zwracała na niego uwagi, jak na setki dźwięków z tła, które zazwyczaj wyrzucamy ze świadomości.

– Jeszszszszsze rassss – zabelkotał Danny w pijackim półśnie. – Ale fffajnie. Moc jezzzztobą.

Zawirowało jej w głowie. Poczowała, że musi wydostać się stąd teraz, zaraz. Wybiegła z kuchni, po drodze potrąciła Meg, dopadła drzwi wejściowych.

– Hej! – usłyszała za sobą Jamnika. – Tylko nie zarzygaj klatki schodowej!

– Zaraz wracam! – krzyknęła.

Na schodach potknęła się kilkakrotnie, aż w końcu udało jej się wydostać na świeże powietrze. Przed klatką przystanęła. Oparła dłonie na kolanach i oddychała głęboko.

Księżyc w pełni stał wysoko na niebie. Odrapane ławki rzucały surrealistyczne, długie cienie. Wysoki klon, jedyne drzewo na wewnętrznym podwórku, gubił liście na wietrze. Kilka z nich zaszeleściło pod butami Eunice, kiedy przeszła wzdłuż splekanego chodnika. Gdzieś w oddali ujadł pies. Od zakratowanego śmietnika zalaływo wonią zgniłych owoców.

Schowała dłonie w kieszeniach bojówek i znalazła tam zwinięty plik kartek z zadaniami. Przejrzała jedno po drugim. Ledwie co widziała w słabym księżycowym świetle, ale znała je prawie na pamięć. Wiedziała, że teraz rozwiązałyby je bez trudu.

– Kurwa! – wrzasnęła. Rzuciła pierwszą kartkę na wiatr, potem drugą i następną. Wirowały w powietrzu razem z liśćmi. – Kurwaaa! Ja pierdołę!

Czy już zawsze wszystko będzie wyglądało inaczej? Każdy przedmiot, każde miejsce, każdy człowiek? Na myśl o konsekwencjach nowego odkrycia ogarniała ją panika. Świat był wystarczająco skomplikowany, kiedy posługiwała się pięcioma zmysłami. Czy tak właśnie czuli się malarze, którzy nie mogli uciec od analizowania kolorów i kształtów? Albo poeci, dla których język brzmiał bardziej jak melodia niż jak zbitka słów?

Od natłoku myśli rozboleła ją głowa. Rozpaczliwie potrzebowała ochłonać. Zwyczajowym lekarstwem na szok był kieliszek czegoś mocniejszego, ale w tej chwili na samą myśl o alkoholu robiło jej się niedobrze. Postanowiła przejść się wzdłuż kamienic do pobliskiego sklepu nocnego. Krótki spacer i łyk świeżego mleka powinny ją trochę uspokoić. Nie obawiała się napadu na własnym osiedlu, z miejscowymi bywalcami nocnych znała się od dawna.

Ruszyła przed siebie. Nawet gdyby nie czuła się tak wzburzona, nie zdołałaby zapewne dostrzec przygarbionej sylwetki, która od pewnego czasu ją śledziła. Uszyty prawie z samych łąt płaszcz obserwatora stapiał się z otoczeniem na podobieństwo skóry kameleona.

Teraz nieznajomy podążył za nią. Poruszał się niezgrabnie, a mimo to niemal bezszelestnie. Nic nie mogło zdradzić obecności szpiega, nawet intensywny odór moczu, bo obserwator szedł pod wiatr.

Przed przejściem dla pieszych dziewczyna zatrzymała się na chwilę. I ten krótki moment wystarczył. Postać błyskawicznie skoczyła naprzód. Eunice najpierw poczuła odrażający smród, a potem jakieś łapsko przycisnęło brudną szmatę do jej twarzy. Nozdrza dziewczyny wypełniła ostra woń chloroformu. Szybko straciła przytomność.

Kiedy grupka zapaleńców opracowywała projekt, który kiedyś miał być znany jako World Wide Web, Ponadsieć jeszcze nie istniała. W ogóle jej nie planowano. Wyrosła na pożywece rozprzestrzeniających się połączeń jak mech na wilgotnej ziemi. To musiało się zdarzyć, prędzej czy później. Materialna rzeczywistość miała odbicie w świecie astralnym – każda istota, każdy przedmiot i każde miejsce rzucało w nim cień. Tak samo internet doczekał się swojego cienia lub odbicia, które z czasem ukształtowało się w pełnoprawny świat. Pośrednio stworzona przez ludzi Ponadsieć miała wiele wspólnego z wizjami cyberprzestrzeni wykreowanymi wcześniej przez pisarzy science fiction.

Od samego zarania pojawiali się w niej magowie. Oni także korzystali z internetu i szybko dostrzegli narodziny nowego uniwersum. Na początku dało się ich zliczyć na palcach jednej ręki. Liczba magów, którzy jednocześnie są pierwszorzędnymi programistami, do dziś jest poważnie ograniczona. A tylko tacy potrafią wejść do Ponadsieci i nie zgubić się w niej po kilku milisekundach.

Do tej grupki pionierów należał Silver Knight. W czasach, gdy przedstawiał się jeszcze ośmioliterowym nickiem slvrkngt, odgrywał w społeczności cybermagów rolę naturalnego przywódcy. Zartowano, że w rzeczywistym świecie musi mieć najgrubsze okulary z nich wszystkich i największą liczbę pryszczycy. W miarę jak Ponadsieć się rozwijała, stało się jasne, że kontrola nad nią może dawać prawdziwą władzę. W grupie pojawiły się jednostki z ambicjami uprawiania polityki. Silver Knight bardzo szybko doszedł do wniosku, że nie chce mieć z tym nic wspólnego. Wzajemne knucie przeciwko sobie w małym, skistym piekielku nie należało do jego ulubionych rozrywek. Po raz pierwszy zmienił ksywę i jak na pioniera przystało, ruszył na podbój nieznanych zakątków Ponadsieci. Kilkoro innych poszło jego śladem.

Nigdy nie poznano jego prawdziwej tożsamości. Inni cybermagowie pojawiali się na zgromadzeniach w prawdziwym świecie, niektórzy stali się bohaterami nagłówek gazet. Tylko Silver Knight pozostał dla wszystkich zagadką. Co jakiś czas wyskakiwał jak diabeł z pudełka, dokonując czynów, o których później rozprawiano w całym cybermagicznym oraz hakerskim świecie.

Nie miał zamiaru dorabiać sobie takiej legendy. Wolałby raczej pozostać anonimowy. Z czasem, kiedy się przedstawiał, młodzi magowie Ponadsieci zaczęli zachowywać się dziwnie. Nie dowierzali, wyzywali go na hakerskie pojedynki albo, co gorsza, płaszczyli się przed nim. Postanowił nieco stonować swój wizerunek, ale było już za późno. Miał nakręcać się sam.

Teraz żałował, że postawił grę pod własną ksywą. Zanim na dobre zajął się kłopotliwym graczem RedXIII, upłynęło stanowczo zbyt wiele czasu. Pewien nadgorliwy żółtodziób, niejaki Cartridge, wypowiedział wojnę serwerowi. Razem z kilkoma innymi magami zażądał, aby moderator Silver Knight natychmiast zmienił nick. Przecież podszywanie się pod legendę to niewyobrażalna bezczelność!

Moderator udowodnił niezaprzeczone prawo do ksywki w serii błyskotliwych pojedynków, odpoczął nieco, a potem wziął się do archiwum zadań dla RedXIII.

Łamigłówki, które razem z Tetris wymyślali dla graczy, miały więcej niż jedno poprawne rozwiązanie. Po serii zagadek mogli już określić indywidualny styl. RedXIII był dobry, może trochę zbyt brawurowy – zawsze wybierał najbardziej fantazyjną możliwość. To sugerowało osobę młodą, w dodatku z potencjałem. Ale te dwa ostatnie błędy... Silver Knight dokładnie przyjrzał się odstępom czasowym, w jakich nadsyłano obrazki. Hm, ten ktoś siedział nad tym stosunkowo długo. Nad pierwszymi zresztą też. Słaby dostęp do netu. Kto może w taki sposób rozwiązywać zadania, do których wymagana jest przede wszystkim nadnaturalna intuicja? Wielki Turingu, możliwość jedna na tysiąc, i on, Silver Knight, ją przeoczył. Ktoś, kto już jest magiem. Ale jeszcze o tym nie wie.

Ciarki przebiegły mu po grzbiecie.

Przecież temu człowiekowi grozi śmiertelne niebezpieczeństwo.

Obudził ją zawieszony fetor – trudna do wyobrażenia mieszanka smrodu przegniłych odpadków, zastarzałych szczyń, benzyny i palonej gumy. Leżała z twarzą wtuloną w jakieś brudne szmaty. Chyba tylko cudem powstrzymała się od torsji. Miała ręce związane na plecach, a w nadgarstki wrzynała się jej ostra linka, najpewniej metalowa. Spróbowała się obrócić. Ból głowy napłynął gwałtowną falą, aż łzy pociekły jej z oczu.

Mocne ręce odwróciły ją do pozycji siedzącej. Eunice znalazła się twarzą w twarz z tak odrażającą staruchą, że ponownie zebrało jej się na mdłości. Kobieta miała nos podobny do czerwonej, przejrzałej truskawki, tłuste białe włosy i skórę usianą wągrami oraz wielkimi, włochatymi brodawkami. Z kącika jej lewego oka ciekła gęsta, żółta ropa. Zęby wyglądały jak przegniłe pieńki, a porządne chuchnięcie mogłoby powalić trupem.

– Brywieczór – odezwała się stara przymilnym tonem. – Nic nie boli? Wybacz mi mojemu synkowi. Trochę nadgorliwy.

– Eee... – wykrztusiła Eunice.

– Siem boi? Nie bać, nie bać.

Starucha puściła dziewczynę i odsunęła się nieco. Eunice zobaczyła trzech odzianych w łachmany mężczyzn. Stali wokół przerdzewiałej metalowej beczki, z której unosił się gęsty dym. Wszyscy byli podobni do starej kobiety, chociaż znacznie różnili się między sobą wiekiem i posturą.

– Miło poznać. Jestem Katarynka – zaskrzeczała stara. – A to moi dwaj synkowie. I wnusio. – Wskazała kolejno na podstarzałego garbusa, na barczystego oprycha z twarzą poznaczoną bliznami oraz na chuderlawego chłopaka o rozbieganych oczkach. – Tupot Białych Mew, Kosa Ostra i Cwany Skurwiel. Dobrzy chłopcy.

Eunice przyjrzała się uważnie całej trójce. Mieli w sobie coś niepokojącego, coś, czego nie mogła określić na pierwszy rzut oka. Zbyt długie nosy, wystające przednie zęby? Kosa nosił rękawiczki bez palców, ale dłonie Katarynki oraz Skurwiela z całą pewnością porastała z wierzchu gęsta sierść. Sposób, w jaki się poruszali... Z początku sądziła, że to tylko przywidzenie, ale teraz nie miała już wątpliwości. Katarynka skrywała pod płaszczem długi, różowy ogon. Jego koniuszek od czasu do czasu wystawał spod łachmanów. I czy zdawało jej się tylko, czy rzeczywiście zobaczyła w stosach szmat i wśród rupieci kilka par małych, błyszczących oczek?

Starucha zamilkła, świdrując ją wzrokiem. Oczekiwała odpowiedzi.

– Eee... A ja nazywam się Eunice Wight – zająknęła się dziewczyna. – E... Bardzo mi miło.

Poczuła, jakby wokół opadło napięcie, z którego wcześniej nie zdawała sobie sprawy.

– Matka widzi! – zawołał Tupot Białych Mew. – Nic o niej nie wiem. Jak mówię, że nie ma zapachu, to nie ma. Jest nowa, niczyja i nic nie umi.

– Dobry synek! – ucieszyła się Katarynka, odwracając się od więźnia. – Idź po Dereka. Sałate weź pół od razu. Pińśet bierz, albo nie, tysionca. Da tysionca.

– Nie będzie wierzyć. Weźme na próbem ucho.

Tupot Białych Mew wydobyl z przepastnej kieszeni składany nóż.

– Nie! – wrzasnęła Eunice, w daremnej próbie zakopania się w stosie szmat. – Nie, nie, nie!

Katarynka powstrzymała go ruchem dłoni.

– Bedzie krew, bedzie kłopot. Nie bierz ucho.

Dziewczyna odetchnęła.

– Bierz koniec małego palca. Łatwo zawionzać.

Jakiś czas później Eunice siedziała skulona pod ścianą z falistej blachy, przyciskając do siebie zranioną prawą dłoń. Długo wiała się z bólu po tym, jak Tupot zręcznym uderzeniem noża odrąbał jej

koniuszek małego palca, a później powstrzymał krwawienie zimną, lepką substancją, którą wycisnął z tubki po paście do zębów. Eunice nawet nie próbowała zrozumieć, co to za specyfik.

Nie związali jej ponownie, widocznie uznali, że to zbyt skuteczne.

W końcu zamarła w bezruchu wyczerpana płaczem. Wtedy Kosa wstał ze swojej skrzynki, podszedł bliżej i wlepił w nią uważne, złe spojrzenie.

Obawiał się, że spróbuje ucieczki? Eunice oprzytomniała trochę. Bez względu na to, kim był Derek i dlaczego miałby ochotę ją kupić, na pewno nie wiązało się z tym nic dobrego. Jeżeli istniała choćby znikoma szansa na odzyskanie wolności, należało spróbować. Zaciśnęła zęby i zaczęła dokładnie lustrować otoczenie.

Schronienie z falistej blachy było półotwarte, ogień w beczce palono pod gołym niebem. Aby jednak uciec, musiałyby ominąć trzech strażników – matkę, syna i wnuka. Może udałoby się jej czmychnąć przed Katarynką i Skurwielem, większy problem stanowił Kosa.

Człowiek-szczur śledził jej spojrzenie.

– Taaak. Som tu nasze kumple. Tysionc będzie. I o... takie. – Pokazał dłońmi rozmiar średniego kota. – Słuchajom nas. Zawsze.

Nawet jeżeli przesadzał, to i tak niewiele to poprawiało sytuację.

– Forsa zawsze dobra – mruknął Kosa. – Ale piniondz raz jest, a raz go nie ma, a ty młoda, ładna. Nada sie na drugom żone. Dobre dzieci bedom.

– Cicho, Kosa! – Katarynka miała czuły słuch. – Jeszcze sie czarów nauczy, a potem cie zabije i ucieknie. Dureń. Forsa jest forsa. Wampiry dużo dadzom za maga.

– Kto taki?! – przeraziła się Eunice.

– Chyba ich lubiom wysysać. Pewnie trzymajom i wypijajom po kawałku. Żeby na długo starczyło. – Starucha zachichotała upiornie, a potem wyjęła coś z beczki. – Siem upiekło. Pyszny gołombek z grilla. Chce?

Eunice poczuła, że zaraz zacznie wrzeszczeć i nie będzie mogła przestać. Otworzyła usta.

W tym samym momencie gdzieś w oddali rozległ się wysoki, modulowany dźwięk alarmu samochodowego. A potem drugi, trzeci i czwarty, już dużo bliżej. Ludzie-szczury popadli w stan bliski amoku. Cwany Skurwiel wyciągnął dwa wielkie noże i zawył piskliwie. Kosa zerwał się na równe nogi.

– Obcy na złomowisku! – warknął, a jego źrenice zmieniły kolor na czerwony.

Obydwaj skoczyli w mrok. Katarynka wybiegła za nimi na skraj schronienia.

– Jak człowiek, nie zabić! – zawołała. – Nie chcem żadnych glin!

Eunice wstała. Jeżeli uciekać, to tylko teraz!

Wtem ktoś dotknął jej ramienia.

– Ciii – szepnął. – Złap się mocno mojej ręki i zamknij oczy. Już!

Nie miała alternatywy. Natychmiast spełniła polecenie.

Nagle świat przestał istnieć. Unosiła się w przestrzeni, gdzie jedynym punktem odniesienia była obca, koścista dłoń. Zabrakło ziemskiego ciężenia, zgasły wszystkie wonie i dźwięki. Nie czuła wiatru ani oporu powietrza, ciepła ani chłodu. Pograżała się w substancji pozbawionej jakichkolwiek właściwości. Cisza dzwoniła jej w uszach.

Nie otwieraj oczu.

Nie pomyślała tego. To nieznajomy, kimkolwiek był, przesyłał jej bezdźwięczną wiadomość. Dziewczyna mocniej zaciśnęła powieki, tak że przed jej oczami pojawiły się czerwone plamy. Jezu. Do domu.

Drobne wyładowania elektryczne wystrzeliły na jej włosach, palcach i twarzy. Poczowała silny zapach ozonu. A potem, pod kolanami i zdrową ręką, twardą, lepką i szorstką powierzchnię.

– Teraz już możesz. – Usłyszała chrypliwy, świszczący głos.

Zamrugła, a potem rozejrzała się wokół. Klęczała na zapiaszczonej papie, a nad nią rozpościerało się rozgwieżdżone niebo. Nieznajomy leżał jakieś dwa metry dalej, rozciągnięty jak długi na smołowatej płaszczyźnie. Uważnie badał dotykiem komin wentylacyjny.

– Jesteśmy na dachu! – krzyknęła ze zgrozą.

– Ach, świetnie, po prostu doskonale – westchnął tamten. – A ja się zastanawiałem, dlaczego tak mi szumi w uszach. Jak wysoko? Widzisz może maszynownię windy?

– Sam sobie zobacz! – warknęła, roztrzęsiona.

Jej prawa dłoń pulsowała tępym bólem.

Prychnął cicho i bardzo ostrożnie zaczął się podnosić do pozycji siedzącej. Wyglądał na kilka lat starszego od niej, ale poruszał się jak stary człowiek. Chociaż długie, zmierzwione włosy opadały mu na twarz, nie zwracał sobie głowy ich odgarnianiem. Nie patrzył na nią. Zaczął szukać czegoś wokół siebie ręką i dopiero wtedy zrozumiała, że jest niewidomy. Po chwili zauważyła, że tuż obok leżą dwie inwalidzkie kule.

– Och. Przepraszam. Ja... Czuję się skołowana.

– To rozumiałe. – Zachichotał cicho, co po chwili przerodziło się w suchy kaszel. – Gdzie się podziały moje maniery? Nazywam się Timothy Hawkins. A ty, o ile czegoś nie pomyliłem, jesteś Eunice Wight, czyli RedXIII. Znasz mnie pod ksywką Silver Knight.

– Z gry *Silver Tower*? – Eunice ponownie zabrakło słów. – A więc to... te zagadki... mój szósty zmysł... to, że potrafię... to wszystko dzięki tobie...?

– Niezupełnie. Gdybyś sama nie była już przynajmniej po części magiem, nigdy nie rozwiązałaśbyś zadań wstępnych. Zrozumienie przychodzi zazwyczaj stopniowo i łamigłówki faktycznie mogły przyspieszyć proces. Ale ja tego nie planowałem. To jest naprawdę ostatnia rzecz, jakiej spodziewałbym się po mojej grze.

Magowie. Katarynka także użyła tego określenia, prawda? Magia. Różdżki, grimuary i spiczaste kapelusze. Okultystyczne rytuały do przyzywania demonów. Prawdziwe amulety Majów za pięć pięćdziesiąt. „Więcej jest rzeczy na ziemi i w niebie, niż się ich śniło naszym filozofom”.

– Jezu. Ja pier... – Uniosła zdrową rękę do ust. – Nie przyszło ci do głowy, że możesz trafić na kogoś takiego jak ja?!

Bezradnie wzruszył ramionami.

– Magowie nie są zbyt liczni. Tych w okresie przejściowym spotyka się niezwykle rzadko. A ty dodatkowo także mieszkasz w Farewell. Wprost trudno uwierzyć, że to przypadek. Są chwile, kiedy żałuję, że nie mamy tutaj wieszczki...

– Zamknij się. Na moment. Błagam.

Podpełzła do krawędzi dachu i popatrzyła w dół. Kilkanaście pięter niżej, jak świetliki na tle czarnej wstęgi asfaltu, migotały zepsute latarnie. Zakręciło jej się w głowie, cofnęła się szybko.

– Nie jesteś szczególnie dobry w te klocki, co? – jęknęła. – Przeniosłeś nas na wieżowiec! Na sam czubek pieprzonego wieżowca!

Timothy właśnie wygrzebał spod warstwy swetrów smartfona ze słuchawkami.

– Zmieniłaś moje koordynaty – wyjaśnił spokojnie. – To zwykłe ryzyko teleportacji z kimś początkującym. Mogliśmy wylądować znacznie gorzej.

– Gorzej! – wybuchła. – Stare bloki! Założę się, że to środek Rynsztoka! Nie możemy wynieść się stąd w ten sam sposób?

– Z tobą nie zaryzykuję – mruknął, zaabsorbowany smartfonem. – Następnym razem możemy skończyć w rzece.

– Będę krzyczeć! Aaaaa...

– Cicho – uciał ostro. – Według mapy rzeczywiście jesteśmy w Rynsztoku, więc lepiej nie zwracać na siebie uwagi. Poza kościołem Świętej Julianny w tej dzielnicy nie mamy żadnych wpływów. Rządzą tutaj wampiry, a one nas nienawidzą.

Eunice wzdrygnęła się i ostrożnie dotknęła zranionej dłoni. Palec wciąż był zimny. Nie krwawił, ale płynące z niego iskry bólu promieniowały aż do łokcia.

– Sprzedałoby mnie wampirom, gdybyś nie przyszedł – szepnęła. – Odcięli mi palec.

– Och. – Timothy zamilkł na chwilę wstrząśnięty. – Zaraza na te cholerne szczury. Wezwę pomoc, ale nie wolno nam tutaj zostać. Dzisiaj jest równonoc jesienna, a na dodatek pełnia księżyca. Może być... rozrywkowo.

Właz na dach ktoś zostawił otwarty. Eunice bardzo ostrożnie schodziła po odrapanej metalowej drabinie, starając się nie urazić okaleczonej dłoni. Kiedy wreszcie postawiła nogę na posadzce, pod jej butem zachrząściło szkło. Dookoła panowały ciemności. Tylko nikły blask z wejścia na górę rozjaśniał kwadrat podłogi tuż pod drabinką. Intensywna woń świeżej farby unosiła się w powietrzu.

Poszukała wyłącznika światła. Po chwili w pomieszczeniu zamrugła świetlówka. Dwie pozostałe wyglądały na zepsute; szklana osłona jednej z nich została rozbita. Na ścianach namalowano graffiti o wątpliwej wartości artystycznej, kilka musiało powstać bardzo niedawno. Po prawej stronie zobaczyła zamknięte drzwi z metalu i zbrojonego szkła. Z trudem rozszyfrowała napis „maszynownia windy”, ledwie widoczny spod obscenicznych piktogramów wysmarowanych mazakiem. Drugie drzwi po lewej były uchylone.

– Ktoś tam mieszka na dziko i miejmy nadzieję, że to ludzie – odezwał się Timothy tuż za jej plecami.

– Kurr...! – Eunice ugryzła się w język. – Uprzedzaj, kiedy się teleportujesz.

– Powinnaś mnie wyczuć. Nie starałem się ukrywać aury – powiedział Timothy. – Na przyszłość po prostu zwracaj na to uwagę. Sza. Słyszałaś?

Wysłuchała się w przestrzeń.

– Jakby... szuranie – szepnęła. – Czy możesz... nie wiem, sprawdzić, kto tam jest?

Powinni zostawić ślady aury. Timothy znów przemówił w jej umyśle. Wzdrygnęła się. Niedawno przebywali tutaj ludzie. Zwykli ludzie. Zaraz... jest coś jeszcze. Blisko.

Eunice podeszła do uchylonych drzwi i otworzyła je, zachowując najwyższą ostrożność. Na schodach poniewierało się kilka zgniecionych puszek, a wejście naprzeciwko zamknięto na kłódkę. „Pralnia” – głosił wytarty napis.

– Nikogo nie widzę. Jest tylko klatka schodowa i zamknięte drzwi do pralni.

Timothy pokuśtykał w jej stronę. Wychylił głowę za framugę, strzelił palcami.

Ciekawe. Bo według mnie tam nie ma żadnych drzwi.

W tej samej chwili z wejścia do pralni wyłonił się niewielki czarny stwór. Przeniknął przez szkło i metal, jakby nigdy ich tam nie było, zmrużył oczy i utkwiał wzrok w magach.

Miał niewiele więcej niż pół metra wzrostu i z grubsza humanoidalne kształty. Jego skóra lśniła jak obsydian, a z pleców wyrastały delikatne ażurowe skrzydła. Cienki ogon wyglądał jak skórzany rzemień, na głowie sterczały niewielkie rogi. Odstające uszy po obu stronach szerokiej, trójkątnej twarzy poruszały się czujnie, a nozdrza rozdymały w poszukiwaniu obcych woni. Oczy stwora świeciły jak żółte latarki.

Chwilę wpatrywał się w nich uważnie. A potem błyskawicznie skoczył naprzód.

Eunice nie zdążyła zamknąć drzwi prowadzących na korytarz. Odruchowo padła na ziemię. Timothy przewrócił się, zasłaniając twarz kulą. Stworzenie ze wściekłym piskiem wpiło się zębami w aluminium. Dziewczyna wstała natychmiast. Solidny kopniak odesłał stwora pod ścianę. Mag wziął głęboki oddech i stworzenie znikło.

Z „pralni” dobiegł ich chór skrzekliwych głosów.

– Tego jest więcej! – Zatrzasnęła drzwi i wsparła je plecami. – Odeleportuj je!

– Wszystkich naraz nie dam rady. Co już umiesz?

Ciemne kształty łomotały w szkło.

– Lewitować pokrywki od słoików!

Westchnął.

– Dobrze. Skoncentruj się. Zbierz w sobie tyle siły, ile zdołasz. Pokieruję tobą i zadziałamy razem.

Skoncentruj się. Łatwo powiedzieć! Drzwi dygotały pod naporem uderzeń. Opierała się na nich całym ciężarem ciała, stworzenia atakowały jednak z coraz większą siłą. A może to jej nogi słabły. Nieważne. Zamknęła oczy. Co za głupi rodzaj śmierci, pomyślała. Zostanę zjedzona przez coś, co nie

powinno nawet istnieć. Nie, nie ma mowy! Nie mogę się po prostu poddać, muszę znaleźć wyjście z tej sytuacji.

Odcięła wszystkie zbędne bodźce. Była szermierzem, który szuka słabych punktów w obronie przeciwnika. Wodą, która przesiąka przez szczeliny w skale. Timothy mówił coś do niej, ale nic nie słyszała. Właściwe rozwiązanie łamigłówek.

Poczuła, że obok niej zaczyna formować się ciepła obecność. Duży, zwierzęcy kształt. Wiedziała, czym jest jej nowy towarzysz. Znała go ze snów, z dziecięcych baśni, ze starych, zatartych wspomnień.

Odsunęła się od drzwi.

Stworzenia z wrzaskiem wlały się do pomieszczenia. A potem skamieniały ze strachu.

Patrzył na nich władca drapieżników. Olbrzymi lew stworzony z żywego płomienia, o sierści we wszystkich tonacjach czerwieni i złota. Jego grzywa falowała jak na wietrze, a z głębi trzewi dobywał się warkot.

Lew postąpił krok do przodu i ryknął tak głośno, że zatrzęsły się ściany. Podmuch powietrza zmiatał stwory jak kłęby kurzu.

Nie zwlekając dłużej, istoty rzuciły się do rozpaczliwej ucieczki.

– I nie waście się wracać! – krzyknęła Eunice w przyływie euforii. – Spierdaaaal!

Timothy odetkał uszy.

– A więc twój totem jest lwem – powiedział. – Jakie to... praktyczne.

– Totem...?

Lew otarł się o jej bok. Jego pomruk przypominał huk morskich fal albo przetaczającą się burzę. Zanurzyła dłoń w grzywie. Poczuła delikatne muśnięcie, zupełnie jakby próbowała głaskać podmuch wiatru. Chociaż wyglądał na rzeczywistego, nie był w pełni materialny. Podrapała go za uchem.

– Totem, duch opiekuńczy, duchowy strażnik. – Mag powoli dźwignął się na kulach. – Niektórzy twierdzą, że jest częścią duszy. Inni, że to nasz anioł stróż. Źródło mocy, drugie „ja”. Itede, itepe.

Sylwetka płomiennego lwa powoli bladła i rozpyływała się w powietrzu.

– A twoim zdaniem co to jest? – spytała Eunice.

– Moim zdaniem? – Timothy zakasłał z nieukrywaną złośliwością. – Charakter.

Wnętrze windy cuchnęło moczem. Timothy zmarszczył nos z obrzydzeniem. Na dziś miał stanowczo dosyć smrodu. Gdyby wiedział, jaki obrót przybierze jego improwizowana misja ratunkowa, poprosiłby kogoś o pomoc. Co go podkusiło? Od tak dawna nie wyprawiał się samodzielnie dalej niż do ogródka. Sądził, że pójdzie szybko. Teleport w jedną stronę, teleport w drugą. Nie wziął pod uwagę losowych efektów, jakie zazwyczaj wywoływali młodzi magowie bez należytej kontroli nad swoimi umiejętnościami. Teleportacja nie bez powodu miała opinię jednej z najtrudniejszych sztuk magicznych. Byle szczególnie mógł zakłócić parametry.

Obecność diabła ściągnęła ich jak grawitacja. Sądził, że wyginęły podczas Mrocznej Wojny, a tutaj, pomyśleć tylko, całe gniazdo!

Miał nadzieję, że ich mamusia znajduje się gdzieś daleko. Zbyt dobrze zdawał sobie sprawę ze swojej nikłej wartości bojowej w takich wypadkach. Przydałaby się Weronika ze swoimi egzorcyzmami.

– Co to za stwory? – zapytała Eunice.

Jej głos brzmiał spokojnie. Ufała mu? Na co liczyła, na ogniste kule?

– Młode demony – wyjaśnił. – Zbyt głupie, aby wiedzieć, że twój totem może sobie co najwyżej poryczeć. Nie próbuj tego z dorosłymi.

– Zapamiętam. – Teraz nie wydawała się już tak pewna siebie. – Demony, wampiry, szczuroludzie, co jeszcze można znaleźć w tym cholernym mieście?

Rzeczywiście potrafię podnosić ludzi na duchu, westchnął ze znużeniem. Niech tam.

– Co tylko zapragniesz. Pełen repertuar od kwiatowych duszków aż po zombi. Z wyjątkiem wilkołaków, one nie lubią miast. Oraz księżąt Sidhe. Odeszli do Avalonu setki lat temu.

– I wszystko to będzie próbowało mnie zeżreć?

– Na pewno nie kwiatowe duszki.

– Bardzo śmieszne.

Poczuł się bardzo zmęczony. Znajdowali się na obcym terytorium, gdzieś w okolicy krążył przynajmniej jeden dorosły demon, nie mówiąc o sługach tutejszego bonza, wampira Juliusa. Może by tak ją uśpić i teleportować na miejsce? Nie, to zły pomysł. Skoro wpłynęła na teleport, równie dobrze mogłaby się oprzeć hipnozie. Poza tym ryzykował utratę jej zaufania. Irytowała go, ale już zdążył ją polubić. Czuł się potrzebny, uczniowie nie trafiali się codziennie.

– Jesteś magiem – powiedział. – Masz moc zmieniania świata. Zawsze znajdują się tacy, którzy zechcą cię uciszyć albo zabrać tę moc dla siebie. Gdyby nie my, całe to tałatajstwo zaczęłoby żreć zwykłych ludzi. Znajdujemy się na linii frontu wiecznej wojny między ludzkością a drapieżnikami. Dziwisz się?

– Owszem! – prychnęła. – Skoro tak, dlaczego ludzkość o niczym nie wie?

– Co za głupie pytanie – zachnął się. – Wyobraź sobie tylko tę chryję. Czołgi, rakiety, laboratoria badawcze. Zresztą świat nadnaturalny to nie tylko drapieżniki. Ludzie mają problem z istnieniem w kilku odmianach rasowych i więcej niż jednej orientacji seksualnej, nie mówiąc już o religiach. Sądzisz, że tak łatwo przyjęliby do społeczeństwa driady, puki, dzieci Bast? Albo zombi. Fakt, że śmierdzą paskudnie, ale są relatywnie spokojne. Stosy, wiesz, już to kiedyś przerabialiśmy.

– Chronimy potwory przed ludźmi i ludzi przed potworami?

– Tak jakby.

– Och. Ojej. Ale mam przesrane.

Usłyszał, jak postukuje palcami w ścianę windy, i przypomniał sobie, że została ranna. Po raz kolejny przeklął w duchu własną opieszałość. Gdyby wcześniej zajął się jej archiwami...

Winda zatrzymała się hałaśliwie i Timothy przestał się nad tym zastanawiać. Nie zwykł długo rozpamiętywać błędów. Należały do przeszłości, a życie toczyło się tu i teraz.

Machinalnie ujął w dłoń smartfona. Chociaż nie widział ekranu, nie potrzebował aplikacji dla niewidomych; łączył się z urządzeniem, dotykając portu USB. Czasami używał kamery do patrzenia na świat, ale to było niepraktyczne: trudne do podtrzymania na dłuższą metę, a przede wszystkim pożerało baterie znacznie szybciej niż jakiegokolwiek niemagiczne zastosowania. Teraz zresztą również musiał zrobić coś, co wymagało sprzężenia elektroniki z magią. Nie mógł po prostu zadzwonić do Lloyda Darka, gdyż ten nie używał telefonów komórkowych – darzył podobne „szpiegowskie wynalazki” głęboką nieufnością. Z przyjaciółmi rozmawiał na odległość za pomocą telepatii. Tyle że pozostali magowie nie potrafili jej samodzielnie używać na tak daleki zasięg. Timothy korzystał więc ze wsparcia elektroniki, łącząc magię z techniką, jak to miał w zwyczaju. Kontaktował się z satelitą, lokalizował przyjaciela na mapie, a dalej było już z górki.

Tak jak się spodziewał, Lloyd Dark znajdował się w Syriuszu, klubie studenckim, gdzie niedawno przyjął posadę ochroniarza. Teraz świadomość Timothy’ego na ułamek sekundy ponownie umknęła w Ponadsieć. Czy pomoc dotrze na czas?

Podwórko przed blokiem sprawiało wrażenie opustoszałego. W świetle księżyca ciężkie konstrukcje ze stalowych rur przywodziły na myśl ruiny futurystycznego miasta. Osiedlową uliczkę tarasował wrak zdezelowanego chryslera. Miał rozbitą maskę i odkręcone koła, a oryginalna barwa lakieru dawno znikła pod warstwą graffiti. Przy betonowym obmurowaniu piaskownicy leżało kilka butelek po piwie. Ściany okolicznych bloków do pewnej wysokości upstrzono sprayem.

Spod chryslera wychynął chudy, łaciaty kot ze zjezoną sierścią. Eunice drgnęła. Niejasno zdała sobie sprawę z czyjejś obecności.

– Coś tutaj...

– Jasna cho...! – syknął Timothy. – Zwiewaj!

Odwróciła się w kierunku klatki schodowej i w tym samym momencie usłyszała świst. Obejrzała się przez ramię. Timothy wisiał w powietrzu do góry nogami, jak gdyby coś trzymało go za kostkę.

Powietrze wokół falowało.

– Zwiewaj! – wrzasnął. – Poradzę sobie!

Eunice z chęcią spełniłaby jego polecenie, ale nie mogła się ruszyć. Była jak mysz zahipnotyzowana spojrzeniem kobry. Niewidzialna istota, która schwytała Timothy'ego, powoli wyłoniła się z powietrza, jakby sphywał z niej kamuflaż.

Wyglądała jak dorosła forma tego, co zaatakowało ich na górze. Potwór miał blisko trzy metry wzrostu, rozłożyste, skórzaste skrzydła i ostre wyrostki na czaszce, łokciach i kolanach. Jego rogi zwijały się w precle jak u muflona, a skórę barwy antracytu znaczyły delikatne karmazynowe wzory. Owinął podobny do bicia ogon wokół lewej nogi cybermaga, a teraz wpatrywał się w dziewczynę, jakby szacował jej przydatność do spożycia.

Eunice widywała już podobne stworzenia. Były ulubionymi maskotkami fanów muzyki metal. Pojawiały się także w grach komputerowych, gdzie stanowiły cele dla dobrze wymierzonych ciosów magiczną bronią oraz zaklęć bojowych. Konwencja mrocznego kiczu wręcz wymagała obecności dużych, rogatych i niebezpiecznych demonów w czarno-czerwonych barwach. W wersji wirtualnej i na okładkach płyt wyglądały nawet zabawnie.

Nie mogła oprzeć się wrażeniu, że skądkolwiek brały się demony, wzorowały swój wizerunek na bieżącej modzie. Skoro z taką łatwością wtapiały się w otoczenie, wydawało się to nawet wysoce prawdopodobne.

Żrenice demona zwężyły się w pionowe szparki. Pochylił się nad nią, wydał policzki i plunął czarną mazią.

Nie trafił. Eunice nagle uświadomiła sobie, że ona sama leży na ziemi dwa metry dalej, a Timothy klęczy obok, jakby nikt go nigdy nie pochwyił. Rzeczywiście, radzi sobie, zdążyła jeszcze pomyśleć i odturlała się na bok. Potwór strzelił ogonem w maga i znów tylko przeciął powietrze.

Dziewczyna puściła się sprintem w kierunku klatki schodowej. Krew dudniła jej w uszach, strach ścisnął gardło. Zatrzymała się przy drzwiach, opierając dłonie o nieprzejrzystą szybę, złapała za klamkę. Zraniony palec przypomniał o sobie szarpnięciem bólu rozchodzącego się wzdłuż krawędzi dłoni. Klamka jakoś nie chciała się poddać i dopiero wtedy Eunice zauważyła domofon.

Coś załopotalo na podwórzu, jak szarpany wiatrem żagiel. Odwróciła się.

Uskrzydłony demon o skórze lśniącej jak tworzywo sztuczne, jeszcze większy od tego, z którym zmagal się Timothy, leniwie osiadł na stalowych drabinkach z gracją właściwą drapieźnikom. Eunice wstrzymała oddech, ale potwór nie zwracał na nią uwagi. Spoglądał na drugiego, mniejszego. Po chwili odezwał się grzmiącym głosem w egzotycznym, charkotliwym języku.

„To one mówią?! Dobrze wiedzieć”.

Drugi demon zatrzymał się i odwzajemnił spojrzenie. Ruchem głowy wskazał Timothy'ego – który dyszał ciężko oparty o karoserię chryslera – i odpowiedział coś rozniewanym tonem.

Nowo przybyły demon zeskoczył na ziemię z potężnym tupnięciem. Wyrwał z ziemi stalową drabinkę, a następnie połamał ją na drobne kawałki, jakby to było kruche ciasteczko. Wycodził wściekle kilka słów. Eunice domyśliła się, że to nic pochlebnego. Zdała sobie sprawę z tego, że siedzi skulona pod oszklonymi drzwiami, zasłaniając uszy.

Tymczasem potwory chyba przymierzały się do walki między sobą. Spierały się o zdobycze? O terytorium? Skoro według Timmy'ego były przede wszystkim nadnaturalnymi drapieźnikami, a nie diabłami w tradycyjnym rozumieniu tego słowa, pewnie chodziło o jedną z tych rzeczy. Okręzały się wzajemnie, a ich głosy niosły się echem po całym podwórzu. Niezależnie od tego, co je poróżniło, Timothy miał teraz szansę na ucieczkę. Nie teleportował się jednak ani w pobliże Eunice, ani nigdzie indziej. Wsparty łokciami na masce samochodu wypluwał sobie płuca w gwałtownym ataku kaszlu.

Chciała go zawołać, ale z jej zaschniętego gardła dobył się tylko szept.

Nikt nie zwracał na nią uwagi. Mogłaby teraz podkraść się do maga niezauważona. I co dalej? Nie wiedziała. A gdyby zdołała zabrać go pod drzwi, gdyby zadzwoniła i poprosiła o przenocowanie w jednym z mieszkań? Czy lokatorzy z Rynsztoka potrafili zdobyć się na ludzkie odruchy? Pewnie by się obawiali, że ściągną na siebie niebezpieczeństwo. Mafia narkotykowa, gangi złodziei samochodów,

pijani skinheadzi – te wszystkie zjawiska były normą w północnej dzielnicy. Zresztą zapewne mieliby rację. Demony mogły zdobyć się na tyle determinacji, aby wdrzeć się do mieszkania siłą. Sądząc po stanie podwórkowej konstrukcji, nie miałyby z tym żadnych kłopotów.

Może by jednak podejść, wezwać lwa, zmylić je choćby na krótką chwilę...

Nagle demony zamilkły. Obydwa obróciły głowę w jednym kierunku, zaniepokojone i spięte, z czujnie postawionymi uszami. Eunice popatrzyła za nimi. Czyżby trzeci... Nie.

Osiedlową uliczką nadchodził wysoki mężczyzna. Jego czarny płaszcz wzdymał się lekko na wietrze, papieros żarzył się w półmroku. Przybysz szedł spokojnie, nucąc pod nosem bliżej nieokreśloną melodię. Jak gdyby nigdy nic minął chryslera, nie spuszczać rozbawionego spojrzenia z obydwu demonów. Rzucił niedopałek na ziemię, roztarł go obcasem i wygłosił dłuższą uwagę w ich własnym języku. Przyjaciel czy wróg?

– Nic nie rozumiem... – mruknęła do siebie.

– Ja też – usłyszała świszczący głos Timothy'ego. – Ale domyślam się, co mówisz.

– Znowu to zrobiłeś! – szepnęła. – Pojawili się bez ostrzeżenia.

– Znowu nie uważałaś – odparł z chichotem. – Jesteśmy uratowani. Popatrz uważnie. O ile znam Lloyda, właśnie doszedł do etapu tłumaczenia im, że naprawdę nie chce walczyć. W filmach to nigdy nie działa. W życiu wręcz przeciwnie. Wszyscy w mieście wiedzą, kim on jest. Ale te dwa są tutaj obce. Ciekawe, czy zwycięży w nich zdrowy rozsądek.

Eunice się zastanowiła.

– Twój kolega zachowuje się, jakby wyszedł z filmu, a demony robią wrażenie wyjętych z gry wideo. Może to głupia myśl, ale... nie ma w tym nic przypadkowego, prawda?

– Bystre spostrzeżenie. – Timothy skinął głową. – Magia działa najlepiej, jeżeli znajduje oparcie w zbiorowej podświadomości. Nie zawsze można to osiągnąć... ale korzystamy z tego, co mamy. Z demonami jest trochę inaczej. Ich forma bezpośrednio zależy od tego, w co wierzą ludzie.

– Można powiedzieć, że sami tworzymy swoje demony.

– Mhm. – Zakasłał. – Nie rozumiem, dlaczego właściwie masz takie słabe oceny.

Eunice nie zdążyła przetrwać tego, że Timothy Hawkins włamał się do szkolnej kartoteki. Krótka wymiana zdań między nowo przybyłym oraz demonami skończyła się nagle i większy z potworów zaatakował.

Coś błysnęło. Odskoczyli od siebie i zobaczyła, że przybysz dzierży w dłoni japoński miecz. Nie dostrzegła, kiedy go dobył. Atakujący demon stracił natomiast prawą rękę. Z kikuta zamiast krwi buchnęły kłęby pary, jakby ciało stwora składało się z suchego lodu. Wiatr niósł intensywny zapach siarki.

Teraz obydwu rzuciły się na niego. Trafiły w pustkę. Szermierz szybował nad ich głowami, w wyskoku godnym filmów kung-fu klasy C. Zanim którykolwiek zareagował, przybysz ciął. Miecz wszedł w ciało jak w masło. Większy demon upadł, rozplątany od barku aż po biodro. Powietrze aż zgęstniało od cuchnących oparów. Eunice nie była w stanie zasłonić oczu.

Mniejszy demon stracił rezon i z przejmującym wrzaskiem poderwał się do lotu. Szermierz przez chwilę śledził go wzrokiem, być może upewniając się, że nie zawróci. Potem stanął nad ciałem tego dużego i wraził miecz w nieruchome ciało. Demon, który za życia wyglądał całkiem solidnie, zaczął topnieć niczym lalka z wosku. Ciecz, która po nim pozostała, szybko parowała z asfaltu.

Timothy zaczął bić brawo.

– Nie sposób wyrazić, jak bardzo czuję się zawiedziony. – Szermierz wytarł miecz w szmatkę i ruszył w ich stronę. – Zdaje się, że Julius nie dba o należyty ład na swoich włościach.

Eunice osłupiała. Manierę, z jaką przemawiał Lloyd, do tej pory znała tylko z telewizji.

– On mówi po wiktoriańsku – bąknęła.

– On jest wiktoriański – uściślił Timothy. – Tylko nie może się zdecydować, czy należy do świata Wschodu, czy do Zachodu.

– Doprawdy – zachnął się mag. – Timothy, a może przedstawiłbyś mnie tej młodej damie?

– Proszę bardzo. Eunice, to jest Lloyd Dark. Szermierz Cienia, jak mawiają niektórzy. Lloydzie,

to jest Eunice Wight.

– *Enchanté*.

Przyjrzała mu się uważnie. Byłby dostatecznie wysoki, aby grać w lidze NBA. Miał duże dłonie i mocne kości policzkowe, typowe dla ludzi jego wzrostu. Domieszka azjatyckiej krwi, która zazwyczaj łagodzi rysy, w jego wypadku zdawała się je dodatkowo zaostrić. Pobrużdżona twarz zdradzała, że przeszedł w życiu wiele ciężkich prób. Gdyby Eunice miała ze dwadzieścia lat więcej, uznałaby go za przystojnego. Teraz wydał się jej bardzo szpetny.

Sprawiał wrażenie wyjątkowo niebezpiecznego człowieka. I zważywszy, jak poradził sobie z demonem dysponującym wystarczającą siłą do skruszenia stalowej drabinki, rzeczywiście był groźny. Jakie to szczęście, że jest po ich stronie. Odsiecz przybyła, niebezpieczeństwo znikło. Wreszcie można odetchnąć z ulgą.

Zawirowało jej w głowie, przed oczyma pojawiły się mroczki. Postanowiła, że usiądzie. Tylko na minutkę. Czy asfalt powinien zbliżać się i odpływać w tak interesujący sposób? To na pewno dlatego, że mamy pełnię księżyca. Zaraz wstanie, niech dadzą jej chociaż trochę odpocząć.

– Timothy, zostań przy niej. Sprowadzę Gabriela.

– Mogę sam to zrobić.

– Ani mi się waż. Jesteś osłabiony, a Gabriel zaparkował niespełna sto jardów stąd.

Dźwięki dochodziły do niej jakby z wielkiego oddalenia. Może zbyt dużo dzisiaj wypiałam, zastanowiła się Eunice. Tylko dlaczego tak bardzo boli ją ręka?

– Demony?

– Dałem im do myślenia. Opuszczą miasto przed świtem.

I bardzo dobrze, pomyślała dziewczyna. Może nareszcie zdoła się wyspać.

Stała na brzegu wielkiego jeziora naprzeciw ostatniej wyspy na krańcu świata oddzielonej od lądu zaledwie wąskim pasem płytkiej, przejrzystej, roziskrzanej słońcem wody. Niewielką wyspę porastała gęstwina bujnych krzewów i młodych drzew. Nad nimi górowała gęsta korona olbrzymiej starej wierzby o szarzielonych, jakby muśniętych srebrem liściach.

Zanurzyła stopy w ciepłej wodzie. Kilka drobnych rybek umknęło jej spod nóg. W miękkim piasku na dnie nie dostrzegła ostrych kamieni ani wodorostów. Miała wrażenie, że nie brodzi w wodzie, tylko w słonecznym blasku; a może tak naprawdę spacerowała po powierzchni jeziora? Kiedy znalazła się na brzegu wyspy, nie czuła się nawet mokra.

Pod szerokim splekanym pnem wierzby siedziała drobna, jasnowłosa kobieta w szarej płóciennej sukni. Eunice zrozumiała, że przyszła tutaj właśnie do niej, nie mogła jednak przypomnieć sobie po co. Pytanie, chciała jej zadać pytanie. Ale jak ono brzmiało?

Kobieta przywitała ją skinieniem głowy. Miała dziwne oczy, o intensywnie niebieskiej, wręcz nienaturalnej barwie. To też nosło ze sobą jakieś znaczenie, ale jakie? Eunice nie pamiętała.

Pokłoniła się jej z szacunkiem; czuła, że tak właśnie należy postąpić. Kobieta wstała bez słowa i się odwróciła. Skinieniem dłoni dała znać, aby dziewczyna podążyła za nią.

Teraz obydwie stały na przeciwległym brzegu wyspy otwartym na bezkresną przestrzeń jeziora. Niepodobna, aby przedzieranie się przez zarośla zajęło im kilka godzin, ale tutaj widocznie czas płynął inaczej. Ostatnie promienie zachodzącego słońca nadawały jednolitej warstwie chmur przygaszoną, morelową barwę. W oddali wodę spowijała mgła. Eunice z całą mocą uświadomiła sobie, że drugi brzeg nie istnieje, że świat rzeczywiście kończy się na tej wyspie. Dokąd trafi, jeżeli będzie płynąć wystarczająco długo? Z pewnością przy brzegu jeziora zacumowano czółno – to wydawało jej się naturalne i całkiem oczywiste. Ogarnęła ją bolesna tęsknota za nieznanym.

Zerwał się wiatr. Szuwary monotonnie powtarzały melodyjne, znajome słowo... imię, nazwę? Nie może go zapomnieć, kiedy się obudzi. Obudzi.

Tyk, tyk, tyk, tykał głośno zegar. Odwróciła się na drugi bok i schowała głowę pod gryzącym, wełnianym kocem. Co za ludzie, pewnie zabrali dla siebie wszystkie polary. Zaraz, sama przecież oddała Tasiorowi ten wielki, w tygrysie pasy. Wtedy, kiedy wpadł w histerię, bo...

Usiadła tak gwałtownie, że zakręciło jej się w głowie. Ponownie opadła na miękką, skórzaną kanapę. Musiała przezwyciężyć napływ senności, aby się podnieść i dokładnie obejrzeć pomieszczenie, w którym się znalazła.

Przestronny salon był pogrążony w półmroku. Na kominku tykał miarowo wielki, staroświecki budzik o wygiętych fajansowych nóżkach. Niski stolik naprzeciw kanapy tonął pod stertą książek i gazet, spośród których wyglądało kilka kubków po herbacie, a na fortepianie (kto teraz trzyma w domu fortepian?) leżał brudny talerzyk deserowy.

Nie zauważyła telewizora, za to na etażerce pod oknem stał sprzęt grający, na widok którego oczy Eunice zrobiły się wielkie jak spodki. Nowiuteńka, burżujska wieża sąsiadowała z leciwym, ale dobrze zakonserwowanym adapterem. Głośniki rozmieszczono w salonie tak, aby zapewnić najlepszą akustykę. Ktoś tutaj znał się na muzyce.

Poza tym wewnątrz nie kłuło w oczy nadmiarem luksusu. Dywan wyglądał na sfilcowany, stolik na podrapany, a brązowe obicie kanapy na pewno było już mocno wytarte. Eunice nie знаła pojęcia „stare pieniądze”. W jej przekonaniu zamożność wiązała się z takimi szczegółami jak domowe kino, lśniące posadzki i złote bidety. Doszła więc do wniosku, że mieszkańcy domu żyją wygodnie, ale dość skromnie. Zaniepokoił ją tylko cichy chrobot dobiegający z kąta. Myszy?

Przypomniała sobie szczurołudzi ze złomowiska i ledwie opanowała histeryczny śmiech. Po czym zmartwiła. Zaraz, moment. Obcięto jej palec. A przecież nie czuje bólu, jej ręki nie krępuje żaden opatrunek. Może to tylko jej się przyśniło?

Zgięła prawą dłoń i rozprostowała ją. Nic nie wskazywało na to, aby kiedykolwiek została ranna. Nie licząc starej, drobnej blizny po zabawie nożem, okrągłego punktu po wypalanej kurczajce oraz obgryzionych skórek przy kciuku, ręka prezentowała się całkiem nieźle. Coś takiego...

Z rosnącą grozą uświadomiła sobie, że jej ubranie jest zupełnie czyste, jakby przed chwilą wyjęła je z szafy. Jeżeli wszystko, co przeszła do tej pory, to tylko jedno wielkie delirium alkoholowe...? Ale gdzie się znajduje, do jasnej cholery?

Odruchowo potrząsnęła głową, aby odrzucić dredy na plecy, i przeżyła kolejny wstrząs. Bardzo dokładnie obmacała głowę, by wreszcie przyjąć do wiadomości niemiłą prawdę – ostrzyżono ją prawie na zero.

Zza ścianki, która najwyraźniej dzieliła kuchnię od salonu, dał się słyszeć brzęk talerzy.

– Pospieszcie się trochę. – Z oddali dobiegał zniekształcony echem kobiecy głos. – Przecież nie może tutaj spać do rana, rodzice na pewno już jej szukają.

Drugi, schrypnięty głos bez wątplenia należał do Timothy’ego, Eunice nie rozpoznała jednak słów. Po chwili rozległo się charakterystyczne stukanie inwalidzkich kul i cybermag powoli wkuśtykał do salonu.

– Słyszałem, że się obudziłaś – powiedział, a potem usiadł ciężko na jednym z wygniecionych foteli. – Przepraszam cię za to porwanie, ale potrzebowałaś pomocy.

Eunice zerknęła na swoją prawą dłoń.

– Czy ty wyleczyłeś... – zaczęła.

– Nie, w tej dziedzinie brak mi talentu. – Uśmiechnął się dziwnie smutno. – Ale mogę cię zapoznać z naszym uzdrowicielem. Gabrielu!

Pstryknął wyłącznik i żyrandol rozbłysnął żółtym, przyćmionym światłem ekologicznych żarówek. Do pokoju lekkim krokiem wszedł smukły, jasnowłosy młodzieniec o urodzie efeba. Wszędzie rozpoznałaby tę przystojną twarz, buńczuczne spojrzenie oraz, rzecz jasna, niebieski tatuaż – lżę na lewym policzku. Widziała przecież niejednego teledysk z jego udziałem.

Gabriel Shade. Wokalista znanego w całym stanie rockowego zespołu Neverland, nie bez kozery zwany Pięknym Gabrielem. Obiekt niezliczonych plotek oraz bałwochwalczej adoracji, głównie ze strony nastoletniej publiczności. Eunice nie należała do dziewcząt, które podkochują się

w piosenkarzach. Była raczej z tych, które same chciałyby nimi być. Cenila jednak Neverland za dobrą muzykę oraz za to, że nie sprzedali swojej niezależności żadnej korporacji.

– Tylko się nie zakochaj – ostrzegł ją Timothy. – To ciota.

– Timmy! – jęknął Gabriel.

– No dobrze. Jest po prostu metroseksualny.

– Timothy Hawkins, ryzykujesz sól w porannej herbacie.

– Jeżeli zyczysz sobie zwanie w głośnikach, proszę bardzo.

– Nie zwracaj na niego uwagi, Eunice, a już na pewno nie bierz go za autorytet. Jest stary, złośliwy i nadal słucha Mike’a Oldfielda.

– Nie wierzę. – Eunice uszczypnęła się mocno w ramię. – Po prostu nie wierzę. Magia, świetnie. Demony, może być. Ale to, to... może być tylko wytwór podświadomości. Równie dobrze mógłby tutaj stać Brad Pitt albo Bruce Wayne. Zgiń, przepadnij, halucynacja.

– Nie wiem, czy mam się obrazić, czy przyjąć pochlebstwo – westchnął Gabriel. – Chciałbym uściślić, że ten drugi nie istnieje. I że mam znacznie lepszy charakter niż ten pierwszy, nie mówiąc nawet o urodzie. Ale nie nastawiaj się za bardzo, jesteś dla mnie stanowczo za młoda.

Wyjął spod nowego egzemplarza „Timesa” niedojedzoną paczkę herbatników.

– Oczywiście, moja muzyka nie wymaga żadnego magicznego wspomaganie – zastrzegł, pakując sobie do ust dwa ciastka naraz. – Ale mogę ci kiedyś powiedzieć, które efekty specjalne stworzyłem dzięki iluzjom. Chciałbym, żeby ktoś je kiedyś należycie docenił.

– Timothy powiedział, że jesteś uzdrowicielem...

– Magia transformacji. – Gabriel przesunął ręką po włosach. Eunice patrzyła, jak zmieniały kolor na czarny, kasztanowy, rudy i z powrotem na blond. – Usunąłem też bakterie tężca, wirusa żółtaczk, alkohol, smołę z ubrania i plamy k... krwi – zająknął się przy ostatnim słowie.

– I moje dredy? Nie rozumiem.

– A, to... – Wzruszył ramionami. – Tak wyglądasz lepiej.

– Przyznaj się, że popełniłeś błąd w sztuce – mruknął Timothy. – Kiedy oczyścił twoje włosy ze wszystkiego, co się do nich przylepiło, zamieniły się w jeden wielki kołtun. Nie do odratowania.

– Mogę poprawić.

– Nie! – zaprotestowała. – Niech już tak zostanie.

– Postrzyżyny – mruknął Lloyd.

Drgnęła. Dopiero teraz się zorientowała, że stał pod ścianą w cieniu szafy. Nie wiedziała, kiedy zjawił się w salonie. Nie miał już przy sobie miecza, ale i tak odniosła wrażenie, że patrzy na dwumetrową wersję Toshiro Mifune.

– W kraju Krzysztofa nazywano to postrzyżynami. Młodzieńczy rytuał przejścia. Rychło się przekonasz, że nasze życie obfituje w symbole. Tak działa magia – uważnie podążaj jej tropem.

– Lloyd, chłopcy, czy zdążyliście już ją przestraszyć?

Do pokoju weszła kobieta, którą wcześniej usłyszała Eunice. Najprawdziwsza zakonnica, w habicie, kornecie i tak dalej; pulchna, z dołeczkami w policzkach, o bardzo zniszczonych dłoniach i ciepłym spojrzeniu. Wielkie okulary w drucianych oprawkach zasłaniały jej niemal połowę twarzy.

Dziewczyna zmarszczyła brwi. Jak to – zakonnica? Prawdziwa? Przecież istnienie świata magii niosło ze sobą poważne komplikacje teologiczne. Będzie ją nawracać? A może to jednak jakaś sekta?

– Nie bój się, kochanie – powiedziała. – To dobrzy ludzie. Nie sprzątają, czasem się nie myją...

– Timothy prychnął pod nosem, bo uwaga wyraźnie była skierowana do niego. – ...i mają przeszłość jak patchwork, ale nigdy cię nie skrzywdzą. Bo musisz wiedzieć, że od tej pory znajdujesz się pod naszą ochroną i opieką. Odwieziemy cię do domu, ale pamiętaj, że zawsze możesz tutaj wrócić.

– Siostra jest magiem... – zaczęła Eunice.

– Tak.

– Nie będzie mnie siostra nawracać...?

– Będę się modlić, żebyś znalazła drogę do Pana – powiedziała z odrobiną patosu. – Chociaż, niestety, już widzę, że więcej w tobie podobieństwa do chłopców niż do mojej ścieżki.

– I siostra, tutaj, też...
– Głównie pomaga w utrzymaniu domu – mruknął Timothy.
– Inaczej zaroślibyście brudem.
– To straszni konserwatyści – szepnęła konfidencko Gabriel. – Timmy urodził się w latach pięćdziesiątych. Ja jestem tutaj najmłodszy.
– Oj, bo przypominę, w jakim zespole grałeś wcześniej. – Cybermag roześmiał się chrypliwie. – Młoda, on pochodzi z pokolenia twoich rodziców. Nie, przepraszam, chyba już twoich dziadków. Witamy w Domu Wschodzącego Słońca. I jeżeli masz jakiegokolwiek zastrzeżenia do tej nieszczęsnej nazwy, pamiętaj, że to dowcip autorstwa Gabriela.

Na trzeźwo i z kubkiem gorącej zupy w dłoniach mogła wreszcie przyzwyczać się do rozszerzonej percepcji. Wypróbowywała nowy zmysł, który pozwalał jej dostrzegać ukryte właściwości świata. Bulion w kubku był po prostu bulionem i niczym więcej. Eunice podejrzewała, że doświadczony mag mógłby zmienić tę zupę w wodę, wino albo coca-colę, sama jednak nie wiedziała, jak się do tego zabrać (swoją drogą, powiedzenie „medytować nad zupą” nabierało teraz całkiem nowego znaczenia). Zapewne potrzebowała wielu lat, aby opanować chociaż część tajemnic, których istnienie ledwie przeczuwała. Żaden z jej nowo poznanych znajomych nie dysponował nieograniczonymi możliwościami. A już wiedziała, że żyli znacznie dłużej, niż wskazywałyby na to ich wygląd.

Magia. Dom Wschodzącego Słońca był nią przesiąknięty. Wyczuwała jej obecność w starym fortepianie, w bibelotach na szafce, portretach na ścianie. Zakłęty był gliniany smok w szklanej gablotce, wysmukły porcelanowy kot i książki, które w tej chwili przeglądał Lloyd. Nawet wieża emanowała delikatną aurą, jakby zdążyła już przeniknąć atmosferą domu. Gdyby cały świat został odarty z tajemnicy i głębi, to miejsce opierałoby się najdłużej.

Eunice nie wiedziała, jak rzadko można natknąć się na podobny azyl. Nie zdawała sobie sprawy z tego, że poza Farewell magowie nie tworzyli zwykle społeczności takich jak ta. Dom Wschodzącego Słońca zamieszkiwały na stałe trzy osoby – Lloyd, Timothy i Gabriel – ale pozostali mogli odwiedzić ich każdego dnia i o każdej porze. Siostra Weronika i profesor Lucy Preis gościły tutaj często, czasem pojawiał się także Krzysztof Podróżnik. Od wiosny do jesieni przyjmowano dodatkową lokatorkę, Sylwię Ryan. We wrześniu Ryan wyruszała na południe fotografować egzotyczne zwierzęta w delcie Amazonki, w kongijskiej dżungli lub australijskim buszu.

Lloyd otworzył wyciągniętą z szafki grubą teczkę.

– Tak jak sądziłem, zostało jeszcze kilka egzemplarzy. Kodeks miasta Farewell. Proszę.

Spodziewała się woluminu ze złotą pieczęcią, tłoczoną okładką oraz iluminowanym pismem. Tymczasem trzymała w ręku cienką broszurkę wydrukowaną dziesiątki lat temu. Przerzuciła kilka kartek. W niektórych miejscach pismo wyblakło niemal do cna.

– Jak tylko znajdę trochę czasu, zeskanuję i wydrukuję nowy – obiecał Timothy. – Na razie możesz wziąć ten.

– „Nie wolno czerpać mocy z innych istot żywych bez ich zgody” – przeczytała Eunice. – „Pod żadnym pozorem nie wolno korzystać z mocy istot obcych naszej rzeczywistości. Zwłaszcza jeżeli nalegają”.

– Musisz wiedzieć, że stosujemy się do własnych praw – rzekł Lloyd, który w skupieniu układał z powrotem książki w oszklonej szafce. – Magowie Lustrzanego Zamku nie widzą nic złego w korzystaniu z pomocy aniołów. Ale Kaja twierdziła, że nigdy nie wiesz, z kim masz do czynienia.

Eunice siorbnęła łyk gorącej zupy z kubka, przekartkowała kodeks i znów otworzyła go na pierwszej stronie.

Wyjątki z Błękitnej Księgi i nie tylko. Spisał Gabriel Shade pod kierunkiem Krzysztofa Podróżnika.

Poskrobała się w głowę. Tyle spraw, tyle imion, których nie знаła. Cały osobny świat, który

rządził się własnymi zasadami. Jeszcze raz przekartkowała broszurę. Prawa zajmowały niecałe trzy strony, wydrukowane zresztą dosyć rozrzutnie. Resztę stanowił plan miasta, z dokładnym przewodnikiem po magicznym Farewell.

– Jest z lat siedemdziesiątych – zauważyła.

– Emily pewnie ma aktualną wersję – mruknął Timothy. – Emily Spencer. Zapamiętaj to nazwisko, zechce wziąć cię na ucznia.

– *Ta* Emily Spencer? – Pani Spencer należała do najbogatszych ludzi w mieście. Nie dalej jak parę dni temu Eunice widziała jej twarz na okładce magazynu „Forbes”. – Nie żartuj. Czyli rzeczywiście macie tutaj Batmana.

– Prezeska we własnej osobie. Należy do Mandali, drugiej grupy magów w mieście. Nie lubimy się za bardzo, ale współpracujemy. Zazwyczaj kontaktujemy się za pośrednictwem Lucy, ma tam pracownię, ale w gruncie rzeczy nie należy nigdzie, mieszka na swoim.

– Pani Spencer używa magii i zarabia miliony – zauważyła Eunice. – To nie może być przypadek.

– Lepiej tego przy niej nie powtarzaj – ostrzegł Timmy. – Obrazi się. Dostaniesz długi wykład o równowadze świata i kapitalizmu, łamaniu praw rzeczywistości i tak dalej. Emily traktuje magię śmiertelnie poważnie.

– Nauczycielka bez poczucia humoru? Ciężko z takimi wytrzymać.

Timothy kaszlnął z zakłopotaniem.

– Co kto lubi. Nie zamierzam cię zniechęcać. Pozwoliliśmy Emily zatrzymać tytuł Arcymistrzyni oraz pierwszeństwo przy wyborze uczniów. Widzisz, chodzi o to, że ona ma kontakty zarówno w świecie magicznym, jak i rzeczywistym. Przy niej masz zapewnioną karierę.

– Ale decyzja należy do mnie?

– Tak – odezwał się Lloyd. – I gdybyś uznała, nawet po latach, że pragniesz tego, co Emily może ci dać, nie będziemy cię powstrzymywać. Na razie przedstawiaj się jako Eunice Wight, Trzynasta, pod protekcją Domu Wschodzącego Słońca. Oszczędzisz sobie zbędnego ambarasu.

Wręczył jej niewielką, lśniącą wizytówkę.

– Dopóki masz ją przy sobie, żaden miejski drapieżca nie ośmieli się podnieść na ciebie ręki.

Flames flicker at night when the revelation comes

What was once familiar changed beyond all recognition

Is there more to it or am I just mad

I've got no other way but to trust my intuition

Welcome to Farewell

How did I get here I ask myself

Welcome to Farewell

The city where reality ends

Welcome to Farewell

(...)

Welcome to Farewell

Neverland of dreams, mirror in the dark

Behind the illusion I shall search for deeper meaning

Follow no one's steps on this endless path

And forge your own wisdom to pay the cost of living

Welcome to Farewell

How did I get here I ask myself

Welcome to Farewell

The city where reality ends

Welcome to Farewell

(...)

Welcome to Farewell

Neverland, Welcome to Farewell

Świat był skomplikowanym miejscem, niejednoznacznym i niejednorodnym. O tym wiedziała zawsze. Nie dało się ująć go w schematy, w ramy, proste prawa. Żadna z filozofii, żadna z teologii nie objaśniała go wystarczająco dobrze. I całe szczęście – Eunice nie wytrzymałaby w świecie pozbawionym tajemnic. Teraz rzeczywistość okazała się znacznie bardziej niezwykła, niż dziewczyna kiedykolwiek przypuszczała. I chociaż na początku czuła się tym przerażona, za żadne skarby nie chciałyby wrócić do stanu nieświadomości.

„Wszyscy magowie są ludźmi – głosiła pierwsza strona kodeksu. – I wszyscy ludzie mogą zostać magami”. Tyle że, dodawała w myślach Eunice, na ogół nie chcą. A ci, którzy chcieliby, nie wiedzą, jak się do tego zabrać. Nie wystarczy, że uwierzą. Nie pomoże im medytacja pod wodospadem, nauka gotowych formułek, żadna internetowa moda, żadne diety, newage’owe obsesje i teorie spisku. Są pytania, które należy sobie zadać, góry i doliny, które trzeba przejść. I każda odpowiedź przyniesie ze sobą kolejne zagadki.

W mieszkaniu jej zmysł magiczny milczał; możliwe, że stara kamienica była odwrotnością Domu Wschodzącego Słońca. Eunice zadzwoniła do Jamnika i dowiedziała się, że kilkanaście minut po jej wyjściu imprezę zgarnęła policja. Jamnik bardzo plastycznie relacjonował całe zajście, a dziewczyna rżała z uciechy do słuchawki. Pewne sprawy nigdy się nie zmieniały.

Następnego dnia wypadała sobota, Eunice mogła więc spać aż do wczesnego popołudnia. Jeszcze tego samego dnia wybrała się do Parku Miejskiego. Słońce rozświetlało wielobarwne korony drzew. Spacerowała alejkami, krusząc świeżo opadłe liście. W końcu znalazła miejsce, którego szukała. Szeroki klomb w kształcie gwiazdy, pełen kwitnących astrów. Pochyliła się nisko nad kwiatami.

– Hej! – zawołała. – Jest tam kto?

– Jeżeli szukasz kwiatowych duszków, to wiedz, że o tej porze roku można je znaleźć tylko w Ogrodzie Botanicznym. – Rozległ się rozbawiony kobiecy głos. – Tutejsze przygotowują się już do

snu zimowego.

Eunice odwróciła się zdumiona. Natychmiast rozpoznała rozmówczynię, mimo że miała ona czarne okulary i zamszowy kapelusz. Z włosami ułożonymi w przepisowe fale, ubrana w długi płaszcz z miękkiej brązowej skórki wyglądała jeszcze bardziej elegancko niż na zdjęciach w gazetach.

– O...! Dzień dobry, pani Spencer.

W pierwszej chwili dziewczyna poczuła się onieśmielona. Takich osobistości nie spotyka się codziennie w Parku Miejskim. Zazwyczaj rozmowa z nimi leży daleko poza zasięgiem zwykłych, szarych ludzi, a dodatkowo pani prezes należała do tych nielicznych osób, które w każdej sytuacji sprawiają wrażenie wyciętych z żurnala.

– Interesujące – odezwała się Emily. – Dziewięciu magów na dziesięciu zaczyna swoją karierę od nadużywania mocy, czasami w skandaliczny sposób. Ty postanowiłaś najpierw zbadać nowy świat. Cenię sobie w młodych ludziach chęć poznania.

Trzyma się prosto, jakby połknęła kij od szczotki, a jej zadęcia wystarczyłoby na flotę sterowców, skwitowała w myślach Eunice. Kropka w kropkę jak moja dyrektorka.

– Spokojnie, nic straconego. Zawsze znajdzie się czas na drobne nadużycia.

Emily Spencer uśmiechnęła się pobłażliwie na znak, że przyjęła żart za dobrą monetę.

– Jak wiesz, pełnię tutaj funkcję Arcymistrzyni – powiedziała. – W Farewell oznacza to tylko tyle, że odpowiadam za dyplomację. Utrzymujemy stałe kontakty z Lustrzanym Zamkiem, gdzie wiele lat temu uzyskałam dyplom mistrzowski. Zawarliśmy sojusz z kilkoma znaczącymi osobami.

Ruszyła w kierunku ławki, dając znać Eunice, żeby szła za nią.

– Łatwo zrozumiesz, czym jest Zamek – kontynuowała. – Przez ostatnie dziesięciolecia popularne media rozpowszechniły obraz szkół magii mieszczących się w odrębnych, specjalnie do tego celu przeznaczonych wymiarach.

– Mhm. Coś jak Hogwart?

– W dużym przybliżeniu. – Skinęła głową prezeska. – Znakomita większość magów właśnie tam zdobywa odpowiednie wykształcenie. Wielu zostaje w akademii.

– Dlaczego?

– Cóż, to proste. – Emily usiadła na ławce. – Lustrzany Zamek ma wpływy na całym świecie, a stanowiska są lukratywne. Absolwenci walczą o dobre posady, powrót na ziemię traktuje się jak zesłanie.

Dziewczyna zmarszczyła brwi. Potrafiła sobie wyobrazić, jak wygląda życie w miejscu, gdzie zgromadziło się tylu żądnych władzy czarodziejów. Polityka, intrygi, gra w podchody. Po co mieliby kontaktować się z resztą świata, skoro na miejscu doskonale potrafią zorganizować sobie czas. Całkowita samowystarczalność. Nagle zrobiło jej się żal pani Spencer.

– Niech zgadnę. Nie potrafiła tam pani wytrzymać – mruknęła.

Emily w zamyśleniu wpatrywała się w kwitnące astry.

– Można tak powiedzieć – odezwała się wreszcie. – Ale warto żyć z nimi w zgodzie. Dlatego proponuję ci naukę tradycyjnej magii pod moim kierunkiem. W razie czego będą traktowali cię poważnie, eksternistycznie dostaniesz nawet dyplom adepta. Metody Domu Wschodzącego Słońca... bywają skuteczne. Ale nie... nie podlegają żadnym licencjom ani egzaminom... Trudno w ogóle egzaminować kogoś, kto obywa się bez zaklęć i konwencjonalnych rytuałów.

Ha, więc nawet wśród magów istnieje System!

– Bez obrazy, ale na razie podziękuję. Chodzę już do normalnej szkoły, dodatkowej mi nie trzeba. Może za parę lat.

– Eunice – odezwała się łagodnie pani Spencer. – Masz wielki talent, którego nie wolno zmarnować. Uwierz mi, za kilka lat przekonasz się, że warto było się uczyć.

Dziewczyna popatrzyła na nią chmurnie. O ironio, Emily prawie słowo w słowo cytowała dyrektorkę.

– Wie pani co, nigdy nie lubiłam Harry'ego Pottera – powiedziała. – Cała ta magia... I po co? Żeby zdawać egzaminy? Pisać wypracowania, i to własną krwią? A może jeszcze pracować

w księgowości i wklepywać numerki do Excela?

Emily Spencer pokręciła głową z rozbawieniem.

– Nie sądzę, Eunice, żebyś w ogóle wiedziała, jak naprawdę wygląda praca...

Dziewczyna bezwiednie zacisnęła pięści. Jasne, niewiele jeszcze wiedziała, ale bez przesady. Nie mogła się uczyć u kogoś, kto nawet nie traktuje jej poważnie.

– Miło się rozmawiało, ale muszę już iść. Do widzenia pani.

Niech pani Spencer mówi sobie, co chce. Niech inni uczą się jedynie słusznych metod i zdają się na wiedzę podawaną im na talerzu w postaci przeżutej papki. Ona i tak do wszystkiego dojdzie samodzielnie. Na swój własny sposób.

– Już nie mogę – jęknął Timothy. – Nie wyrabiam.

– Połowa dziennej normy, Tim – przypomniał Gabriel. – No dalej, ręka w prawo, ręka w lewo.

Nie zrobiłeś jeszcze żadnych ćwiczeń rozciągających.

Prawdę mówiąc, jeszcze nie czuł się zmęczony. Wiedział też, że pomijanie codziennej gimnastyki może mu tylko zaszkodzić. Spieszył się jednak do komputera. Musiał jak najszybciej ustalić obowiązki nowego administratora i przekazać Tetris większość swoich uprawnień. Nie sądził, aby Emily Spencer udało się przekonać do siebie Eunice. Jeżeli pani Spencer uderzy w mentorski ton – co można niemal przyjąć za pewnik – dziewczyna zniechęci się natychmiast. Chociaż nie przyznałby się do tego nawet przyjaciółom, z niecierpliwością wyczekiwał jej decyzji. Chciałby mieć ucznia. Nawet jeśli uczeń zapowiadał się na trudnego.

– Czy sprawdziłeś? – zapytał.

– Czy co sprawdziłem?

– Jej totem. Czy jest wymieniony w Księdze?

– Owszem – potwierdził Gabriel. – No, nie objaj się: lewo, prawo. Niepokoi cię liczebnik?

Wiedziałeś, że w końcu trafimy na trzynastkę.

– Mhm. Dobrze byłoby poradzić się Krzysztofa.

– Sam wiesz, że nabierze wody w usta.

Trzynastka. W swoich zapiskach Kaja Modrooka kilkakrotnie wymieniała tę cyfrę. Z czasem doszli do wniosku, że miała na myśli trzynastu magów, którzy wspólnie zamieszkają w Farewell. Timothy zastanawiał się, jak to właściwie powinno się liczyć. Jeżeli wziąć pod uwagę numerację, Eunice bez wątpienia była trzynastym magiem w historii miasta. Ponieważ jednak Kaja zginęła podczas Mrocznej Wojny, społeczność czarodziejów liczyła sobie łącznie dwanaście osób. Ilość czy kolejność? Timothy wolał mieć się na baczności. Jeżeli przecucie go nie myliło, mieli do czynienia z jedną z zagadek wiekowej czarownicy, taką, której rozwiązanie pewnego dnia mogło wypalić im w twarz. Kiedy bowiem zaczynało się nad tym myśleć, nieuchronnie nasuwało się pytanie – co dalej? Czy pojawi się czternasty mag, a jeżeli nie, to dlaczego?

Timmy uśmiechnął się krzywo. Kaja była wieszczką i nieraz przekonali się, że jej przepowiednie trzeba traktować poważnie. Pojawienie się Eunice mogło oznaczać, że pewna epoka w dziejach miasta dobiega końca.

Należało czekać i obserwować.

Apollo

Od ponad godziny wpatrywał się w okno. Nie miał wyboru – więzy nie pozwalały mu spojrzeć w inną stronę. Kosmyk włosów opadał mu prosto na oko, a próba zdmuchnięcia go na bok tylko pogorszyła sprawę.

Przyglądał się światu z dziesiątego piętra. Obserwował uliczny gwar; matki z wózkami, ludzi spieszących się do pracy, dzieci bawiące się na ogrodzonym boisku szkolnym. Nie potrafił wyrazić słowami, jak bardzo chciałby się tam znaleźć. Za jeden dzień między ludźmi bez wahania oddałby swoją nienaturalną, niedawno stworzoną urodę.

– Witaj, kochany – usłyszał znajomy, drwiący głos. – Czyżbyś miał ochotę na krótki spacer?

Chłopak nie odpowiedział. W rozmowie z Jean-Pierre'em należało mieć się na baczności. Trudno było przewidzieć, jak się zachowa, wszystko zależało od jego nastroju.

– Wiesz, to interesujące – ciągnął mężczyzna. – Nie pilnuję cię przez całą dobę, nie trzymam tutaj żadnego Cerbera. Czy ja cię do czegoś zmuszam? Sam dałeś się związać. Mógłbyś uciec, gdybyś naprawdę tego chciał.

Milczał. W głowie miał mętlik. W pewnym sensie Jean miał rację.

Jean-Pierre bezszelestnie podszedł do krzesła, a potem nachylił się nad jego ramieniem. Chłopak poczuł ciepły oddech na karku, długie włosy mężczyzny musnęły jego szyję. Przymknął powieki. Bez trudu mógł wyobrazić sobie Jean-Pierre'a w tej chwili. Wąskie usta rozciągnięte w sarkastycznym grymasie, wyraziste rysy twarzy podkreślone przez kilka nieistotnych zmarszczek. Piękne ciemne oczy zmrużone w znajomym wyrazie lubieżnego, błęgiego zadowolenia.

Wzdrygnął się w gwałtownym przypiływie lęku i nienawiści. Niemal natychmiast ogarnęło go jednak poczucie winy. Wiedział, że jest egoistą, że na dobrą sprawę zawdzięcza Jean-Pierre'owi wszystko, co ma.

– O tak, zwiąż mnie, Jean-Pierre – przedrzeźniał go mężczyzna. – Czas na kolejną lekcję, kochany, złoty chłopcze.

Och, tylko nie to. Co on tym razem wymyśli?

– Nie... – wyrwało mu się mimo woli.

– Nie? – Jean-Pierre lekko dotknął policzka chłopaka żyłką. – Nie? Pamiętaj, że twoje życie należy do mnie. Odrzuciłeś je w chwili, kiedy postanowiłeś się zabić. Może nawet wcześniej, kiedy zacząłeś ćpać. Żyjesz tylko dzięki mnie. Przecież nawet nie pamiętasz, jak masz na imię, mój słodki Apollo.

Nie pamiętał. Jego wspomnienia jawiły się jako ciąg niewyraźnych, zamglonych obrazów. Wiedział tylko tyle, że grał na gitarze, że prowadził rockandrollowe życie. Brał narkotyki, dużo narkotyków. I prawie umarł rockandrollową śmiercią, kiedy podciął sobie żyły i zasnął w wannie. Gdyby nie Jean-Pierre...

Mężczyzna docisnął żyłkę i powoli przesunął ją wzdłuż jego policzka. Chłopak zadygotał. Niemądrze było krzyczeć, niemądrze było go zachęcać.

Jean parsknął śmiechem, a potem muśnięciem wskazującego palca zaleczył ranę.

– Teraz jesteś uzależniony ode mnie – szepnął mu do ucha. – Nienawidzisz mnie, ale nigdy nie odejdiesz. Dlatego, że równocześnie mnie kochasz.

Zaczął całować go w usta i delikatnie rozplątywać więzy.

Potężny dźwięk gitar wypełniał salę pierwotną energią, wprawiał falujący tłum w ekstazę. Słowa piosenki były banalne i naiwne, lecz bliskie sercom kilkuset tańczących młodych ludzi. A głos wokalisty – doskonale mocny, o nieco chropowatej barwie – bez wysiłku przechodzący od krzyku do szeptu zamieniał koncert w pokaz bajecznej wirtuozerii rocka.

Laugh at your fears

Raise your heads and see

All is in our hands

There's no destiny

Gabriel Shade. Takie nazwisko widniało na okładce ich najnowszej płyty, chociaż nie brakło spekulacji na temat prawdziwej tożsamości piosenkarza. Zespół Neverland już dawno mógłby podbić Amerykę, tymczasem wciąż grał w klubach takich jak ten, niechętny poddać się dyktatowi dużych wytwórni. Był to jeden z elementów składających się na ich legendę.

Holding all world's power

Let's make a revolution

Niczym nieskrępowane riffy gitarowe wypełniły salę koncertową, zawibrowały w cienkich ścianach. Zjednoczeni hałasem, zaduchem i zdartymi gardłami fani deptali sobie po palcach, próbowali wdrapać się na brzeg sceny, zwijali się w ekstatycznym tańcu.

Old world just died

And the ruins are ours

We will make them reborn

Into new wonders

Gabriel, jasnowłosy anioł rocka, odziany w wyświechtany džins i rozchełstaną na piersi koszulę, śpiewał z przymkniętymi oczami. Jego długie, nieco przepocone loki opadały na plecy i ramiona w nieładzie. Harmonijne rysy twarzy nie traciły swego piękna nawet przy najgłośniejszym krzyku. Tatuaż w kształcie łyzy na lewym policzku, jedyna skaza na gładkiej skórze piosenkarza, czynił go tylko bardziej interesującym. Flesze błyskały niemal bez przerwy. Lider zespołu był wręcz obłędnie fotogeniczny.

Holding all world's power

Let's make a revolution

W koncertowym zapamiętaniu chłopcy tratowali się nawzajem, kopali i dźgali łokciami. Dziewczeta zrywały podkoszulki na cześć idola, a połowa z nich marzyła o spędzeniu z nim chociaż jednej nocy. Młodzi straceńcy szybowali na rękach tłumu. Inni, na ramionach towarzyszy, pstrykali skazane na niedoświecenie zdjęcia. Wszyscy wtórowali słowom piosenki. Reagowali jak jedna, nieprzytomnie podekscytowana osoba.

We will be the prophets

We will be creators

Throw your chains and see

We are the destiny

Nazajutrz będą spać do wczesnego popołudnia, następnie niezgrabnie zwloką się z łóżka, ledwo zdolni się ruszać. Później zajmą się leczeniem kaca, sińców i zadrapań, odkryją nowe dziury w odzieży.

Dziewczęta odżałują zniszczone podkoszulki i tęsknym spojrzeniem obejmą plakat nad łóżkiem. Teraz jednak wszystkie serca biły zgodnym, szybkim rytmem. Nikt nie myślał o następnym dniu.

Holding all world's power

Let's make a revolution

Gabriel niespiesznie wszedł do pokoju, odruchowo zerknął do lustra i opadł ciężko na zieloną, nieco zarwaną kanapę. Na dzisiejszym koncercie dał z siebie wszystko. Był wyczerpany do cna i lepił się od potu. Całe szczęście, że dostał własną garderobę – nie każdy klub miał tak przestronne zaplecze. Ktokolwiek urządził tutaj wnętrze, włożył chyba wiele starań w to, żeby dokładnie wypucować stare, nadgrzyzione zębem czasu meble i wytartą wykładzinę. Taak. Klubowe granie miało swój smaczek.

Artysta ułożył się wygodnie na kanapie, wykorzystując do tego celu jej naturalne załamania, górki i dołki, i zatopił się w rozmyślaniach. Poinformował chłopaków, że wróci dziś do domu sam, miał więc czas. Nie obawiał się natrętnych fanów. Jako mistrz iluzji oraz metamorfozy potrafił ich skutecznie omijać.

Lekki uśmieszek rozjaśnił twarz Gabriela. Piosenkarz przymknął oczy i skoncentrował się, przywołując dobrze znaną sobie energię. Poczul swojski metaliczny posmak; przyjemne ciepło ogarnęło jego ciało, iskierki zatańczyły na czubkach palców. Zmęczenie powoli zaczynało ustępować, włosy odzyskiwały swoją puszystość, zapach potu stawał się bladym wspomnieniem. Ubranie piosenkarza, poprzednio brudne i znoszone, stało się tylko seksownie wymięte.

Po dłuższej chwili Gabriel wstał i przeciągnął się, świeży i wypoczęty, jakby dopiero co wziął poranną kąpiel. Podeszedł do trójnogiego odrapanego stolika i rutynowym gestem sięgnął po napoczętą butelkę taniego wina.

W tym samym momencie rozległo się pukanie do drzwi.

Piosenkarz się ucieszył. Czyżby to oznaczało, że właściciel klubu osobiście pofatygował się do pokoju swego gościa, aby wręczyć zapłatę? Rzadko spotykany luksus. Pięć gwiazdek, nie ma co. Trzeba tutaj jeszcze kiedyś zagrać.

Gabriel leniwie odstawił wino na stół, podeszedł do drzwi, otworzył... i znieruchomiał.

Patrzył prosto w oczy najpiękniejszej istocie, jaką kiedykolwiek widział. Pominąwszy, rzecz jasna, samego siebie.

Kiedy później ją wspominał, zastanawiał się, dlaczego właściwie wydała mu się aż tak atrakcyjna. Smukłe dziewczyny o elfiej urodzie w ogóle nie były w jego typie – prawdę mówiąc, wołał kobiety o nieco obfitszych kształtach. Ona miała w sobie jednak pewien nieokreślony magnetyzm. Gabriel czytywał tanie powieści, ale nigdy nie przypuszczał, że czyjeś oczy mogą mieć rzeczywiście kolor szmaragdów. Rude pukle przywodziły na myśl żywy ogień. Farbowane? Nie sądził, rozpoznałby to natychmiast. Nogi. Jezu, co za nogi! Artysta zapragnął przekonać się osobiście, czy skóra nieznajomej naprawdę jest taka jedwabista, jak się wydaje. Powstrzymał się z trudem.

Korzystając z osłupienia gospodarza, dziewczyna wśliznęła się do garderoby i usiadła na kanapie. Piosenkarz się opanował. Zwykły śmiertelnik zapewne wlepiałby w przybyłą maślane spojrzenie przez następne kilkanaście minut, ale Gabriel umiał przywołać się do porządku niemal w każdej sytuacji. W tym przypadku oprócz nadnaturalnych zdolności pomagała mu też jego własna uroda. Uwodziciele z zasady są bardziej odporni na uwodzicielskie sztuczki innych.

Wraz z powracającym zdrowym rozsądkiem piosenkarzowi nasunęło się kilka niepokojących pytań. Jakim sposobem tej dziewczynie udało się ominąć ochronę? Obstawa koncertu otrzymała wyraźne polecenia, aby nie wpuszczać nikogo poza kilkoma konkretnymi osobami – przyjaciółmi członków grupy. Czego ona tutaj szukała? Mogła być zwykłą dziennikarką lub fanką, której udało się dostać za kulisy po znajomości. To by oznaczało, że ochrona skrewiła. Intuicja podpowiadała jednak Gabrielowi, że kryło się za tym coś więcej. Wokalista zespołu Neverland zazwyczaj nie zamierał w bezruchu na

widok byle ładnej buzi. Fascynacja artysty pięknem w normalnych warunkach nie tłumila jego czujności – w przeciwnym wypadku zakończyłby swoją karierę czarodzieja już dawno temu, najpewniej w dosyć gwałtownych okolicznościach. Urok nieznamomej mogła więc wspomagać jakąś forma magii. A w takim wypadku zdecydowanie należało mieć się na baczności.

– No dobrze – powiedział Gabriel, starając się, aby jego głos zabrzmiał chłodno i zdecydowanie.

– Kim jesteś i co tutaj robisz?

– Amanda Redfairy z „Lomond Press”. – Zjawiskowa piękność uśmiechnęła się zmysłowo, oblizując wargi i delikatnym gestem rozchylając kołnierzyk. – Czy zgodziłby się pan na krótką... rozmowę?

Dziennikarka? Niemożliwe. Raz obudzone wątpliwości nie dały się stłumić. Przede wszystkim podawanie się za dziennikarki należało do ulubionych chwytów groupies. Takie osoby zazwyczaj dosyć łatwo dało się rozpoznać, chociaż wielu piosenkarzy udawało, że nie przejrżeli podstępny. Poza tym żadna przedstawicielka prasy nie wkłada całego wysiłku w uczynienie dwóch krótkich, zdawkowych zdań praktycznym zaproszeniem do łóżka. Gabriel nie pierwszy raz był świadkiem takiego zachowania. Wbrew plotkom nie przyjmował podobnych propozycji. Nigdy jeszcze jednak oparcie się pokusie nie kosztowało go tak wiele. Czuł, jak jego silna wola kruszeje z każdą sekundą. Nie mógł zwlekać z odpowiedzią.

– Nie udzielam dziś wywiadów – powiedział oschłym tonem. – Proszę opuścić garderobę.

Redfairy wstała powoli z kanapy i popatrzyła Gabrielowi prosto w oczy, jakby chciała przykuć go spojrzeniem do miejsca. Piosenkarz poczuł wyraźnie, jak miękkie włókienka Mocy płyną ku niemu, próbując go opleść...

W oddali na schodach rozległ się donośny tupot ciężkich butów i znajomy dziewczęcy głos.

– Gabriel! Gabiś!

Amanda błyskawicznie odwróciła się ku drzwiom.

– A więc do widzenia!

Mrugnęła do niego figlarnie, a potem wyszła, tak jakby posłuchała wcześniejszej sugestii piosenkarza.

Artysta przetarł czoło. Co za nogi, zdążył jeszcze pomyśleć, zanim do pokoju z hukiem stada słoni wbiegła Eunice Wight.

Od jakiegoś czasu dziewczyna farbowała krótkie włosy na intensywnie czerwony kolor, co nie przeszkodziło jej tego dnia włożyć różowej bluzki do bojówek moro. Jak zwykle miała także na sobie wojskową kurtkę ozdobioną naszywkami. Całość wywoływała spory szok estetyczny, ale Gabriel zdołał już się uodpornić. Odkąd poznał Eunice, minął już ponad rok.

– Głośnik spieprzył się na ziemię – oświadczyła beztrzesko dziewczyna. – Co to za kretynka?

Gabriel uśmiechnął się szeroko.

– Jakaś groupie – odparł wesoło. – Dzięki za wypłoszenie.

– Nie ma za co. Ja tam zawsze chętnie popłoszę. – Eunice zerknęła ukradkiem w kierunku trójnogiego stolika. – Jakby co, mogę nawet kumpli zawołać.

– Zbędna fatyga, wystarczy postraszyć Lloydem. – Piosenkarz odruchowo przegarnął włosy dłonią i sięgnął po leżący w kącie pokoju plecak. – Wszystko już spakowane?

– Zostało jeszcze sporo kabeleków, ale z pewnością poradzą sobie sami – stwierdziła Eunice, dyskretnie zbliżając się do stołu. – Powiedzieli, że nie musisz na nich czekać. Załatw kwestię wynagrodzenia i idzie...

– Hej! – wykrzyknął Gabriel. – Co robisz z tym winem?!

– Z winem? Jakim winem? Ach, więc to jest wino...? No popatrz, popatrz, a byłam przekonana, że to soczek.

Piosenkarz energicznie odebrał dziewczynie butelkę i wpakował do plecaka.

– Moje wino – oznajmił dobitnie. – A poza tym jesteś niepełnoletnia.

Gabriel przekręcił kluczyk w stacyjce. Jego samochód – stary, czerwony dodge – zakaszłał rachitycznie. Pojazd ten budził pusty śmiech we wszystkich posiadaczach nowych, pięknych i modnych maszyn. Nosił pieszczotliwe miano Gruchota i przynajmniej z pozorów w zupełności na nie zasługiwał. Miał przedpotopowy kształt, obtłuczony lakier i niebywale zniszczone bieżniki. Trudno było w ogóle uwierzyć, że ten złom jest jeszcze na chodzie. Takich aut zazwyczaj nie traktuje się poważnie. I właśnie to w nim Gabrielowi odpowiadało najbardziej.

Żaden z fanów nie wpadłby na to, że ich idol wraca do domu podobnym gratem, podczas gdy w klubowym garażu stało kilka samochodów znacznie wyższej klasy. Wliczając w to półciężarówkę ozdobioną logo zespołu.

O wartości tego wehikułu decydowało zresztą coś więcej niż efekt psychologiczny. Gruchot nie był zwyczajnym autem. Nasączony magią jak gąbka wodą, przejawiał niezwykle właściwości. Dopóki Gabriel tego chciał, samochód mógł przemykać przez miasto niczym cień. Ignorowali go chłopcy myjący szyby oraz policjanci, nawet jeśli pruł sto czterdzieści mil na godzinę – a wbrew pozorom, mógł osiągać takie prędkości. Dzięki drobnej interwencji Lloyda, który w podobny sposób opiekował się swoim zabytkowym harleyem, maszyna nigdy się nie psuła. Magia Lloyda sprawiała między innymi, że rzeczy stawały się niezawodne. I działały dużo lepiej, niż na to wyglądały.

Piosenkarz zwolnił lekko sprzęgło i wykręcił z garażu.

– Czy Weronika kazała kupić coś konkretnego? Z tego, co wiem, lodówka świeci pustkami.

– Weronika znowu jutro nie przychodzi – wyjaśniła dziewczyna.

Gabriel skinął głową. Zakonnice miały swoje obowiązki. Weronika między innymi zajmowała się schroniskiem dla bezdomnych. Nie mogła codziennie odwiedzać przyjaciół (i gotować im obiadów). Dawno temu, kiedy piosenkarz zaczynał dopiero poznawać społeczność magów w Farewell, zastanawiał się, jakim cudem osoby o tak różnym trybie życia, odmiennych charakterach i zajęciach mogą tak doskonale dogadywać się ze sobą. Równie dobrze mógłby próbować odpowiedzieć na pytanie, dlaczego Woodstock stał się festiwalem stulecia, a *Star Trek* serialem pokoleń. Klimat, coś w powietrzu. Magia.

– W takim razie będziemy jeść mrożonki, bo nie zamierzam pozwolić gotować Lloydowi – zdecydował. – Jeszcze zrobi jakieś ośmiornice.

Samochód wytoczył się leniwie na pustą jezdnię. Piosenkarz dodał trochę gazu. Prowadził płynnie i spokojnie, nie miał ochoty na szaleństwo.

– Sugeruję spaghetti, pizzę i sześciopak – doradziła Eunice ze znanstwem.

– Ani ja, ani Lloyd, ani Timmy nie lubimy piwa – przypomniał Gabriel. – A tobie nie kupię, bo mnie żeżre sumienie...

– Masz sumienie? – zainteresowała się dziewczyna. – Gdzie dostałeś? Kurczę, to musiało być na jakiejś promocji.

– Instynkt macierzyński mi się odzywa.

– Jezus Maria, Gabriel jest w ciąży – jęknęła Eunice z udawaną zgrozą. – Cud natury.

– Najwyższy czas, dawno stuknęła mi już pięćdziesiątka – westchnął piosenkarz. – Na szczęście istnieje zastępcza terapia hormonalna, botoks i liposomy. Nieźle się trzymam, nieprawdaż?

Był to jeden z najbardziej oklepanych żartów w gronie magów z Farewell, zważywszy na to, że niektórzy z nich dobijali setki. Absolutnym rekordzistą w tej dziedzinie pozostawał Krzysztof, który urodził się w trzynastym wieku. Niewielu tak starych i tak potężnych czarodziejów żyło jeszcze na świecie. Nawet magowie pokroju Gabriela należeli do rzadkości. Farewell stanowiło wyjątek od reguły, którego nie potrafiły wytłumaczyć najtęższe umysły.

– Przystojny z ciebie staruszek.

– Cud natury. A jak.

Gabriel docisnął odrobinę pedału gazu. Auto zaszumiało, nabierając prędkości. Myśli artysty odpląnęły gdzieś daleko, do krainy marzeń. Wspominał dzisiejsze niespodziewane spotkanie. Eunice nadal próbowała z nim rozmawiać. Zazwyczaj słuchał jej uważnie, ale tym razem odpowiadał tylko półsłówkami. Gdy przymykał oczy, widział falujące, rdzawe pukle Redfairy. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie zmienić koloru własnych włosów na podobny. Trzymając kierownicę tylko jedną ręką,

zakręcił wokół palca mały kosmyk i spróbował nadać mu rudą barwę, ale – dziwna sprawa – nie mógł sobie przypomnieć, jaki dokładnie to był odcień. Redfairy. Jej nazwisko kiedyś obito mu się o uszy, ale gdzie? Usłyszał je w telewizji? Co to za wydawnictwo, „Lomond Press”? Nie ulegało wątpliwości, że już kiedyś widział tę nazwę. Gdzieś...

Piosenkarz wduślił hamulec do oporu i gwałtownie zjechał na pobocze.

– Gabriel! – usłyszał przerażony okrzyk Eunice. – Co ty odpierdalasz?

– Coś sobie właśnie przypominałem – wykrztusił piosenkarz. – Coś... tak. Ważnego.

Nie zdążył nawet wziąć następnego oddechu, kiedy dziewczyna złapała go za włosy i szarpnęła.

– Aaaaa!

– Ocknij się! – Eunice wrzeszczała mu prosto do ucha. – Najpierw godzisz się na zakup kina domowego, a potem zaczynasz przejawiać skłonności samobójcze!

– Jakiego kina domowego?!

– Przed chwilą sprawdzałam, czy słuchasz – wyjaśniła, puszczając Gabriela. – Rozumiem, że ten samochód automatycznie unika kolizji. Ale powiedzmy, że nabierzesz złych nawyków, wsiądziesz do normalnego i co będzie? Nie mówiąc już o takich kretyńskich niespodziankach jak ta przed chwilą. Jeśli masz jakiś problem, mów!

Czarodziej zastanowił się chwilę i posłał w kierunku Eunice jeden ze swoich olśniewających, scenicznych uśmiechów.

– Czy mam ci opowiedzieć o moich fantazjach erotycznych? – zapytał przebiegle.

Po czym, wybuchając afektowanym śmiechem, ponownie uruchomił starego dodge'a.

Dziewczyna mruknęła coś pod nosem. Gabriel był świetnym aktorem, ale Eunice nie dała się zwieść. Trzeba porozmawiać z Timothyem, postanowiła. On na pewno zgadnie, jakie niespokojne myśli chodzą po głowie staremu przyjacielowi.

Niepozorny, zdezelowany samochód zaparkował przed supermarketem. Gdyby ktoś, kto umie patrzeć, przyglądał się wysiadającym z niego pasażerom, dostrzegłby dwie eteryczne istoty podążające za nimi krok w krok – wielkiego, czerwonego lwa obok dziewczyny i spowitą w światło postać unoszącą się nad młodym mężczyzną. Opiekuńcze duchy magów sprawowały swoją odwieczną, powtarzającą się z każdym wcieleniem straż.

Zielona Dzielnica jesienią zadawała kłam swojej nazwie. Żółte, czerwone, pomarańczowe liście zakrywały trawniki i ogródki kolorowym dywanem. Poniewierały się po uliczkach, wpadały do okien, przylepiały się do samochodowych szyb. Mieszkający w dzielnicy starsi ludzie nie mieli wystarczająco wiele sił i cierpliwości, aby wydobyć świat spod barwnego kobierca. Opustoszałe wille z zeszłego stulecia stojące tu i ówdzie pomiędzy schludnymi kremowymi domkami wyglądały jak karnawałowi przebierańcy. Kiedyś mieszkali tutaj bogacze, obecnie po świetności tego miejsca pozostało jedynie wspomnienie.

Dom Wschodzącego Słońca nie różnił się wiele od opuszczonych rezydencji. Gdyby jednak ktoś dotarł w jego pobliże i wspiął się na palce, aby sięgnąć wzrokiem ponad gęsty żywopłot, dostrzegłby, że willa była zamieszкана.

Drewnianą bramę o wypaczonych odrzwiach otwierano tylko na potrzeby samochodu Gabriela oraz motocykla Lloyd'a. Poza tym do ogrodu wchodziło się przez boczną furtkę, trudną do zauważenia w gęstwie bujnego, niestrzyżonego od lat bukszpanu.

Znalazłszy się za żywopłotem, Eunice odetchnęła pełną piersią. Kochała ten wiekowy, zapuszczony sad. Jak każdej jesieni, zdziczałe jabłonie o sękatych konarach były obsypane małymi, kwaśnymi jabłuszkami. Rozrośnięte krzewy agrestu i malin dawały złudzenie dzungli. Nieliczne wypielęgnowane grządki, które uprawiała Weronika, znajdowały się tuż przed domem. Rosły tam truskawki i różne pachnące zioła, których nazw Eunice nigdy nie mogła spamiętać. Obok ścieżki, na niewielkim klombie, posadzono wielobarwne róże przetykane kocimiętką. Od niedawna rosła tam kilkuletnia jabłonka starej, nieużytkowej odmiany, którą Krzysztof określał miękkim polskim słowem

„kosztela”. Kilka złocistych jabłek utrzymywało się jeszcze na gałęziach, chociaż wszystkie właściwie powinny już opaść. Rośliny, którymi opiekowała się Weronika, zawsze okazywały się zdumiewająco plenne.

Pod drzewem stała zielona, odrapana ławka z poręczami w kształcie małych, drapieżnie uśmiechniętych goblinów. Jedno z ulubionych miejsc Timothy’ego. Latem spędzał tutaj całe przedpołudnia i odsypiał nocne podróże po Sieci.

Eunice nacisnęła klamkę i przez krótką chwilę szarpała się z drzwiami – stary dodge miał swoje humory. Wytaszczyła spomiędzy siedzeń dwie torby pełne zakupów, położyła je na trawniku i usiadła obok. Przypatrywała się, jak Gabriel trochę niezręcznie wprowadza auto do garażu. Zastanawiała się nad jego dzisiejszym zachowaniem.

Eunice dopiero od niedawna należała do grona magów z Farewell, ale często zdawało jej się, że zna ich od stuleci – co w szczególności dotyczyło mieszkańców i częstych bywalców Domu Wschodzącego Słońca. Zżyła się z tą zbieraniną oryginałów, kolekcją osobliwych ludzi z różnych epok i różnych miejsc. Potrafiła rozpoznać, kiedy dzieje się z nimi coś złego.

Zerwała jabłko i z roztargnieniem wytarła je o bluzkę. Wielki lew o płomiennej sierści wyjrzał zza jej pleców i rozszerzył nozdrza, jakby węszył. Odruchowo położyła dłoń na jego półmaterialnym grzbiecie. Miała nieuchwytnie wrażenie, że chce jej coś powiedzieć. Totemy rzadko pojawiały się z własnej inicjatywy, ale kiedy już to robiły, miały swoje powody.

Piosenkarz wrócił z kolejną torbą w jednej ręce i z gitarą w drugiej. Wyglądał na smutnego lub zamyślnego, a może Eunice zmylił cień skrywający jego twarz, pogłębiony przez światło bijące z garażu. Uśmiechnął się, kiedy podszedł bliżej. Trudno było zgadnąć, co tak naprawdę mu w duszy gra.

Na wypadek, gdyby Timothy już położył się spać, Gabriel otworzył drzwi kluczem. W przedpokoju panował półmrok. W poszukiwaniu wyłącznika światła Eunice potknęła się o wielkie, tekturowe pudło. Odruchowo złapała jakiś płaszcz, spiętrzone okrycia posypały się z wieszaków.

– Cholera...!

– Lepiej uważaj – dobiegł ich cichy, lecz wyraźny głos. – To moja nowa drukarka.

W salonie jedynym źródłem światła był pozostawiony na stoliku laptop. Cienie litościwie zasłaniały bałagan. Wystarczyło kilka dni nieobecności Weroniki, aby Dom Wschodzącego Słońca pogrążył się w artystycznym nieładzie. Papiery, książki i komiksy poniewierały się po dywanie, wszędzie leżało pełno zapomnianych łyżeczek, brudnych talerzy i szklanek po herbacie. Paterę na owoce wypełniały ściemniałe ogryzki jabłek, a z oparcia fotela malowniczo zwisała długa, czarna szarpeta.

Timothy Hawkins siedział na kanapie owinięty kocami. W chorobliwie bladej, kościstej dłoni trzymał kubek, z którego powoli sączył herbatę. Dwie inwalidzkie kule leżały obok oparte o krzesło.

– Uff. – Eunice dźwignęła naręczce kurtek. – Jakieś wielkie bydłę. Drukuje i skanuje?

– Mhm. Drukuje, skanuje, kseruje, zmiata kurze. Chleb kupiliście?

– Zostały już tylko grahamki.

– Grahamki – prychnął z pogardą. – Ten barbarzyński preparat z otrębów. Masła pewnie zapomnieliście?

– Nie. Mamy masło, ser, pastę rybną, wędliny, a nawet mydło toaletowe. – Gabriel z lekkim stęknieniem dźwignął torby i przetaszczył je do kuchni. – Co kto woli.

– Aha. – Timmy ziewnął i ostrożnie odstawił kubek na stolik obok laptopa. – Bądź taki dobry i zrób mi kanapki. Najlepiej z szynką, ale jeśli jest kawior, to się nie pogniewam.

Piosenkarz zaczął krzątać się w kuchni. Zza przepierzenia dobiegał ich brzęk sztućców i porcelany. Eunice zaczęła skrzętnie zbierać brudne szklanki i talerzyki. Przynosiła je na raty do zlewu, a przy okazji uważnie obserwowała Gabriela. Zazwyczaj popisywał się przy kucharzeniu – pomagał sobie telekinezą, improwizował nowe piosenki, opowiadał świeżo zasłyszane dowcipy. Teraz z marsową miną piłował bułkę na desce. Myślami był gdzieś daleko.

Eunice włączyła światło i usadowiła się na kanapie obok Timothy’ego. Lewą rękę niewidomego cybermaga oplatały kable zakończone przyssawkami. Timmy potrafił łączyć się bezprzewodowo ze wszystkimi urządzeniami, które miały dostęp do sieci, więc tym razem pewnie coś testował.

– Co tworzysz?

– Opracowuję ponadsieciowy interfejs dla zwykłych użytkowników.

– O rany – wzdygnęła się Eunice. – A pomyślałeś o konsekwencjach? O hordach czternastoletnich Chińczyków blakających się w Ponadsieci?

– Przez zwykłych użytkowników rozumiem innych magów. Takich jak ty albo Gabriel – wyjaśnił Timmy. – Prędzej ja zacznę grać na gitarze, niż on da się namówić do nauki algorytmów. Słyszałeś, Gabrielu?

Piosenkarz wszedł do salonu, niosąc tacę pełną niechlujnie pokrojonych grahamek z serem i szynką.

– Mhm – przytaknął odruchowo.

– Jak koncert?

– Ujdzie.

– Fani dopisali?

Gabriel machnął ręką, jakby opędział się od much.

– Słuchaj, Timmy, nie teraz. – Zamrugał intensywnie, usta mu zadrżały. – Piosenka chodzi mi po głowie. Pogadamy później. Okej?

Zgąnął z tacy dwie kanapki z serem, a potem umknął na piętro. Po drodze potknął się jeszcze o taboret.

– No dobrze – powiedział Timothy, kiedy tylko za artystą zamknęły się drzwi. – A teraz mów, co tam się właściwie wydarzyło.

– Po koncercie odwiedziła go jakaś kobieta. – Eunice w zamyśleniu sięgnęła po grahamkę. – Twierdził, że to zwykła grupie, ale mu nie wierzę. Chyba coś między nimi zaszło, bo w drodze do sklepu prawie rozbił Gruchota. Może to kolejny nieszczęśliwy romans?

Timothy Hawkins skrupulatnie odsączył resztę herbaty znad fusów i ciężko dźwignął się z kanapy.

– Nie, Eunice. On jest przerażony. Dawno już się tak nie zachowywał. Obawiam się, że ma poważne kłopoty i co gorsza, uważa je za sprawę prywatną. Trzeba go pilnować, żeby czasem nie zrobił czegoś głupiego.

W piwnicy czuć było wilgocia i stęchlizną. Gabriel zapalił światło. Sporą część pomieszczenia zajmował ulubiony komputer Timothy'ego, olbrzymie elektroniczne monstrum o poetyckiej nazwie Homer. Należało stąpać ostrożnie, aby nie potknąć się o splątane kable i porozrzucane części komputerowe z ostatnich trzydziestu lat. Piosenkarz przeszedł mimo dwóch starych rowerów, zignorował zwinięty w rulon latający dywan, nie spojrzął nawet na wielką szafę pełniącą funkcję wrót teleportacyjnych. Zatrzymał się przy wysokim regale z książkami. W jednej z szuflad znajdowało się to, czego szukał. Błękitna Księga, dzieło czarownicy Kai.

To, że Kaja przeczuwała, a może nawet przepowiedziała własną śmierć, było dla nich czymś oczywistym. Nic, czego podejmowała się tysiącletnia czarownica, nie mogło ich zdziwić. To ona, do spółki z Krzysztofem Podróźnikiem, założyła społeczność magów w Farewell na początku wieku. To dzięki niej powstały tutejsze prawa, w pewnym stopniu różniące się od zasad panujących w innych miastach. To ona wreszcie ocaliła miasto podczas Mrocznej Wojny, oddając własne życie.

Gabriel, który wstąpił na ścieżkę magii już po Wojnie, nigdy nie poznał Kai osobiście. Znał jednak niemal na pamięć jej ostatnie dzieło, tajemniczą Błękitną Księgę – wielki tom w bladoniebieskich okładkach.

Księga stanowiła niejednorodny, trudny do ogarnięcia twór, składający się z plików maszynopisów, odręcznych notatek, ołówkowych szkiców, pozornie przypadkowo utkniętych pocztówek i zabazgranych karteczek. Niektóre z jej rozdziałów znali wszyscy tutejsi czarodzieje – stanowiły zarazem obowiązujące prawo i coś w rodzaju podręcznika dla początkujących. Po inne praktyczne porady zaglądano w razie kłopotów. Lwią część Księgi stanowiły jednak zagadkowe

przypowieści, legendy, poematy i na wespół rozumiały przepowiednie. Trzeba było niesłychanej cierpliwości, aby przebrnąć przez to wszystko, i niesłychanej intuicji, aby zrozumieć chociaż dziesiątą część. Do tej pory dokonały tego jedynie trzy osoby – Krzysztof Podróżnik, Lucy Preis oraz właśnie Gabriel.

Artysta przejawiał pewien naturalny instynkt pozwalający mu rozszyfrowywać niektóre metafory. Już jakiś czas temu przekonał się, że enigmatyczne wskazówki Kai potrafią nagle stawać się niezwykle aktualne. Zupełnie jakby cały czas nam towarzyszyła, myślał niekiedy.

Czarodziej ostrożnie wyjął Księgę z szuflady; smukłą dłonią przetarł okładkę oprawioną w bladobłękitny, wyblakły materiał. Dotknął niechłujnie wymalowanej tuszem cyfry „13” po jej wewnętrznej stronie. Przerzucił kilka kartek. Zadumał się nad celowością wetkniętego w sam środek przepisu na drożdżowe ciasto, zignorował długą, chaotyczną rozprawę o lisie w kurniku. Aż wreszcie znalazł to, czego szukał.

Gdy nad jeziorem zapadł mrok,
Kiedy wieczorny bije dzwon,
Strzeż się, kobziarzu z Ochil Hills
Czarownej wróżki z Loch Lomond.
Odzianej w zieleń wodnych traw
Zwabionej brzmieniem dźwięcznych nut
Kapryśnej pani spośród fal,
Redfairy, córki księcia wód.
Omota serce, skradnie dar,
Odbierze czarnoksięską moc.
Czy chcesz, kobziarzu z Ochil Hills,
Znów przyjąć niewolniczy los?

Pognieciony papierowy samolot wirowym ruchem opadł na dywan.

– Znalazłem to na ulicy. – Jean-Pierre mówił łagodnym tonem, ale oczy lśniły mu niebezpiecznie.

– Czy mógłbyś mi łaskawie wyjaśnić, co to jest?

Chłopak wcisnął się w przestrzeń między ścianą a rogiem szerokiego łóżka. Ściągnął z niego burgundową kapę i gorączkowo zaczął gromadzić poduszki w jedwabnych powłóczkach. Wiedział, że cokolwiek zaraz nastąpi, nie będzie niczym przyjemnym.

– No?! – wrzasnął Jean-Pierre piskliwie. W gniewie zmieniał się nie do poznania. Okrucieństwo wykrzywiało rysy jego pięknej twarzy, prawdziwa natura wychodziła na jaw. – Samolocik! Samolocik z plamą twojej krwi na skrzydle! Myślałeś, że nie zauważę? Co to ma być?

– Wołanie o pomoc – odezwał się głos zza jego pleców. – Tak przynajmniej sędzę.

Jean-Pierre odwrócił się gwałtownie.

Nieznajomy stał w drzwiach, dokładnie lustrując pomieszczenie wzrokiem. Wydawał się doskonale spokojny. Z pozoru nikt nadzwyczajny – średniego wzrostu, nijakiego koloru włosów, ot, taki facet, na którego dwa razy nie spogląda się na ulicy. Tylko spojrzenie szarych oczu miał przenikliwe i zimne jak lód. Nonszalancko podrapał się po kilkudniowym zarostcie, wyjął podobny samolot z kieszeni szarego prochowca.

– Masz szczęście, chłopcze – rzekł. – A pan ma pecha. Z tego kawałka papieru można wszystko wyczytać. Może tam, skąd pan przybył, takie postępowanie uchodzi płazem. Ale nie w naszym mieście.

– Popułnił pan poważny błąd, wdzierając się do mojego apartamentu – warknął Jean-Pierre i wyłuskał spod koszuli miedziany amulet na cienkim rzemyku.

Obserwujący całą scenę chłopak skulił się w kącie. Aura nieznajomego nie pozostawiała żadnych wątpliwości – był czarodziejem, tak samo jak Jean-Pierre. Chłopak nie wierzył jednak, aby istniał ktoś potężniejszy od jego mistrza i prześladowcy. Kiedy uciekali z Paryża, ścigała ich cała grupa wrogów Jean-Pierre’a. Nadal pamiętał tę masakrę w najdrobniejszych szczegółach. Gdy o niej myślał, zbierało

mu się na mdłości.

Jean-Pierre wzniosł dłoń z amuletem, moc zgęstniała wokół niego jak powietrze przed burzą. Nieznajomy wydawał się niewzruszony. Nadal stał w drzwiach, z rękami w kieszeniach płaszcza. Jean-Pierre skierował na niego amulet, otworzył usta do inkantacji.

Nagle pomieszczenie wypełnił gęsty biały dym, skrzący się od elektrycznych wyładowań. Słowa utknęły Jean-Pierre'owi w gardle; nie widział swojego przeciwnika. Jak to możliwe, że nie wyczuwał też jego obecności? Natychmiast zmienił taktykę, rozszerzył zmysły o widzenie w podczerwieni.

W tym samym momencie poczuł, że ktoś chwyta go za szyję. Potężna siła wdarła się szturmem do jego umysłu, przełamując wszystkie ochronne bariery. Dym rozwiął się i chłopak, który kulił się w kącie, w końcu ujrzał walczących.

Nieznajomy trzymał za gardło Jean-Pierre'a, który wisiał w powietrzu bezwładnie jak marionetka. Oczy przybysza lśniły zimnym, bladym światłem, a wokół niego wirował widmowy huragan pełen żółtych liści. Magia rozchodziła się kręgami w pomieszczeniu, powietrze miało metaliczny posmak ozonu.

– Czyżby już po wszystkim? – Do pomieszczenia wszedł drugi mężczyzna, skośnooki olbrzym w czarnym skórzanym płaszczu. Mówił z silnym brytyjskim akcentem. – Doprawdy, Krzysztofie. Wielka szkoda, że na mnie nie zaczekałeś.

– Może to i lepiej. W ferworze walki mógłby... stracić głowę. – Mag uśmiechnął się krzywo. – Musimy go przesłuchać, a potem odesłać na sąd w Lustrzanym Zamku.

Jean otworzył oczy. Jego źrenice uciekły pod czaszkę, widać było same białka. Chłopak, jego uczeń i więzień, nie śmiał nawet drgnąć. Już kiedyś to widział. Przybysze, chociaż potężni, mieli przed sobą zaledwie kilka minut życia.

– A więc jesteś Krzysztofem Podróżnikiem... – wyszczał Jean-Pierre. – A mówiono mi, że straciłeś moc... Czyli ten drugi to Krwawe Ostrze...

Mężczyzna w czerni skrzywił się gniewnie na dźwięk tego przezwiska.

– Już od dawna nie – warknął. – Ale jeżeli pan nalega, mogę wyjść naprzeciw pańskim oczekiwaniom.

Jean-Pierre roześmiał się ochryple.

– Ależ prawdziwej natury nie da się oszukać... Jakież to zabawne, ta pewność, z którą działacie, ta wasza heroiczna głupota. Czy wiecie, że cokolwiek zrobicie, nie uwolnicie go ode mnie? Och, słodki Apollo, zbyt nieśmiały, aby odezwać się chociaż jednym słowem. W głębi duszy zawsze będzie mój. Nigdy nie umiałby uciec sam. Nie potrafił nawet was ostrzec.

Pomieszczeniem targnął potężny wstrząs. Zaskoczony Krzysztof puścił Jean-Pierre'a, tamten opadł na kolana, masując szyję. Pośrodku apartamentu pojawił się lśniący czerwony krąg. Wypełniały go okultystyczne znaki, te same, jakie widniały na miedzianym medalionie.

W kręgu zaczęła się formować olbrzymia, węzowa sylwetka.

Mężczyzna w czarnym płaszczu wydał z siebie zduszony okrzyk. Skoczył naprzód.

Wszystko stało się tak szybko, że dopiero chwilę później chłopak w pełni uświadomił sobie przebieg wydarzeń.

Błysnęło.

Chlusnęła krew. Odcięta głowa Jean-Pierre'a potoczyła się po dywanie.

Mężczyzna, który w prawej ręce dzierżył teraz japoński miecz, lewą chwycił medalion i zgniótł go w dłoni jak plastelinę. Zaskwierczało, spomiędzy jego palców dobył się dym.

Czerwony krąg zamigotał i zniknął, a widmowa sylwetka rozmyła się w powietrzu.

Krzysztof Podróżnik powoli podszedł do drgającego kadłuba. Starał się nie deptać po wielkiej plamie krwi, która wciąż wypływała z szyi na dywan.

– Na wszelkie moce... Odszczepieniec. – Pokręcił głową wstrząśnięty. – Dawno nie spotkałem nikogo, kto tak dobrze ukrywałby skażoną aurę. Szczęście, że zdążyłeś, zanim jego demon się zmaterializował.

– Sprawdź lepiej, czy ten młody człowiek również nie jest skażony. – Szermierz skrzywił się,

ogładając poparzoną dłoń. – Można spodziewać się wszystkiego.

Chłopak nie słyszał już odpowiedzi. Spojrzał na meble zbryzgane krwią, na martwą głowę Jeana, w jego ciemne, szkliste oczy i bez czucia osunął się na ziemię.

Timothy Hawkins z rozmysłem spędził prawie godzinę w łazience na parterze. Czekał, aż pozostali udadzą się na spoczynek. Tim, który – gdy tylko miał taką ochotę – słyszał wszystko, co działo się w Domu Wschodzącego Słońca, wiedział, dokąd udał się przed snem jego przyjaciel. Nietrudno też się było domyślić celu wędrowki Gabriela. Muzyk raczej nie miał zwyczaju grzebać przy Homerze.

Jeżeli Gabriel Shade rzeczywiście sprawdzał coś w Błękitnej Księdze, sprawa przedstawiała się poważnie. Timothy nie pożałował mocy i jak najszybciej mógł, teleportował się na dół.

W pajęczej płataninie kabli, pośród zakurzonej sterty elektroniki niejeden normalnie widzący człowiek mógłby się potknąć. Timothy jednak znał tutaj na pamięć każdą śrubkę. Wygodnie rozsiadł się na specjalnie przystosowanym obrotowym krześle i odnalazł dłonią klawiaturę. Rzadko wyłączał Homera na noc i tym razem również zostawił maszynę uruchomioną.

– Homer, podaj mi odczyt ze wszystkich kamer w piwnicy, z dwóch ostatnich godzin.

– Defragmentuję dysk – zaprotestował komputer. – Zacytuję klasyka: może to trochę potrwać.

Timothy Hawkins czasami poważnie się zastanawiał, czy obdarzenie go sztuczną inteligencją rzeczywiście było takim dobrym pomysłem.

– Bez dyskusji – przykazał stanowczo. – To bardzo ważne. Jak zaczniesz fikać, każę ci pracować pod Windows ,98.

– To niezgodne z konwencją praw robota – burknął Homer. – No, dobrze już, dobrze. Podaję odczyt... Kamera główna zablokowana. Sprawdzam kamerę zapasową. Kamera zapasowa zablokowana. Podaję odczyt z czujników widma cieplnego... jest. Inicjalizuję połączenie.

Chociaż oczy Timothy'ego nie działały już od dawna, jego mózg zachował pamięć wrażeń wzrokowych. W przypadku obrazów cyfrowych stan oczu Timmy'ego nie miał żadnego znaczenia – mag potrafił przekazywać dane bezpośrednio do umysłu. Pracował nawet nad kamerą, która zastąpiłaby mu wzrok, ale pierwsze próby zakończyły się niepowodzeniem. Utrzymywanie stałego połączenia pochłaniało stanowczo zbyt wiele jego uwagi, mocy i... prądu. Przenośne akumulatory, takie jak dla kamerek GoPro, wyczerpywały się w ciągu minut.

– Spryciarz – mruknął. – Kamery powyłączał. Ale o czujnikach chyba nie pamiętał. Faktycznie, stoi przy regale.

Chwilę później sam sięgnął po Błękitną Księgę. Wertował ją kartka po kartce, podstawiając pod odblokowaną kamerę. Nadal utrzymywał przy tym połączenie z Homerem.

– Masz?

– Mam.

– Zrób analizę śladów aury, które ci właśnie przesłałam, i pokaż, na której stronie są świeże – polecił Timmy. – Hm... o, cholera. Dziękuję, Homer. Dobranoc, słodkiej defragmentacji.

Gabriel obudził się z krzykiem. Usiadł na łóżku i schował twarz w dłoniach, dygocąc na całym ciele. Kosmyki mokrych od potu włosów lepiły mu się do czoła. Znalazł po omacku paczkę chusteczek, osuszył skórę. Mimochodem spojrzął na radio, które stało na szafce nocnej. Podświetlone cyfry wskazywały godzinę trzecią.

Chłodne powietrze przedostawało się przez uchylone okno. Gałęzie sędziwej jabłoni stukały o szybę, a z oddali dobiegał złowrózby głos lelka. Księżyc schował się za ciężkimi chmurami.

Kiedy uważnie wsłuchiwał się w wiatr, słyszał jej śpiew: tęskną, rzewną melodię wplecioną w głosy październikowej nocy. Redfairy czekała na niego w mroku. I będzie czekać cierpliwie, będzie wracać każdej nocy. Nie zrezygnuje tak łatwo. Musiał przyjąć jej wyzwanie, spotkać się z nią twarzą w twarz. Nie czuł się jeszcze na to gotowy.

Opuścił stopy na miękki dywan. Powoli wstał i zamknął okno. Głowa pękała mu od rozmyślenia. Dlaczego szkocka wróżka wybrała właśnie jego? Czy już na pierwszy rzut oka sprawiał wrażenie łatwej ofiary? Czy rozpoznała, że nie potrafi sam o sobie decydować, że ma słabą wolę? Może istotnie tkwiła w nim skaza, coś, co przyciągało osoby pokroju Jean-Pierre'a. I Redfairy to wyczuła, stanowił dla niej naturalną zwierzynę.

„W głębi duszy zawsze będzie mój”.

Zatrząsał się jak w febrze.

A może przyczyna leżała gdzie indziej? Krzysztof twierdził, że totem Gabriela – świetlista istota nieokreślonej płci – do złudzenia przypominał Sidhe, celtyckiego elfa w swojej pierwotnej, bezcielesnej postaci. Nie miał powodu, aby mu nie wierzyć. Z drugiej strony, nie wiedział, czy to miało jakiegokolwiek znaczenie. Wygląd duchów opiekuńczych to przecież bardziej symbol niż cokolwiek innego, w ciągu życia mógł nawet podlegać subtelnym zmianom.

Ubierał się bardzo powoli, unikając hałasu. Kiedy otwierał drzwi, rozległo się nieznaczące skrzypienie, które z całą pewnością nie mogło nikogo obudzić.

Z wyjątkiem jednego człowieka o słuchu zdolnym uchwycić szelest muszycznych skrzydeł.

Gdy Gabriel zszedł do salonu, dostrzegł przygarbioną, opatuloną kocami sylwetkę na kanapie.

Timothy Hawkins podniósł głowę.

– Wybierasz się gdzieś?

– Nie twoja sprawa – rzucił ostro Gabriel.

– Kim jest Redfairy z „Loch Lomond”? – Timmy kaszlnął sucho. – Czy to ta istota, która koncertuje za oknem?

– Timothy, na litość boską – zachnął się Gabriel. – Powiedziałem, że to nie twoja sprawa.

– Jasne – fuknął mag. – Jak zaczniesz uprawiać skoki na główkę do płytkiego basenu, to też nie będzie moja sprawa. Wiesz oczywiście, że pakujesz się prosto w pułapkę?

– Timmy, muszę się z nią spotkać.

– Musisz? Ktoś ci kazał?

Piosenkarz stracił panowanie nad sobą.

– Tak! Ja! To moja decyzja! A ty z całą pewnością nie masz prawa mnie śledzić ani mi rozkazywać!

– Ohoho. – Mag sięgnął po jedną ze swoich inwalidzkich kul. – Czyli chcesz się bić? Dawaj.

Gabriel westchnął, czując się całkowicie rozbrojony. Usiadł po turecku na dywanie i oparł czoło na dłoniach.

– Jesteś manipulatorem – jęknął z rozpaczą. – Wrednym szantażystą.

– Potworem – wtrącił Timothy. – Zapomniałeś o potworze.

– Przecież nie mogę wiecznie zależeć od innych, jak małe dziecko. Muszę kiedyś zacząć decydować o sobie. Muszę wiedzieć, że mogę sam... że tamto się nie powtórzy.

Timmy spoważniał. Niezgrabnie odgarnął koce i wstał, opierając się na kulach.

– Decyduj – odezwał się cicho. – Jesteś dorosły. Nie wyobrażaj sobie tylko, że będę patrzeć obojętnie na to, co się stanie. Żaden człowiek nie jest wyspą, Gabrielu.

Milczał przez chwilę, myślał nad tym, co chce powiedzieć.

– Ode mnie dostaniesz jedną radę – powiedział wreszcie. – Jeżeli chcesz ją spotkać i udowodnić to, co chcesz udowodnić, zrób to na swoich warunkach.

Gabriel przymknął oczy. Timothy miał rację. Nie może przecież iść jak po sznurku, wabiony syrenim śpiewem. Nie może walczyć z przyjacielem. W ten sposób przypieczętowałby swój los, przyznałby, że nic nie jest ważniejsze od wezwania Redfairy. Właśnie takiego postępowania spodziewałby się po swoim więźniu Jean-Pierre.

– Dobrze, Timmy – powiedział. – Odłożę to spotkanie. Co się odwlecze, to nie uciecze.

– Świetnie. – W głosie Timothy'ego pobrzmiwała ulga. – Więc idź na górę i daj mi wreszcie trochę pospać. Kłopoty, wiecznie są z wami kłopoty.

Czajnik zagwizdał na kuchence, buchnęły z niego kłęby pary. Eunice chwyciła za ebonitową rączkę, a potem naląła wrzątku do wszystkich trzech kubków. Lloyd całą noc spędził poza domem i jeszcze nie wrócił, zresztą i tak rankiem pijał kawę z ekspresu.

Gabriel kroił pomidory pochylony nad marmurowym blatem. Od rana nie zamienił z Timothy ani słowa. Eunice nie pierwszy raz nocowała w Domu Wschodzącego Słońca, ale nie pamiętała, aby kiedykolwiek o poranku panowała tutaj tak grobowa atmosfera.

Bez wątpienia miało to związek z awanturą, jaką urządzili o trzeciej nad ranem. Nie udało jej się dokładnie usłyszeć, o czym rozmawiali, ale domyślała się, że chodziło o rzekomą grupie. Kimkolwiek była, z całą pewnością należała do nadnaturalnego świata. Eunice czuła, że chodziło o coś poważniejszego niż kłopoty sercowe Gabriela. Spróbowała nawet wysondować ich powierzchowne myśli, ale niczego się nie dowiedziała. Nie dysponowała jeszcze takimi zdolnościami telepatycznymi, aby przeniknąć umysły czarodziejów.

„Jest przerażony?”. Dlaczego? Eunice morderczym gestem zamierzyła się nożem na serek. Będą tak milczeć i mnie olewać? Niedoczekanie.

– Możecie mi powiedzieć...

– Spóźniasz się do szkoły, Eunice – przerwał jej łagodnie Timothy.

– Ale...

– Dzień dobry szanownemu państwu – rozległ się znajomy baryton. Lloyd Dark zaglądał do kuchni, zadowolony z siebie jak kocur po nocnej włóczędze. Miał włosy w nieładzie, śliwę pod okiem, mocno woniał potem oraz dymem tytoniowym. – Dacie wiarę, że ratowanie dam z opresji staje się w dzisiejszych czasach coraz trudniejsze. Wyobraźcie sobie, uwalniacie pannę z rąk wysoce podejrzanych osobników, tymczasem panna okazuje wdzięczność w dość szczególny sposób. – Lloyd wskazał podbite oko. – A sądziłem, że wystarczająco dobrze osądzam... takie sytuacje.

– Może była w szoku – zasugerowała Eunice. – Jeżeli zobaczyła zbyt wiele kończyn brutalnie odseparowanych od ich właścicieli.

– Nic z tych rzeczy. – Pokręcił głową i złapał pierwszą z brzegu bułeczkę. – Mmm, grahamki. Wystarczyła stara sztuczka z odbijaniem kul i już mogłem pozbawić ich przytomności. Daję słowo, od tej pory najpierw telepatia, potem działanie. Panowie, co to za miny? Czy coś się stało?

Gabriel udawał, że jest całkowicie pochłonięty mieszanym pomidorów z mozzarellą.

– Absolutnie nic – powiedział Timmy. – To ten tutaj stroi fochy.

– Timothy...!

– Lloydzie, miałeś w biblioteczkce Wielką Encyklopedię Faerie – kontynuował niezrażony cybermag. – Mógłbyś przynieść?

– Faerie? – Szermierz popatrzył na nich czujnie. – Czy można wiedzieć, o co chodzi?

– Daj spokój, sam sobie znajdę – westchnął Gabriel. – Poddaję się: jesteście wszyscy wścibscy jak stare baby. Powiedzmy, że stałem się obiektem pożądania pewnej wyjątkowo namolnej fanki. Kłopot w tym, że Amanda Redfairry, bo tak właśnie nazywa się dziewczę, jest najprawdziwszą szkocką fae.

Teraz Eunice poczuła się naprawdę zaniepokojona. Nieraz ostrzegano ją przecież, aby nie lekceważyć Pięknego Ludu. Chociaż królewska rasa Sidhe opuściła ziemski wymiar całe wieki temu, wciąż tu i ówdzie spotykało się pomniejszych krewnych magicznego plemienia. Te elfy, które zdecydowały się pozostać, należały do jednego z dwóch rodzajów – renegatów albo poszukiwaczy przygód. Były sprytny, potężny i często bardzo niebezpieczny.

– Prawdziwa elfka jako natrętna grupie? – zapytała sceptycznie. – Czego chce, autografu i barabara? Nie umierałbyś ze strachu od wczorajszego wieczoru, gdyby to była cała prawda. Znam kilka legend o faerie.

Gabriel zbierał palcem z blatu rozsypane resztki bazylii.

– Cóż, nie da się ukryć, że chodzi jej o coś więcej niż małe tête-à-tête. Poza tym istnieje precedens... – Ponownie westchnął. – Timothy, opowiedz jej o historii z Jean-Pierre'em.

Ręka Timothy'ego zawisła w pół drogi do słoika z dżemem.

– Dobrze, Eunice – odłożył z brzękiem łyżeczkę na talerz. – Czas na bajkę z morałem. Istnieje wiele rodzajów bagna, w które może wdepnąć niedoświadczony mag. Niewiele brakowało, aby Gabriel skończył w jednym z nich, nie z własnej woli, co ostatecznie go uratowało.

Opowiedział jej pokrótce o niewoli Gabriela u demonicznego mistrza z Paryża. Eunice już wcześniej słyszała o adeptach Mrocznej Ścieżki. Wypaczonych magach, którzy wymieniają swój totem na demona i tym samym zastępują własny talent mocą pochodzącą z zewnątrz. Gdyby Gabriel całkowicie poddał się Jeanowi, poszedłby zapewne za jego przykładem. Robiło jej się słabo, kiedy o tym myślała. Popatrzyła na Gabriela; poblądł, myślami odpłynął w przeszłość.

– Boję się powtórki z rozrywki – powiedział cicho. – Niewola u faerie byłaby zapewne przyjemniejsza, ale to nie zmienia tego, że Redfairry chce mieć mnie na własność, duszą i ciałem.

– Co zamierzasz zrobić?

– Muszę pomyśleć. – Niewidzącym wzrokiem wpatrywał się w salaterkę. – Tradycyjne metody odpadają. Nie mogę codziennie posypywać głowy solą ani cały czas nosić przy sobie czterolistnej koniczyny, o ile znajdę jakąś o tej porze roku. Jeżeli zaś chodzi o dziurawiec... Cóż, znałem driadę, która wprost uwielbiała napar z dziurawca. Zimne żelazo wydaje mi się dość... ostatecznym rozwiązaniem. Cokolwiek właściwie oznacza termin „zimne żelazo”. Sądzę, że po prostu będę musiał spotkać się z nią, spojrzeć jej prosto w oczy i przełamać urok.

Lloyd lekko ściągnął brwi.

– Mógłbyś poradzić się Krzysztofa Podróżnika. W sprawach magicznego plemienia jest specjalistą.

– Nie potrzebuję pomocy – zaprzeczył Gabriel.

Eunice zobaczyła jednak, że jego oczy załśniły. Nie była zdziwiona. Sama chętnie porozmawiałaby o Sidhe z człowiekiem, który widział Avalon.

Krzysztof Podróżnik mieszkał w centrum, w jednej z dziewiętnastowiecznych kamienic o wysmukłych elewacjach, które tak chętnie przedstawiano w folderach i na pocztówkach. Wrażenie dostojnego spokoju, jakie z tych fotografii mógł wynieść potencjalny turysta, było całkowicie mylące. Centrum Farewell kipiało chaotycznym, hałaśliwym i niekiedy także smrodliwym życiem. Wielobarwny i wielorasowy tłum pieszych kłębił się na trotuarach i w podziemnych przejściach. Przez skrzyżowania ciężko przetaczały się tramwaje, których próżno by szukać w innych częściach miasta. Samochody utykały w korkach. Sklepowe szyldy atakowały wzrok przechodniów. Wszędzie, gdzie zostało choć trochę miejsca, spotykało się ulicznych artystów, domorośłych polityków lub nauczających z werwą sekciarzy.

Wszystko się tutaj bez przerwy zmieniało, wciąż upadały stare sklepy i powstawały nowe, wciąż coś budowano, remontowano, naprawiano szybko niszczący asfalt. Cały kłopot polegał na tym, że gęsto zabudowane centrum, odpowiednie dla miasta z początku wieku, z czasem stało się zbyt ciasne. Jedyne dobre lekarstwo na te problemy – czyli wyburzenie wszystkiego i wybudowanie od nowa – nie wchodziło w rachubę.

Dziewiętnastowieczne kamienice wyglądały nobliwie tylko z zewnątrz. Już dawno przystosowano je do współczesnych wymagań. Trudno oczekiwać, aby obecnych lokatorów zadowolili na przykład jedna ubikacja na piętro. Znikł także wszelki ślad po studniach w wewnętrznych podwórkach.

Gabriel Shade wszedł w bramę, mijając wytworny sklep z kapeluszeniami. W podwórku ulokowano małą, przytulną Kawiarnię Artystyczną, gdzie Chris czasem spędzał przedpołudnia. Gabriel liczył na łut szczęścia; wiekowy mag mógł znajdować się właśnie tam, w swoim mieszkaniu albo gdziekolwiek indziej. Od czasu śmierci Kai Krzysztof Podróżnik stał się odludkiem. Nie odbierał telefonów, dawnych przyjaciół odwiedzał z rzadka i bez zapowiedzi. Niegdyś wszędobylski reporter, obecnie pisywał tylko nieliczne felietony. Od dawna nie potrzebował zarabiać na utrzymanie; podczas swojego długiego życia zdążył zgromadzić spory majątek. Kiedyś jednak lubił swoją pracę. Odkąd zaistniały gazety, jego

nazwisko – Traveller, Voyager, Strider, Vagabond – regularnie pojawiało się w druku.

Plotka głosiła, że podczas Mrocznej Wojny Krzysztof stracił też większość mocy. Wcześniej był prawdziwym cudotwórcą, teraz ledwie mógł równać się z takimi magami jak Timothy lub Lloyd. Gabriel uważał, że to w zupełności wystarczy. Umiejętności, jakie pokazał w starciu z Jean-Pierre'em, tak czy inaczej robiły wrażenie.

Piosenkarz zajrzał do kawiarenki. Biuściasta kelnerka wlepiała w niego zaciekawione spojrzenie. Gabriel, który pragnął zachować status incognito, zmienił wcześniej rysy twarzy oraz kolor włosów na ciemny. Tylko tatuaż na policzku pozostał ten sam. Gabriel stworzył go za pomocą magii na pamiątkę śmierci Jean-Pierre'a. Potem okazało się, że łza jest nieusuwalna. Magia nie zawsze działała tak, jak jej kazano, czasem wykazywała zaskakująco wiele własnej woli.

Rzecz jasna, z nową twarzą Gabriel również wyglądał olśniewająco przystojnie. Rzadko zmieniał postać na szpetną, jeżeli nie musiał.

– Czy mogę w czymś pomóc?

Gabriel uśmiechnął się do kelnerki. Wydawało się, że dziewczyna zaraz roztopi się jak masło.

– Szukam pana Christophera Stridera – powiedział. – Mam dla niego materiały.

– Pańskie nazwisko?

Nie musiała o to pytać, pomyślał z rozbawieniem.

– Buddy Shade – podał kombinację aktualnego nazwiska oraz starej ksywki z zespołu The Metamorphs, gdzie nazywał się Buddy Sparkle.

Wbrew pozorom w latach siedemdziesiątych brzmiało to całkiem nieźle. Ludzie do tej pory nie kojarzyli ze sobą obydwu wcieleń, nawet muzycy z Neverlandu nie wiedzieli, że pan Sparkle i pan Shade to jedna i ta sama osoba.

– Widocznie czekał tutaj na pana. – Dziewczyna skinęła głową. – Dopiero przed chwilą poszedł do siebie.

A więc znajdował się w mieszkaniu. Co za szczęście.

– Serdecznie pani dziękuję.

Kiedy wychodził, wodziła za nim rozanielonym wzrokiem. Życie, skonstatował Gabriel, jest jednak piękne.

Dostał lekkiej zadyszki, wbiegając po krętych schodach na czwarte piętro. Stopnie były trochę wyższe niż w nowych budynkach. Przed szerokimi drzwiami przystanął na chwilę, wziął głębszy oddech.

Wejź, Gabrielu. Otwarte, rozległo się w jego umyśle.

Efekciarz.

Słyszałem.

Gabriel nacisnął mosiężną klamkę i wszedł do środka.

Przed Wielkim Kryzysem apartamenty w kamienicach były wyjątkowo przestronne. Musiały przecieżyć pomieścić zarówno państwo, ich dzieci, jak i służbę. Mieszkali tutaj miejscy dygnitarze, przedsiębiorcy i znani artyści – wszyscy ci, którzy nie zarobili jeszcze na własną willę. Kryzys zmienił wszystko. Obszerne apartamenty masowo zamieniano na mieszkania czynszowe. Większość z nich przedzielono ścianami na pół, tworząc mniejsze lokale. Właśnie w takim miejscu zamieszkał Krzysztof po Wojnie, kiedy szóstka magów wyprowadziła się z domu przy ulicy 49 i rozeszła w swoje strony.

Przytulnie tutaj. Staroświecko, ale z gustem. Podróżnik bardziej pilnował porządku niż mieszkańcy Domu Wschodzącego Słońca. Dokładnie odkurzał chińskie dywany, dbał o antyczne meble, ścierał nawet kurze z porcelany. Jeden z trzech pokoi zamienił na ciemnię. Wszystko miało swoje miejsce. Jediną ostoję bałaganu stanowiło biurko maga w gabinecie, wечно zasłane książkami i papierami, z pomrukującym laptopem i drukarką na swoim stałym miejscu.

– Rozgość się, Gabrielu. – Głos Chrisa dobiegał z dużego pokoju, połączenia salonu i sypialni. – Właśnie zrobiłem herbatę.

Pierwszym, co rzucało się w oczy po wejściu do salonu, były rozmaite drobiazgi z obcych krajów

rozwieszane na ścianach i rozstawione na półkach. Gabriel wiedział, że niektóre pochodziły także z równoległych światów. Krzysztof w pełni zasłużył na swój przydomek. Znajdowały się tam między innymi suszone owoce o nienaturalnych barwach, figurki z nieistniejących minerałów, wypchane egzotyczne zwierzątka. Na telewizorze stała doniczka ze szkarłatnym żywym kryształem. Zgodnie z zasadą, że najciemniej jest pod latarnią, gospodarz nie ukrywał tych osobliwych pamiątek przed zwykłymi ludźmi. Przy rzadkich okazjach, kiedy go odwiedzali, i tak myśleli, że są sztuczne.

– A mówiłeś, że z jasnowidzeniem u ciebie krucho.

– Czegoś tam zdążyłem się nauczyć. – Mag postawił na stole tackę z imbrykiem, filiżankami i talerzem pełnym ciastek. Gabriel odruchowo zerknął na ścianę nad fortepianem. Czarno-biała fotografia drobnej, jasnowłosej dziewczyny o uśmiechu Mony Lisy wisiała na swoim stałym miejscu. – Niestety, sam musisz opowiedzieć, co cię tutaj sprowadza.

Piosenkarz usiadł na kanapie i najdokładniej jak tylko mógł streścił swoją historię. Przytoczył z pamięci wiersz-przepowiednię, opisał Amandę Redfairy.

– Zdumiewające – rzekł Podróżnik w zamyśleniu. – Po pierwsze, to niezwykle, że ona wciąż mieszka na Ziemi. Jest w końcu szlachcianką, prawda, że pomniejszą. Musiała poróżnić się ze swoją rodziną, choć trudno mi wchodzić w szczegóły. Po drugie, przybyła do nas aż ze Szkocji. To znaczy, że chodzi jej konkretnie o ciebie. W przeciwnym wypadku, wybaczyć, istnieją bardziej znane gwiazdy rocka. Także w Królestwie.

– Wielka sława oznacza wielkie kłopoty – zauważył Gabriel. – Dlatego jej unikałem. Jak widzisz, kłopoty i tak się pojawiły. Czy sądzisz, że to ma związek z moim totemem?

Wzruszył ramionami.

– Trudno stwierdzić, ale nie sądzę. Musiałaby znaleźć wieszczkę, która wie, jak wyglądają Sidhe w formie czystego ducha. I na dodatek musiałaby jeszcze zadać odpowiednie pytanie. Nie, myślę, że chodzi jej o coś innego.

– Tego się obawiałem – szepnął piosenkarz.

– Gabrielu. – Krzysztof przygwoździł go spojrzeniem. – Czy ona użyła wobec ciebie przemocy?

– Do tej pory nie...

– Porwała cię? Molestowała?

Gabriel się zastanowił. Kusiła go, owszem, ale dawał radę opierać się jej urokowi.

– No, chyba jeszcze nie...

– A więc prowadzi z tobą grę.

– Grę?

– Oczywiście. – Mag skinął głową. – To nie jest byle płotka. Gdyby miała tylko jeden cel, nie rozmawiałbyś już tutaj ze mną. Sądzisz, że przy pierwszym spotkaniu przestraszyła się Eunice? Nie ten kaliber.

– Hmm.

– Powiedz, Gabrielu. Czy w tej przepowiedni jest coś, co cię szczególnie zastanowiło?

– Tak – odparł bez wahania. – Rzadko kiedy są tak jednoznaczne. Zazwyczaj mają drugi, trzeci, piąty podtekst... Istotne jest to, czego Kaja nie napisała wprost.

Krzysztof powoli wyrecytował ostatnią strofkę wiersza.

– Omota serce, skradnie dar / Odbierze czarnoksiężką moc / Czy chcesz, kobziarzu z Ochil Hills, / Znów przyjąć niewolniczy los?

– Czy chcesz, Gabrielu? – powtórzył z naciskiem.

– Nie, oczywiście, że nie! – zawołał Gabriel Shade.

I zadrżał. Ponieważ w tej samej chwili uświadomił sobie, że w głębi duszy wcale nie czuł się tego taki pewien.

Niewola u pięknej wróżki musiała być przyjemniejsza niż u Jean-Pierre'a. A wolność miała też przecież swoje wady. Wymagała wysiłku, ciągłego podejmowania właściwych decyzji. Nie dało się na przykład rzucić winy za swoje błędy na kogoś innego. Pozostawało tylko przełknąć gorzką pigułkę. Dobry właściciel troszczy się o wszystkie potrzeby swojego niewolnika. Jedynym obowiązkiem

podwładnego jest uległość wobec pana. Czasami, o zgrozo, Gabriel do tego tęsknił.

Najgorętszą miłością darzy się przecież tyranów.

Niefrasobliwość magów wprawiła ją w osłupienie. Obydwaj zamierzali zostawić Gabriela samemu sobie, tak jak ich o to poprosił. Zdawali się nie rozumieć powagi zagrożenia. „Chyba nie oczekujesz, że będę regulował życie facetowi w jego wieku”. W grę wchodziła potężna magia, a Timmy mówił o spotkaniu z Redfairy jak o zwykłej randce.

Cóż, skoro oni są tak nieodpowiedzialni, sama zajmę się tą sprawą, postanowiła Eunice. W jej głowie wykuwał się pewien plan.

Kiedy weszła do salonu Domu Wschodzącego Słońca, Timothy siedział przy stoliku z orzechowego drewna i cierpliwie układał niezwykle skomplikowane trójwymiarowe puzzle.

– Znowu urwałaś się z hiszpańskiego – zauważył.

Eunice westchnęła. Ani pamięci Timothy’ego, ani jego poczucia czasu nie dawało się oszukać.

– I w dodatku nie odwiedzasz domu już drugi dzień z rzędu – ciągnął. – Nie mam ochoty zostać oskarżony o kidnaping albo, co gorsza, o deprawację nieletniej.

– Daj spokój, Timmy. Wpadłam do domu w godzinach lunchu. – Dziewczyna z ulgą zdjęła z ramion ciężki plecak. – Powiedziałam, że idę do koleżanki. Równie dobrze mogłabym oznajmić, że wyjeżdżam na Antarktydę. Matka oglądała *Rodzinę MacLynnów* i wszystko inne miała głęboko gdzieś. Kiedyś na dobre zwapnieje przed tym gadającym pudłem. Jest Gabriel?

– Na górze. Przygotowuje się do próby.

Skinęła głową. Przed wyjazdem do studia nagrań Gabriel miał zwyczaj stroić swojego białego ibaneza. Dzięki temu na miejscu instrument wymagał już tylko krótkiej regulacji. Eunice sama trochę grała, ale nie wychodziła poza kilka „ogniskowych” standardów oraz parę topornie prostych piosenek punkrockowych. Nie miała nawet własnej gitary elektrycznej. Od kolegów wiedziała jednak, że egzemplarze z ruchomym mostkiem stroiły się wyjątkowo długo i upierdliwie.

I to w zupełności odpowiadało jej planom.

– Zostawiłam w kotłowni skarpetki – powiedziała. – Czekaj, to przy okazji zbiorę całe pranie.

Timothy zdumiał się niezmiernie.

– Coś takiego. Wszystko w porządku? Dobrze się czujesz?

– Oszczędzaj sarkazm. Będiesz mógł odkładać go na procent.

– Już i tak korzystam z odsetek. – Wzruszył ramionami. – Te skarpetki wiszą tam od tygodnia.

Prychnęła. Taki bystry, a nie rozumie, że Gabriel potrzebuje wsparcia.

Już za drzwiami do kotłowni zastosowała magię tłumiącą dźwięki. Nie chciała, aby Timothy zorientował się, jakie naprawdę ma zamiary.

Gabriel lubił melancholijne, październikowe wieczory. Jednostajny szum deszczu współgrał z szumem silnika Gruchota. W umyśle artysty kłębiły się załączki nowych piosenek. Nieistniejąca jeszcze muzyka była bardziej prawdziwa niż świat dookoła – mokry, lśniący asfalt, blask reflektorów pędzących samochodów, migające światło uszkodzonych latarni.

Miał przed sobą niedługą drogę – studio nagrań, do którego zdązał, znajdowało się na przedmieściach.

Oczywiście istniały bardziej profesjonalne i wyposażone w najnowocześniejszy sprzęt sale mieszczące się w centrum. Wystarczyło jedno słowo Emily Spencer, a mógłby nagrywać w komfortowych warunkach. Jednak zarówno on, jak i reszta zespołu Neverland woleli klubową atmosferę ich ulubionego, amatorskiego studia. Tworzyli przecież prawdziwą, żywą muzykę rockową, w przeciwieństwie do wielokrotnie rafinowanych produktów z gatunku pop.

Na zabłoconym podjeździe stały już samochody pozostałych członków grupy, z wewnątrz dał się słyszeć stłumiony jęk gitary i brzęk perkusji. Gabriel Shade zadzwonił do drzwi. Otworzył mu właściciel

studia, podstarzały hippis znany powszechnie jako Chudy. Ksywka, która kiedyś mogła mieć znaczenie dosłowne, obecnie brzmiała dość ironicznie. Z biegiem lat Chudy zdołał bowiem wyhodować sobie pokaźny brzuch piwny. Maskował go, nosząc wzorzyste hinduskie swetry. Z żelazną konsekwencją pielęgnował wizerunek człowieka wolnego od kieratu regularnej pracy – mimo wyraźnej łysiny nie strzygł się na krótko. Resztki włosów nadal zbierał z tyłu w długi, przetłuszczony kucyk.

– Czółko, wiarusie! – zawołał, wyciągając rękę na powitanie. – Byczy koncert!

– Cześć, Chudy. – Gabriel starał się nie pamiętać, że w gruncie rzeczy byli w tym samym wieku. Z każdym rokiem czuł się coraz bardziej nieswojo wśród rówieśników. Nie pomagało, że Chudy używał młodzieżowej gwary sprzed kilku dziesięcioleci. – Nie powiem, ujdzie w tłoku. Wszyscy już są?

– Ta jest. Pospiesz się, bo zaczną bez ciebie.

Zespół stroił się leniwie. Krótko po koncercie na próbach zawsze panowało rozprężenie. Organizowali je po to, aby uchwycić na gorąco niektóre pomysły ze sceny albo dokonać szybkich powtórek przed kolejnym występem. Nie mieli wobec siebie szczególnych wymagań. Poza Gabrielem wszyscy jeszcze odczuwali zmęczenie.

Wymienili powitania. Seler siedział na parapecie, nonszalancko brzdąkając na basie. Gabriel rozpoznał wstęp z *The Clairvoyant Iron Maiden*. Muzyczne zainteresowania członków grupy dzieliły się między punk, rock i różne rodzaje metalu. Styl Neverlandu plasował się bliżej ciężkich odmian melodyjnego rocka, ale wszelkie urozmaicenia były wielce pożądane. Seler czasami przemyślał swoje gusta do tych piosenek, które współtworzył.

Mike z uwagą nachylił się nad ulubionym czarnym gibsonem, aż włosy zasłoniły mu twarz. Zeszłego wieczoru zawadził gryfem o element scenicznego rusztowania i od tej pory gitara nie stroiła tak, jak powinna. Drożdzu niechętnie wybijał rytm na perkusji. Miał przekrwione oczy i bardziej niż kiedykolwiek przypominał znudzonego orangutana. Oczywiście dręczył go potężny kac.

Trzeba trochę popracować, aby cokolwiek z tego wyszło, stwierdził Gabriel.

– Pokaż tę gitarę, Mike.

Kiedy tak długo mieszka się w jednym domu z Lloydem Darkiem, można się nauczyć kilku sztuczek. Gabriel nie potrafił przywracać wraków samochodowych do stanu pełnej używalności, ale dawał sobie radę z uszkodzonymi gitarami.

– Proszę, teraz powinna stroić.

– Dzięki.

Mike nawet się nie zdziwił. Kiedy zaczynali, grywali na znacznie gorszym sprzęcie. Już wtedy Gabriel popisywał się umiejętnościami MacGyvera.

Teraz należało jeszcze zająć się kaczem Drożdza. Wystarczyło, że mag uściśnął jego dłoń na powitanie. Detoksykację z produktów przemiany alkoholu Gabriel potrafił przeprowadzać rutynowo. Za chwilę perkusista poczuje się jak nowo narodzony.

Wyjął z walizki ibaneza, podłączył kable i doregulował, co trzeba. Wypróbował kilka akordów, zaimprovizował krótką solówkę. Ostry dźwięk przejmująco zawibrował w powietrzu. Po kręgosłupie Gabriela przebiegł znajomy, przyjemny dreszcz.

Chcesz ze mną grać, Redfairy? Doskonale. Wiedz jednak, że to ja ustalam zasady.

– Dobra, chłopaki – odezwał się głośno. – Proponuję, żeby dla rozgrzewki zacząć od *Luthien*.

I raz, dwa...

There's a light in the woods

There's a house in the mist

Can you dance like no one could?

Can you guess what I've missed?

Follow me, dear

Let us steal together

The Silmaril

There's darkness in its light

Burning oath, blind to plight

Cold and dead iron crown

Never broken, always bound

Follow me, dear

Let us steal together

The Silmaril

Dance with me, break the curse

Of desire stained with blood

Dance with me, show your force

Hand in hand, side by side

Follow me, dear

Let us steal together

The Silmaril

Grali tak, jakby świat zaraz miał się skończyć, nie jak na próbie, ale na koncercie przed tysiącami widzów. Pochłonęło ich ekstatyczne natchnienie, bez reszty dali się porwać muzyce. Wypełniała ich serca, przenikała aż do kości. Od pierwszego uderzenia perkusji, poprzez wirtuozerskie solo po refrenie, spontaniczne improwizacje i sprzężenia w drugiej strofocze, aż po chropowatą harmonię finału, wszystko zabrzmiało perfekcyjnie.

Pozwolili wybrzmieć ostatnim akordom. Jeszcze drżały im ręce. Ogarniali spojrzeniami salę, jakby właśnie ocknęli się z transu.

Pierwszy odezwał się Mike:

– Jezuuu! Szkoda, żeśmy tego nie nagrywali!

– Może to i dobrze. – Seler potrzącił struny z rozmarzeniem. – Następnego dnia pewnie okazałoby się, że wyszła kiszka. A tak będzie co wspominać.

– *The best song in the woorld...* – zanucił Drożdzu.

Gabriel nie powiedział nic. Czekał cierpliwie, aż do bólu wyostrażając szósty zmysł. Redfairy musiałyby być z kamienia, aby zignorować tak oczywiste wezwanie. Lada moment zadzwoni do drzwi albo...

Najpierw na suficie pojawiła się ciemna, wilgotna plama. Drobne krople rosy formowały się na mokrym tynku i zbiegały ku sobie niczym kuleczki rtęci. Wreszcie jedna, ciężka kropla oderwała się od

sklepienia i poszybowała w dół.

Kap.

A potem następna.

Kap.

Kap.

W powietrzu rozszedł się subtelny, ledwie wyczuwalny zapach jeziora. Od uchylonych okien powiało chłodną bryzą, wzdęły się firanki, zadygotały talerze perkusji. Drożdzu niemal natychmiast odchylił się na krześle i zachrapał, pozostali wkrótce poszli jego śladem. Gabriel przymknął powieki w nagłym przypływie senności i zaraz otrząsnął się gwałtownie. Urok nie działał na niego; sądząc z natężenia magii, przeznaczono go zresztą dla zwykłych śmiertelników.

Pośrodku sali zmaterializowała się – a może skropliła – przezroczysta, obła sylwetka o seledynowej barwie jeziornej wody. Stopniowo przybierała ludzkie kształty; wyodrębniły się smukłe ręce i długie nogi, wyrzeźbiła się twarz, zaznaczyła talia. Po chwili przed Gabrielem stała Amanda Redfairy ubrana w seledynową, półprzezroczystą suknię. Jej ubranie i włosy ociekały wodą. Wyraźnie widział, że nie miała na sobie żadnej bielizny.

– Witaj, piękny – zamruczała. – Ach, wiesz, jak zwabić do siebie dziewczynę.

Gabriel wziął głęboki oddech. Jego puls przyspieszył. Nie strać głowy, tylko nie strać głowy, powtarzał sobie. Nie mógł jej pozwolić na użycie pełni możliwości. Musiał przeprowadzić swój plan do końca.

– Wzywałaś mnie zeszłej nocy – odezwał się ochryple. – Ale to ja zdecydowałem o miejscu i czasie spotkania. Przybywając tutaj, zgodziłaś się na uczestnictwo w mojej grze.

Modlił się do wszystkich znanych sobie mocy, aby Redfairy, rdzenna szkocka wróżka, przestrzegала praw baśniowej logiki.

– Gra. – Amanda uśmiechnęła się słodko. – Uwielbiam gry. Proszę, wyjaśnij zasady.

– To bardzo proste – zniżył głos do scenicznego szeptu. – Zatańczymy. Gonisz mnie, a ja uciekam. Nie wolno biegać ani używać magii. Jeżeli mnie złapiesz, wygrasz. Kto pierwszy zgubi rytm, przegrywa. Wygrany ma prawo do jednego życzenia.

Szmaragdowe oczy miss Redfairy zamigotały, wydawała się zachwycona. Gabriel wiedział, że spodoba jej się ten pomysł. Wszelkie ryzyko, gry, zagadki i zakłady doskonale wpisywały się w poetykę legend stanowiących istotę egzystencji szkockiej nimfy. Ponadto była pewna wygranej. Niezależnie od tego, ile po świecie krążyło legend o elfach okpionych przez ludzi, one zawsze były pewne wygranej.

Artysta pstryknął palcami. Za szklaną szybą w pokoju reżyserskim włączył się odtwarzacz płyt. Zabrzmiały pierwsze takty walca Straussa.

Gabriel pokłonił się w pas.

– *Shall we dance?*

Zaczęli tańczyć. Czujnie, ostrożnie, krok za krokiem. Redfairy przestrzegала reguł gry, nie używała swojej hipnotycznej magii. Była szybka i uważna. Bez ostrzeżenia zmieniała tempo, wirowała w piruetach i półobrotach. Próbowwała go zmylić, wytrącić z równowagi, oczarować. Gabriel nigdy nie spodziewał się, że dostanie łatwego przeciwnika. Wiedział, że musi wytrwać.

Powoli, z początku niemal niezauważalnie, melodia zaczęła przyspieszać. Takt za taktem. Kiedy stało się to oczywiste, w oczach Redfairy zabłysło zrozumienie. Zgodziła się na reguły Gabriela.

Zgodziła się tańczyć tak, jak on zagra.

Tupnęła z gniewem, nie gubiąc rytmu. Gabriel roześmiał się perliście. Uważaj, napomniiał sam siebie. Pojedynek jeszcze się nie skończył.

Teraz muzyka nagle stała się dwukrotnie głośniejsza, tylko po to, aby za chwilę ucichnąć niemal całkowicie. Redfairy drgnęła; zawahała się tylko przez ułamek sekundy, niewystarczający do utraty kontroli nad tańcem. Poczekaj, nimfo, myślał Gabriel. Przygotowałem tę płytę specjalnie dla ciebie.

Raz... dwa... trzy...

Wtem walc urwał się, zastąpiony przez głośny rock and roll. Raz, dwa, trzy, cztery.

Możliwe, że Redfairy nie zmieniłaby rytmu na czas. Możliwe, że zawahałaby się o jedną chwilę

za długo. Gabriel nigdy się tego nie dowiedział. Nagle zza przepierzenia, dzielącego od siebie główną salę i magazyn nieużywanych instrumentów, rozległ się donośny brzęk, a potem cały koncert sypiących się na ziemię ciężkich przedmiotów. Czar prysł bezpowrotnie.

Wróżka obrzuciła go wściekłym spojrzeniem.

– Tam ktoś jest! Co to ma znaczyć?

Wzruszył ramionami, zły na intruza, kimkolwiek by się okazał.

– Nie mam pojęcia, nikogo nie zapraszałem.

Redfairy wyciągnęła rękę w kierunku magazynu. Eunice Wight gwałtownym lotem wzniosła się nad przepierzenie. Patrzyła na nimfę z przerażeniem.

– Puszczaj! – zawołała, bezskutecznie szamocąc się w powietrzu.

Gabriel złapał się za głowę. Tego nie spodziewał się z całą pewnością. Czy Eunice w ogóle ma pojęcie, w co się wpakowała? Czyżby zamierzała przyjść mu z odsieczą, rzucając swoim harcerskim nożem?

Amanda przemieściła dziewczynę na środek sali i bezceremonialnie rozproszyła moc. Huknęło.

– Au! Kurwa, au.

– Czy wiesz – zapytała wróżka lodowatym tonem – co czeka niepowołanych, którzy przyglądają się tańczącej fae? Postanowiliście, że będziecie nas podglądać, tak? A może jeszcze nagrywać?

– Zostaw ją. – Gabriel błyskawicznie zasłonił dziewczynę. – To tylko zbieg okoliczności. Nie wiedziałem, że ona przyjdzie.

Amanda pobladła ze złości, aż nieliczne piegi na jej drobnym nosie stały się wyraźniejsze.

– Kłamiesz!

– Zostaw ją, wróżko. To prawda, że postąpiła nieroztropnie. – Z rogu sali dobiegł ich cichy głos. – Zwłaszcza przewracając perkusję.

Zza ciężkiej zasłony wyłonił się niezgrabnie Timothy Hawkins, jak zwykle wsparty o kule.

– Nietrudno się było domyślić, gdzie rozstrzygniecie tę sprawę – powiedział. – Zastanawiam się tylko, jak ty tutaj trafiłaś, Eunice. Czy rozgryzłaś działanie szafy teleportacyjnej?

– B... bagażnik. A potem weszłam oknem. Chciałam w razie czego dać znać Timothy'emu...

– Jak to, jechałaś w bagażniku?! – Gabriel osłupiał. – Jakim cudem tego nie zauważyłem?

– Już całkiem niezłe umiem ukrywać aurę...

– Dość! – wrzasnęła Redfairy, tupiąc bosymi stopami jak dziecko. – Dość, dość, dość! Wynoście się stąd wszyscy! Oprócz ciebie.

Odwróciła się do Gabriela, patrząc mu prosto w oczy.

– Ciebie zabieram. Na własność.

– Uprzejmie się nie zgodzę – odezwał się mrukliwy baryton.

W drzwiach do reżyserki stał wysoki mężczyzna w długim czarnym płaszczu. Trudno było stwierdzić, czy przed chwilą wszedł do studia, czy może od jakiegoś czasu czekał skryty w cieniach, za dźwiękoszczelną szybą. Znając Lloyda, obydwie możliwości wchodziły w rachubę. Gabriel zamrugał.

– *Et tu, Brute?* – zapytał. – Czy Weronika też tutaj przyszła?

– Nie – odparł Lloyd. – I ma pani szczęście, panno Redfairy, gdyż ona nie wahałaby się przed zakończeniem tego przedstawienia. Możecie wrócić do tańca zgodnie ze wszystkimi ustalonymi wcześniej regułami. Moi przyjaciele zaraz stąd wyjdą, prawda? – Spojrzał na Eunice. – Ale proszę przyjąć do wiadomości, że ja tutaj poczekam. I popilnuję.

– Wróć! – fuknęła wróżka, popatrując z ukosa na Gabriela. – Nie dla pana tutaj przybyłam i nie zamierzam tańczyć dla pańskiej przyjemności! Znajdę sobie inną okazję.

Piosenkarz przymknął oczy. Powróciło pytanie, które zadawał sobie przez cały ten czas. Dlaczego? Czy to przez jego totem, a może jego słabą wolę? Czy miał napisane na czole „ofiara”? Jakimi pokrętnymi motywami kierowała się szkocka nimfa, przybywając z tak daleka?

– Dlaczego akurat ja, Redfairy?

Spojrzała na niego wyraźnie zaskoczona pytaniem.

– Jesteś najpiękniejszym ze śmiertelnych mężczyzn – odrzekła z przekonaniem. – Masz

niezwykły głos. Pomyślałam, że warto spróbować. Czy może istnieć jakiś lepszy powód?

Gabriel na chwilę zamarł. A potem wybuchnął histerycznym śmiechem. Śmiał się do rozpuku, aż rozboleła go przepona, a z oczu pociekły łzy. Czyli rzeczywiście była po prostu natrętną, nadgorliwą, nadnaturalną groupie. Wszystko inne działo się tylko w jego wybujałej wyobraźni. Nie wyglądał na ofiarę. To nie była jego wina. Ale ona, oczywiście, nie powinna go uwodzić za sprawą nadnaturalnych mocy i tym samym wymuszać jego zgody. To również było złe, tak jak postępowanie Jeana.

Gabriel doszedł do wniosku, że wodnej nimfie należy się nauczka.

– Najpiękniejszym... Lubię tak o sobie myśleć – wykrztusił wreszcie. – Ale prawda, madame, jest zupełnie inna. – Pstryknął palcami. W całej rezydencji zgasło światło. W ciemnościach dało się dostrzec zaledwie zarys jego sylwetki. – Tak właśnie – zachrypiał zniekształconym głosem – wyglądam w rzeczywistości, bez pomocy magii. – Światło się zapaliło. Pośrodku sali stał niski, łysiejący mężczyzna pod pięćdziesiątkę, z grubymi szklami na nosie i w niedopasowanym garniturze. – Koniec czarów – oznajmił. – Koniec iluzji. Czas zapłakać nad szarością zwyczajnego życia.

Eunice wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczami. Timothy, który nie mógł obserwować sceny jak należy, węszył magię w powietrzu; Lloyd zdawał się nieporuszony.

Redfairy wydała z siebie dziwny dźwięk, ni to okrzyk, ni to pisk, jakby czymś się zakrztusiła. Wetknęła pięść w drobne usta, cofnęła się o krok. Stopniowo przybrała półprzejrystą, wodną formę, przeistoczyła się w obłok mgły, a potem rozviała na dobre. Pozostały po niej tylko wilgotne plamy na parkiecie.

Znów zgasło światło, a kiedy wróciło, Gabriel z powrotem był zwykłym, pięknym sobą.

– *Et voilà* – powiedział. – Kurtyna.

Eunice otworzyła usta i zaraz je zamknęła. Pokręciła głową.

– Czyli jak, nie rozumiem – powiedziała cicho. – Nie mogłeś po prostu jej odmówić?

Wzruszył ramionami.

– Magia za magię – powiedział. – Nie powinna grać nieczysto. Niech istoty z legend też przyjmą do wiadomości, że ludzie to nie zabawki i mogą się odplacić.

– Kiedy ochłonie, zrozumie, że wystrychnąłeś ją na dudka. – Lloyd z westchnieniem pokręcił głową. – Może wrócić.

Piosenkarz napuszył się, odrzucił złote pukle z ramion.

– Niech wraca! Zobaczymy, kto kogo będzie uwodził.

– Chciałbym wiedzieć – sarknął Timothy. – Co takiego właściwie zrobiłeś? Zmieniłeś postać, ale na jaką?

– Ach, taka tam improwizacja – powiedział Gabriel z nutką fałszywej skromności. – Choć muszę przyznać, że wzorowałem się na Woodym Allenie.

Kiedy muzycy Neverlandu ocknęli się ze snu, magowie udawali, że właśnie przyszli w odwiedziny. Ze skrzynką dobrego wina. Skrzynka wina niewątpliwie odwracała uwagę od kilku kłopotliwych szczegółów, na przykład od wilgotnej podłogi albo tego, że nikt nie wiedział, gdzie podziało się cenne pół godziny czasu próby.

Resztę wieczoru spędzili na popijaniu i pogawędce. Opowiedziano sporo głupich dowcipów, ponarzekano na polityków, wysunięto parę domorosłych teorii filozoficznych. Do grupy przyłączył się także właściciel studia. Jak impreza, to impreza; Neverland i tak płacił za swój czas. Tylko Eunice czuła się zawiedziona: pilnowano, aby nie wypila zbyt wiele.

Misterny plan Gabriela nie został doprowadzony do końca, ale teraz to już nie miało żadnego znaczenia. Dawne traumatyczne przeżycia wydawały się zamierzchną przeszłością; chociaż zarówno Jean, jak i Redfairy czerpali przyjemność z posiadania ludzi na własność, obydwa przypadki były całkiem różne. Nie można dwa razy wejść do tej samej rzeki. Kiedy powtarza się historia, to tylko z powodu samospelniających się przepowiedni. Minęło tyle lat. Gabriel wydorósł. A przynajmniej tak sądził.

Kilka dni później Weronika wyjęła pocztę ze skrzynki i zdumiała się niezmiernie na widok zaadresowanej do Gabriela zdobionej koperty w kolorze lilaróż. Wszystkie listy od fanek przychodziły zwykle na adres biura Neverlandu. Ten chyba należało dostarczyć do rąk własnych.

Gabriel rozpakował kopertę pod ostrzałem ciekawych spojrzeń Eunice, Weroniki, a nawet Lloyda – chociaż szermierz udawał, że nie jest zainteresowany taką błahostką. Artysta rozwinął pachnący lawendą list i parsknął śmiechem. Postanowił odczytać go na głos, co wyraźnie ucieszyło Timothy'ego.

Cześć, Piękny Gabrielu!

Okpiłeś mnie dwukrotnie. Jestem pełna podziwu. Razem z moimi siostrami z Loch Lomond postanowiłyśmy nadać Ci tytuł honorowego Sidhe. Do następnego zobaczenia.

Buziaczki!

Twoja Red

Honorowy Sidhe? Twoja Red!? Postanowił, że nie będzie się tym chwalił przed całym magicznym światem...

...No, może tylko od czasu do czasu.

Światło i cień

Skąpiana w żółtym świetle gazowych lamp ulica wydawała się cicha i spokojna. Ciężkie krople listopadowego deszczu gęsto rozpryskiwały się o bruk. Ostatnie okna zgasły kilka godzin temu. Przykładni obywatele Farewell od dawna leżeli w łózkach pogrążeni w głębokim, niewinnym śnie.

Tylne drzwi narożnej kamienicy uchyliły się dyskretnie. Pierwszą rzeczą, która wyłoniła się na zewnątrz, był męski jedwabny parasol. Tuż za ręką trzymającą kościany uchwyt wychynęła głowa w kapeluszu. Młody mężczyzna zerknął w prawo i w lewo, następnie z najwyższą ostrożnością wymknął się na ulicę i znów rozejrzał bardzo uważnie.

– Czysto, panie prezesie! – szepnął nagłaco. – Proszę, pan pozwoli za mną.

Zza drzwi dał się słyszeć damski chichot i nieco bełkotliwy, niski głos.

– Cisz... ciszej, duszk...ko, kwwwiatuszku. Ja cc...ciebie barrrdzo proszę.

– Och, Trevorze. – Kobieta wybiegła wprost na deszcz, zawirowała w tanecznym piruecie. Długi szal z gronostajów zsuwał się jej z pleców, jakby lada chwila miał spaść na ziemię. – Wspaniały wieczór! I ta obława! Och, jestem taka podekscytowana!

Tłusty, spocony prezes wytoczył się chwiejnie na zewnątrz, podpierając ręką ścianę.

– Jesztes słodka jak cukierek, ale b...bądź cicho. Ja mam potem pła...płacić łapóffffki... James...

– Automobil czeka tuż za rogiem, panie prezesie – oświadczył usłużnie młody mężczyzna. – Proszę, niech państwo schowają się pod parasolem.

– A ja nie chcę! – zawołała kapryśnie kobieta. – Ja wolę deszcz. La... la, la, la...

– Słodka szpio... czpio... trzpiotka. Prawda? Prawda, James?

– W rzeczy samej, panie prezesie.

Cała trójka powoli ruszyła przed siebie. James wciąż rozglądał się czujnie. Właściwie nie powinien obawiać się policji – tajne przejście z baru The Fedora Club prowadziło przez dwa budynki i było trudne do odkrycia. Założywszy, że policjantom w ogóle zależałoby na odnalezieniu przejścia i likwidacji spelunki. W wyniku niepisanej umowy naloty organizowano jedynie raz na jakiś czas, a następnie pozwalano klubowi odrozić się do poprzedniej świetności. Dochód z łapówek przedstawiał się całkiem pokaźnie. A gdyby całkiem odebrano miejskiej elicie napoje wysokokowe, pewne wysoko postawione osoby mogłyby poczuć się urażone.

Natknięcie się na patrol z całą pewnością zepsułoby jednak humor panu prezesowi. Tego zaś bezwzględnie należało unikać.

Bruk lśnił od deszczu, długie cienie kładły się na wąskiej uliczce. Stukot obcasów i podniesione głosy dwojga ludzi niosły się echem między budynkami. Chociaż mieli do przebycia niedługą drogę, Jamesa zaczął ogarniać lęk. A jeżeli w bramie zaczęli się bandyci...? To prawda, że w tej dzielnicy rzadko zdarzały się napady... i że nie wolno wierzyć we wszystko, o czym piszą w gazetach... ale jednak...

Pan Trevor przystanął, potknąwszy się o własne lakierki.

– Sssa... zaczekaj – sapnął. – Muszę... złapać oddech.

Kiedyś James miał już przyjemność nieść pracodawcę do samochodu. Nie zamierzał powtarzać tego godnego pożałowania doświadczenia.

– To już niedaleko, panie pre...

Nigdy nie dokończył zdania.

Pod ścianą kamienicy jeden z cieni poruszył się nagle. Cichy świst przeszył powietrze. Prezes opadł na kolana, a jego głowa, gładko odcięta od ciała, potoczyła się po kamieniach jak piłka. Krew rozlewała się na bruku, spływała rynsztokiem, mieszając się z deszczem. Kątem oka James dostrzegł jeszcze rąbek płaszcza, znikający w bramie.

Kobieta wydobyła z siebie wysoki, świdrujący wrzask. Nie przestała krzyczeć nawet wtedy, gdy na ulicy zjawili się policjanci.

Orkiestra leniwie przygrywała bluesa. Platynowa blondynka stąpała po oświetlonych reflektorami schodach, śpiewając dobrze znany Takedzie standard. Głos miała przeciętny, ale w Koh-i-noor liczyły się raczej inne atuty. Te zaś wyglądały pierwszorzędnie: szansonistka kołysała krągłymi biodrami sugestywnie jak sama bogini płodności.

Kabaretowy klub retro. Zważywszy na swoje poprzednie doświadczenia, Ichiro Takeda prędeż spodziewałby się podłej speluny ze stroboskopami i muzyką techno. Odkąd przybył z Jokohamy, zdążył odwiedzić takie miejsca, jakie mogły się przyśnić w najgorszych koszmarach. Ostatecznie informacja, której szukał, nie okazała się trudna do zdobycia. Należało tylko wiedzieć, kogo pytać.

Pewna myśl nie dawała mu jednak spokoju. Coraz bardziej obawiał się, że zło, które tropi, odcisnie w końcu na nim swoje piętno. Nie sposób przecież grzebać w bagnie i nie ubrudzić sobie rąk. Dlatego, kiedy wreszcie wyciągnął od starego odszczepieńca wszystkie dane, jednym cięciem miecza odesłał mrocznego maga z powrotem do piekła.

Wierzył, że spełniając dobre uczynki, zachowa niezbędną równowagę.

Siedział teraz w klubie, w którym wedle zapewnień starego zbierała się sama śmietanka magicznego Farewell, i uważnie obserwował otoczenie. Do tej pory zdążył się zorientować, że klientela rekrutowała się przeważnie spośród zwykłych ludzi. Dostrzegł tylko przy barze dwóch mężczyzn emanujących chłodną energią nieumarłych i latynoską piękność, której aura nie przypominała niczego, co znał. Żadnych magów. Nie musieli jednak codziennie bawić w klubach, prawda? Po chwili uznał, że to nawet lepiej. Nie chciałby stanąć z nimi twarzą w twarz bez przygotowania.

Dziewczyna przy barze odstawiła koktajl na blat i skierowała się w jego stronę. Dreszcz niepokoju przebiegł Takedzie po grzbiecie. Piękna Latynoska poruszała się jak urodzony drapieżca; Ichiro miał oko do takich szczegółów. Powinien zachować najwyższą ostrożność.

Wstał od stolika, uklonił się lekko i poczekał, aż wyciągnie rękę na powitanie.

– Witam pana w naszym mieście – odezwała się głębokim, przyjemnym altem. Była znacznie wyższa od niego i Takeda musiał zadzierać głowę, aby patrzeć na jej twarz. – Panie...

– Ichiro Takeda z Nowego Jorku.

Nie musiał wyjawiać, skąd pochodzi naprawdę. A jeżeli kobieta pozostawała w bliskim kontakcie z poszukiwanym? Nigdy nic nie wiadomo.

– Bardzo mi przyjemnie. Angela Esperanza Morales.

Machinalnie odgarnęła długie, czarne włosy. Dopiero teraz dostrzegł, że jej źrenice – w minimalnym, ale wciąż w dostrzegalnym stopniu – były podwójne. Sukub! O, jasna cholera.

Uklonił się głębiej. Żywił płonną nadzieję, że nie dostrzegła jego zdenerwowania.

– Jestem zaszczycony – powiedział.

– Proszę wybaczyć, że przerywam panu rozrywkę. – Ruchem głowy wskazała kobietę na estradzie. – Ale mój przełożony nalega na spotkanie. Proszę na zaplecze.

Ichiro Takeda ruszył za nią, lawirując między stolikami. Miał bardzo nieprzyjemne przeczucie, że właśnie włazi w gniazdo os. Plotka głosiła, że w Farewell nie przestrzega się żadnych reguł, ale kimże jest człowiek, który zatrudnia sukuby? Może to prawda, że miasto zamieszkuje aż tylu czarodziejów... dziesięciu? Jedenastu? Różnie mówiono. Do tej pory nie wierzył w takie pogłoski. W samym Tokio, w całej trzydziestomilionowej aglomeracji, mieszkało ich zaledwie sześcioro. Z tej nielicznej grupki troje przez większość czasu przebywało w Lustrzanym Zamku.

Pokój na zapleczu urządzono luksusowo, z parkietem lśniącym jak lustro, miękkimi skórzanymi kanapami i stołem bilardowym pośrodku. Nad stołem pochylał się smukły latynoski dandys w szarym garniturze i z brylantowym kolczykiem w uchu. Zdawało się, że nie zauważył ich wejścia. Nawet nie mrugnął; nadal z uwagą celował kijem w bilę. Przymierzył się jeszcze raz, zmrużył oko, uderzył z profesjonalną wprawą. Puk, puk, puk. Trzy kule naraz potoczyły się do kieszonek.

Dandys uniósł głowę i powoli odsłonił zęby w grymasie, który w równym stopniu był uśmiechem, jak groźbą. Ichiro Takeda dostrzegł jego wydłużone, ostre jak szpile kły.

– Powiadomiono mnie już o pańskim przybyciu, panie Takeda. – W jego głosie dzwięczała nutka drwiny. – Serdecznie witam pana w moim lokalu. Nazywam się Julio Vicente de Toledo del Niebla.

Mawiają na mnie Julius. Dla pana – señor Julius.

Ichiro Takeda przełknął ślinę. Od kiedy go śledzono? Czy jego kroki z rozmysłem skierowano w to miejsce? Nie wolno ufać wampirom, a zwłaszcza takim, które zdają się przyjazne. Co tak naprawdę knuł ten krwio pijca?

Japończyk zacisnął zęby. Nieważne. Jeżeli dzięki temu sprawiedliwości stanie się zadość, wejdzie w pakt nawet z samym diabłem.

– Słyszałem, że spotkał się pan ze starym Mustafą – ciągnął wampir, spokojnie przymierzając się do bili. – Biedny chudzina. Jakże wyniszcza takie wzywanie demonów, nieprawdaż? Zawsze byłem zwolennikiem rozsądnej... eutanazji.

Angela Esperanza dygnęła jak na umówiony znak i dyskretnie opuściła pokój. Ichiro Takeda znalazł się sam na sam z Julusem, nie wiedział jednak, który z nich miał w tej chwili przewagę.

– Señor nie jest pierwszym wampirem, z którym mam do czynienia – rzekł, prostując się na baczność. – Nie dam się zastraszyć.

De Toledo od niechcienia pocierał czubek kija bilardowego kredą.

– Ależ czy ja próbuję pana zastraszyć, panie Takeda? – zapytał z udawanym zdumieniem. – Och, jakie to rozczulające. Widać reputacja działa przeciwko mnie nawet wtedy, gdy jestem wcieleniem łagodności. Z całego serca pragnę pomóc, panie Takeda. Rozmawiajmy jak... równy z równym.

Japończyk poczuł, jak cierpnie mu skóra. Równy z równym! Co za obrzydliwa potwarz! A może Julius... miał na myśli co innego? Może chciał zrobić z niego wampira?

– Nie tknę pana nawet palcem – kontynuował Julius, niemal natychmiast rozwiewając jego podejrzenia. – Nie zamierzam pana do niczego nakłaniać ani niczego sugerować. Potrzebuje pan szczegółowych informacji o pewnym człowieku, a ja jestem gotów udzielić ich za darmo. Ufam, że okażą się przydatne. – Odsłonił bielutkie kły. – Bardzo przydatne.

Wiatr niespokojnie targał ogołoconymi z liści gałęziami starych jabłoni. Wiekowa rezydencja, zwana przez jej mieszkańców Domem Wschodzącego Słońca, wydawała się dziwnie obnażona o tej porze roku. Jabłoniowy sad, latem zaniedbany i gęsty jak amazońska dżungla, teraz straszyl widokiem poskręcanych, czarnych konarów. Różane krzewy przeistoczyły się w kępy suchych badyli. Zwiędły bluszcz odsłaniał szare, kamienne ściany, oblażące z farby balustrady i zamknięte na głucho dębowe okiennice.

Drzwi do garażu podniosły się ze zgrzytliwym dźwiękiem. W senną, podmiejską atmosferę wdarł się głośny warkot motocyklowego silnika. Dobiała siódma; o tej porze w piątkowe wieczory szermierz Lloyd Dark wybierał się do pracy w studenckim klubie Syriusz.

Ciężkie krople deszczu z monotonną regularnością bębniły w lśniącą, czarno lakierowaną blachę. Zabytkowy harley maga szermierza robił wrażenie zarówno na laikach, jak i na starych motocyklowych wyjadaczach. Był to klasyczny krążownik szos, model produkowany we wczesnych latach sześćdziesiątych. W miejskich warunkach kto inny wybrałby maszynę mniejszą i szybszą, ale Lloyd, który miał przecież blisko dwa metry wzrostu, cenił sobie komfort jazdy. Osiąganie odpowiedniego przyspieszenia nie stanowiło dla maga żadnego problemu. Wskutek długotrwałej pielęgnacji, z pomocą magii oczywiście, motocykl szermierza dysponował wieloma niezwykleymi właściwościami.

Przemykał po ulicach szybko niczym duch epoki swobodnych jeźdźców. Tak samo jak auto Gabriela, w razie potrzeby mógł stać się całkowicie niesłyszalny i niewidoczny. W razie potrzeby potrafił podróżować bez kierowcy i niczym wierny rumak przyjeżdżać na zawołanie. Prawdę mówiąc, mag nieczęsto korzystał z tej możliwości. Pojazdy, które poruszały się z własnej inicjatywy, wzbudzały nerwowość w postronnych obserwatorach.

Mokre liście lepiły się do opon, wszechobecny zapach ziemi nasiąkniętej listopadowym deszczem unosił się w wilgotnym powietrzu. Lloyd otworzył bramę, wrócił do swojego harleya i uruchomił go, z zadowoleniem wsłuchując się w znajomy dźwięk pomruku silnika. Potężny snop światła reflektora zabłysł jasno niczym blask czarodziejskiej różdżki, ukazując pozołkłą trawę

i pogrążone już w zimowym letargu krzewy. Jak co wieczór mag opuszczał bezpieczny azyl zwany Domem Wschodzącego Słońca.

Nocne miasto wzywało go z nieodpartą siłą.

Po zmroku życie w miastach nie gaśnie, lecz koncentruje się na niewielkich przestrzeniach wokół ciepła i światła. Tysiące lat temu, zanim jeszcze powstały pierwsze osady, ludzie zbierali się wieczorami przy ogniskach, tańcem i gawędą odstraszać to, co czyhało na nich w ciemnościach. Istnieją plemiona, które postępują tak do dziś.

Trudno stwierdzić, czy nocne zabawy w klubach są choćby w niewielkim stopniu pozostałością pradawnych plemiennych rytuałów. Ludzie znakomicie opanowali światło i przez większość czasu trwają w złudzeniu, że na dobre oswoili mrok. Po ciężkim dniu pracy tańczą w feerii stroboskopowych barw, gromadzą się w knajpach albo w swoich ciepłych domach. Czują się bezpiecznie, ale w gruncie rzeczy są więźniami. Niewielu z nich odważyłoby się spacerować bocznymi ulicami po zmierzchu. Chociaż we współczesnych miastach nie ma już prawdziwych ciemności, nigdy nie wiadomo, co skrywają cienie.

Lloyd Dark od dziesięcioleci prowadził nocny tryb życia. Miasto potrzebowało kogoś takiego jak on. Znał tutaj każdy lokal i każdą niebezpieczną uliczkę. Nie obawiał się ani przestępców, ani miejskich drapieżników – to jego się obawiano. Dla jednych pogromca, dla innych obrońca, był doskonale znany nadnaturalnym mieszkańcom Farewell. Z czasem nawet wśród zwykłych ludzi powstała mglista miejska legenda o tajemniczym samuraju motocyklicście. Mimo charakterystycznego wyglądu Lloyd nie zapisywał się trwale w pamięci śmiertelników. Jeżeli nie rozmawiali z nim codziennie, zapominali o nim niezwykle szybko; chociaż żył więc w mieście od początku lat dwudziestych, wciąż pozostawał anonimowy. Nieuchwytny jak cień.

Szermierz nie odwiedzał jedynie północnej dzielnicy, zwanej Rynsztokiem. Na mocy traktatu pokojowego między wampirem Juliusem a magami z Farewell spośród czarodziejów tylko Weronika miała prawo przebywania w tym rewirze.

Praca w Syriuszu miała swoje zalety. Przede wszystkim często widywał tutaj znajome twarze, nie sposób przecenić roli dobrej miejskiej plotki, poza tym klub zamykano stosunkowo wcześnie – o pierwszej nad ranem. Dzięki temu resztę nocy Lloyd mógł poświęcić patrolowaniu miasta. No i była jeszcze Elise, piegowata barmanka o bystrym umyśle, wydatnym biuście i z lekką domieszką krwi ludu Bast. Szermierz na razie utrzymywał z nią tylko przyjacielskie relacje. Z bliżej nieokreślonych przyczyn kobiety, z którymi wiązał się na dłużej, niebezpiecznie często okazywały się toksycznymi femme fatale. Może jego uzależnienie od mocnych wrażeń dawało o sobie znać przy wyborze damy serca? Tym razem nie spieszył się więc i czekał na rozwój sytuacji, być może krok z jej strony.

Betonowy parking na zapleczu klubu zmienił się w jedną wielką kałużę. Lloyd Dark podjechał ostrożnie pod blaszany dach i zaparkował na chodniku, obok pustego stojaka na rowery. Deszcz grał na zardzewiałej blasze jak na bębenu. Szermierz otrząsnął się z wody, zdjął kask, rękawice i ochraniacze. Następnie ściągnął z pleców katanę, prócz zwykłych zabezpieczeń dokładnie owiniętą w folię. Na razie nie przypinał miecza do pasa – i tak musiał przebrać się z nieprzemakalnego kombinezonu w służbowy uniform.

Mag nigdy nie rozstawał się ze swoją kataną. Oczywiście, czasami musiał w związku z tym tłumaczyć się postronnym. Niekiedy uciekał się do sugestii telepatycznej, aby ten i ów przeszedł do porządku dziennego nad obecnością miecza. Takie drobne niewygody nie zrażały go jednak. Przeciwno większości istot nadnaturalnych skuteczna była tylko broń biała. Wobec zwykłych ludzi nie używał ostrza, chyba że w charakterze straszaka.

Pozostali ochroniarze, kilku roślących mężczyzn i dziewczyna, już się przebierali w szatni. Lloyd usiadł na sfatygowanej ławce i zaczął zdejmować motocyklowy kombinezon. Sprawdził działanie służbowej krótkofalówki. Nie ufał nowoczesnej technice; została stworzona chyba specjalnie po to, aby wywoływać ból głowy. Najnowsze wynalazki mrugały, pikały i ciągle domagały się uwagi. Szermierz

tolerował stare, dobre krótkofale, ale na telefon komórkowy nie miał zamiaru się zdecydować.

Janice, jedyna kobieta w załodze, właśnie chowała do szafki codzienną elegancką sukienkę. Miała już na sobie mundur; nie przeszkadzało jej, że dzieliła szatnię z mężczyznami. Podobno pracowała wcześniej w policji, w wydziale do spraw przestępczości zorganizowanej. Nie lubiła o tym wspominać, co kazało Lloydowi przypuszczać, że zrezygnowała z pracy nie z własnej woli i w niezbyt fortunnych okolicznościach. Szanowali się nawzajem, ale nie nawiązali żadnych kontaktów poza zawodowymi. Teraz Janice pozdrowiła go krótkim mruknięciem.

– Dobry wieczór – odparł machinalnie. – Pogoda pod psem, nieprawdaż?

– W rzeczy samej, proszę szanownego pana. – Chyba przedrzeźniała jego akcent, ale nie umiał tego stwierdzić. – Ach, zapomniałabym. Chciałabym cię dzisiaj prosić o przysługę. Mówiłam już Stevenowi, ale z nim to wiadomo – jednym uchem wlatuje, drugim wylatuje.

– Cały zamieniam się w słuch.

– Mamy nowego. Niejaki Darren. Chłop jak dąb, ale zdaje mi się, że nie ogarnia. Idź dziś do niego na bramkę i przypilnuj go trochę, niech się wdroży.

Lloyd skinął głową. Myślami nadal znajdował się na ulicach miasta, tropiąc istoty nadnaturalne, które zagrażały jego mieszkańcom. Czas na powrót do rzeczywistości, napomniał się w duchu. Jesteśmy tu z Janice dwójką ochroniarzy o najlepszych kwalifikacjach i najdłuższym stażu.

– Nie ma sprawy – powiedział.

Poprawił jeszcze katanę przy pasie – starannie zamaskowaną magią. Dawno minęły czasy, gdy jego umiejętności służyły możliwym w Nowym Orleanie, kiedy strzegł kreolskich dam na wystawnych balach przed złodziejami brylantów i szmaragdów. Teraz pilnował studentów na połowinkach. Ale nie tęsknił już do tamtych lat.

Ogarnęła go niemal namacalna fala dźwięku. Parkiet pulsował pod nogami, rytm perkusji nadawał ton uderzeniom serca. Reflektory przez chwilę drażniły oczy, przyzwyczał się jednak szybko. Ozdobiona artystycznym graffiti sala była jeszcze prawie pusta. Gościnnie zespół miał zjawić się w klubie dopiero za godzinę. Do tego czasu muzykę odtwarzano z płyt.

Koszmarne sny i drżące dłonie

Każda łyżka stawy to śmiertelna trucizna

Nie zabije cię od razu

Nie zabije cię od razu

Pozwoli – pozwoli – umierać powoli

Lloyd przypomniał sobie, kiedy Gabriel komponował ten kawałek. Tekst powstał jeszcze dla Metamorfów, ale wtedy piosenkarz uznał piosenkę za zbyt mocną jak na zespół glamrockowy. Opowieść o mieście po katastrofie ekologicznej okazała się jednak w sam raz dla kapeli Neverland. Piosenkarz uważał, że o takich tragediach powinno się zawsze pamiętać ku przestrodze ludzkości.

Bardzo źle się dzieje

W miasteczku Minamata

Fabryki pracują

Chorzy leżą na matach

Kilkoro studentów skakało z zapalem pośrodku sali, inni przycupnęli na taboretach przy barze, w strefie piwa. Lloyd wątpił, czy ktokolwiek z nich zadał sobie trud, aby poznać historię miasteczka Minamata. Ludzie nie tylko mieli krótką pamięć, o pewnych rzeczach po prostu nie chcieli wiedzieć.

Starzy ludzie nie wstają już z łóżek

W żyłach małych dzieci płynie srebrna śmierć

Nie zabije ich od razu

Nie zabije ich od razu

Pozwoli – pozwoli – umierać powoli

Z drugiej strony jednak nie ma nic gorszego niż ciągle katowanie się przeszłością, myślał Lloyd. Wznoszenie cierpienia na spiżowe piedestały jest szkodliwe; zamyka wspomnienia w rytualnym błędnym kole. Ta sama prawda dotyczy prywatnych historii. Samobiczowanie odbiera nadzieję na przyszłość. Nie pozwala zbliżnić się ranom, złożyć porzucanych fragmentów życia w jeden spójny obraz. Trzeba wiele czasu i wysiłku, aby przyjąć pokiereszowany życiorys z całym dobrodziejstwem inwentarza i zacząć żyć dalej. Chcąc przetrwać, należy pamiętać o tym, co było, ale przede wszystkim myśleć o tym, co będzie.

Bardzo źle się dzieje

W miasteczku Minamata

Tu nawet kot

Tu nawet kot

Nie może ustać na czterech łapach

W tej chwili na przykład przede wszystkim liczyło się bezpieczeństwo klubu. Kierując się w stronę bramek, Lloyd mimowolnie obserwował otoczenie. Już jako dziecko wyrobił sobie pewien specyficzny sposób patrzenia. Większość ludzi spogląda prosto przed siebie i widzi tylko to, co wydaje im się ważne. Podobnie jak na fotografii portretowej – istotny jest pierwszy plan, tło rozmywa się w bliżej nieokreśloną mozaikę szczegółów. Dla odmiany Lloyd wyławiał z tła nawet pozornie nieznaczące drobiazgi. Miał doskonale podzieloną uwagę. W ciągu tych kilku sekund, kiedy szedł w kierunku głównego wejścia, zdążył przyjrzeć się wszystkim twarzom po drodze i ocenić ich właścicieli jako niegroźnych. Dostrzegł także między innymi rozlane piwo na stoliku numer trzy, samotną butelkę pod betonowym filarem oraz ćwierć dolara w jednej z popielniczek. Żadna z tych rzeczy nie przykuła jego spojrzenia na dłużej niż ułamek sekundy.

Tym, co zwróciło pełnię jego uwagi, było natomiast widoczne zamieszanie przy bramce.

Błyskawicznie roztrzącił gapiów i jednym rzutem oka ocenił sytuację. Barczysty, łysy facet szamotał się wściekle z nowym ochroniarzem. W prawej ręce agresora błyszczał nóż.

Lloyd zareagował natychmiast. Założył łysolowi fachową dźwignię na łokieć, wytrącił go z równowagi i posłał z hukiem na posadzkę. Nóż z brzękiem uderzył o podłogę. Szermierz bezzwłocznie unieruchomił napastnika i zakuł w kajdanki.

– Zabierz nóż i wezwij pozostałych, Darren – powiedział.

– Nie! Nie trzeba! – jęczał łysol. – O Boże... Ja już nie będę!

Mag nie musiał uciekać się do pomocy telepatii, aby uwierzyć w czystość intencji mężczyzny. Obezwładniony nieszczęśnik, chociaż wyglądał na zaprawionego w bójkach, odchodził od zmysłów ze

strachu. Bez wątplenia znajdował się pod wpływem alkoholu, może nawet w grę wchodziły inne substancje.

Tymczasem dookoła powstawało zbiegowisko. Ludzie przepychali się wzajemnie, pragnąc uzyskać jak najlepszy widok. Wielu z nich trzymało w dłoniach telefony – takie nowoczesne, duże, którymi można robić fotografie. Zapewne gdyby komuś wypruto flaki, także znaleźliby się chętni obejrzenia jatki, pomyślał Lloyd ponuro. Ludzka natura jest niezmienna.

Niemal odruchowo sięgnął myślą po swój totem. Istniały powody, dla których nie opisywano działania magii w gazetach internetowych, czy jak to się teraz nazywało. Bardziej niematerialne przejawy mocy były niewidzialne dla śmiertelników. Inne, te namacalne, jak destrukcyjne działania istot nadnaturalnych – albo sam widok potworów – zacierają się szybko w ich pamięci, a ich miejsce zajmowała racjonalizacja. Powszechnie nazywano to zjawisko zasłoną, od określenia z filozofii indyjskiej „zasłona mai”. Ale dla Lloyd’a nawet ukrywanie własnego istnienia przed obserwatorami i obiektami kamer stanowiło drugą naturę. Nie bez przyczyny był Szermierzem Cienia.

I tym razem jego cień również osnuł pomieszczenie. Światłówki w klubie zamigotały tylko przez chwilę, ale wszystkie zdjęcia czy też filmy nakręcone w obecności starego maga straciły ostrość, oświetlenie lub po prostu znikły z kart aparatów. Szermierz nie zepsuł tylko monitoringu, potrzebował nagrań, które zrobiono, zanim doszło do interwencji.

– Proszę nie blokować przejścia – odezwał się donośnie. – Niechże państwo się zdecydują, czy chcą wejść, czy wyjść.

Poskutkowało natychmiast, Lloyd emanował autorytetem. Tłum rozpraszał się powoli, młodzież wracała do stolików i do kolejki. Szermierz pozwolił mężczyźnie wstać, ale wciąż przytrzymał jego ramię w żelaznym uścisku.

– Szacun, stary. – Darren popatrzył na szermierza z podziwem. – To było naprawdę kozackie.

Lloyd Dark przyjrzał mu się bardzo uważnie. Nowy ochroniarz miał szeroki kark, małe oczka i oblicze nieskażone głębszą myślą. Wyhodowany na sterydach, bez dwóch zdań.

– Darrenie, spójrz na niego. – Nie zwalnając uchwytu, Lloyd obrócił mężczyznę w kierunku swojego współpracownika. – Ogolona głowa, rozbity łuk brwiowy, wojskowy przydziewek. Ten człowiek stara się dać do zrozumienia całemu światu, że jest w każdej chwili gotów do walki. Widzisz?

– Yhy.

– To raz – rzekł mag. – Z daleka czuć od niego alkohol. To dwa. Może być skłonny do zaczepek. Zamiast grać bohatera, obserwuj, przeszukuj, a nade wszystko zawczasu wzywaj wsparcie. Dobra interwencja to brak interwencji, jasne?

– Spoko. – Darren skinął głową z powagą. – Szafa gra.

– Cieszę się, że doszliśmy do porozumienia.

– Ej, słuchaj. – W oczach ochroniarza pojawiło się coś na kształt olśnienia. – Ty jesteś tym Brytolem, no nie?

– Anglikiem – poprawił szermierz sucho.

– Nie chciałem cię obrazić. Mój dziadek też był Bryt... Anglikiem – zaplątał się Darren. – Nazywałeś się Lloyd Dark, no nie?

– Tak, to ja.

Nazwisko miał wypisane na identyfikatorze, ale Darrenowi dopiero poniewczasie przyszło do głowy, aby je przeczytać.

– Mam dla ciebie list. – Wręczył mu białą kopertę. – Dostałem od jednego gościa przed klubem.

Mówił, że pilne.

– Tak?

Mag zmarszczył brwi, oglądając list. Miał przed sobą anonimową przesyłkę zaadresowaną do niego. Drobne zakłęcie, wystosowane w celu sprawdzenia zawartości koperty nic mu nie powiedziało. Została zabezpieczona przed magią i odkrycie tego sprawiło, że w umyśle Lloyd’a zapaliły się wszystkie lampki alarmowe.

– Nie przedstawił się może? Jak wyglądał?

– No, jak Japończyk. Mały i ze skośnymi oczami.

Boże, ty słyszysz i nie grzmisz, pomyślał szermierz, wbijając spojrzenie w sufit. Kto dał temu idiocie licencję? Musi wezwać Janice, ona ma znacznie więcej cierpliwości. Ponadto pozostaje jeszcze sprawa listu, to rzeczywiście może być ważne.

– Puść mnie... proszę – jęknął tymczasem więzień. – Ja chcę do domu...

– Oczywiście. – Lloyd skinął głową. – Umożliwię to panu z największą przyjemnością.

Wyszedł tylnymi drzwiami na osłonięty blaszanym dachem betonowy podest. Możliwe, że wykazywał nadmierną ostrożność, ale nie zamierzał otwierać koperty wewnątrz klubu. Cała sprawa wydawała mu się dość podejrzana. Ktokolwiek chciał się z nim skontaktować, mógł przecież bez trudu odnaleźć go w Syriuszu. A szermierz raczej nie spodziewał się listów od onieśmielonych fanów.

Przybrudzona lampa z grubego szkła dawała niewiele światła. W pierwszej chwili nie odcyfrował wiadomości, zorientował się tylko, że jest gęsto wyklejona wycinkami z gazet. Papier był jeszcze nasiąknięty wilgocią. Lloyd obrócił kartkę w kierunku lampy i na kilka sekund zapomniał o oddychaniu.

Zobaczył nagłówki z pierwszych stron dzienników, „Kuriera Farewell” i „Voice”, a także „New Orleans Times Picayune”. Kserokopie gazet z lat dwudziestych zeszłego wieku. Tytuły nie pozostawiały żadnych wątpliwości. *Prezes Trevor Rainmaker zgilotynowany, Morderca znów uderza, Krwawe Ostrze na wolności*. A pod nimi widniały słowa nakreślone japońskim pismem.

Oboete iru ka?

Czy pamiętasz?

Dziesiąta wieczorem, ruiny fabryczne nad rzeką.

Gwałtownie wypuścił powietrze z płuc, zgniótł kartkę w kulkę. Mimo listopadowego chłodu poczuł, jak zalewa go fala gorąca. Tak, pamiętał. Nigdy tego nie zapomni. Był winny i całkowicie bezradny wobec tego, co wydarzyło się w przeszłości.

Żarówka w lampie zgasła z trzaskiem i zaplecze klubu pograżyło się w mroku.

Zrujnowana fabryka tekstyliów, jedna z nielicznych pozostałości po przemysłowej epoce w dziejach miasta, od wielu dziesięcioleci niszczała beczynnie nad rzeką. Obecnie pozostały po niej jedynie ceglane, porośnięte mchem i krzewami ściany. Dach zapadł się dawno temu. Pewnego burzliwego lata, kiedy rzeka zmieniła bieg, budynek znalazł się na terenach zalewowych. Od tamtej pory każdej wiosny woda stopniowo wypłukiwała zaprawę z fundamentów. Niewielka grupka zapaleńców walczyła o nadanie fabryce statusu zabytku; jak dotąd bez efektów. Urzędnicy z ratusza woleliby nakazać wyburzenie ruin, był jednak problem z własnością gruntu. Na razie fabryka pozostawała ulubionym miejscem spotkań narkomanów i bezdomnych. Pod wysmarowanymi sprayem murami poniewierały się zużyte strzykawki, rozbite butelki i rozmokłe skrawki papieru toaletowego.

W ruinach panował półmrok. Blask ulicznych latarni, które oświetlały nadrzeczną trasę, w niewielkim stopniu docierał także tutaj. Ichiro Takeda krążył nerwowo po rozmokłym gruzowisku. Plan, który powstał z inspiracji Juliusa, miał wszelkie szanse powodzenia. Misja Takedy miała zakończyć się już wkrótce. Powinien wyczekiwać chwili tryumfu z niecierpliwością, ale zamiast tego odczuwał niesmak.

Farewell było jednym wielkim siedliskiem zła. Miejscem, gdzie wpływy podzielono pomiędzy wampiry, a ściślej mówiąc, organizację Juliusa – oraz zdeprawowanych magów, którzy z pełną świadomością przyjęli do swego grona zbiegłego mordercę. Julius, rzecz jasna mógł kłamać, ale chronologia wydarzeń nie pozostawiała żadnych wątpliwości. Wystarczyło przejrzeć stare gazety i dodać do siebie kilka faktów. Kiedy Krwawe Ostrze zaczął grasować w mieście, Podróżnik i Modrooka już

tutaj mieszkali. Wiedzieli, z kim mają do czynienia, a mimo to zawarli z nim sojusz.

Ichiro pokręcił głową. Przepelniała go smutek i rozczarowanie. Jako początkujący mag poznał wiele opowieści o dwójce wiekowych czarodziejów. Wolni, niezależni, trzymający się z dala od intryg Lustrzanego Zamku. Obrońcy słabszych i pokrzywdzonych. Przywodzili mu na myśl bohaterskich roninów ze starych legend. W rzeczywistości samuraje bez pana byli najczęściej niewiele lepsi od zwykłych zbirów. I w tym przypadku opowieści miały się z prawdą.

Takeda musiał sprawdzić pozostałe informacje. Jeżeli wierzyć wampirowi, piosenkarz Gabriel tajniki magii poznał u odszczepieńca, a Dom Wschodzącego Słońca zgodnie z nazwą gościł rozpustę we wszelkich odmianach. I w dodatku uczestniczyła w tym wszystkim zakonnica. Magowie z Mandali pod dowództwem Arcymistrzyni Emily Spencer prowadzili rozmaite ciemne interesy.

Dowody, jakie przedstawił wampir na prawdziwość swoich oskarżeń, w większości przedstawiały się dość mgliście i jeszcze kilka miesięcy temu Takeda uznałby podobne zarzuty za absurdalne. Odkąd jednak dowiedział się, że najlepszy uczeń *sensei* Ikemury przed laty zszedł na złą drogę i nigdy nie poniósł kary za swoje zbrodnie, jego złudzenia pryskały jedno po drugim. Porządek świata uległ nieodwracalnemu zachwianiu, a wszystko, w co Ichiro wierzył, okazywało się nic niewarte. Bohaterowie w rzeczywistości byli kryminalistami. W podejrzanych miejscach, które Japończyk odwiedzał w poszukiwaniu informacji o Krwawym Ostrzu, zło pleniło się w pełnej krasie i obrastało w piórka. Takeda nie mógł przejść obok tego obojętnie i spojrzeć potem w lustro bez wstydu. Pozbycie się mordercy jawiło mu się czymś więcej niż tylko kwestią honoru: stanowiło symbol, początek odrodzenia zapomnianych ideałów.

Farewell wymagało gruntownego oczyszczenia ze zła, jakie zapuściło w nim korzenie. Najpierw Krwawe Ostrze (jakie to znaczące, że zmienił nazwisko z Daring na Dark), następnie mafia wampira Juliusa oraz cała reszta tej bandy. Jedyne kłopot stanowił Podróżnik; mówiono jednak, że stary mag przez ostatnie lata stał się zaledwie cieniem samego siebie. Japończyk rozważał mimo wszystko sprowadzenie sojuszników z Lustrzanego Zamku.

W oddali rozległ się głośny, równy warkot motocykla. Takeda zerknął na podświetloną tarczę zegarka, dobiegała dziesiąta. A więc to już. Oby plan wypalił, inaczej będą kłopoty.

Japończyk wychylił się zza muru. Wysoka sylwetka rysowała się w mroku. Takeda nie spodziewał się, że jego przeciwnik jest taki wielki. Ze dwa metry wzrostu... proporcjonalnej budowy, na szczęście. Ile mógł ważyć – co najmniej sto dwadzieścia kilo?

Podwójna dawka była jednak dobrym pomysłem.

Lloyd szybko zwolnił się z pracy na resztę wieczoru. Takiego wezwania nie mógł zignorować. Czyżby Lustrzany Zamek przypomniawszy sobie o istnieniu szermierza? A może w grę wchodził jakiś samotny mściciel? Jeden z adeptów Mrocznej Ścieżki czy pokrzywdzony przez Lloyda niewinny człowiek? Od tamtych wydarzeń minęło już blisko dziewięćdziesiąt lat, ale przecież magowie żyli bardzo długo, nie tylko oni zresztą.

Miał nadzieję, że nie dojdzie do walki. Nie warto dolewać krwi do tej starej historii. Jeżeli musiał w jakiś sposób odpokutować, trudno. Zapewne do końca życia będzie spłacał swoje długi. Chciał jednak załatwić tę sprawę szybko i bez niczyjej pomocy. Nie mógł przecież narażać przyjaciół i wplątywać ich w bagno, z którym nie mieli nic wspólnego.

Jesienią ruiny fabryki były doskonale widoczne z nadrzecznej trasy. Lloyd ostrożnie zjechał z szosy dziką ścieżką pomiędzy czarną gęstwiną zarośli i zatrzymał się na skraju gruzowiska. Unieruchomił motocykl, zdjął katanę z pleców, roztarł zmarznięte dłonie. Od jakiegoś czasu mrowiły nieprzyjemnie. Dziwne, nie przypuszczał, że jest aż tak zdenerwowany.

Rozejrzał się w poszukiwaniu autora listu. Nie potrafił zlokalizować go z pomocą szóstego zmysłu, ale to akurat go nie zdziwiło. Przybysz wiedział, z kim ma do czynienia, i z pewnością sam używał magii w celu ukrycia swojej obecności.

Wtem szermierz drgnął. Coś gwałtownie poruszyło się w mroku. Instynktownym ruchem dobył

katany, jej świst rozbrzmiał echem w wymiarze astralnym. Drobny Japończyk w skórzanej kurtce wszedł w oświetloną przestrzeń, również dzierżąc w dłoni miecz.

– Witaj, Hiro – odezwał się po japońsku. – A może powinienem nazywać cię Krwawym Ostrzem?

– Jak zechcesz – odparł mag, uważnie wpatrując się w adwersarza. Przybysz znał imię, które nadała Lloydowi matka, a którego szermierz używał jedynie podczas pobytu w Japonii. Niewątpliwie tkwiło w tym głębsze znaczenie, coś, co powinien wiedzieć. – Nie jestem zbyt wybredny. Czy mógłbyś wyłuszczyć przyczynę swojego przybycia?

– Ty podły, obłudny gadzie – syknął przybysz wściekle. – Ty morderco. Jesteś zdziwiony, że ktoś wreszcie postanowił zrobić z tobą porządek? Czy sądzisz, że upływ czasu cokolwiek zmieni? Zbrodnia pozostanie zbrodnią, nawet gdybyś przeżył następne sto lat.

– Sądziłem, że w grę wchodzi pańskie osobiste powody. – Lloyd zmarszczył brwi. – Jestem w stanie to zrozumieć. Nie byłem w pełni sobą, popełniając tamte zabójstwa. Nie pamiętam wszystkich ofiar, nie wiem nic o ich rodzinach. Musi pan także wiedzieć, że masakry w Nowym Orleanie dokonał kto inny. Jeżeli pragnie pan dokładnych danych, możemy...

– Czy wiesz, jak żałośnie brzmią dla mnie twoje usprawiedliwienia? – zapytał kąśliwie nieznajomy. – Myślisz, że uwierzę w tę bajkę o niepoczytalności? W niczym się nie zmieniłeś, nadal jesteś wilkiem w owczej skórze.

– Nie próbuję się usprawiedliwiać – zachnął się szermierz. – Chciałbym wiedzieć, czy mogę w jakiś sposób panu pomóc. Zemsta niczego nie rozwiąże, proszę mi wierzyć.

– Tylko w jeden sposób możesz zapłacić za swoje czyny – wycedził nieznajomy. – Głową. Nazywam się Ichiro Takeda i wyzywam cię na pojedynek, Hiro Daring-san.

– Jeżeli takie jest pańskie życzenie, przyjmuję wyzwanie – westchnął mag.

Stali naprzeciw siebie, mierząc się spojrzeniami. Nikłe światło odbijało się w ostrzach ich mieczy, motocyklowy kombinezon Lloyd'a połyskiwał wilgocią. Okrażali się z wolna, nie spuszczać wzroku z siebie nawzajem. Obydwaj mieli świadomość, jak filmowo wygląda scena, w której brali udział. Sprawiali wrażenie bohaterów, którzy potrafią wbiegać po ścianach i odbijać strzały mieczem. Magowie często powielali wzorce, które tkwiły głęboko w zbiorowej ludzkiej podświadomości, wykorzystywali zjawiska, które w pewnym sensie były prawdziwe. Gabrielowi pomagał jego wizerunek gwiazdy rocka, Timothy zaś nieraz opierał się na książkach science fiction.

Czym innym było jednak zapewnienie sobie przychylności losu, czym innym zaś spożytkowanie uzyskanych w ten sposób możliwości. Tutaj już liczyły się umiejętności i doświadczenie.

Duchy opiekuńcze uznały za stosowne ujawnić swoją obecność. Za plecami Ichiro Takedy zmaterializował się smukły biały żuraw, postać Lloyd'a otoczył postrzępiony, wciąż zmieniający kształty cień. Walka dobra ze złem, pomyślał Takeda. Rzeczywiście, jak to się pięknie składa.

Lloyd Dark nie mógł się skoncentrować tak jak zazwyczaj. Przeszkadzały mu wyraźnie już sztywniejące koniuszki palców. Powoli tracił czucie w dłoniach, zwłaszcza w prawej. Wrażenie pogłębiało się zbyt wyraźnie, aby winić nerwy albo mróz. Przywołał magię, żeby móc lepiej skupić się na walce, ale nie dał rady. Mimo woli rozluźnił uchwyt na rękojeści katany. Takeda dostrzegł ten nieznaczny ruch, spiął się w oczekiwaniu ataku. Jego oczy zabłyśły.

Silne uczucie odrętwienia bieгло już od dłoni w górę ramion Lloyd'a. Szermierz nie czuł zmartwiałych palców. Mógł tylko obserwować, jak katana wyslizguje się z ręki i upada na ziemię, w błoto.

– Ach. Działa lepiej, niż sądziłem – rzekł Takeda z ponurym uśmiechem. – Zmiałeś kartkę, prawda? Wchłonąłeś truciznę całą powierzchnią dłoni. Może nawet zatarłeś oko albo usta...

– Do diaska – szepnął Lloyd. – A sądziłem, że ma pan w sobie chociaż odrobinę honoru.

– Ośmielasz się uczyć mnie honoru? – Takeda parsknął. – Ty? Straciłeś go już wiele lat temu, każdy może bez wyrzutów sumienia zabić cię jak psa. Dobrze wiem, że w pojedynku z tobą nie mam żadnych szans. Postanowiłem... przechylić szalę na właściwą stronę.

Lloyd Dark nie odpowiedział; jego przenikliwe spojrzenie badawczo obserwowało postać

Japończyka. Ichiro cofnął się kilka kroków, zbliżył się do załomu ceglanej ściany.

– Czekasz teraz na odpowiedni moment, aby zaatakować mnie bez broni. – Zaśmiał się cicho. – To nic nie da. Za chwilę akonityna dotrze do nerwu barkowego, a potem przyprawi cię o palpacje serca. Nie zabije cię. Zrobię to ja. Zginiesz z mojej ręki, aby sprawiedliwości stało się zadość. A potem zabiorę się za resztę tych degeneratów. Dziewczyna powinna być najłatwiejszym celem, potem przyjdzie kolej na pedała i kalekę...

Efekt, jaki te słowa wywarły na Lloydzie, przeszedł wszelkie wyobrażenia Takedy.

Oczy starego maga zapłonęły furją, rysy twarzy stężały na podobieństwo maski. Cienie wokół jego postaci urosły nagle, wyostrzyły się drapieżnie. Mężczyzna patrzył na istotę, w której nie pozostało ani krztyny człowieczeństwa. Na demona, który przyszedł po niego prosto z zaświatów.

Nie tkniesz ich nawet palcem.

Głos szermierza zadźwięczał we wszystkich sferach, przenikając do głębi duszę Japończyka. Obudził najbardziej pierwotne lęki, jakie drzemią w ludzkiej naturze. Świadomość Takedy pękła jak bańka mydlana, a jej miejsce zajął obezwładniający strach.

Japończyk rzucił się do panicznej ucieczki. Lloyd pomknął za nim jak polujący wilk. Wściekłość wrzała w jego żyłach, przyspieszone truczną tętno wzmagало jego gniew. Biegli wzdłuż dzikiej ścieżki, rozbryzując kałuże. Szermierz z każdym krokiem był coraz bliżej. Wiedział, że nie potrzebuje miecza, aby zabić.

Ichiro potknął się o wystający korzeń, jak długi runął na mokrą ziemię. Lloyd spróbował zacisnąć odrętwiałą pięść i zrezygnował. Zamierzył się do kopnięcia.

Takeda uniósł rękę, zasłaniając twarz. Resztki przytomności umysłu podpowiadały mu, że natychmiast powinien stąd zniknąć. Jakimś cudem udało mu się skoncentrować. Poczł, jak jego ciało zanurza się w znajomy, bezpostaciowy międzyświat. Teleportował się w ostatniej chwili.

Spadające krople deszczu zorientowały się w sytuacji z lekkim opóźnieniem. Przez ułamek sekundy woda tworzyła w powietrzu obrys ludzkiej postaci.

I touch the mirror and I see

Madness looking back at me

Hidden deep within my mind

Covered with the time and pride

All my foes had already gone

They had left me all alone

I'm fearless, helpless, hopeless.

Who will save the savior

When the fight is over?

What will do the warrior

When there is no war

I am living in my dreams

In my glorious memories
All defenders of the crown
Have been buried in the sand
Silence, no more battle calls
False world and empty words
No reason to draw my sword.
Who will save the savior
When the fight is over?
What will do the warrior
When there is no war
Neverland Last warrior

Dwa bezcielesne, złożone wyłącznie z informacji byty mknęły z zawrotną prędkością głównym światłowodem między Singapurem a Delhi. Przemieszczanie się stanowiło ich podstawowe, ale nie jedyne zajęcie podczas tych kilku milisekund. W Ponadsieci myślenie jednotorowe jest przeżytkiem; mogą tutaj przetrwać tylko ci, których mózgi nie są w stanie znużyć się symultanicznym przetwarzaniem giga-, a nawet terabajtów zróżnicowanych informacji. Istoty prowadziły między sobą ożywioną konwersację na poziomie zero-jedynkowym, deszyfrowały świeżo odebrane wiadomości oraz przesiewały sygnały dobiegające do nich z innych źródeł. Gdzieś w tle zapewne biegł także proces ściągania plików, był on jednak nieporównanie wolniejszy.

Jeden z sygnałów, który odebrała istota znana pod imieniem Silver Knight, nie pochodził z Ponadsieci. Wyraźnie dobiegał z zewnątrz.

Między bytami nastąpiła krótka wymiana informacji, którą można by w przybliżeniu przetłumaczyć na następujące zdania:

- Oho.
- Co się dzieje, Silver?
- Zdaje się, że ktoś próbuje złapać mnie telepatią.
- Telepatią? W Sieci? Mózg sobie usmaży. Spław go.
- Wybacz, kochanie, ale chyba raczej się wyloguję. Mam wrażenie, że to coś ważnego.
- A co z Twierdzą Mefisto? Od tygodnia obiecujesz, że wreszcie zrobimy go na szaro.
- Może poczekać. Tetris, ktoś gdzieś potrzebuje mojej pomocy. Terrorysty wzięli zakładników, giną lasy amazońskie, kot sąsiadki wlaźł na drzewo. To jest zadanie dla Silver Knighta.
- Mój ty bohaterze.
- Ciao, Tetris. Logoff.

Jak zwykle doświadczył nieprzyjemnego wstrząsu, kiedy po dłuższym czasie nieobecności wrócił do obolałego ciała. Swego czasu starał się opracować łagodniejszą metodę odłączania się od Ponadsieci, ale nawet z pomocą profesor Lucy Preis nie znalazł odpowiedniego rozwiązania. Przyczyna

oczywiście tkwiła w jego psychice.

Wyprostował się na skrzypiącym obrotowym krześle. Wiedział, że ktoś podejmuje próby kontaktu telepatycznego. Timothy potrafił rozpoznawać znajomych telepatów po specyficznej dla nich manierze, z jaką nawiązywali połączenie. Tym razem głos przypominał Lloyda, był jednak dziwnie zmieniony i jak na niego stanowczo zbyt słaby. Timmy zaniepokoił się poważnie. Czyżby stało się coś złego? Sięgnął myślą, spróbował wzmocnić nikły sygnał.

Timothy...?

To ja. Co się dzieje?

Szafa... weź Gabriela...

Kontakt urwał się gwałtownie, aż Timothy'ego rozboleły zęby. Ledwie zdołał namierzyć Lloyda podczas tej wymiany myśli i nanieść współrzędne na mapę miasta. Szafa? Czyli trzeba teleportować więcej niż dwie osoby, z Timmym łącznie.

Odnalazł na pulpicie chłodną słuchawkę telefonu, wystukał numer wewnętrzny pokoju artysty. Wykończyły się chyba, próbując obudzić Gabriela za pomocą telepatii; w przypadku piosenkarza to mogło okazać się niewykonalne. Odczekał kilka sygnałów. Już zastanawiał się nad wykorzystaniem – mimo wszystko – pobudki myślą, kiedy w słuchawce odezwał się podszyty ziewnięciem głos.

– Słucham...?

– Obudź się, Gabiś. Raz, dwa – ponaglił Timothy stanowczo. – Lloyd ma kłopoty. Transformuj piżamę w coś ciepłego, przynieś płaszcz, lecimy szafą.

– A niech to. – Gabriel oprzytomniał. – Moment, już jestem na dole.

Po niespełna minucie Timothy usłyszał Gabriela zbiegającego z hałasem po piwnicznych schodkach.

– Wstawaj. – Piosenkarz klepnął go lekko w plecy. – Pomogę ci włożyć płaszcz.

Zazwyczaj informatyk stanowczo sprzeciwiał się jakimkolwiek formom pomocy w tak trywialnych sprawach. Teraz jednak należało liczyć się z czasem. Podniósł się z krzesła i biernie poddał się procedurze ubierania, dał sobie także założyć buty. Chwilę później obydwaj stali przed mieszczącą się w głębi piwnicy szafą teleportacyjną.

To był jeden z pierwszych wynalazków Lucy Preis. Zainspirowana lekturą z dzieciństwa, postanowiła, że zgodnie ze swoim imieniem powinna stworzyć portal w postaci szafy. We współpracy z Timothyem i Krzysztofem powstały dwa, nieco różniące się między sobą egzemplarze. Ten, który znajdował się w Domu Wschodzącego Słońca, wykorzystywał zdolności Timmy'ego w wersji rozszerzonej. Drugi, zagrzebany w głębi magazynu Mandali, w teorii miał zostać ustawiony na jedną z alternatywnych rzeczywistości. W praktyce właściwie nikt nie miał pojęcia, gdzie skończy mag, który odważy się tam wejść. Nikt się nie zdecydował; aura przedmiotu wyglądała zatrwająco niestabilnie. Okazało się, że niezwykle trudno jest umieścić w przedmiocie podróżniczą magię Krzysztofa tak, aby działała poprawnie.

Teleport Domu Wschodzącego Słońca miał tylko jedną wadę: do uruchomienia wymagał asysty Timothy'ego. Cybermag uważał, że to tylko kwestia czasu, zanim tej sztuki nauczy się Eunice. Pochodziła z młodego pokolenia, nie była obciążona lękami i schematami myślowymi starszych. Oczywiście Timothy nie miał monopolu na jedyną słuszną metodę teleportacji, ale w aurę szafy wpisano jego algorytmy postępowania i ktokolwiek chciał jej użyć, musiał je zrozumieć.

Timothy otworzył drzwiczki na oścież. Powiedziano mu kiedyś, że kiedy odpala portal, tylna ściana szafy przeistacza się w iluminator Sokoła Millennium tuż przed skokiem w hiperprzestrzeń.

Sam nie wymyśliłby lepszego efektu.

Od dłuższej chwili Lloyd Dark siedział oparty plecami o swój motocykl i medytował, próbując choćby w niewielkim stopniu uspokoić puls. Miał wrażenie, że jego serce zaraz eksploduje. Starał się nie wpaść w panikę, która jest instynktowną reakcją na podobne objawy. Jeżeli udało mu się skontaktować z Timothyem – a w obecnym stanie nie miał pewności, czy rzeczywiście go usłyszał –

pomoc powinna nadejść lada moment.

„Mogłem zamordować tego człowieka”. Wewnętrzny spokój nie nadchodził; medytacja przy zatruciu neurotoksyną była nieskuteczna, magii hipnotycznej przywołać nie mógł. Zamknął oczy i zaczął liczyć. Musiał czymś zająć umysł, aby odsunąć od siebie poczucie winy i organiczny, zwierzęcy lęk.

W powietrzu rozległy się suche trzaski. Lloyd uniósł wzrok i ujrzał, że kilka metrów dalej w przestrzeni formuje się ciemny kształt skrzący się na krawędziach feerią drobnych iskier. Stopniowo iskrzenie zanikało, ustępując miejsca delikatnemu lśnieniu. Portal wyglądał teraz jak czarne zwierciadło obwiedzione wąską srebrną nicią.

Powierzchnia zwierciadła zafalowała lekko, jak poruszona tafla wody. Pierwszy z przejścia wyłonił się Gabriel, za nim Timothy. Lloyd przypatrywał się obydwu przez półprzymknięte powieki. Artysta wydał z siebie cichy okrzyk, podbiegł do przyjaciela i ujął jego nadgarstek.

– Trucizna – powiedział. – No, nieźle.

– Uważaj – szepnął szermierz. – Wchłania się przez skórę. Moje ręce...

– Spokojna głowa, mnie nic nie grozi – zmitygował go piosenkarz. – To jest roślinne, najwyżej trochę wzbogacone magią, rozkłada się samo. Muszę tylko pomóc.

Lloyd poczuł, jak jego puls wraca do normy, a ręce z wolna odzyskują czucie. Skóra zapiekła go intensywnie, jakby właśnie zanurzył ramiona w pokrzywach. Usiadł wygodniej, roztarł bolesny skurcz w lewej dłoni, odgarnął z twarzy przemoczone włosy. Nagle poczuł, że jego oczy same się zamykają, niewiele brakowało, aby natychmiast zasnął mimo deszczu i chłodu. Wiedział, że senność jest następstwem ekstremalnej gimnastyki, jakiej został poddany jego układ nerwowy.

– Wielkie nieba – westchnął z ulgą. – Stokrotne dzięki, Gabrielu.

Wstał chwiejnie, opierając się o motocykl, i zaczął rozglądać się za porzuconym mieczem.

– Nie ma czasu do stracenia – rzekł, powstrzymując ziewnięcie. – Gdzie jest Eunice?

– Pewnie u siebie w domu. – Timothy zanurzał koniuszki palców w otwartym portalu. – Jest środek nocy. O co...

– Trzeba natychmiast się z nią skontaktować. – Lloyd podniósł z ziemi kataną, wyciągnął z kieszeni szmatkę i zaczął skrupulatnie czyścić ostrze. Poczul ukłucie gniewu na myśl, jak sponiewierana została jego cenna broń, po czym znów ogarnął go wstyd. – Mogłem go zabić... – mruknął pod nosem.

– A ja bym chętnie dopomógł – sarknął kwaśno Timothy. – Rozumiem, że bardzo ci się spieszy, aby kogoś poćwiartować. Życzyłbym sobie jednak kilku wyjaśnień. Nie potrafię czytać ci w myślach, a przynajmniej nie bez pozwolenia. W dodatku przejście zaraz się zamknie i będę musiał teleportować was na raty.

Lloyd potarł czoło z irytacją.

– Timothy, do diaska, zamilknij na krótką chwilę. Gabrielu, pomóż mu przytrzymać portal. Porozmawiamy później.

Skoncentrował się. Nie chciał tracić czasu na wyjaśnianie wszystkiego tylko po to, aby Timothy zatelefonował do ich uczennicy. Przenośne telefony były naszpikowane elektroniką, a Lloyd mieszkał z człowiekiem, który na każdym kroku udawał, że elektronikę niezwykle łatwo jest śledzić albo nią sterować, i kto wie, czy Takeda już o tym nie pomyślał. Jeżeli kontakt telepatyczny się nie powiedzie, i tak należy się tam udać osobiście, bo to oznacza, że Eunice przebywa we własnym domu i zapewne śpi.

Mieszkanie dziewczyny znajdowało się w martwym punkcie – w miejscu, gdzie nie działał żaden rodzaj magii. Takie rzadkie zjawisko wynikało zazwyczaj z uszkodzenia mistycznej warstwy rzeczywistości. Wymiar astralny Farewell został poważnie naruszony ponad trzydzieści lat temu, podczas Mrocznej Wojny, i od tamtej pory niektóre miejsca w mieście wykazywały trwałe zaburzenia natury magicznej. Czarodzieje podejrzewali, że to właśnie stało się z kamienicą Eunice – chociaż oczywiście nie mieli szans tego sprawdzić.

Mieszkanie w antymagicznej okolicy miało swoje wady i zalety. Eunice została odkryta dopiero przy okazji incydentu z grą *Silver Tower*, ponieważ w normalnych okolicznościach na ślad nieopierzonych magów najłatwiej było trafić podczas ich snu. Z drugiej strony, jeżeli dziewczyna

znajdowała się u siebie, praktycznie nie musiała obawiać się Takedy. Wystarczyło, aby nikogo nie wpuszczała za drzwi.

Eunice?

Wyczuwał jej umysł, osłonięty przez sprawnie stworzoną barierę. Czyli, niestety, znajdowała się poza domem.

Tak?

Gdzie jesteś?

Na maratonie filmowym. Możesz odezwać się później?

Siedź tam i za żadne skarby świata nigdzie nie wychodź. Trzymaj się swoich kolegów. Jeżeli zobaczysz Japończyka w skórzanej kurtce, nie daj się zauważyć. Zjawię się tak szybko, jak to tylko możliwe. Które to kino?

Starlight Blues.

Ach. Tak, znam to miejsce. Do zobaczenia wkrótce.

Lloyd westchnął. W obecnej chwili najbardziej potrzebował długiego, zdrowego snu. Ale jak się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma. W razie konieczności człowiek może dość długo obywać się bez odpoczynku, zwłaszcza w obliczu zagrożenia.

– Skontaktuję się jeszcze z Lucy i z Weroniką – powiedział na głos, świadom, że informatyk usłyszał przynajmniej część rozmowy. – Timothy, chciałbym, abyś odnalazł dla mnie pewnego człowieka. Grozi wam wszystkim niebezpieczeństwo, i to, obawiam się, z mojej winy. Wróćcie do domu, a ja zajmę się tą sprawą.

– Tak? Zajmiesz się? I co zrobisz, heroicznie spadniesz z motocykla? – zawołał Gabriel z oburzeniem. – A może jeszcze strzelisz sobie kawę zaraz po tym, jak twój organizm pozbył się neurotoksyny? To ja cię wtedy nie będę leczył z trwałego paraliżu, wiesz?

– Gabrielu...

– Ty mnie nie wkurzaj! – Głos piosenkarza wzniósł się do falsetu. – Jak ktoś krwawi albo co, to zaraz jest: Gabrielu, ratuj! Potem jeden z drugim poczuje się lepiej i natychmiast chce odgrywać Supermana. *Easy rider* się znalazł! Tfu, zakała!

– Gabriel ma rację – wtrącił Timmy. – Ledwie trzymasz się na nogach. Odeślij motocykl do domu, zabierzemy cię Gruchotem. I oczywiście w dalszym ciągu czekam na wyjaśnienia. Jeżeli myślisz, że dam się zbyć byle czym, to się grubo mylisz. Wolę wiedzieć, kto próbuje mordować moich przyjaciół. Nazwij mnie złym człowiekiem, ale w takich wypadkach popieram starożytne prawo – oko za oko, ząb za ząb.

– Masz.

Gabriel wręczył Lloydowi niewielki termos.

Fotel na miejscu obok kierowcy był ustawiony tak ciasno, że mag musiał go odsunąć, zanim wsiadł do środka; zapewne poprzednim razem siedziała tutaj Eunice albo Weronika. Umoszczenie się we wnętrzu starego dodge'a zawsze stanowiło dla szermierza skomplikowaną operację logistyczną; samochody projektowano przeważnie z myślą o ludziach średniego wzrostu.

– Dziękuję. – Lloyd zapiął pasy, a potem odkręcił termos. Charakterystyczny słodkawy zapach polechtał mu nozdrza. – Mleko?

– Niczego innego teraz nie dostaniesz – oświadczył surowo artysta. – Odradzam także palenia papierosów. Lekarz rodzinny zabrania.

Lloyd pociągnął duży łyk mleka z termosu, zawstydzony zbyt dużą, jego zdaniem, troskliwą opieką. Uważał, że Gabriel przesadza, trzęsąc się nad nim jak nad niemowlęciem, ale nie wypadało się sprzeczać o drobnostki.

– Gdybyś miał cokolwiek, co do niego należało, bardzo ułatwiłbyś mi zadanie – mruknął Timothy. – Z pamięci przedmiotu można wyczytać ślady aury, a tak będę go szukał jak igły w stogu siana.

– Zachowałem list, który od niego dostałem – przypomniał sobie szermierz. – Jest jednak nasączony tą trucizną... akonityną, o ile dobrze pamiętam nazwę.

Gabriel spojrzął na niego wstrząśnięty.

– Tojad, niech go szlag! – zawołał. – Mówiłem, że to coś roślinnego. Dawaj tę kartkę, oczyszcze ją jak się patrzy. Zastanawiam się tylko, czy nie zatrę śladów aury...

– Zatrzesz – odparł spokojnie cybermag. – Myślę, że dam radę je odzyskać, ale to trochę potrwa. Trucizna w liście, co za perfidia... Sądziłem, że tylko Julius jest zdolny do podobnych zagrywek. Co to w ogóle za człowiek, Lloydzie? Adept Mrocznej Ścieżki?

– Nie, Timothy. Przyjrzałem się uważnie jego duchowi, ale nie znalazłem śladu skażenia. – Szermierz wyjął ze schowka szmatkę do wycierania szyb i wyciągnął przez nią z kieszeni kulkę papieru.

– Z pewnością zaślepiony jest żądzą zemsty, trudno jednak odmówić mu racji. Nie sposób zaprzeczyć, że swego czasu stałem się sprawcą... pewnych kłopotów.

Artysta rozwijał kartkę, z niepokojem marszcząc jasne brwi. Kiedy Lloyd w ten sposób używał eufemizmów, zawsze należało spodziewać się czegoś poważnego. Gabriel nie rozumiał japońskich krzaczków, jakie wymalowano pod gazetową wyklejanką, ale tytuły artykułów mówiły same za siebie. „Krwawe ostrze”. Cholera. Kiedyś już słyszał to określenie.

– Mściciel? Gdzie on się tak nagle ulął? To już ze sto lat...

Timothy najwyraźniej doskonale wiedział, o co chodzi. Jedną z tych tajemniczych spraw, o których magowie sprzed Mrocznej Wojny nigdy nie wspominali młodszym.

– Zaraz, zaraz! – oburzył się głośno Gabriel. – Nie myślcie sobie, że uda się wam to załatwić za moimi plecami. Chciałbym się dowiedzieć, jakiego trupa tym razem wyciągnięto z szafy.

Nie doczekał się odpowiedzi. Sen zmógł w końcu maga szermierza.

– Nie budź go, niech odpocznie. – Timothy kaszlnął sucho. – Wyjaśnimy wszystko na miejscu.

Woda płynęła wartkimi strumieniami przy krawężnikach, wypełniała wgłębienia w asfalcie, zmieniała okoliczne trawniki w przegniłe bajora. Wąskie strużki deszczu ciurkały równomiernie z blaszanych wiat czterech opustoszałych przystanków. Ostatni dzienny autobus opuścił pętlę blisko pół godziny temu. Zamknięto już niewielką knajpkę z hamburgerami i zgasły podświetlone szyldy miejscowego pubu. Nawet pobliski postój taksówek opustoszał doszczętnie, co o tej porze zdarzało się dosyć rzadko; pogoda nie rozpieszczała przechodniów, taksówkarze mieli pełne ręce roboty.

W pobliżu jednego z przystanków powietrze zaiskrzyło subtelnie. Drobną mężczyzną zmaterializował się przy akompaniamencie delikatnych wyładowań elektrycznych. Opadł ciężko na kolana, opierając dłonie na zabłoconych płytach chodnikowych. Oddychał spazmatycznie.

Takeda przez jakiś czas zaciskał pięści w kałuży, niezdolny do jakiegokolwiek działania. Uspokajał się z wolna. Kichnął, otarł twarz wierzchem brudnej dłoni, pomacał wkoło w poszukiwaniu katany. Na szczęście miecz leżał tuż obok.

Gdyby mężczyzna pomyślał racjonalnie, zrozumiałby, że padł ofiarą instynktownie użytej magii hipnotycznej, która pasowała do wizerunku przeciwnika i dlatego zadziałała niezwykle skutecznie. Sam przecież nieraz kształtował rzeczywistość tak, aby wywierać wrażenie, to normalna część wojennej gry.

Przemiana Lloyda pasowała jednak jak ulał do jego teorii spisku. Takeda właśnie ujrzał dowód na to, że ma do czynienia z potworem. Nie miał żadnych wątpliwości: pod wpływem gniewu Krwawe Ostrze ujawnił swoją prawdziwą, demoniczną naturę. Japończyk nie mógł zwlekać, musiał jak najszybciej odesłać tego człowieka do piekielnej otchłani, tam gdzie jego miejsce. Ale jak walczyć z kimś... z czymś tak nieludzkim? Nie mógł liczyć na pomoc Juliusa. Wampir wyraźnie zastrzegł, że jego udział w całej sprawie ograniczy się do przekazania niezbędnych informacji.

Podniósł się z ziemi powoli jak ciężko chory człowiek. Targały nim rozpacz, wściekłość i nienawiść. Tak bardzo skupił się na sobie, że dopiero poniewczasie wyczuł ślady obcej energii unoszącej się w powietrzu jak dym. Rozejrzał się dookoła i po raz drugi tego wieczoru poczuł, jak jego żołądek zaciska się z przerażenia.

Teleportacja nie bez przyczyny cieszyła się opinią najtrudniejszej i najbardziej ryzykownej z magicznych sztuk. Przenosząc się pomiędzy dwoma odległymi punktami w przestrzeni, mag tworzył w istocie tunel między światami. Przechodził nim na skróty, tak jakby wykuwał dziury w ścianach labiryntu. Jedną z bardziej niebezpiecznych sfer, jakie mijał po drodze, był wymiar Cieni. Świat niespokojnych duchów przeszłości, na w pół martwych marzeń i porzuconych idei. Nieostrożny czarodziej mógł utkwić między nimi na zawsze. Jeżeli zaś przejście okazywało się niewystarczająco stabilne, istoty ze Świata Cieni mogły przyjść za nim. I tym razem, kiedy teleportował się niemal bez zastanowienia, tak właśnie się stało.

Zgromadziły się wokół niego półprzejrzyste, ledwie widoczne w strugach deszczu humanoidalne postacie. Uczono go, jak powinien postąpić w takim wypadku, jakiej magii użyć, aby odesłać nieproszonych gości. Zaczął gromadzić w sobie energię, oczekując ataku z ich strony. Nic takiego jednak nie nastąpiło. Stały nieruchomo w kręgu, milczące, śmiertelnie poważne. Zupełnie, jakby na coś czekały.

– Czego chcecie? – szepnął.

Cienie, z początku nieokreślone zarysy ludzkich sylwetek, powoli zaczynały przybierać wyraźniejsze kształty. Takeda widział teraz, że przybysze w dłoniach dzierżyli broń; na ich głowach formowały się hełmy, a na torsach zbroje z poprzecznych płyt. Czy zamierzali kolejno wyzywać go na pojedynek? Zdawało mu się... nie, teraz już miał pewność, że nie chcieli z nim walczyć. Wręcz przeciwnie. Pragnęli stanąć u jego boku.

Jak na komendę, zjawy bezgłośnie schowały miecze, a potem nisko pokłoniły się Takedzie. Poczul, jak sięgają ku niemu w próbie porozumienia, i bez wahania otworzył dla nich umysł. Bohaterowie z przeszłości zjawili się, aby mu pomóc. Bogowie zesłali mu asystę, o jakiej nie śmiał marzyć. Działał w słusznej sprawie – czy mogły istnieć jakiegokolwiek wątpliwości?

Kawiarenka w Starlight Blues aspirowała do roli miejsca spotkań kulturalnych. Parawany między stolikami pełniły funkcję niedużej galerii sztuki i obecnie wisały na nich fotografie w wielkich formatach. Gabriel rozglądał się dłuższą chwilę w poszukiwaniu zdjęć autorstwa Krzysztofa. Nie znalazł ani jednego, nie rozpoznawał zresztą żadnego z nazwisk na plakietkach, podejrzewał, że to debiutanci.

Mimo późnej pory kafejka tętniła życiem. Maraton filmowy miał trwać do rana, kino zarabiała więc, jak mogło – przy barze kręcili się liczni amatorzy kawy z ekspresu oraz różnych przegryzek. Piosenkarz jeszcze w garażu przeistoczył się w zwykłego studenta i teraz gratulował sobie przezorności. Lubił rozdawać autografy, ale obecnie wołał raczej nie zwracać na siebie uwagi.

Bez zenady zamówił wielką czekoladę z bitą śmietaną. Doskonała kontrola nad metabolizmem stanowiła godny uwagi skutek uboczny jego zdolności do zmiany postaci. Gabriel nie prowadził żadnej diety i lubił pozwalać sobie na małe co nieco.

Wziął dla Timothy'ego drugą czekoladę, a potem wrócił do stolika. Informatyk siedział z łokciami opartymi na stole i słuchawkami wetkniętymi w uszy, pomrukując pod nosem jakąś bliżej nieokreśloną melodię. Do tej pory nie udało mu się zlokalizować przybysza, co zaczynało już budzić w magach pewien niepokój.

Lloyd spokojnie popijał mleko z termosu. Przespał całą drogę do kina, po czym obudził się w garażu najzupełniej trzeźwy i przytomny. Gabriel zastanawiał się, jak on to zrobił. Musiał mieć chyba nerwy ze stali.

– Dobrze, trzej muszkietierowie – odezwał się dziewczęcy głos. Eunice Wight podeszła do stolika, krzyżując ręce w geście pełnym irytacji. – Chciałabym wiedzieć, jaki to nagły przypadek uprawnia was do wyciągania mnie z seansu *Dwóch Wież*. Czy ten gość, o którym mówiłeś, kryje się na sali kinowej?

– Nigdy nic nie wiadomo – mruknął Lloyd znużonym tonem. – Odgrażał się, że może was skrzywdzić. Potrafi się skutecznie ukrywać, zna sztukę teleportacji. Dopóki Timothy go nie odnajdzie, powinniśmy trzymać się razem. Później... później zapewne przyjdzie się pożegnać. Jak mniemam, ten człowiek pochodzi z mojego dawnego *dojo*... chociaż używa dość, powiedziałbym, nietypowych metod. Mam nadzieję, że działa z własnej inicjatywy, ale jeśli jest inaczej, jeśli komuś zależy na uderzeniu we

mnie... wrócę do Jokohamy, poddam się sądowi. Muszę rozstrzygnąć tę sprawę bez narażania was na niebezpieczeństwo.

– Jaką sprawę? – zapytał cicho Gabriel.

Szermierz oparł głowę na splecionych dłoniach.

– Ano taką, że jestem winien morderstwa. I to niejednego.

– Za takie przypadki jak Jean-Pierre powinni cię ozłocić – stwierdził piosenkarz. – Gdyby nie ty, na świecie żyłoby w tej chwili o trzech magów mniej.

– Dwóch – poprawił Lloyd. – Krzysztof znalazłby metodę na wyjście z opresji. Gabrielu, nigdy nie oceniaj go prostymi kategoriami skuteczności w walce ani nie wierz w te pogłoski o utracie mocy. On posługuje się zupełnie inną klasą magii, jest nam zbyt daleko do jego umiejętności, abyśmy je zrozumieli.

Westchnął ciężko.

– Kiedy jednak mówię, że zabijałem, nie mam na myśli takich nieszczęsnych kreatur jak Jean-Pierre. Chodzi o niewinnych ludzi, Gabrielu. Bezbronnych, zwykłych śmiertelników. Osoby, które w żadnym wypadku nie stanowiły zagrożenia dla życia. Powinniście dowiedzieć się wcześniej... a zresztą, posłuchajcie.

Odchylił się na krześle, spojrzał w sufit. Jego oczy zamglily się wspomnieniami.

Myślę, że powinienem opowiedzieć wszystko od samego początku. Nie pochodzę z samurajskiej rodziny, dopiero później zostałem adoptowany przez *sensei* Ikemurę. Jak wiecie, urodziłem się w Anglii, tam też spędziłem pierwszych piętnaście lat życia. Ojciec, sir Richard Daring, poznał moją matkę Hiroko podczas dyplomatycznej podróży do Japonii. Musieli pokochać się wielką miłością, zważywszy na to, że ojciec zabrał w końcu matkę do Wielkiej Brytanii jako swoją prawną żonę. Nie czuła się tam szczęśliwa. Kapryśny klimat Wysp Brytyjskich nie służył jej dobrze, zapewne też zdawała sobie sprawę, że nie jest mile widziana wśród towarzystwa. Pamiętam ją z moich lat dziecięcych, wiotką i delikatną jak kwiat lili, wiecznie bladą i zmęczoną. Kiedy odeszła... wkrótce wysłano mnie do szkoły z internatem.

Później uświadomiłem sobie, że to właśnie tamtego roku zacząłem zbliżać się do nieznanego. Czułem się samotny, miałem wiele czasu na rozmyślanie. Niełatwo żyć małemu skośnookiemu lordowi wśród dzikusów, którzy jedynie zwyczajowo noszą miano młodych dżentelmenów. Dalsza rodzina starała się jak mogła, aby uznać związek mojego ojca za niebyły, a mnie za syna z nieprawego łoża. Nie przewidziano tam dla mnie miejsca. Kilka lat później zaokrętowałem się na dalekomorski statek płynący do Japonii.

Wiecie, ja naprawdę sądziłem, że mogę zostać Japończykiem. Matka nauczyła mnie rodzinnej mowy i częściowo także pisma, wieczorami zamiast baśni opowiadała mi historie o swojej ojczyźnie. Jako chłopiec byłem drobny, niższy od większości rówieśników. Kiedy zaczynałem swój rejs, nie przewyższałem wzrostem Eunice. Gdy dotarłem na miejsce, mówiono już na mnie „strach na wróble”. Zanim minęły dwa lata, osiągnąłem wzrost mojego ojca, o którym opowiadano, że sprawił sobie niższe krzesło w Parlamencie, aby nie wprawiać w zakłopotanie pozostałych lordów. Zacząłem dostawać propozycje pracy – w policji oraz wśród miejscowych gangów. W końcu do swojego *dojo* przyjął mnie *sensei* Ikemura. Prócz rozmaitych sztuk walki praktykowano tam również wschodnią filozofię magii.

Spędziłem tam kilkanaście lat. *Sensei* usynowił mnie, co oznaczało, że miałem prowadzić szkołę po jego śmierci. Czysta teoria, zważywszy, że mistrz Ikemura, jak większość magów, był długowieczny. Tym samym dał jednak dowód wielkiego zaufania, jakie we mnie pokładał. Dla niektórych zbyt wielkiego. Znaleźli się tacy, którzy już na wstępie sarkali na wieść o przyjęciu *gaijina* do tradycyjnej japońskiej szkoły. Adopcja przechyliła szalę; w *dojo* wybuchły niesnaski, a ja czułem się coraz mniej związany z krajem, który miał stać się dla mnie drugą ojczyzną. Rodzice Reiki... nie, dość tych szczegółów. Moja osoba była przyczyną zachwiania równowagi w szkole. Postanowiłem więc wyjechać.

Nie miałem czego szukać w Anglii, ale w Ameryce podobno każdy cudzoziemiec mógł znaleźć

dla siebie miejsce. Rzeczywiście, w Nowym Orleanie nawet ja mogłem łatwo wmieszać się w kolorowy tłum. Zatrudniłem się w magazynach, gdzie poznałem śliczną Kreolkę, Inez. Znała magię. Zgodziła się mnie poślubić. Na siedem wspaniałych lat moje życie stało się wymarzoną sielanką.

A potem... potem...

Inez okazała się adeptką Mrocznej Ścieżki. Odszczepieńcem. To, co zrobiła... wybaczenie, ale... ale nie opowiem o tym dziś. Nie, jeszcze nie dziś. Część z artykułów, które Takeda wkleił do listu... te z Nowego Orleanu... możecie je przejrzeć.

Sądzę – mam nadzieję – że ją zabiłem. Niewiele pamiętam. Straciłem wtedy rozum, najdrobniejsze podejrzenie wystarczyło, abym każdego uznał za odszczepieńca. Kiedy przyjechałem do Farewell, gazety ochrzciły mnie teatralnym mianem Krwawego Ostrza. Podejrzewano udział mafii, ponieważ dobierałem ofiary wedle klucza, który nie był zupełnie przypadkowy. Zabijałem ważne osoby, takie, które według mnie stanowiły część spisku mrocznych magów. Radny Kurt Strauber, prezes kompanii naftowej Trevor Rainmaker, adwokat Esteban Diaz... Zapewne też inni, których nazwisk nie pamiętam. Przekroczyłem granicę, za którą mściciel staje się pospolitym zbrodniarzem.

Lloyd dopił resztę mleka z termosu.

– Gdyby nie Kaja i Krzysztof, zapewne ktoś w końcu położyłby kres moim poczynaniom w dość drastyczny sposób – dokończył. – Możliwe, że uczniowie *sensei* Ikemury mieli rację – mistrz nie powinien uczyć kogoś takiego jak ja. Takeda może chcieć zmasakrować na honorze szkoły. Nie znam wszystkich okoliczności, nie mam pojęcia, jak teraz wygląda sytuacja w *dojo*. Jedno wiem na pewno: tego, co zrobiłem, nie da się usprawiedliwić. Z całym moim szkoleniem nigdy nie powinienem stracić nad sobą panowania.

Gabriel i Eunice spoglądali na niego w milczeniu. Musieli być wstrząśnięci tym, co usłyszeli.

– „Krwawe Ostrze”. „Przestępczość w czasach prohibicji”, Anne-Marie Nicholson – szepnęła Eunice Wight. – Mój Boże.

– I co? – Artysta w zadumie pociągnął czekoladę przez słomkę. – Kaja i Krzysztof wzięli się za ciebie? Zrobili pranie mózgu?

– Nie... nie sądzę. Zrozumiałbyś wiele, gdybyś znał Kają. Ona... Nie ma już takich ludzi. – Lloyd utkwiał nieobecne spojrzenie w fotografiach na parawanie. – W każdym razie zajęło im to rok. Nie wypuszczali mnie z domu i dobrze karmili, a ja dochodziłem do siebie. Pamiętam dzień, w którym zacząłem jasno myśleć i uprzytomniłem sobie, co właściwie zrobiłem.

– Wiesz... – Gabriel mieszał słomką śmietaną z cynamonem – ...to wspaniałe dowiedzieć się wreszcie, że mimo wszystko jesteś człowiekiem.

– Co?

– Daj spokój. Przypominasz sobie tych zakładników w spożywczych? A pożar na dwudziestej drugiej? A ja owszem, bo to do mnie należało przywrócenie twoich rąk i twarzy do stanu użyteczności. Do tej pory chce mi się rzygać, jak o tym pomyślę. Bogowie, a to stado ghuli, które wyprawileś do piachu w zeszłym Halloween? Albo gang, któremu dałeś się podziurawić jak rzeszoto tylko dlatego, że wolałeś wsadzić ich za kratki, zamiast pozbawić głów? Do domu wracałeś na piechotę! – Gabriel podniósł głos. – Halo, Batmanie, tu rzeczywistość! Popelniałeś błędy: super! Jednak pochodzisz z planety Ziemia!

– Gabrielu. – Lloyd czuł się wyjątkowo zmieszany. – Mówimy o morderstwach. Życie nie jest towarem wymiennym. Nawet jeżeli ocalał pół setki ludzi, nie wymażę tego, co uczyniłem. To oczywiste, że muszę ponieść konsekwencje.

– Powiedzmy, że zechcą cię dłużej zatrzymać w Jokohamie – zastanowiła się Eunice. – Julius poczułby się szczęśliwy jak świnia w błocie...

Już od jakiegoś czasu Lloyda dręczyło nieodparte wrażenie, że w całej awanturze nie obeszło się bez udziału wampira. Nawet jeżeli Takeda był tak skoncentrowany na zemście, że przemógł opory przed używaniem trucizny... nie wpadłby na to sam. Takie niehonorowe metody walki nie mieściły się w rozumowaniu japońskiego wojownika. Ktoś musiał podsunąć mu tę ideę, ba, przekonać go do niej.

Nie mówiąc już o tym, że tak starannego dawkowania trucizn nie sposób nauczyć się z internetu.

Doszukiwanie się udziału Juliusa we wszystkich podejrzanych sprawach zakrawało na paranoję. Eunice miała jednak rację. Traktat pokojowy między magami a wampirami opierał się na równowadze sił. Żadnej ze stron nie opłacało się rozpoczynać wojny, bo istniało duże ryzyko, że walczący wyniszczą się nawzajem. Tkwił w tym pewien kruczek. Gdyby to czarodzieje pierwsi zerwali umowę, Julius mógł postarać się o sojuszników. Legalistów, którzy z chęcią wzięliby udział w „sprawiedliwej” wojnie, bez narażania się na reakcję magów z innych miast oraz wywołania ogólnokrajowej reakcji łańcuchowej. Lloyd wiedział dostatecznie dużo o polityce wśród istot nadnaturalnych, aby nie pragnąć poznać jej lepiej.

Gdyby miasto utraciło jednego ze swoich najważniejszych obrońców, Julius mógł obyć się bez męczącej procedury zawierania sojuszy i poradzić sobie na własną rękę. Magowie z Farewell byli w znacznie gorszej sytuacji, jeśli chodzi o sprzymierzeńców. W sprawie, która nie angażowała innych miast, czarodzieje z Lustrzanego Zamku ograniczyliby się do głośnego wyrażenia swojego ubolewania. Możliwe, że napisaliby nawet kilka dyplomatycznych listów.

Krótko mówiąc, samotny mściciel to dla wampira wymarzony, choć nieco przedwczesny prezent na Gwiazdkę.

– Mam go – odezwał się nagle Timothy. – Właśnie teleportował się na parking pod galerią.

– Idę. – Lloyd zerwał się od stolika.

– Zaczekaj – powstrzymał go Timmy. – W tym sygnale jest coś podejrzanego. Ma z wielokrotnione echo i naprawdę chciałbym wiedzieć, co to znaczy. Nie radziłbym się rozdzielać, niezależnie od tego, jaki weltschmerz przeżywasz w tej chwili.

– Timothy...

– Tak jest, Lloyd. Znamy się nie od dziś, każdemu z tutaj obecnych przynajmniej raz uratowałeś życie. I jeżeli chcesz wiedzieć, zawsze przyjmowałem twoją przeszłość z całym dobrodziejstwem inwentarza. Nie jestem jakimś Yodą, żeby oceniać, kto jest po jasnej, a kto po ciemnej stronie Mocy. Nie można dzielić świata na czerń i biel.

– Jeden za wszystkich – dorzucił Gabriel z nutką patosu. – Wszyscy za jednego.

Oszklone drzwi rozsunęły się przed nimi usłużnie. Oświetlony zimnym blaskiem halogenów podziemny parking był niemal pusty. Rozległą betonową przestrzeń przewidziano dla klientów dziesięciu sal kinowych, a także pobliskich sklepów i restauracji, z których prawie wszystkie zamknięto na głucho kilka godzin temu. Wilgotne ślady na betonie świadczyły o tym, że od czasu do czasu zjawiali się tutaj ludzie.

Lloyd uważnie badał otoczenie szóstym zmysłem. Z początku nie znalazł niczego, co powinno go zaniepokoić. Rzeczywistość astralna przedstawiała się stabilnie, nie wyczuwał w powietrzu ani krztyny magii. A jednak... na samej granicy świadomości dostrzegał coś obcego i nieokreślonego, jak obraz uchwycony kątem oka. W załomach betonowych filarów, pomiędzy samochodami, cienie wydawały się poruszać jak żywe.

Gestem dał do zrozumienia pozostałym, aby się zatrzymali.

Stwórz osłony, Gabrieliu – przekazał im telepatycznie. To istoty ze Świata Cieni.

Upiory? – Eunice skorzystała z utworzonego przez niego połączenia.

Projekcje – poprawił ją szermierz. Odbicia wyobrażeń, ideały, które niegdyś znaczyły wiele, ale obecnie należą do przeszłości. Niektóre z nich potrafią straszyć nie gorzej niż duchy zmarłych.

Był zaniepokojony. Czy Takeda świadomie przyzwał je na pomoc? W takim wypadku dobrowolnie pogrążył się w stanie równoznacznym z opętaniem. Żaden rozsądny mag nie zdecydowałby się na podobną decyzję, niewiele różniącą się od dobiecia targu z demonem. Kodeks miasta Farewell, opracowany przez Kaję, nie bez przyczyny zabraniał czerpania mocy z istot nadnaturalnych.

– Jesteś nie tylko zbrodniarzem, ale także tchórzem – usłyszeli głos Takedy. Dobiegał zewsząd, rozbrzmiewał echem w każdym zakamarku betonowego parkingu. – Jak widzę, zaopatrzyłeś się w mięso

armatnie.

– Jeśli chce się bić, to właśnie mnie zachęcił – fuknął Gabriel zza pleców Lloyda. Szymierz uniósł dłonie.

– Spokojnie. Podtrzymuj osłony i nie daj się sprowokować. On tylko czeka na to, abyśmy stracili zimną krew. Takeda-san! – zawołał, przechodząc na staroświecki japoński. – Jak w takim razie mam nazwać wojownika, który posługuje się trucizną? Który chełpi się niczym pawian, a później czmycha przed bezbronnym i chorym? Jesteś tak tchórzliwy, że przy tobie małpa wydaje się smokiem. Tak głupi, że musisz zatrudniać pomocników, którzy wiążą twój pas. Wyjdźże z cienia, w którym skryłeś się ze wstydu przed całym światem! Oprzyj się o ścianę, jeżeli przeszkadzają ci drżące kolana!

Ichiro Takeda wyszedł powoli zza filaru. Kroczył z podniesioną głową, otoczony przez kilkanaście postaci widmowych wojowników. Nie sposób było ich policzyć, sylwetki rozmywały się w powietrzu i zlewały ze sobą, wyodrębniały i tworzyły na nowo. Od każdej jednak biegła cienka, smolista nić, ulotna i dryfująca w powietrzu jak babie lato, połączona z czołem maga. Nici rozdwajały się, łączyły ponownie, przypadkowo splatały się w węzły.

– Widzę, że wreszcie zrobiłem na tobie wrażenie. – Takeda uśmiechnął się złośliwie. – Teraz wszyscy się boicie i nie bez powodu. Oto bohaterowie z przeszłości przybyli, aby wesprzeć mnie w sprawiedliwej walce.

– Otrząśnij się! – zawołał Gabriel Shade. – To zwykłe widma! One chcą się tylko nazreć twojej energii, zostawiają z ciebie pustą skorupę!

– Nie posłucha cię, Gabrielu – mruknął szermierz. – Jest pod wpływem uroku. Musiały dobrać się do jego najskrytszych pragnień. Pamiętajcie, aby nigdy nie dać się podejść w ten sposób.

– Widzę, że jednak zdrętwiałeś ze strachu – szydził Japończyk. – Dobrze wiesz, że nie można zabić cienia.

– Nie, nie można – zgodził się Lloyd spokojnie. – Pamiętaj o tym, Takeda-san. Cofnijcie się wszyscy. Tylko ja mogę z tym walczyć.

Telepatycznie dodał zaś jeszcze dwa słowa:

Więcej światła!

A potem dobył broni i wstąpił w krąg zmiennokształtnych postaci.

Zawirowały, zatańczyły wokół niego, ponownie przybrały formę japońskich wojowników w pancerzach pokrytych czarną laką. Niektórzy z nich byli uzbrojeni w katanę i wakizashi, inni w pojedynczy miecz albo włócznię. Ruszyli naprzód. Gdy kilka osób naraz atakuje wprawnego szermierza, przeszkadzają sobie nawzajem i z tego właśnie korzystał Lloyd. Szybko wszedł w rytm – blok, cięcie, unik. Zdawałoby się, że podzielił się na dziesięciu szermierzy, każdy z własną kataną. Każde trafne uderzenie sprawiało, że upiór rozwiewał się w smugi czarnego dymu, jednak ledwo szermierz odwrócił się w stronę kolejnego przeciwnika, widma formowały się na nowo.

– „Więcej światła”. – Gabriel splótł palce i wygiął je, aż zatrzeszczało. – Doskonale. Złapcie mnie za ręce, do takich efektów specjalnych potrzebuję sporo energii.

– Jakich efektów? – Eunice posłusznie spełniła polecenie. – Mówicie hasłami.

– To bardzo proste, Eunice – wyjaśnił Timothy. – W jakich okolicznościach nie ma cienia? Po pierwsze, w absolutnej ciemności. Ale cienie w pewnym sensie należą do ciemności, więc to nie wchodzi w rachubę. Po drugie...

– Och. Rozumiem – domyśliła się dziewczyna. – Powiedz tylko, kiedy mam zamknąć oczy.

Gabriel nie czekał. Gromadził energię z takim zaangażowaniem, jakby jutro miało nigdy nie nadejść. Świetlisty, eteryczny duch opiekuńczy stanął u jego boku, założywszy ramię na ramię. Artysta trzymał przyjaciół za ręce. Tworzyli zamknięty krąg, jak na seansie spirytystycznym.

Lloyd wciąż odpierał ataki widmowych przeciwników. Ich siła brała się wyłącznie z niezniszczalności – walczyli schematycznie, pozbawieni osobowości i pełni umiejętności sprzed lat. Wiedział jednak, że Takeda gra na jego wytrzymałość. Kusilo go, aby przedrzeć się przez zasłonę cieni, wymierzyć cios w opętanego i ostatecznie zakończyć całą sprawę. Ale czy wtedy nie dowiódłby jednoznacznie, że w głębi duszy pozostał zabójcą? Lloyd z furią zablokował naginatę, równocześnie

unikając w półobrocie widmowego miecza. Nie, żadnych dróg na skróty. Takedę należało schwytać, dowiedzieć się, kto go przysłał, znaleźć źródło obsesji – może to tylko wrogie zaklęcie? – i spróbować go uleczyć.

Zacisnął zęby. Powoli tracił oddech, cienie wysysały z niego magię i ciepło. Przed chwilą nie odsunął się na czas i teraz czuł, jak piekący ból rozlewa się wzdłuż jego lewego ramienia. Zaczynał popełniać błędy. Starał się o tym nie myśleć i czekał na Gabriela.

– *Już!* – krzyknął piosenkarz.

Trójka magów natychmiast zamknęła oczy.

Gabriel Shade tworzył znakomite iluzje. Najczęściej używał swoich umiejętności na scenie, zwłaszcza podczas wielkich koncertów. Potrafił sprawić, aby przedmioty emitowały światło.

Tym razem jego źródłem stały się wszystkie powierzchnie w podziemnym garażu. A kiedy światło pada ze wszystkich kierunków, cienie przestają istnieć.

Lloyd poczuł, że moc ucieka z niego wartkim strumieniem. Zaszumiało mu w uszach, opadł na kolana. Zdawało mu się, jakby światło przeszywało go na wylot i rozdierało jego totem na strzępy. Podparł się zdrową ręką, mocno zacisnął zęby. Musiał wytrzymać. Wiedział, że jego duch opiekuńczy wróci, kiedy on sam zacznie znowu rzucać cień.

Chwilę później totem odzyskał równowagę. Szermierz czuł suchość w ustach, a pod powiekami widział czerwone plamy, ale wiedział, że przybysze odeszli. Nie byli częścią tego świata, brakowało im trwałego oparcia w rzeczywistości. Aby tutaj wrócić, musieliby ponownie odnaleźć drogę.

Nie zdążył zauważyć, co stało się z Takedą, nie słyszał go jednak. Japończyk zapewne upadł na ziemię w tej samej chwili, może zemdlął.

– Gabrielu, czy można...? – Mowa przychodziła Lloydowi z trudnością, jakby miał gardło pełne piasku.

– Wolno patrzeć. Już zgasilem.

Głos Gabriela drżał. Piosenkarz na pewno zauważył ranę Lloyda. Zakrawało na ironię losu, że najlepszy uzdrowiciel w Farewell panicznie bał się widoku krwi.

Szermierz podniósł się ciężko i z trudem zogniskował spojrzenie na drobnej sylwetce Japończyka, który bezwładnie leżał na betonie. Takeda oddychał szybko, oczy miał na wpół otwarte. Wyglądał krucho i bezbrinnie jak małe dziecko. Lloyd pomyślał, że mógłby mu współczuć, ale nigdy nie potrafiłby go znienawidzić. W gruncie rzeczy poczuwał się nawet do pewnego pokrewieństwa. Idealiści to bardzo niebezpieczni ludzie, mawiał kiedyś Ikemura-sensei, w imię idei dokonują największych zbrodni.

Magowie podeszli bliżej. Lloyd zastanawiał się, czy uzdrowicielska moc Gabriela pomoże w przypadku zmaconego umysłu. Możliwe, że Japończyk był tylko krańcowo wyczerpany, że cienie w rozpaczliwej próbie utrzymania się żywiciela wyciągnęły z niego nadmiar energii. Nie miały czasu na wyrządzenie mu nieodwracalnych szkód. Pochylił się nad nim i chociaż sam odniósł rany podczas walki, spróbował dźwignąć nieprzytomnego i przełożyć przez plecy. Nie spodziewał się, żeby Eunice mogła go w tym zastąpić, a co do Gabriela, ten właśnie podejmował wysiłek, by się opanować. Szermierz stęknął ciężko, wstał.

Szósty zmysł zaalarmował go zbyt późno. Niepokój opornie przedzierał się przez mgłę znużenia i zanim szermierz zdążył zareagować, rozległ się świst. Ciałem Takedy targnął wstrząs, a jego głowa eksplodowała krwią.

W pierwszej chwili osłupieli. Potem Eunice wrzasnęła przeraźliwie, a Gabriel odwrócił się i zaczął wymiotować. Usłyszeli oddalający się warkot motocyklowego silnika.

– Timothy! – zawołał Lloyd nagłaco.

– Nie namierzę go, nie przy tej prędkości. – W głosie Timmy'ego czuło się niesmak. – Przywróć lepiej Gabriela do pionu i niech cię wyleczy.

– Cyngiel Juliusa – warknął szermierz.

– Nic mu nie zrobimy.

Timothy miał rację. Ichiro Takeda, samotny mściciel z Jokohamy, nie był ani obywatelem

Farewell, ani dyplomata. Nie obejmował go traktat pokojowy. Gdyby nawet wysledzili sprawcę – a nie ulegało wątpliwości, że to Julius wynajął zabójcę – nie mogliby podjąć żadnych działań. Mafiozo zawsze mógł powiedzieć, że miał z Takedą na pieńku. Chcecie go mścić? Proszę bardzo, ale to oznacza zerwanie zawieszenia broni.

– Kiedyś nadarzy się okazja – szepnął Lloyd, zaciskając pięści. – Wykurzę cię z miasta, wampirze. Obiecuję.

Julio Vicente de Toledo wstał od zasłanego stertą papierów mahoniowego biurka i otworzył barek. W podręcznej cieplarce na głębokim talerzu spoczywała charakterystyczna torebka, napelciona czerwonym płynem. Wampir sprawdził temperaturę palcem, pokiwał głową z uznaniem, a potem fachowo odciął nożyczkami plastikową rurkę.

Skosztował płynu. Skrzywił się, czując gorzki posmak heparyny. Nie znosił fast foodu, ale dzisiejsza narada przeciągnęła się ponad miarę i zbrakło już czasu na przyzwoity, świeży posiłek. Który z tych głupców był taki drobiazgowy? Valentino, tak się chyba nazywał. Ludzie zawsze należeli do słabych stron organizacji. Gdyby Julius miał więcej zimnokrwistych współpracowników, chętnie posłuchałby rady nieświętej pamięci ojca, który mawiał, że nie należy bawić się z jedzeniem. Z drugiej strony lepiej sprawować kontrolę nad śmiertelnikami niż znosić ciągłe walki o władzę. Jego ojciec na własnej skórze poznał, jak niebezpieczny potrafi stać się potomek, który przerósł rodziciela pod względem sprytu i umiejętności.

Rozległo się pukanie do drzwi. To musiała być Angela.

– Proszę.

Sukub wszedł do gabinetu, ukłonił się lekko i zamknął za sobą drzwi. Czarne dżinsowe spodnie Angeli nosiły jeszcze ślady deszczu.

– Przyjezdny przegrał. Musiałam dokończyć sprawę.

Julius uniósł brwi.

– Ach tak. Wiesz, co to oznacza.

Angela Esperanza przeszukała swoją torebkę z krokodylej skóry i wyjęła niewielką portmonetkę.

– *Si, señor.*

Świeży banknot dziesięciodolarowy zmienił właściciela. Julius włożył go między karty jednej z leżących na biurku książek.

– Wolałbym tym razem przegrać zakład – westchnął, wracając do spóźnionego obiadu. – Ale następna okazja zawsze się znajdzie. Nie trzeba się spieszyć. – Pociągnął trochę krwi z rurki. – Mamy czas.

Stary *sensei* Ikemura wypoczywał w blasku słońca przed swoim domem, siedząc na tarasie i popijając z kubka prażoną herbatę *hojicha*. Dzień był chłodny, lecz raczej słoneczny; panowała tu atmosfera rozleniwienia. W oddali przetoczył się stukot kół podmiejskiej kolejki. W małym *dojo* na obrzeżach Jokohamy, z dala od ruchliwej metropolii, czas płynął wolniej, a życie toczyło się spokojniej.

– Dzień dobry, Ikemura-sensei.

– Ach, dzień dobry, Hiro-san – rzekł mistrz, wstając na powitanie gościa. – Dawnośmy się nie widzieli. O, całe wieki żeśmy się nie widzieli.

– Tak. – Lloyd skinął głową. – To prawda. Obawiam się, że nie przybywam z dobrymi wieściami. Ikemura-sensei spojrział na niego w zadumie.

– Rozumiem, że chodzi o młodego Takedę. Podejrzywałem, że tak się to dla niego skończy, cóż, kiedy nie chciał słuchać mądrzejszych od siebie. Czy zginął z twojej ręki, Hiro-san?

– Niezupełnie, *sensei* – odparł Lloyd. – Trudno jednak zaprzeczyć, że to ja byłem powodem jego śmierci.

Przyklęknął przed mistrzem na jedno kolano.

– Proszę zajrzeć do mojego umysłu, *sensei*. Nie mam nic do ukrycia.

Ikemura sięgnął do najnowszych wspomnień dawnego ucznia, przejrzał je skrupulatnie i zamyślił się głęboko.

– Zawsze miałem wątpliwości – odezwał się wreszcie z powagą. – Czy powinienem był przyjąć go do terminu? Błędnie uważałem, że jego naiwność, niezdolność do wybaczenia i skłonność do postrzegania świata w kategoriach czerni i bieli to tylko przejściowe, młodzieńcze wady. Znałem twoje losy, Hiro-san. Wiedziałem, co działo się z tobą przez te wszystkie lata. Oczywiście wstrząsnęły mną wydarzenia w Nowym Orleanie. Gdy dotarłeś do Farewell, podjąłem decyzję o zakończeniu twojego żywota i zrobiłbym to, gdyby ktoś całkowicie nie zmienił sytuacji.

– Kaja i Krzysztof – dodał szermierz cicho.

– Obdarzyli cię ogromnym zaufaniem. – Skinął głową *sensei*. – I ani razu ich nie zawiodłeś. Miałeś szczęście. Nie każdy dostaje taką szansę, niewielu potrafi ją wykorzystać. Przez następne dekady przyniosłeś szkole wiele honoru. Czy muszę wspominać, że tobie również od dawna przysługuje tytuł mistrza?

Lloyd skinął głową z wdzięcznością

– Doceniam to. Chociaż jak wiesz, w Farewell nie używamy tytułów.

– Ach tak, jeden z waszych zwyczajów. – Mistrz zamyślił się na chwilę. – Posłuchaj mnie bardzo uważnie, Hiro-san. Mam dla ciebie jeszcze jedną dobrą radę.

– Tak, *sensei*?

– Ubierz się czasem w coś kolorowego. Czarny i czarny, czy to ci się nigdy nie znudzi...?

Blask słońca opromieniał taras, lekki wiatr poruszał gałęziami starej wiśni.

Cienie zmieniały się jak w kalejdoskopie.

Ojciec marnotrawny

Eunice hałaśliwie zbiegała ze schodów, chwytając się wytartej poręczy na zakrętach. Za plecami słyszała jeszcze gderanie matki, nawołującej do wyrzucenia śmieci, posprzątania w pokoju, tysiąca innych rzeczy.

Ani myślała wracać i spełniać jej poleceń. Niech stara ruszy czasem tyłek, niech chociaż zmieni szlafrok na domową sukienkę, niech robi cokolwiek, byle nie wpatrywała się bezmyślnie w to gadające pudło. Niech do cholery pokaże, że jest człowiekiem, a nie warzywem.

Eunice wrzasnęła, że i tak spóźnia się do szkoły, co w zasadzie było prawdą – z tym że dziewczyna nigdy się właściwie nie przejmowała spóźnieniami. Ale musiała coś odkrzyknąć, aż gotowało się w niej ze złości. Aby nie słyszeć już nic więcej, włączyła empetrójkę, wduszając przycisk tak mocno, że zabolą ją opuszka palca.

Do szpiku kości zakłamanym

Spójrz, jak jesteś uwikłany

W to, czym gardzisz

Im bardziej zaprzeczasz

Jej czarne ciężkie buty hałasowały na szerokich schodach starej kamienicy, niestarannie związane sznurówki plątały się wokół kostek. Podtrzymywała jedno z ramiączek płóciennego plecaka, zaciskając na nim palce tak mocno, aż jej dłoń zbielała. Zatrzymała się na samym dole, trzy piętra niżej, i z trudem wstrzymała się od uderzenia pięścią w powgniataną skrzynkę na listy.

Tak przeciwko, że aż za

Zbyt alternatywny

Na siłę nienormalny

Z rozmysłem wulgarny

Koperty i kartki zaczynały wystawać już przez szczeliny, poczty nie odbierano prawie od miesiąca. Eunice prychnęła i zogniskowała spojrzenie na metalowej klapce. Zamek zgrzytnął żałośnie, skrzynka otworzyła się bez udziału klucza. Dziewczyna zdecydowanym gestem złapała w garść rachunki oraz reklamówki, wcisnęła je do przestronnej kieszeni parki i ruszyła w dalszą drogę. Skrzynka zamknęła się za nią samoistnie.

Między tobą a światem

Jest plastikowa ściana

Malowana na czarno

Cała w pentagramach

Więc pytam się ciebie

Jak się czujesz

Jako część rynku zbytu

Czarnych podkoszulek?

Neverland Made in

Z obskurnej klatki schodowej wypadła na mokrą uliczkę, brudną i zaśmieconą, okalającą podobne stare domy jak jej własny. Dopiero wtedy zorientowała się, że przez cały czas marszczyła brwi. Instynktownie rozmasowała czoło – głęboka bruzda złości wygładziła się, napięte ramiona opadły. Idąc nieco już spokojniejszym, choć nadal zdecydowanym krokiem, dołączyła do tłumu przechodniów spieszących się do pracy lub szkoły. Lekki poranny chłód pierwszych dni grudnia przyjemnie ją otrzeźwił, poszarzałe niebo i brudne resztki pierwszych śniegów na gzymsach przypominały o nadchodzącej zimie. Chuchnęła energicznie i mimowolnie uśmiechnęła się na widok pary wydobywającej się z jej ust.

Chwilę później wsiadała już do szkolnego autobusu. Chuda nastolatka o krótkich, ufarbowanych na jaskrawoczerwony kolor włosach spoglądała drwiąco na wszystkich wokół. W jej postawie dało się wyczuć zarówno nonszalancję, jak i wyzwanie. Wyglądała, jakby miała dziś zamiar zadrzeć z całym światem.

Kiedy zapowiadany gość wszedł do gabinetu pani Harper, ta przez dłuższą chwilę nie mogła złapać oddechu. Gdyby spotkała tego człowieka w ciemnej uliczce, bez wątpienia uciekłaby z krzykiem. Całe życie czuła się dumna z tego, że nie obracała się w podobnym towarzystwie.

Swoim wyglądem Lloyd Dark wyraźnie zdradzał azjatyckie pochodzenie, miał jednak co najmniej dwa metry wzrostu. Odziany na czarno, o zniszczonej twarzy i przenikliwym, ponurym spojrzeniu, budził lęk na pierwszy rzut oka. Jednocześnie wydał się pani Harper w dziwny sposób pociągający. Tacy... ludzie spod ciemnej gwiazdy miewali zazwyczaj w sobie pewien nieokreślony magnetyzm.

Kiedy Eunice przyniosła do Domu Wschodzącego Słońca wezwanie dla rodziców, stało się jasne, że do szkoły musi przyjść któryś z magów. Matka dziewczyny nie stawiałaby się u pani dyrektor, a więc musieli kogoś szybko wytypować. Najbardziej wiarygodnie wyglądał Krzysztof, nie mieszkał jednak na stałe z resztą i trudno się było z nim skontaktować. Weronika ani Timothy raczej nie wchodzili w rachubę. Gabriel co prawda potrafiłby przyjąć dowolnie szacowny wygląd, ale Lloyd bał się powierzać przyjacielowi tak odpowiedzialne zadanie. Jeszcze by mu przyszło do głowy uwodzić dyrektorkę! Strach pomyśleć o następstwach.

Tak więc ponadstuletni mag – wojownik, marynarz, uczeń japońskiego mistrza sztuk walki, niegdyś zabójca, kierowca, detektyw i bywalec podejrzanych spelun, obecnie ochroniarz w nocnym klubie – musiał udać się na poważną rozmowę do pani dyrektor Harper w sprawie Eunice Wight, najmłodszej czarodziejki w ich magicznej społeczności.

Postanowił więc być uprzejmy.

– Lloyd Dark – odezwał się głębokim głosem, w którym pobrzmiwał lekko staroświecki, brytyjski akcent. – Jestem zaszczycony – dodał, kłaniając się z galanterią, po czym ucałował panią Harper w dłoń.

Takiego gestu dyrektorka nie spodziewała się z całą pewnością. Nagle przypomniał jej się *Ojciec chrzestny* i wyrafinowane maniery rozmaitych mafiozów.

– Czy... pan jest ojcem? – zapytała niepewnie.

– Przyjacielem rodziny – wyjaśnił gładko Lloyd.

– Proszę usiąść.

Dyrektorka wskazała mu krzesło. Zastanawiała się, czy jej gość to kochanek Eunice, jej matki, czy też może szef gangu, do którego należy kłopotliwa uczennica.

Lloyd Dark popatrzył na nią wyczekująco.

Nadeszła chwila, kiedy pani Harper powinna zachowywać się stanowczo, ale jakoś jej nie wyszło.

– Tak więc pańska... podopieczna przyniosła... – W tym momencie dyrektorka dostrzegła rękojeść broni wystającą spod czarnego płaszcza Lloyda – ...ekhem, nóż do szkoły...

Czarodziej zauważył jej przerażone spojrzenie i poprawił przypasaną kataną, z którą nigdy się nie rozstawał. Poczł się nieco zakłopotany. Wcale nie zamierzał wystraszyć pani Harper.

– Proszę się nie obawiać. To tylko rodzinna pamiątka. – Wskazał na rękojeść. – Tak więc, powiada pani, że Eunice sprawia kłopoty?

– Tak – powiedziała dyrektorka, starając się przenieść rozmowę na pewniejszy grunt. – To zdolna dziewczyna, ale zaniedbuje naukę. Nie odrabia prac domowych, mam sygnały, że wagaruje i spotyka się z podejrzanym towarzystwem... – Ugryzła się w język. Może pan Dark należał do „towarzystwa”? – No i jeszcze teraz ten, khe, khe, nóż.

– Bardzo mi przykro – oznajmił Lloyd. Jego niesamowity, niski głos wprawiał biurko w lekkie wibracje. – Już nieraz zwracałem jej uwagę, że powinna lepiej wykorzystywać swoje możliwości. Staralem się nauczyć ją wszystkiego, co potrafię. – Tutaj wzrok pani Harper mimowolnie trafił na kataną. – Zdaje się, że jest jeszcze bardzo nieodpowiedzialna. Czy zrobiła coś poza tym?

– Khem. – Odchrząkiwanie weszło już w zwyczaj pani dyrektor. Wyjęła opasłą teczkę. – Ubiera się nieodpowiednio. Podejrzewamy, że bierze narkotyki. Wciąż ma zatargi z nauczycielką literatury. Tydzień temu na przykład nazwała Dostojewskiego psychicznie chorym daltonistą.

– Nie da się ukryć, że mówiła prawdę – rzekł Lloyd, tym razem lekko rozbawiony. – Zaręczam, że nie ma styczności z narkotykami, wykryłbym to natychmiast. Sądzę natomiast, że dziewczyna powinna się ubierać tak, jak ma na to ochotę.

Dwa ostatnie zdania w mniemaniu starego czarodzieja miały uspokoić panią Harper, Lloyd nie wziął jednak poprawki na roztaczaną przez siebie aurę lęku i autorytetu. W związku z tym dyrektorka zrozumiała, że pan Dark macza palce w mrocznych sprawkach, ale pilnuje, żeby nie czyniła tego Eunice. Następne stwierdzenie odebrała natomiast jako zawołowaną groźbę.

– T... tak, oczywiście – bąknęła, a mag zastanowił się, co znowu zrobił źle.

– To wszystko, jak rozumiem? – zapytał uprzejmie.

– E... tak, to już chyba wszystko.

Pani Harper zupełnie zapomniała o tym, że miała zasugerować wizytę Eunice u psychologa.

– W takim razie bardzo dziękuję pani za rozmowę. – Lloyd wstał, zadowolony, i znów uklonił się głęboko. Tysiącokrotnie bardziej wolał walczyć z demonami niż chodzić na wywiadówki. – Miło mi było panią poznać. Poważnie przedyskutuję te sprawy z Eunice. W razie czego liczę na dobrą współpracę.

Pani Harper pożegnała go również, a kiedy pan Dark opuścił gabinet, jego ostatnie słowa uporczywie dźwięczały w jej głowie. Doszła do wniosku, że właśnie wpadła w szpony mafii.

Czarodziej zaś, zamknąwszy za sobą drzwi, nerwowo poprawił kołnierzyk. Miał wielką ochotę na papierosa.

Oczywiście, lotniska podlegały szczegółowej kontroli, zwłaszcza po 11 września. Właściwie nie istniało żadne ryzyko, że którykolwiek z pasażerów z powodzeniem przemyci w swoich bagażach jakąś bombę, materiały biologiczne czy też niebezpieczne narzędzia. Bagażowy Nikolas z pełnym spokojem wykonywał swoją pracę. Lubił ją, nawet jeżeli czasami czuł się nią nieco znużony.

W Atenach od rana padało, a pasy startowe lśniły od deszczu. Z niewielkiego boeinga, którego właśnie rozładowywano, skapywała woda. Ten samolot odbywał tylko loty krajowe, ale większość bagaży leciała dalej, aż za Atlantyk. Ich los zależał od kompetencji Nikolasa i pozostałych.

Greki wszedł do luku i otworzył pierwszy z brzegu kontener, po czym pochylił się nad pakunkami i poczekał, aż jego kolega uruchomi pas transmisyjny. Chwycił pierwszą walizę, przerzucił ją energicznie i złapał za drugą.

Wtedy właśnie odniósł wrażenie, że w głębi kontenera coś się rusza.

– Co jest, cholera – mruknął zdziwiony i zajrzał do środka. Nie mogło mu się przecież

przywidzieć. Pomiedzy bagażami, za dużą, zieloną walizką wyraźnie coś się kryło...

– Czekajcie chwilę – zawołał głośno. – Zatrzymajcie pas. Albo mnie się roi w oczach, albo jakiś idiota wpakował tutaj psa. Chodź tutaj... – zagwizdał zachęcająco, rozsuwając pakunki. – No chodź, piesku. No, jak cię zaraz złapię, cholero...

Przez dłuższy czas współpracownicy Nikolasa czekali na jego sygnał. Wydawało się, że utkwiał w środku i nie zamierza się ruszyć. Wreszcie jeden z bagażowych się zniescierplwił. Nieco zirytowany, wszedł do luku i potrząsnął za ramię pochylonego nad walizkami Nikolasa.

– Co ty tam robisz, zasnąłeś?

Nikolas przewrócił się na podłogę. Na jego pobladłej twarzy zastygł wyraz przerażenia, oczy miał wywrócone białkami do góry.

Był martwy.

– I raz, dwa, trzy! Z życiem, dziewczęta, z życiem!

Kolorowe pompony zawirowały w bardzo nierównym rytmie. Ustawione w rzędku nastolatki z różnym entuzjazmem powtarzały gesty nauczycielki, ta zaś nieustannie zagrzewała je do boju dźwiękiem gwizdka. Te dziewczyny, które należały do szkolnej drużyny cheerleaderek, ćwiczyły z pełnym zaangażowaniem. Pozostałe starały się po prostu trzymać tempo i nie rzucać się zbytnio w oczy wuefistce.

Eunice Wight siedziała na ławce pod ścianą i czytała książkę. Uważała, że całe to machanie plastikowymi wiechciami jest zajęciem skrajnie głupim, uwłaczającym godności każdej normalnej kobiety. Dzięki prostej sugestii telepatycznej przekonała więc nauczycielkę, że ma prawo być niedysponowana – trzeci raz w tym miesiącu.

Wybrała sobie przeciwległy koniec przestronnej sali gimnastycznej i usadowiła się niedaleko drzwi, tuż przy drabinkach. Bezwiednie potrącała nogą pozostawioną przez kogoś piłkę lekarską. Akcja powieści osiągała właśnie punkt kulminacyjny, główny zły spuszczał manto głównemu dobremu za pomocą jakiegoś bardzo potężnego artefaktu. Nieszczególnie ambitna lektura, ale czytało się przyjemnie.

– Nie ćwiczysz?

Uniosła głowę. Nie usłyszała, jak wchodził – szczupły, szarowłosy chłopak, typ intelektualisty o nadmiernie długich kończynach. Na jego lewym policzku widniał mały, niebieski tatuaż w kształcie łyzy.

– Jakoś nie sprawia mi przyjemności robienie z siebie idiotki ku satysfakcji kilku innych idiotek.

Wydęła usta.

– Gdybym ja musiał wymachiwać pomponami... – Chłopak przekrzywił lekko głowę. – Zrobiłbym to tak, żeby skręciło je z zazdrości.

– Widocznie minąłeś się z powołaniem. – Pokręciła głową w udawanym żalu. – A szkoda, masz całkiem niezłe nogi.

– Jeśli chcesz prawić mi komplementy, powiedz coś, o czym nie wiem.

– Przy twoim ego jest to zadanie całkowicie niewykonalne – podsumowała dziewczyna i oboje się roześmiali.

– Czy to twój chłopak? – rozległo się pełne ciekawości pytanie.

Eunice rozejrzała się dookoła i zauważyła, że lekcja właśnie dobiegła końca, a koleżanki, korzystając z tych kilku minut, jakie pozostały do dzwonka, zgromadziły się tłumnie wokół nich.

– Nie, to brat – powiedziała odruchowo Eunice.

– Nie wiedziałam, że masz brata.

– Przyrodni – wtrącił przybysz. – Nasze relacje rodzinne są trochę zawikłane.

Teraz już wszystkie zgromadzone nastolatki wpatrywały się w nieznanego, a dziewczyna miała ochotę wydłubać im oczy. Jak przysłowiowy pies ogrodnika.

– O, tatuaż! To znaczy, że też słuchasz Neverlandu!

– Nie da się ukryć. – Szarowłosy chłopak uśmiechnął się rozbijając. – Widzę, że sława zespołu

zatacza już szerokie kręgi.

– Ano, grają ostro – odezwała się wysoka nastolatka. – Ale ten ich wokół to niezła ciota.

Chłopak spiekl raka jak panna na wydaniu.

– A... więc miałem ci dać te materiały na fizykę, Eunice – oznajmił głośno. – To my już chyba sobie pójdziemy. Do zobaczenia paniom.

– Oby jej więcej przyszczy wyskoczyło, głupiej smarkuli – prychnął Gabriel, obecnie przeistoczony w zwykłego ucznia szkoły średniej. – I kto to mówi, radziecka sportsmenka!

Przemierzali korytarz szybkim krokiem, nie zwracając uwagi na mijanych ludzi. Przed chwilą zabrzmiał dzwonek na przerwę i wokół zaroilo się od rozgadanych, zajętych swoimi sprawami nastolatków. Mag wydawał się czuć w tym tłumie lepiej niż sama Eunice. I pewnie byłoby tak aż do pierwszej klasówki.

– Daj spokój, sam je prowokujesz. – Wzruszyła ramionami. – Przede wszystkim czy w ogóle powinieneś z nimi flirtować? W twoim wieku? Zresztą mogłeś się zamienić w kogoś brzydszego albo zamalować czymś ten tatuaż.

– Po pięciu minutach widać go spod każdej iluzji i każdego makijażu – przypomniał.

Kiedy Gabriel stworzył ten znak na pamiątkę śmierci swojego mistrza, nie przypuszczał, że okaże się tak trwałe. Niezatarty jak wspomnienia o tamtych wydarzeniach.

– A próżność nie pozwala ci na brzydotę – dodała z krzywym uśmiechem. – Co cię podkusiło, żeby przyjść do mnie na wuef? Czekał, nie mów... Masz się upewnić, że dotrę do Domu Wschodzącego Słońca dziś wieczorem. W związku z Lloydem i spotkaniem u pani dyrektor, tak?

– Nie – skłamał Gabriel. – Skąd ten pomysł?

– Nie chrzań. – Dziewczyna spoważniała. – Znowu mam wysłuchiwać morałów.

– Eunice... Troszczymy się...

– Eunice, nie zrywaj się z hiszpańskiego, nie pij piwa, odrób matmę... Po co wy mnie tak, cholera, pilnujecie? – Podniosła głos. – Jestem samodzielna! Nie potrzebuję żadnego nadzoru! Traktujecie mnie nie jak maga, ale jak... przedszkolaka.

– Uspokój się, proszę – nalegał Gabriel. Kilka osób w korytarzu obejrzało się za nimi. – To wszystko dla...

– Twojego dobra – dokończyła sarkastycznie. – Zupełnie, jakbyście naprawdę byli moją, tfu, rodziną...!

Przyspieszyła kroku, zostawiając osłupiałego Gabriela z tyłu, zła na niego, na siebie i na cały wszechświat. Po drodze kopnęła jeszcze szafkę.

– Co ją dzisiaj ugryzło? – wymruczał czarodziej, śledząc ją wzrokiem.

– Życie – odpowiedział mu niski głos. Lloyd Dark stał pośrodku korytarza, wzbudzając powszechną sensację wśród licealistów. – Jest w trudnym wieku i w trudnej sytuacji. Pozwólmy jej ochłonać. Nie sądzę, abyś mógł jej teraz cokolwiek wyperswadować, Gabrielu, prędzej już wywołasz awanturę.

– To się nazywa ciężki okres dojrzewania... – westchnął Gabriel. – Chociaż, prawdę mówiąc, ja byłem jeszcze gorszy.

Tak. Prawie zaćpał się na śmierć, a potem próbował popełnić samobójstwo. Może to i dobrze, że Eunice Wight ma tak wybuchowy charakter. Niezdrowo dusić w sobie emocje.

– Ja także sprawiałem pewne kłopoty.

Lloyd Dark skinął lekko głową. Kiedy był niewiele młodszy od niej, zatrudnił się jako chłopiec okrętowy i popłynął z Anglii do Japonii. Jako szesnastolatek niemal zabił człowieka w karczemnej burdzie. Eunice od kilku miesięcy nie upiła się do nieprzytomności ani nie wdała w żadną bójkę i szermierz uważał to za swój sukces wychowawczy.

– Przedzwońmy do niej wieczorem – zaproponował Gabriel. – I nie moralizuj. Chcieliśmy mieć nastolatkę na wychowaniu, to mamy. Lepiej powiedzmy Timothy'emu, żeby pomógł jej z matematyką.

Wiesz, że we mnie te sinusy i cosinusy kochają się bez wzajemności.

– No cóż, również uważam się za humanistę – przyznał się Lloyd szczerze. – Wielka szkoda, że nie uczą ich w szkole japońskiego.

W odległej przeszłości, kiedy Farewell, młode przemysłowe miasto, dopiero wyrastało ze statusu prowincjonalnej miejscowości, żył sobie w nim pewien architekt. Mniejsza o to, jak się nazywał. Architekt ów wychowywał się na Południu i wczesną młodość spędził, odkrywając nieprzebyte lasy wirginijskie. Dusił się w tym miejscu, gdzie wysoko rosły tylko kominy. Może przeprowadziłby się jeszcze gdzie indziej, gdyby nie to, że w końcu otrzymał posadę w Urzędzie Planowania Miasta. Z rozmaitych pomysłów, jakie podsuwał na zebraniach przełożonym, przyjęto jeden i najważniejszy. Na peryferiach Farewell założono rozległy Park Miejski. Wkrótce wchłonęła go rozrastająca się metropolia, tak że nie minęło wiele czasu, a znalazł się niemal w jego centrum.

Minęło wiele lat, a Park pozostawał jednym z niewielu niezabudowanych miejsc w najstarszej, centralnej części Farewell. Ze wszystkich stron otaczały go szklane wieżowce, centra handlowe i ruchliwe ulice. Oczom przechodniów objawiał się nagle jako oaza zieleni, azyl dla złaknionych słońca i powietrza. Przez całe lato pełnił funkcję miejskiej riwiery – otwierano kawiarnie, oczyszczano staw. Dzieci rzucały chleb kaczkom i karmiły tłuste, prawie całkowicie oswojone wiewiórki. Gdzie okiem sięgnąć, w cieniu drzew, czy też nad sztucznymi strumieniami, ludzie wylegiwali się na kocach.

Późną jesienią Park Miejski ukazywał swoje ponure oblicze – kałuże na spacerowych ścieżkach, błotnistą ziemię wymieszaną z gnijącą trawą, ogołocone z liści drzewa. Kiedy zaczynało zmierzchać, na łysych gałęziach ptak przy ptaku siadały gawrony, czarne roje liczące sobie tysiące sztuk. W powietrze wzbijał się nieprzerwany, chóralny wrzask.

Nocą bywało tam cicho i groźnie, nikły blask latarni oświetlał jedynie alejki. Zbłąkani przechodnie mieli prawo obawiać się szemranych typów czających się w cienistych zakątkach. Wtajemniczeni wiedzieli również o innych istotach przemykających w mroku pomiędzy drzewami. Z niektórymi z nich magowie zawarli pakt o nieagresji, przed pozostałymi chronili bezbronnych śmiertelników.

Mimo to Park był jednym z lepszych miejsc w Farewell. Kłopoty związane z jego istnieniem w najmniejszym stopniu nie dorównywały problemom gorszych dzielnic miasta. Korzyści natomiast nie dało się przecenić.

Obsiedli fragment betonowego murku przy brudnym stawie zapaskudzonym przegniłymi liśćmi. Łyse wierzby pochylały się nad taflą wody, ponure i zmęczone, zgięte grudniowym reumatyzmem. Po zabłoconej alejce skakały nastroszone z zimna wróble, przekrzykując się aż do zachrypnięcia. Zwinnie wymijały rozmiękłe niedopałki papierosów i stare puszki po piwie. Przyzwyczajone do ludzkiej obecności nie zwracały uwagi na zgromadzonych.

Siedziało ich tutaj sześcioro, czterech chłopaków i dwie dziewczyny – młodzież, jakiej nie stawia się za przykład grzecznym dzieciom. Mieli kolczyki w uszach i nosach, agrafki wpięte w plecaki i jaskrawo farbowane włosy, nosili dziurawe dżinsy i ciężkie czarne buty. Może byli anachroniczni, może naśladowali starszych kolegów, którzy już dawno temu wrócili na łono społeczeństwa (lub stoczyli się na samo dno). Zapewne nie walczyli też o te same ideały – ściślej mówiąc, nie walczyli o nic, chyba że o trochę czasu wolnego i parę dolarów na piwo.

Jakoś nie dręczyło ich poczucie winy z tego powodu.

Eunice pociągnęła łyk piwa z butelki po pepsi i roześmiała się głośno, sama dokładnie nie wiedząc, jaki dowcip usłyszała przed chwilą. Myślami wędrowała gdzieś daleko. Kiedyś te spotkania sprawiały jej większą przyjemność. Kiedyś, zanim zrozumiała, że oprócz codziennego kieratu, którego się obawiała, oraz buntu przeciw niemu, który wybierała z braku alternatywy, istniało jeszcze coś więcej.

Magia.

Z całą pewnością jej istnienie nie ograniczało się do Farewell. Świat krył w sobie pełno tajemnic czekających tylko na odkrycie. Eunice nie wiedziała, jak niewielkim ułamkiem magicznej wiedzy

podzielili się z nią jej nowi znajomi, ale podejrzewała, że sporo przed nią ukrywali. Zbyt często dyskutowali o sprawach, o których jeszcze nie powinna wiedzieć, o starych sekretach, o przyczajonych niebezpieczeństwach. W jej obecności takie rozmowy się urywały.

Starali się ją chronić – była dla nich zaledwie dzieckiem, tym bardziej że minęło niespełna półtora roku, odkąd odkryła swoje możliwości. Najmłodszy z nich, Gabriel, stał się magiem ze czterdzieści lat temu. Dom Wschodzącego Słońca sprawiał czasem wrażenie domu emerytowanych cudotwórców – miejsca, gdzie czarodzieje o poharatanej przeszłości mogli żyć sobie spokojnie, lecząc stare rany. Czasami nie była pewna, czy dostała trzech nowych braci, czy dziadków, czasem działali jej na nerwy. Zdarzało się, że wybuchała, obrażała ich tak jak dziś rano, i wciąż chcieli z nią rozmawiać. Lloyd nadal uczył ją sztuk walki, Timmy matematyki, a Gabriel gadał, przytaczając anegdoty ze świata muzyki z ostatnich kilku dziesięcioleci. Nie zraziła ich do siebie. Zdumiewało ją to chyba bardziej niż samo istnienie magii.

– ...nie idziesz?

Uniosła głowę, zdezorientowana. Pytanie chyba odnosiło się do niej.

– Co mówiłeś, Jay?

– Młoda, co ty, śpisz? – zirytował się wysoki chłopak o włosach ufarbowanych na zielono. – Od pół godziny mówimy o imprezie u Platona. W sobotę ma osiemnastkę. Idziesz?

– Pewnie. – Dziewczyna ochoczo skinęła głową. – A gdzie? Przeprowadzał się ostatnio...

– Siedemnasta dziewięćdziesiąt trzy łamane na cztery, zapamiętasz?

– Zaraz zapiszę.

Nie miała własnego smartfona. Matka nigdy by nie kupiła tak drogiej – jej zdaniem – zabawki, którą w dodatku łatwo zgubić albo stłuc. Uważała, że córce w zupełności wystarczy zwykła komórka. Eunice notowała więc analogowo, na czym popadło. Sięgnęła do kieszeni parki w poszukiwaniu kawałka papieru i ogryzka ołówka. Nie chciało się jej otwierać plecaka, więc pomyślała, że zanotuje adres na jednej z kopert, które wyciągnęła rano ze skrzynki. Wyjęła list na chybił trafił, z drugiej kieszeni wydobyla ołówek, mimowolnie przyjrzała się kopercie... i znieruchomiała.

Właściwie powinna się tego spodziewać. On przecież nie znał maila matki. Kiedy był tu ostatnio, nawet jeszcze nie miały internetu. A mimo to...

– Kurwa.

– Co się stało? – zainteresował się Jay.

Dziewczyna zignorowała pytanie i otworzyła list. Przypatrywała się rozłożonej kartce kilka dobrych chwil, mamrocząc coś pod nosem.

– Dla mnie chyba z imprezy nici – powiedziała wreszcie. – Kochany tatko zdecydował się wreszcie odwiedzić rodzinę.

Od dawna nie odczuwała takiej wściekłości. Przez dobre kilka lat Charles Wight kontaktował się z nimi głównie za pomocą bankowych przelewów na wysokie sumy. Od czasu do czasu przysyłał zdawkowe zapytania o zdrowie, świąteczne życzenia, drogie prezenty. Zgodnie z nazwiskiem, które jej przekazał, był ojcem zjawą. Ostatni raz odwiedził rodzinę na Gwiazdkę, cztery lata temu. Przyjechał, spędził z nimi Wigilię i odszedł. Miała wtedy taką nadzieję, że jednak zostanie.

Co go tutaj sprowadza tym razem? Wyrzuty sumienia? Powinien się odpieprzyć raz na zawsze, zamiast karmić złudzeniami ją i matkę. Ma swoje biznesy, swoje kochanki, światowe życie. Po co w ogóle o sobie przypomina?

A gdyby jednak został... albo zabrał ją ze sobą...

Eunice wbiegła po schodach z tupotem. Prawie wpadła na sąsiadkę, która wychodziła na spacer z psem.

– Boże! Co za młodzież!

Usłyszała, ale nie zwróciła na to szczególnej uwagi. Załomotała wściekle do drzwi własnego mieszkania.

Matka otworzyła jej niespiesznie i popatrzyła na nią krzywo. Eunice jęknęła. Sabrina Wight nadal była odziana w szaroniebieski, flanelowy szlafrok. Półdługie włosy – z których zlaźła brązowa farba, odsłaniając siwe odrosty – upięła starą spinką z Disneylandu. W powietrzu unosiła się woń tytoniu.

– Mama, ubierzesz ty się wreszcie?

– Przecież nigdzie dzisiaj nie wychodzę. – Matka wzruszyła ramionami z obojętnością. – Obiad w mikrofalce. Daj mi obejrzeć mój serial.

– Mamo...

– Piwo piłaś? Czuję – oznajmiła groźnie Sabrina Wight. – Chyba nie palisz marihuany?

– Nie palę. Mamo...

– Ciągle cię nie ma w domu, nic się nie uczysz, tylko z tymi kolegami swoimi chodzisz...

– Mamo! – wybuchła Eunice. – Przecież właśnie jestem!

– Krzyczysz na matkę? Zobaczysz, poprosisz ty mnie jeszcze o coś...

– Mamo, ojciec przyjeżdża!

Sabrina Wight umilkła. Zamamrotała coś pod nosem, cofnęła się kilka kroków i popatrzyła na córkę bardzo podejrzliwie.

– Jak to?

– Za parę godzin – wyjaśniła dziewczyna szybko, wręczając jej list. – Zrobiłam po drodze małe zakupy w warzywniaku, więc...

– Dlaczego dowiaduję się o tym dopiero dzisiaj? – Sabrina popatrzyła na nią ze złością. – Co ty sobie w ogóle wyobrażasz?

– Poczta się spóźniła – skłamała Eunice. O tym, że skrzynka stała przepelniona przez kilka ostatnich tygodni, matka nie musiała wiedzieć. – Idź się doprowadzić do porządku, a ja posprzątam.

Noc i Grace były nierozłączne, jak ogień i dym. Jedno nie mogło istnieć bez drugiego. Kiedy słońce chowało się za horyzontem, wszystkie ścieżki w Parku Miejskim należały do Grace. Zwinniejsza od miejskich kotów, bezszelestnie przemierzała cienie. Polowała.

Brudni, śpiący na ławkach włóczędzy nie mieli się czego obawiać – ich odór odbierał jej cały apetyt. Poza tym łowy nie mogły być zbyt proste. Krew zdobyta bez żadnego wysiłku nie smakowała tak słodko jak ta, na którą musiała zapracować. Zazwyczaj wypatrywała najsilniejszych śmiertelników – takich, którzy sami uważali się za myśliwych. Lubiła odwracać role. Zabawę psuła jej tylko zasada, której należało przestrzegać – nie mogła zabijać swoich ofiar, musiała zostawiać w ich żyłach większą część życiodajnego płynu. Złożyła komuś obietnicę i wołała jej dotrzymywać.

Dzisiejszego wieczoru Grace czuła niepokój. Wszystko wskazywało na to, że jakiś intruz wdarł się na jej terytorium. Nozdrza wampirzycy drażniła obca woń – zapach innego, groźnego drapieznika. Gałęzie na jej ścieżkach leżały połamane, nocne ptaki zamilkły spłoszone.

Wdrapała się na najwyższe drzewo w okolicy i niecierpliwie rozejrzała wokół; doskonale widziała w ciemnościach. Mimo to nie dostrzegła jednak niczego podejrzanego. Intruz musiał skryć się gdzieś w zaroślach.

Grace zwinnie zeszła na dół i postanowiła zaufać swojemu węchowi, który do tej pory nigdy jej nie zawiodł. Uchwyciła trop i błyskawicznie ruszyła w głąb mirtowego zagajnika. Jej bosa stopy ledwie dotykały mokrej trawy.

Niesłychanie silny fetor sprawił, że zatrzymała się natychmiast. Krew, mocz i wnętrzności – sama nigdy nie polowała w ten sposób. Instynktownie przycupnęła w największym gąszczu wiecznie zielonych krzewów. Pachniała tutejszym błotem i liśćmi, wiedziała, że nie sposób jej wytropić.

Po chwili dobiegły do niej odgłosy uczyty – chrząkanie, mlaskanie i syki. Szóstym zmysłem czuła, że gdzieś tam w mroku czai się groza niewyobrażalna nawet dla niej samej. Grace, urodzony nocny drapieznik, bała się choćby drgnąć, aby nie przyciągnąć złego.

Została tam jeszcze długo, długo po tym, jak odgłosy umilkły. Nie odważyła się obejrzeć ciała.

Gdyby Eunice miała posprzątać w Domu Wschodzącego Słońca, nie zawahałaby się przed użyciem magii. Choćby po to, aby niespostrzeżenie rozciągnąć czas i w ten sposób nie zużyć go zbyt wiele na tak banalną czynność.

Niestety, w jej domu magia nie działała. Dziewczyna знаła teorię „martwych punktów” – miejsc, gdzie astralna rzeczywistość była tak zaburzona, że nawet najwięksi magowie nie mogli używać tam swojej mocy. Powątpiewała, że jej dom to jeden z nich. Martwy punkt, który zaczyna się natychmiast za drzwiami wejściowymi? Może, jak mawiał Lloyd przy okazji treningów sztuk walki, wszystkie ograniczenia znajdowały się w jej głowie. Bez względu na przyczynę, przekraczając próg własnego mieszkania, Eunice nagle traciła magiczne umiejętności. Jeden z powodów, dla których starała się przebywać tu jak najrzadziej.

Za oknem dawno zapadł już zmrok. Śnieg z deszczem systematycznie oblepiał parapet, wicher szumiał nieprzyjaźnie, wprawiając w drżenie sfatygowane ramy okienne. Eunice z westchnieniem usiadła na odkurzaczu, nieobecny wzrokiem wpatrując się w tęcze odbłaski na ekranie swojego komputera. Zastanawiała się, po co i dla kogo właściwie tak się starała. Dlaczego odkurzyła pokoje i dywan w korytarzu, pozmywała naczynia, posprzątała biurko.

Może to będzie jedyny plus wizyty ojca. Posprzątane mieszkanie. Wzruszyła ramionami i włączyła komputer, wcześniej przecierając jego ekran szmatką. Postanowiła, że nie zetrze kurzu z półek. Bo właściwie po co – kto tam zajrzy?

Nagle zza okna rozległ się donośny huk, aż Eunice podskoczyła ze strachu na krześle. Wstała natychmiast, szybko zgasła światło i przycisnęła nos do zimnej szyby. Spoglądała na pustą, lśniącą od deszczu ulicę, nie dostrzegając żadnych przyczyn nagłego hałasu. Wydało jej się jednak, że w monotonnym szumie deszczu usłyszała coś jeszcze. Cichy, groźny warkot, dźwięk, który mogłaby wydać z siebie dzika bestia. Ciarki przeszły jej po plecach i zamarła w bezruchu na dobrych kilka minut. Wsłuchiwała się w regularny stukot kropel bębniących o parapet. Na zewnątrz nie działo się nic – może zgasło światło w którymś oknie z przeciwległej strony, może przez ulicę przebiegł bezpieczny pies. Mimo to czuła... prawie wiedziała, że coś czai się w mroku.

Jej rozmyślenia przerwała głośna, świdrująca w uszach melodia. Dzwonek do drzwi.

Eunice pospiesznie odsunęła odkurzacza pod biurko i wybiegła do przedpokoju. Po drodze napotkała wychodzącą z łazienki matkę, która zdążyła tymczasem ubrać się w odświętną, zieloną sukienkę i nieco umalować. Oczywiście te zabiegi nie mogły zatuszować lat zaniedbania, które doszczętnie zrujnowały urodę Sabriny. Skóra pożółkła od papierosów, przerzedzone włosy, drugi podbródek i otyła, rozlana figura – to wszystko sprawiało, że wyglądała przynajmniej na dziesięć lat starszą niż w rzeczywistości.

Dziewczyna zerknęła przez judasza i serce zabiło jej mocniej. Tak, to on – Charles Wight, jej ojciec.

Kiedy otworzyła drzwi, mogła przyjrzeć mu się dokładniej. Nie zmienił się od czasu, kiedy ostatni raz go widziała. Wciąż wyglądał młodo i sztywnie. Wysportowany, gładko ogolony, o równo przystrzyżonej fryzurze, odziany w płaszcz i garnitur najlepszej marki, patrzył na nią przez cienkie szkła w drucianych oprawkach. Pachniał dobrą wodą kolońską i wielkim światem. Założył się, że używa odświeżacza, pomyślała złośliwie Eunice.

Widać było, że czuje się niezręcznie. Ostatni raz spotkał się z nimi przecież cztery lata temu; jego mała córeczka czesała się wtedy w dwa brązowe kucyki. Stał przez chwilę w progu, dobierając słowa. Nikt nie chciał odezwać się pierwszy.

– Dobry wieczór – powiedział wreszcie mężczyzna, stawiając na podłodze przedpokoju ciężką, czarną teczkę. – Samolot miał opóźnienie.

– Będziesz się tylko usprawiedliwiał całe życie – burknęła Sabrina. – Przywitaj się chociaż z córką.

Charles wyciągnął rękę na powitanie, a jego córka uścisnęła ją niepewnie.

– Urosłaś – stwierdził. – Jesteś bardzo podobna do babci z czasów jej młodości.

Eunice odniosła wrażenie, że jeszcze jeden komunał z jego strony, a wybuchnie. Gniewem, płaczem, wszystko jedno. Wyprowadzał ją z równowagi.

– Szczególnie z taką fryzurą – prychnęła, ratując się ironią. – Kochana starszka musiała uwielbiać czerwony kolor.

– Eunice! – upomniała ją matka. – Bardzo cię proszę.

– Bardzo dziękuję. – Dziewczyna pokiwała głową. – Może zamiast tak stać, pójdziemy do saloniku i tam zaczniemy grzecznie i uprzejmie do siebie milczeć.

– Tego już za wiele – zagotowała się Sabrina. – Natychmiast przestań pyskować i jazda do swojego pokoju. Porozmawiam z ojcem sama.

– Zaczekaj, Sabrino – odezwał się Charles. – Domyślam się, jak bardzo krępuje ją ta sytuacja, i nie sądzę, żeby...

– To jest mój dom – podkreśliła matka. – A ty, Charlesie, jesteś tutaj tylko gościem. Eunice, do pokoju.

– Przywiozłem dla ciebie prezent. – Ojciec Eunice szybko zmienił temat, chcąc zapewne poprawić humor swojej byłej małżonki.

– Prezent! – fuknęła Sabrina. – Czy ty mnie, kochanie, próbujesz przekupić? Eunice, do pokoju. Już.

– Taaak jest, mamoo... – Eunice zasalutowała, osobiście zadowolona z przebiegu kłótni. Wcale nie miała ochoty rozmawiać z ojcem. Brakowało im wspólnych tematów.

They're afraid of you

Of your talents and your might

They're afraid of you

'Cause they know that you've got it right

Grasp firmly Reality

Shape your page in history

It won't be blank

It's now your time to risk

It's your time to fight

It's your time to win, to pay and to die

It could be your stairway to heaven

Or road to hell

They're afraid of us

Of our hunger and dreams for glory

They're afraid of us

'Cause they know about their fall

Reckless like hurricane / kamikaze

Go forward your path

Whatever it takes

It's now your time to risk

It's your time to fight

It's your time to win, to pay and to die

It could be your stairway to heaven

It's your time to live

Don't waste it away

Neverland, Rebels

– Czego słuchasz?

– Co?

Eunice wyjęła z ucha słuchawkę i energicznie usiadła na kanapie, aż jęknęły sprężyny. W drzwiach pokoju stał Charles Wight i przypatrywał jej się uważnie.

– Pytałem, czego słuchasz.

– Neverlandu. – Wzruszyła ramionami. – Taki zespół rockowy. Jak się rozmawiało z mamą?

– Ciężko. – Ojciec bezskutecznie szukał w jej twarzy wyrazu zrozumienia. – Mogę posłuchać tego Neverlandu?

Eunice prawie się roześmiała. Po latach nieobecności Charles Wight znowu próbował nawiązać przyjaźń z córką. Sorry, stary, nie będzie tak łatwo, nie jestem już małym dzieckiem, pomyślała.

– Chcesz, to na głos puszczyć – zaproponowała. – Po co w ogóle przyjechałeś?

– Chciałem was zobaczyć. W końcu jesteś moją córką. – Charles oparł się o komodę i mimowolnie przesunął dłonią po jednej z półek. Dziewczyna nie mogła uwierzyć własnym oczom. Ten pedant, jej ojciec, naprawdę sprawdzał, czy szafki są zakurzone. – Zależy mi na tym, żebyś skończyła szkołę i poszła na dobre studia. Wolałbym, żebyście nie mieszkali w takiej norze, ale twoja matka odmawia przeprowadzki.

– Nie dziwię się, sama kupiła to mieszkanie po przyjeździe z Chicago. – Eunice wzruszyła ramionami i włączyła muzykę. Stary odtwarzacz zamigotał kolorowymi światełkami, przyciągając wzrok ich obojga. Wygodniej było nie patrzeć na siebie nawzajem. – I tak żyjemy głównie z twoich alimentów, jeśli pominąć rentę matki. W zasadzie powinnam być ci wdzięczna. To za twoje pieniądze mama wysłała mnie do dobrej szkoły.

– Dobrej szkoły? Więc dlaczego tak się ubierasz? – Charles się skrzywił. – Tak nie powinno wyglądać moje dziecko.

– Jakoś nie zauważyłam, żebyś się przejmował takimi drobiazgami dwadzieścia cztery godziny na dobę – parsknęła dziewczyna.

Zapadła krótka chwila milczenia, w tle melancholijnie śpiewał wokalista Gabriel Shade, szumiały gitary.

– Wiesz, przypomina mi się zespół z lat mojej młodości – zauważył wreszcie ojciec. – Metamorphs, o ile dobrze pamiętam. Oczywiście grali w nieco innym stylu; glam rock, tak to się chyba nazywa... ale wokół mieli podobny.

Znając Gabriela, pewnie nawet ten sam, pomyślała Eunice, a głośno powiedziała:

– Nie zmieniaj tematu. Co zamierzasz teraz zrobić? Wszystko zostaje po staremu? Mógłbyś chociaż ustalić kalendarz wizyt, żeby nie wyprowadzać nas z równowagi? Zaczynam wierzyć, że przyjeżdżasz wtedy, kiedy znudzisz się kolejną żoną. Która to? Pewnie trzecia czy czwarta... Kryzys wieku średniego...

– To jest dużo bardziej skomplikowane – rzekł ojciec wymijająco.

– No jasne – fuknęła Eunice. – Mówisz tak, bo nie chcesz się przyznać przed samym sobą, że mam rację.

– Mylisz się: nawet nie wiesz, jak bardzo chciałbym cofnąć czas.

– To znaczy, dokładniej? Co byś wtedy zrobił? – Spojrzała mu prosto w oczy.

Wzruszył ramionami. Nie chciał albo nie umiał odpowiedzieć jej na to pytanie.

Odetchnęła z ulgą, kiedy uroczysta, rodzinna kolacja – a raczej jej parodia – dobiegła końca. Nie wiedziała, dlaczego odgrywali ten teatr, panowała równie radosna atmosfera jak na pogrzebie. Matka w roli pani domu, podająca gotowe dania z mikrofal. Ojciec – światowiec – niesłychanie grzeczny i pełen dystansu. Poproszę sól, dziękuję za widelec, może dolać herbaty. Nie padło ani jedno zdanie, które nie byłoby konwencjonalnym banałem. W przeciwieństwie do Charlesa Sabrina nie silła się przynajmniej na sztuczny uśmiech.

Chociaż zazwyczaj unikała tego obowiązku jak ognia, dzisiaj Eunice na ochotnika zgłosiła się do zmywania. Nie zliczyłaby, ile razy tego wieczoru pragnęła, żeby zadzwonił ktoś z Domu Wschodzącego Słońca i przynajmniej na chwilę poprawił jej nastrój.

Talerzyk wyslizgnął jej się z palców; złapała go w ostatniej chwili.

– Niech to cholera.

– Co mówiłaś? – Zza pleców rozległ się głos Sabriny.

– Nic takiego.

– To dobrze. – Matka skinęła głową. – Weź jeszcze cukiernicę. I to.

Eunice z niedowierzaniem przyjęła niewielkie, złotawe jabłko. Takich odmian nigdy nie widywała w Walmarcie. Może ekologiczne? Trochę przypominało małe, brzydkie i aromatyczne owoce, jakie dojrzewały jesienią w sadzie okalającym Dom Wschodzącego Słońca.

– He?

– Cały Charles – prychnęła Sabrina. – W prezencie przywozi mi broszkę ze szmaragdami, niby na jaką okazję ja mam coś takiego założyć? A do tego jabłko. Chłopięce zarty i drogie prezenty, on się nigdy nie zmieni.

Nie przestając zrzędzić, odeszła w kierunku salonu. Eunice wzruszyła ramionami i wrzuciła jabłko do kieszeni wiszącej w przedpokoju parki. Niemal natychmiast o nim zapomniała.

Obudziła się nagle, z wrażeniem, że śniło jej się coś koszmarnego. Gwałtownie usiadła na łóżku. Przez dłuższą chwilę, zanim jej oczy przyzwyczyły się do mroku, nie widziała nic. Oddychała powoli, starając się uspokoić bicie serca. Na zewnątrz wiatr huczał niespokojnie, wstrząsał okiennicami. W pokoju panował dziwny chłód. Dziewczyna wtuliła się w kołdrę. Czyżby ktoś zapomniał zamknąć okno?

Eunice opuściła nogi i zaczęła szukać stopami kapci. Jej szlafrok leżał gdzieś za zagłówkiem łóżka... nie, zupełnie o tym zapomniała. Miała tylko jeden, a ten znajdował się w jej pokoju w Domu

Wschodzącego Słońca.

Dygocąc z zimna, odszukała szorstki, płócienny abażur nocnej lampki, a obok – wyłącznik. Po chwili żółte światło rozjaśniło pokój.

Zza lekko uchylonych drzwi napływał chłodny wiatr. Eunice wiedziała, że nie zaśnie, dopóki nie odnajdzie źródła tego dokuczliwego zimna. Okno w salonie. Na pewno matka wietrzyła po kolacji. Trzeba zamknąć okno w salonie.

Dziewczyna powoli wyszła na korytarz. Nienaturalna cisza zalegała w mieszkaniu. Tylko wiatr wył potępieńczo w okiennych ramach. Eunice próbowała sobie wmówić, że nie ma się czego bać; przecież nie jest już dzieckiem, które drży ze strachu na myśl o wyjściu do łazienki w środku nocy. Ale coś się tutaj nie zgadzało. Coś było nie tak.

Ktoś zostawił drzwi od mieszkania otwarte na oścież.

Złodziejce, pomyślała Eunice i uchwyciła w dłoń największy i najcięższy z parasoli. Gdybym tylko miała do dyspozycji moją magię...

Wysunęła stopy z kapci i zaczęła skradać się na palcach. W salonie panował spokój, z kuchni dało się słyszeć wodę miarowo kapiącą z kranu i monotony pomruk lodówki. Pokój matki... Eunice wstrzymała oddech i uchyliła drzwi, kurczowo ściskając parasol w dłoni. Docierający zza okna blask miejskich świateł zamieniał mrok w bezpieczną szarość. Sabrina Wight spała spokojnym, niewzruszonym snem. Pochrapывała miarowo.

Wersalka ojca była pusta, a pościel rozrzucona.

Pełna najgorszych przeczuć Eunice cofnęła się ostrożnie i natychmiast zawróciła do przedpokoju. Zerknęła na wieszaki, półkę, wykładzinę. Płaszcz ojca. Zniknął z wieszaka. Buty. Nie ma. Teczka. Została...

Dziewczyna wychyliła się za próg i wyteżyła wzrok, próbując dojrzeć cokolwiek w ciemnościach panujących na klatce schodowej. Kiedy uchwyciła się dłonią krawędzi drzwi, poczuła, że dotyka czegoś mokrego. Szybko cofnęła dłoń.

Krew.

O kurwa!

Eunice poczuła, jak oblewa ją zimny pot. Przez chwilę gapiła się na własną dłoń. Z trudem udało jej się pozbierać myśli. Oczywiście, wielokrotnie wyobrażała sobie, że uczestniczy w sytuacjach wymagających odwagi i bohaterstwa. Teraz jednak najwyraźniej coś takiego działo się naprawdę. A w pobliżu nie było żadnego starszego maga, który mógłby jej pomóc.

Cofnęła się do swojego pokoju i w ciemnościach namacała komórkę. Dobrą minutę wduszała przycisk, zanim pojęła wreszcie, że bateria była martwa. Dziewczyna mogłaby przysiąc, że poprzedniego dnia wetknęła telefon do kontaktu. Przez chwilę zaciskała palce na plastikowej obudowie, słuchając bicia własnego serca, aż wreszcie podjęła decyzję.

Narzuciła parkę, założyła buty i wyszła na korytarz, zamykając za sobą drzwi na klucz. W pośpiechu zapomniała wytrzeć rękę, przez co zostawiła na kurtce krwawe plamy. Przeklęła cicho, po czym ugryzła się w język. Intruz nadal mógł się czaić gdzieś w ciemnościach.

W nagłym przypływie przytomności umysłu odszukała wyłącznik światła. Podświadomie spodziewała się, że nie zadziała – świetlówki zamigotały jednak chorobliwie i wbrew jej obawom nie zgasły.

Czerwone, świeże ślady znaczyły niemal co drugi stopień krętych, brudnych schodów. Po kilku stopniach ktoś – napastnik albo jej ojciec – rozmazał krew i zostawił wyraźne odciski butów. Kto został ranny, kto kogo ścigał? Eunice nerwowo wyszperała w kieszeni kurtki swoją niezastąpioną finkę i zaczęła schodzić na dół.

Gdzieś tak w połowie kamienicy odzyskała moc, do reszty zanikł wpływ rodzinnego domu. Od razu poczuła się pewniej. Magiczny instynkt wzbogacał jej zmysły, dodawał nowe wymiary do rzeczywistości. Teraz mogła zmierzyć się z niebezpieczeństwem nie tylko za pomocą konwencjonalnych środków.

Dziewczyna zmrużyła oczy, uspokoiła oddech i skoncentrowała się tak, jak ją tego uczono.

Magia zawirowwała w czasoprzestrzeni, odsłaniając trop wyraźny jak strzałki rysowane w grze w podchody. Eunice znieruchomiała. Spodziewała się wszystkiego, ale to...

Widziała dwie aury, które zaledwie kilkanaście minut temu zostawiły ślad w powietrzu. Jedna z nich bez wątplenia należała do człowieka, nie do śmiertelnika jednak, lecz maga. Niemal dawało się w niej wyczuć znajomy zapach drogiej wody kolońskiej.

Druga nie dawała się opisać żadnymi słowami. To było coś niesłychanie starego, potężnego i koszmarnego. Wydobywało pierwotne lęki drżące w najgłębszych pokładach ludzkiej podświadomości.

Eunice natychmiast wysłała telepatyczny impuls, starając się wezwać na pomoc któregoś z magów. Natknęła się na nieprzewidziane przeszkody. Wymiar astralny został zaburzony samym przejściem tajemniczej istoty. Powietrze drgało od zakłóceń stworzonych przez obcą, potężną jaźń.

Wiedziała, że nie ma czasu, aby dostać się do Domu Wschodzącego Słońca. Równie dobrze mogła skazać własnego ojca na śmierć, jeżeli jeszcze żył. Cokolwiek próbowało go zabić, stanowiłoby wyzwanie nawet dla Lloyda.

Eunice poczuła, jak wzbiera w niej desperacka wściekłość.

Magia otoczyła ją niczym kokon, przyspieszyła reakcje, rozszerzyła wzrok i słuch poza granice ludzkich możliwości. Dziewczyna gwałtownie wybiegła z klatki schodowej. Nie zważała na zimno, na przenikliwy wiatr, na płatki śniegu lepiące się do twarzy. Podążała świeżym tropem, ledwie dotykając ziemi. Jej duch opiekuńczy, wielki lew o sierści płonącej żywą czerwienią, towarzyszył jej tak, jak piorun towarzyszy burzy.

Timothy Hawkins nie mógł zasnąć. Od dłuższego czasu przewracał się w zmiętej pościeli, bezskutecznie próbując znaleźć pozycję, w której nie będą mu przeszkadzały własne łokcie, bicie serca lub mimowolne skurcze mięśni. Dojmujący chłód, który dręczył go bez względu na porę roku, dokuczał mu bardziej niż kiedykolwiek. Mag kilkakrotnie zapadł w krótki sen, trwający może kwadrans, a może pół godziny.

Majaczyła mu się dziwaczna, powtarzająca się scena. Rysunkowy lis, taki jak ze starych kreskówek Warner Bros., wpelzał do kurnika przez luźną deskę w ścianie i po kolei dusił wszystkie kury przy akompaniamencie niepokojących dźwięków pianina i dziecinnych rymowanek, których po przebudzeniu Timothy nie mógł sobie przypomnieć w całości.

Wstał z łóżka, obolały i rozdrażniony. W Domu Wschodzącego Słońca było cicho jak makiem zasiał. Nie słyszał szepczących między sobą portretów ani nawet domowych duchów, które zazwyczaj dokazywały w zakątkach salonu. Większość z nich już kilka tygodni temu pogrążyła się w hibernacji. W tej chwili bardzo im zazdrościł. Męczący sen o lisie nadal odbijał mu się czkawką, bezsensowne urywki wierszy krążyły po głowie.

Nie miał ochoty się teleportować. Postanowił, że się przejdzie – może zaśnie, kiedy trochę się zmęczy. Jego pokój znajdował się na parterze i przejście do kuchni nie zajęło mu wiele czasu. Usiadł na obrotowym krześle, oparł kule o blat. Potem odnalazł w lodówce karton mleka, nalał trochę do rondelka i postawił na kuchenkę. Na krótką chwilę uruchomił zmysł podczerwieni, aby ułatwić sobie zapalenie gazu. Westchnął ciężko.

Lis w kurniku, lis w kurniku... Cybermag miał wrażenie, że sam próbuje coś sobie powiedzieć, ale nie potrafi się wysłuchać. Zmysł magiczny czasami dawał o sobie znać w taki sposób i ledwie Timothy o tym pomyślał, uświadomił sobie pewien istotny szczegół.

Magiczna atmosfera w Domu Wschodzącego Słońca była zazwyczaj wyjątkowo stabilna. W samym mieście magowie natykali się czasami na nieznaczne zakłócenia. Świat astralny nieraz zachowywał się kapryśnie; wpływały na niego dramatyczne wydarzenia w zwykłej rzeczywistości, koniunkcje gwiazd, rocznice ważnych wydarzeń, plamy na słońcu. Od dłuższego czasu nie stało się jednak nic tak poważnego, aby zaburzyć równowagę panującą w Domu.

Teraz, kiedy Timothy się koncentrował, wyczuwał wokół siebie subtelne, chaotyczne

zawirowania magii, tak jakby coś niesłychanie potężnego krążyło po okolicy i zmieniało rzeczywistość samą obecnością. Gdzieś daleko, na zewnątrz...

Natychmiast teleportował smartfon do ręki. Jęknął boleśnie, kiedy wyładowania elektryczne zakłuły go w dłoń, ale zdołał nie upuścić urządzenia na ziemię. Taka magia nie powinna mu sprawiać tutaj żadnych trudności. Niedobrze, pomyślał. Bardzo niedobrze. Co, do jasnej cholery, mogło wywoływać podobne efekty?

Z pierwszego piętra dobiegł go odgłos otwieranych drzwi. Chwilę później drewniane schody zaskrzypiały jak stary portfel. Wrażliwe uszy Timothy'ego uchwyciły każdy krok bosej stopy na miękkim dywanie.

– Nie wstrzymuj oddechu – powiedział spokojnie. – I tak cię słyszę.

– A myślałem, że tym razem jednak cię zaskoczę. – Gabriel stłumił ziewnięcie. – Timmy, już trzecią noc z rzędu tłuczysz się po domu. Jeżeli przesiadujesz przy Homerze do czwartej nad ranem, nie dziw się, że potem się źle czujesz.

– Mmm. Racja, racja... – mruknął Timothy. Nie mógł uzyskać kontaktu z Ponadsięcią, połączenie rwało się jak sparciałe płótno. – Albo właśnie rozpoczęła się Apokalipsa, albo mamy intruza w Farewell, Gabrielu. W skali jeden do dziesięciu daję mu jedenaście.

– Co? Jesteś pewien?

– Nie, tylko tak sobie plotę, co mi ślina na język przyniesie – prychnął Timmy. – Skup się na chwilę, wyczujesz go od razu. Krąży po mieście jak lis po kurniku...

– O, Boże... – szepnął Gabriel.

– Ależ słucham. Już rozumiesz, prawda?

– Tak. Nie, czekaj. To, co przed chwilą powiedziałeś. Lis w kurniku – szepnął czarodziej, wstrząśnięty. – Kaja napisała całą przypowieść, posługując się tą metaforą.

Timothy milczał przez chwilę. Fragmenty wierszy znów rozdzwoniły się w jego umyśle natrętnym refrenem.

– Czy to się rymowało?

– Z grubsza. Nie pamiętam dokładnie... Dlaczego pytasz?

Cybermag powolnym gestem poprawił włosy opadające mu na twarz.

– Wydaje mi się, że powinniśmy zejść na dół i sprawdzić, co tam jest właściwie napisane.

Gabriel wysunął szufladę staroświeckiej szafki i wyjął z niej księgę oprawioną w spłowiałą, bladoniebieską okładkę. Gdzieś za jego plecami pomrukiwał Homer zanurzony w gigantycznej płataninie kabli. Timothy odłożył na bok swoje kule i przysiadł na ciasno zwiniętym latającym dywanie. Nie używano go już od dawna – podczas Wojny mocno oberwał wrogim zaklęciem i prawie zatracił magiczne właściwości. W piwnicy trzymano go tylko przez wzgląd na stare sentymenty.

Zaszeleściły poźółkłe kartki, palce Gabriela niemal natychmiast trafiły na odpowiednią stronę zapisaną drobnymi, pochyłymi literami.

– „Rozprawka o lisie w kurniku” – przeczytał na głos. – O rany, to jest stylizowane na bajki La Fontaine'a. Czytać całość?

– Opuść sobie – mruknął Timothy. – Streść.

– „Grudniowa noc nadchodzi, kiedy lis, bestia zmyślna...” – zaczął Gabriel. – Dalej jest opis wykradania kur: „owoców pracy”, długie pomstowanie na nieuważnego gospodarza i sfabularyzowana scena polowania na okoliczne lisy. Ostatecznie tracą obydwie strony... Uwaga końcowa: „Jako też morał z tego wynika: lis winien trzymać się lasu, a gospodarz kurnika”.

– Chyba się dobrze bawiła, pisząc tę przepowiednię – rzekł Timothy zgryźliwie. – Śmiałym się, gdyby sprawa nie brzmiała tak cholernie poważnie. Jakieś kluczowe słowa? Uwagi?

– „Pośród lisów gospodarz jest mitem”... nie, to chyba nie to... „lisica mała, odważna niczym rudy lew...”. Cholera. Płomienny lew.

– Eunice – szepnął Timmy. – Gabrielu, w tej bajce to my jesteśmy lisami.

Wstał, oparłszy się ciężko na swoich kulach.

– Trzeba działać. Musimy jak najszybciej sprowadzić tu Eunice i odnaleźć Lloyda. Wolałbym tego nie mówić, ale chyba potrzebujemy też pomocy Krzysztofa.

Gabriel skinął głową poważnie, zapominając, że Timothy i tak go nie widzi.

– Odpał Homera i skontaktuj się z Lloydem, a ja znajdę Eunice. Włączysz szafę?

– Lepiej nie – mruknął Timothy. – Mam wrażenie, że teleportacja może być dzisiaj bardzo niebezpieczna. Dopóki nie wezmę poprawek na stan rzeczywistości astralnej, nie zamierzam nawet próbować takich rzeczy. Weź Gruchota, tylko się pospiesz.

(...) Słów moich posłuchać nie będzie strata:

Kłów bestia żałuje, nie zwady też szuka

Lis – sprytnie zwierzę. Słabość jego taką:

Gryźć cudze kury. Winny, nie zaprzeczy.

Rusz głową – samotny, nie szuka przyjaciół.

Tchórz, nie bohater – już znasz się na rzeczy.

Z kaprysu poluje, nie tylko z konieczności;

Lisów innych opuści, nie dla ostrożności.

Rozważ słowa moje, naturę lisa poznasz.

Gospodarz uważny nie będzie próżnować. (...)

Mokre, pozlepiane płatki śniegu opadały na rozłożyste gałęzie starego cyprysu. Monumentalne, stare drzewo wydawało się lasem samym w sobie. Za młodu prowadzone przez doświadczonych ogrodników – rozrosło się wszerek jak wielki parasol, a jego potężne konary przypominały wielkie, zakrzywione ręce.

Niewielka latarnia przy żwirowej ścieżce rozbłysła nagle, reagując na spóźnionego przechodnia w parku. Mężczyzna przystanął na chwilę i nerwowo rozejrzał się dookoła. Ledwo łapał oddech, z twarzy spływał mu pot. Pod lewym ramieniem jego płaszcz był nasiąknięty krwią.

– Nie uciekniesz przed nami, sss, nigdzie się nie schowasz – rozległ się drwiący głos. Zdawał się dobiegać z bardzo daleka, a wtórowały mu dziesiątki szeptów i posykiwań.

– Zapłacisz nam, zapłacisz za swoją bezczelność, o tak.

Schowana za pnem drzewa Eunice nie widziała całej sceny. Czowała tylko obcą magię, która z każdą chwilą przybierała na sile. Ogarniał ją paniczny lęk.

Uspokój się i oddychaj. Wszystko jest w twojej głowie. – Niemal usłyszała rzeczowy, beznamiętny głos Lloyda. Długo trenowała medytację pod jego kierunkiem – ale czy potrafiła zastosować te nauki w obliczu prawdziwego niebezpieczeństwa?

– Wszystko jest w mojej głowie – wymruczała Eunice i ostrożnie wyjrzała zza drzewa.

Pierwszym, co zobaczyła, był cień.

Na rozmiękłym zimowym trawniku rozpościerał się skłębiony cień setki macek, głów i główek. Falował, puchł i kurczył się na zmianę; bezustannie w ruchu, zmienny, potworny, kolorem przywodzący na myśl rozlaną ropę naftową.

Eunice odważyła się spojrzeć wyżej i natychmiast tego pożałowała. Jej oczom ukazało się monstrum, ucieleśnienie najmroczniejszych koszmarów sprzed początków czasu. Pulsowało jak serce wyjęte żywcem z klatki piersiowej. Z ciała istoty, okrytego opalizującą powłoką, wyrastały dziesiątki łap i węzowych głów, które pozostawały w ciągłym ruchu, kolejno wchłaniając się i wyrastając od nowa. Stwór budził skojarzenia z wielonogim karaluchem albo spotworniałym pajakiem, ale równocześnie przelewał się wciąż jak wielka pryzma na wpeł zakrzepłej lawy. Zdawał się wchłaniać całą magię i całą rzeczywistość, jaka go otaczała. I te oczy. Wszystkie głowy miały przynajmniej dwoje oczu. Białych, pustych i bezdennych.

U jego łap kulił się zakrwawiony człowiek. Eunice rozpoznała swojego ojca.

– Ukarzemy cię i pożremy cię całego. Pogryziemy, przeżujemy, wyplujemy kości – drwiła istota, wyciągając w jego kierunku trzy największe, niekształtne głowy. – Nędzny, bezczelny tchórz!

– Odpierdol się od mojego taty! – Dziewczyna usłyszała własny, drżący głos.

Wyjęła z kieszeni finkę, chociaż doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że zwykły nóż nie jest w stanie zrobić istocie żadnej krzywdy.

Koszmar odwrócił w jej kierunku wszystkie głowy i spojrzał na nią setkami białych, pustych oczu. Eunice zebrało się na wymioty.

– Płomienny Lew – odezwała się jedna z głów, a mniejsze łebki powtórzyły za nią słowa jak echo. – Coś takiego, sssss, co za sssspotkanie.

Płomienny Lew...? Skąd to paskudztwo znało jej totem?

– Ja nie żartuję. Idź sobie. Już – powtórzyła dziewczyna, starając się, aby zabrzmiało to bardzo odważnie.

Wiedziała, że po prostu posika się ze strachu, jeśli ten potwór zbliży się do niej choćby o krok.

– Ależ jest jeszcze malutki – rzekł drugi łeb. – Niedorossły.

Spod jego nasady wypączkowało naraz kilka małych główek i wydało z siebie przeciągły syk.

– Możemy zjeść go pierwszego – zaproponowała trzecia duża głowa. – Dopóki nie jesssst groźny.

– Nie czassss – szepnęła na powrót pierwsza. – Nie ten obrót sssspirali. Odsstap. Ten człowiek to złodziej. Ukarzemy go, sssss...

Pulsująca masa wezbrała nad nią jak fala na wzburzonym morzu.

– Chyba cię pokręciło – pisnęła Eunice ze ściśniętym gardłem i cofnęła się o krok. – To jest mój ojciec. Jak chcesz go sobie zeżreć, to po moim trupie.

– Coś takiego! Coś takiego, sssssss! Wedle życzenia, mały magu. Co ty takiego możesz nam zrobić? – W zdublowanym echem wielogłosie ledwo dawało się rozróżnić słowa.

– Ja może nic, ale moi przyjaciele przyjdą i mnie pomszczą. Rozniosą cię na strzępy. Zobaczysz, nie będzie czego zbierać...

Spodziewała się, że istota lada moment zaatakuje, ale stało się inaczej. Potwór zamilkł i zakrzepł w bezruchu. Białe oczy lśniły w mroku, głowy zaczęły posykiwać na granicy słyszalności. Dziewczyna nadal kurczowo ścisnęła nóż.

– Hssss... Są w mieście... Sssssrebrny Rycerz, Sssssidhe, Cienissty...

– Wicher i Wierzba.

– Wierzba śśspi... nie obudzić jej, cicho, cicho...

– Urośnijmy jeszcze.

– Urośnijmy. Wejdźmy im w ssssnny, uwijmy sobie miłe gniazdko.

– Powrócimy wkrótce, malutki lwie... sssssss... i wtedy, wtedy pożremy wasss wszyssstkich...

Koszmar odchodził w głąb miejskiego parku, blednąc, niknąc i rozlewając się po cieniach. Eunice opadła na kolana i przez jakiś czas wymiotowała. Kiedy tylko udało się jej opanować, wstała powoli i na trzęsących się nogach podeszła do ojca.

Leżał na trawniku, owinięty w zakrwawiony płaszcz i ledwie oddychał. Eunice przekląła cicho. Jak do tej pory nie udało jej się przyswoić sztuki uzdrowicielskiej. O pierwszej pomocy wiedziała tyle, że nie należy odrywać materiału od ciała. W dodatku szósty zmysł mówił dziewczynie, że rany są skażone obcą mocą, w takim stopniu, że zwykła medycyna może się okazać bezradna. Trzeba go zabrać do Domu Wschodzącego Słońca... Nie, to za daleko, do tego czasu zdąży się wykrwawić. Znacznie bliżej znajdowało się schronisko prowadzone przez siostrę Weronikę. Wołała nie myśleć o tym, że aby tam dotrzeć, należy zagłębić się w mroczne zaułki Rynsztoka.

Aby unieść ciężkiego, dorosłego mężczyznę, spróbowała wzmocnić się za pomocą magii. Odnosiła wrażenie, że po tym spotkaniu cała jej moc ulotniła się jak kamfora, ale nie było rady, musiała znaleźć na to siły.

Kiedy podnosiła go ostrożnie, na chwilę otworzył oczy.

– I co ty najlepszego narobiłaś... – szepnął. – Wiesz, co to jest?

– Gównu mnie to obchodzi – chlipnęła Eunice. – Niech spierdala.

Charles Wight westchnął. Nie czuł się na siłach, aby skarcić córkę za wyrażanie się w nieodpowiedni sposób.

– Mam nadzieję, że ci twoi przyjaciele są wystarczająco potężni, aby poradzić sobie ze Strażnikiem... – Przerwał na dłuższą chwilę, oddychając ciężko.

– Strażnikiem? – powtórzyła cicho, ale jej ojciec nie odpowiedział, bo na dobre stracił przytomność.

Granica między północną dzielnicą a obrzeżami Centrum przedstawiała się dość płynnie i chociaż traktat między magami i wampirem Juliusem określał ją precyzyjnie, część ulic stanowiła w istocie ziemię niczyją. Przypadkowi goście doznawali wrażenia, że powoli ześlizgują się w odrębny wymiar, karykaturę miasta, wszechświat szary, brudny i pozbawiony nadziei. Z każdym ich krokiem przybywało dziur w asfalcie, rozbitych szyb i rozgrzebanych śmietników. Powoli budziła się w nich świadomość, że trafili do miejsca wtórnie pogrążonego w mrocznych wiekach. Nawet taksówkarze obawiali się odwiedzać swoiste miasto w mieście, w którym policja zjawiała się rzadko i niechętnie. Ludzi dzielono tutaj na drapieżników i ofiary, a przybysze z zewnątrz należeli do tej drugiej kategorii.

Dziewczyna nie przystawała. Starła się iść szybko, aby Rynsztok nie zauważył jej obecności. To pewne, że dzielnica miała coś w rodzaju własnej, z gruntu złej świadomości. Nowobogacki dzieciak zginąłby tu w ciągu pierwszych pięciu minut. Eunice, która mieszkała w biednej dzielnicy pełnej emerytów, jak dotychczas nie została dostrzeżona.

Bury kundel przebiegł jej drogę, umykając z podkulonym ogonem. Ktoś czał się za rogiem – najpewniej większa grupka ludzi, tutaj nikt nie wychodził na ulicę samotnie. Dziewczyna zagryzła usta i skoncentrowała się na wydobyciu tej resztki mocy, która jeszcze jej została. Chciała tylko użyć drobnej iluzji, aby odwrócić od siebie uwagę nieznanym. Zanim jednak magia zaczęła działać, z zaułka wyłoniły się cztery ponure postacie o szerokich karkach. Wyglądały, jakby szły w szyku, i Eunice miała przeczucie, że to nie wszystko. Istotnie, tuż za nimi, niespiesznym, leniwym krokiem podążał smukły mężczyzna o latynoamerykańskiej urodzie, w szarym garniturze. Miał włosy zaczesane na żel w przedziałek, arystokratyczną minę i brylantowy kolczyk w uchu. Bił od niego niemal namacalny, drażniący chłód – piętno życia po śmierci.

– Dobry wieczór. – Uśmiechnął się sardonicznie. – Cudowna noc. Dla mnie, ma się rozumieć. Gołąbki same wpadają do gąbki, mmm-mmm.

– Pozwól mi przejść – odezwała się dziewczyna, modląc się, aby jej głos zabrzmiał wystarczająco pewnie. – Mamy układ.

– Układ, jaki układ? – Wampir zmrużył oczy. – Gdybyś mogła przypomnieć... Pamięć czasem mnie zawodzi.

– Eunice Wight, Trzynasta, pod protekcją Domu Wschodzącego Słońca – wyrecytowała jednym tchem. – Prosi o prawo azylu Juliusa, hrabiego Północnej Bramy.

Skrzywił się demonstracyjnie.

– Dobrze cię nauczyli – mruknął, a dziewczyna podziękowała wszystkim świętym za to, że rozpoznała go z opisu. – Niech zgadnę. Idziesz do schroniska po pomoc dla tego... – Julius wskazał przewieszzonego przez jej lewe ramię Charlesa Wighta. – Ach, kochane owieczki, zawsze takie ciepłutkie, słodkie, altruistyczne, aż mi się rzygać chce. Gdyby nie to, że są takimi soczystymi przekąskami, nie rozumiałbym, dlaczego ziemia spokojnie znosi ich egzystencję.

Zakołysała się na piętach, niecierpliwie czekając, aż Julius wreszcie zamilknie. Każda chwila mogła teraz zdecydować o życiu Charlesa.

– Układ, układ – zakończył wampir. – Odeskortujemy cię aż do placu, a potem sama sobie radź. Boję się podejść bliżej do tego źródła dobroci, to może być zaraźliwe...

Eunice ledwo zauważalnie odetchnęła z ulgą.

– Ale – pokiwał palcem – ale najpierw zapłata.

– Jak to?

– Widzę, że potrzebujesz podpowiedzi – powiedział hrabia Rynsztoka sarkastycznie. – Krew, owieczko, twoja krew. Nie cała, tyle, ile marnujecie zwykle w stacjach krwiodawstwa. O ile mi wiadomo, dasz radę ustać potem na nogach. Nie złamię ani jednego punktu traktatu.

Dziewczyna nigdy nie słyszała o takim warunku. Według traktatu powinna się tylko przedstawić i jak najszybciej opuścić dzielnicę, powstrzymując się od używania innej magii niż ta zapewniająca jej podstawowe bezpieczeństwo. Poza tym spełnienie żądania Juliusa oznaczałoby, że nie dałaby rady donieść ojca do schroniska, nawet pod wpływem magii wzmacniającej.

– A jeśli odmówię? Co mi możesz zrobić, nie naruszając paktu?

– Ach, mogę przecież odebrać daninę od niego. – Julius najwyraźniej świetnie się bawił. – To nietutejszy, nie jest objęty traktatem pokojowym. Oczywiście nie przeżyje tego. Jeśli zechcecie później go pomścić, to nie ja zerwę zawieszenie broni. A walcząc w słusznej sprawie, zawsze mogę liczyć na posiłki sprzymierzonych... To będzie piękna, długa i krwawa wojna, owieczko.

Zapadło milczenie. Czterech barczystych opryszków nie spuszczało z oka wampirzego księcia półświatka, niecierpliwie oczekiwali na rozkaz. Latynos uśmiechał się nonszalancko, spoglądając z góry na młodą czarodziejkę. Jego brylantowy kolczyk lśnił odbłaskiem światła padającego z okien. Eunice zadrżała i uświadomiła sobie, że kostnieje z zimna. Kiedy w pośpiechu wybiegała z domu, założyła buty na boscie stopy i zarzuciła kurtkę na piżamę, do tej pory jednak rozgrzewały ją magia i konieczność działania. Teraz moc rozpraszała się powoli, a dziewczyna z każdą chwilą coraz dotkliwiej odczuwała chłód.

Zdawała sobie sprawę z tego, że jeżeli się zgodzi, jeżeli odda mu teraz krew, nigdy nie dotrze na czas. Jeżeli jednak odmówi...

Odruchowo sięgnęła wolną ręką do kieszeni parki, szukając nieodłącznej finki. Jej dłoń natrafiła jednak na coś innego – nieduży, okrągły owoc o aksamitnej skórce. Jabłko, które Charles podarował mamie.

Poczuła, jak w opuszki jej palców wnika ciepło, rozlewa się wzdłuż ramienia, rozgrzewa jej mięśnie, rozjaśnia umysł. Przed chwilą była wycieńczona; teraz wypełniała ją siła. Nie rozmyślała długo nad tym, co się właściwie stało. Natychmiast podjęła decyzję.

Wysunęła do przodu lewą stopę i wzięła głęboki oddech. Ułamek sekundy później niezwykle silny podmuch wiatru zniszczył nienaganną fryzurę Juliusa. Zaskoczony wampir zdążył tylko odruchowo odsunąć się na bok. Rudozielona smuga pomknęła wzdłuż ulicy i zanim ktokolwiek się zorientował, znikła im z oczu.

Latynos przecesał tylko włosy palcami, zmrużonymi oczami wpatrując się w opustoszałą uliczkę. Nowa uczennica magów z Domu Wschodzącego Słońca rozwijała się nadspodziewanie szybko. Julius, który nie zapominał żadnych afrontów, postanowił, że na przyszłość weźmie to pod uwagę.

Serafin nigdy nie opuszczał tego miejsca. Niewzruszony i piękny, o gładkiej twarzy i pustych oczach, zawsze tak samo składał dłonie do modlitwy. Jego długą szatę porastał zwiędły bluszcz, skrzydła były brudne i splekane, w prawej dłoni brakowało małego palca. Mimo to nadal otaczała go aura majestatu. Już od ponad stu lat strzegł Alei Cmentarnej, dzień w dzień i noc w noc, bez względu na pogodę i porę roku. Pełen kamiennego patosu górował pośrodku starego cmentarza, spoglądał na przechodniów wybaczącym, zadumanym wzrokiem.

Lloyd Dark często myślał o nim jak o żywej istocie, a nawet jak o starym przyjacielu. Data wygrawerowana na cokole posągu znaczyła również rok przybycia do miasta Krzysztofa i Kai, rok, w którym stało się ono miejscem mistycznym. Wiedząc, że wszystkie rzeczy mają swój koniec, w głębi duszy żywił przekonanie, że upadek Farewell zbiegnie się w czasie z upadkiem Serafina.

Dzisiaj Lloyd nie miał nastroju na filozoficzne rozważania. Kiedy tylko zamknięto Syriusza, wyszedł z klubu i wyruszył na swoją conocną przejażdżkę motocyklem po mieście.

Szermierz rzadko zwracał uwagę na zaburzenia mocy w świecie astralnym. Jego magia była dość

bezpośrednia i nie wymagała takiej subtelności jak metody Timothy'ego. Pierwsze chmury ma magicznym horyzoncie umknęły więc jego uwadze i dopiero poniewczasie zorientował się, że nadciąga burza. Zakłócenia stopniowo narastały, co bardzo go zaniepokoiło. Postanowił jak najszybciej odnaleźć ich źródło.

Gdzieś w okolicy ostatniej stacji metra wyczuł nieznaczny, ale bardzo niepokojący ślad obcej mocy. Trop był niewyraźny i ktokolwiek go zostawił, kluczył od uliczki do uliczki, pozornie bez celu.

Nie upłynęło wiele czasu, a czarodziej znalazł pierwsze ciało, zmaltretowane, na wpół obdarte ze skóry, ze śladami ostrych pazurów i podwójnych ukłuc, jakby ukąszeń węża. Ofiara musiała umierać w ogromnym cierpieniu. Wyraz przerażenia na twarzy zmarłego wywołał w szermierzu uczucie déjà vu; on sam kiedyś wzbudzał taki strach w ludziach, którzy ginęli z jego ręki. Zawsze jednak starał się, żeby śmierć zabierała ich szybko.

Czując, że to nie koniec, Lloyd podążył śladem intruza. Odkrył jeszcze dwie inne ofiary zamordowane z równym okrucieństwem jak pierwsza. Za każdym razem aura, którą intruz zostawiał za sobą, przybierała na sile. W miarę jak morderca zostawiał za sobą krwawe żniwo, zyskiwał także moc. Wskazówki wreszcie doprowadziły czarodzieja właśnie tu, na Aleję Cmentarną. Zostawił motocykl na opustoszałym parkingu, wkroczył na poświęconą ziemię.

Gromadziło się tutaj wiele różnych, starych energii i odcieni magii zmętniałych jak stojąca woda. Pomiędzy starymi lipami snuły się niespokojne dusze i gorzkie wspomnienia, zmarli szeptali cicho spod grobowych płyt. Czarodziej skrył się w cieniu cokołu i wyciszył własną aurę, aby nie przeszkadzała mu w uchwyceniu właściwego śladu. Jego koncentracja sięgnęła zenitu. Gdy więc za plecami poczuł muśnięcie zimnej, martwej energii, zareagował odruchowo. Świsnęło ostrze. Ciemnoskóra głowa potoczyła się po trotuarze, plamiąc krwią kamienne płyty.

– Cholera jasna, Lloyd...! – jęknęła z wyrzutem. – No co ja ci takiego zrobiłem?

Szermierz z pewnym zakłopotaniem chwycił głowę za włosy i ostrożnie osadził na korpusie. Nie umiał leczyć za pomocą magii, ale tutaj miał do czynienia z materią nieożywioną, którą mógł naprawić.

– Wybacz, Szeszet. Nie powinieneś się tak skradać.

– Coś ty dzisiaj nerwowy jesteś. – Zombi uważnie obmacał szyję. Nie był zadowolony perspektywą usuwania plam z tweedowej marynarki. – Pewnie przedawkowałeś herbatę.

– Tropię pewnego nieproszonego gościa – wyjaśnił rzeczowo Lloyd, skrupulatnie czyszcząc klingę flanelową szmatą. – Nie wiem, skąd się wziął w moim mieście, ale nie odpowiada mi jego sposób bycia. Masz może pojęcie, gdzie go znaleźć?

– Ten rzeźnik? – Na twarzy Szeszeta pojawił się wyraz przerażenia. – Człowieku, daruj sobie. To jest coś większego. I jak cię szanuję, nie sądzę, żeby się w ogóle dało usiec mieczem.

– Zatem go widziałeś? – Spojrzenie Lloyd'a na moment przygwoździło wzrok rozmówcy.

– Nie widziałem...! Jeszcze nie zgłupiałem, żeby pakować mu się prosto między zęby. – Czarnoskóry zombi odwrócił głowę. – To monstrum jest zdolne do wszystkiego... Nie dalej jak dwie godziny temu zeżarło gargulca z Siódmej Alei.

– Którego gargulca?

– Johanna.

– Co za brak dobrego smaku. – Szermierz się skrzywił. – Dwie godziny, mówisz? To chyba wystarczająco świeży ślad. Dziękuję za pomoc, Szeszet. Zjawileś się w samą porę.

– Nie ma za co – mruknął zombi, po czym wyjął cygaro z kieszeni marynarki. – Właściwie chciałem cię tylko poprosić o ogień.

– Ależ proszę bardzo.

– Dziękuję bardzo.

– Cała przyjemność po mojej stronie. Dobrej nocy życzę.

– Udanych łowów.

Dwie ciemne sylwetki oddaliły się, każda w swoją stronę. Serafin niewzruszenie trwał na posterunku.

Niegdyś ta uliczka stanowiła chlubę miejskiej Starówki. W parterowych witrynach niskich zadbanych kamieniczek mieściły się luksusowe sklepy. W ciepłe dni kawiarnie wystawiały na bruku dodatkowe stoliki, wieczorem zaś Siódmą Aleję oświetlały staroświeckie latarenki.

Zniszczenia w świecie astralnym, jakie dotknęły uliczkę podczas Mrocznej Wojny, nie były widoczne na pierwszy rzut oka. Pozornie nic się nie zmieniło i tylko magowie wiedzieli, jak bardzo zdevastowano rzeczywistość na poziomie duchowym. Efekty nie dały na siebie długo czekać.

Na rogu ulicy popełniono głośne zabójstwo i zanim jeszcze sprawa przebrzmiała do końca, w jednej z kamienic powiesiło się wspólnie kilku studentów. Wkrótce obrabowano największy sklep jubilerski. Pozostałe sklepiki walczyły z plagą drobnych kradzieży. Kawiarnie bankrutowały jedna po drugiej, w miarę jak okolicę odwiedzało coraz mniej gości. Na ścianach kamienic pojawiły się zacieki, a w mieszkaniach grzyb. Staroświeckie latarnie psuły się tak często, że w końcu przestano sobie zawracać głowę ich naprawianiem. Siódma Aleja zaczęła stopniowo przyciągać rozmaite podejrzane typy. Mieszkańcy wyprowadzali się stamtąd jak z miejsca dotkniętego zarazą. W końcu na posterunku zostali jedynie starzy ludzie, którzy nie mieli nic do stracenia.

A kiedy już dzieło zniszczenia dokonało się w pełni, w Siódmej Alei pojawiły się gargulce, magiczny odpowiednik agresywnej żulerii.

Za dnia sadyły na gzymsach kamienic. Pasowały do otoczenia. Zwykli śmiertelnicy sądzili, że od zawsze były częścią elewacji budynków. Niektórzy co prawda zastanawiali się, komu zależało, żeby Siódma Aleja robiła wrażenie żywcem przeniesionej z gotyckiego horroru. Ale rzecz jasna gusta bywają różne.

Lloyd nie dziwił się, że tajemniczy intruz udał się w tamtą stronę. Siódma Aleja nieodparcie wabiła wszelkie monstra i koszmary. Nie spodziewał się zastać istoty na miejscu, dotychczasowy trop wskazywał, że nigdzie nie zatrzymywała się dłużej. Zapewne gargulce mogły powiedzieć mu, co się stało. Nie przepadał za współpracą z nimi – rozmowy z rzygaczami przebiegały opornie i często wymagały ostrych argumentów, a mag nie lubił tępić miecza na zaklętym kamieniu.

Zatrzymał motocykl u wylotu alejki i jednym spojrzeniem ogarnął sytuację. Od razu zauważył, że na gzymsach nie ma ani jednego ze straszylek. Zazwyczaj tylko część krążyła w powietrzu, pozostałe zaś siedziały na budynkach niczym groteskowe ptaki. Zmrużył oczy i pozwolił, aby zadziałał jego szósty zmysł.

Uśmiechnął się lekko. No jasne.

W tej samej chwili, w której gargulec skoczył w jego kierunku, szermierz ciął. Rozległo się paskudne chrupnięcie. Lloyd zeskoczył z motocykla i drugim uderzeniem powalił kolejnego rzygacza. Pozostałe zatrzymały się kilka metrów dalej. Było ich pięć – szarych, szpetnych stworów o potężnych skrzydłach, gruzłowatych stawach i niebezpiecznie lśniących czerwienią oczach. Ich głowy i ramiona pokrywał charakterystyczny biały osad.

Pierwszy napastnik zwijał się na ziemi, wrzeszcząc coś o swoim skrzydle. Drugi zamknął oczy i znieruchomiał. Jego aura pozostawała doskonale wyczuwalna, więc zapewne zwyczajem rzygaczy udawał martwego. Mag schował miecz i postawił stopę na brzuchu pokonanego. W kontaktach z gargulcami należało zachowywać się trochę na pokaz.

– Dobry wieczór panom – powiedział. – Widzę, że bardzo za mną tęskniliście. – Zapalił papierosa. – A może chcielibyście o tym porozmawiać?

Zazwyczaj to by wystarczyło, aby opuściła je odwaga. Nie tym razem.

– Zabić... Zabić... – rozległy się syki.

Nie czekał na atak. Błyskawicznie dobył katany i płynnym ruchem ciął dwóch przeciwników. Trzeciego uderzył ręką w grdykę. Posypał się gruz. Zanim gargulce zorientowały się w sytuacji, leżały już plackiem na bruku. Dwa kolejne próbowały atakować jeszcze z rozpędu. Rzuciły się na szermierza, ale jego już tam nie było. Znajdował się za ich plecami.

Błysnęło ostrze. Jeden gargulec padł ze skruszonym karkiem, następny z rozplataną czaszką.

Cała scena nie trwała nawet dziesięciu sekund.

Lloyd krytycznie obejrzał ostrze i prowizoryczną magią naprawił dwie świeżo powstałe szczyby. Papieros nadal tkwił w jego ustach.

Szermierz ponownie zdał się na szósty zmysł i doszedł do wniosku, że pozostałe rzygacze z alejki nie ośmielią się teraz podejść. Zastanawiał się, co sprawiło, że gargulce – stworzenia głupie, ale mimo wszystko obdarzone instynktem samozachowawczym – opanowała ślepa żądza zabijania. Podejrzewał, że moc intruza przenikała otoczenie i nasączała je energią krwiożerczą energią, wzmagając agresję w istotach podatnych na wpływy. Na dłuższą metę skutki mogły okazać się oplakane. Zamieszki, morderstwa, akty wandalizmu...

Lloyd zacisnął zęby. Przybysz niszczył jego miasto. A tego szermierz nie wybaczał nikomu.

O wpół do czwartej w nocy Rynsztok sprawiał wrażenie opustoszałych ruin. Zarówno trzeźwi, jak i pijani spali spokojnym, kamiennym snem. Kluby zamierały, sprzedawcy w nocnych sklepach przysypiali na ladach. Imprezy kończyły się z braku chęci i alkoholu. Może pojedyncze, niespokojne postacie przemierzały ciasne uliczki. Może gdzieś w opuszczonych magazynach odbywały się jakieś tajemnicze rozmowy i szemrane przeładunki. Niemądrze było jednak interesować się podobnymi sprawami. Jeśli ktoś szukał kłopotów i tak je znajdował – prędzej czy później.

Powietrze w noclegowni dawało się kroić nożem. Pracujące w przytułku siostry regularnie dostarczały świeżą pościel, ale stare nawyki mieszkańców zmieniały się bardzo powoli. Większość z nich uważała kąpiel za odświętny luksus. Niektórzy unikali także oddawania odzieży do prania, ma się rozumieć po to, aby nie zniszczyła się zbyt szybko. Siostra Weronika prowadziła ze swoimi podopiecznymi ciągłą wojnę o zachowywanie higieny osobistej. Odnosiła w tej materii pewne sukcesy – wszystko dlatego, że każdy bywalec schroniska wiedział, jakim zamieszaniem grozi wykrycie wszy choćby u jednego z nich. Nowi przyuczali się jednak pomału.

Stary Tom nie pił już od pięćdziesięciu czterech dni i pięciu godzin, a na trzeźwo sen miał czujny prawie jak za dawnych lat. Metaliczny łoskot, który dał się słyszeć zza okna, natychmiast przywrócił go rzeczywistości. Niemal.

– Wietnamcy! – zacharczał Tom i gwałtownie stoczył się z łóżka. – Atakują, pieprzone żółtki!

– Morda, Tom – jęknął współlokator zbolalym głosem. – Ludzie śpią.

– Coś tam się dzieje... – wymamrotał Tom już trochę przytomniej.

Na czworaka podpełzł do okna, oparł żylastą rękę na parapecie, rozpląszczył na szybie czerwony nos.

– No sam zobacz, Keith... śmietniki poprzewalane.

– Pewnie koty – mruknął Keith, obracając się na drugi bok. – Idź spać. Siostry pobudzisz.

Jakby na zawołanie, w korytarzu rozległ się cichy odgłos kroków.

– A nie mówiłem?

– Teraz to już normalnie w życiu nie zasnę – stwierdził Tom zdecydowanie. – Idę zobaczyć.

– Czekaj. – Keith wygrzebał się spod góry koców. – Nie żebyś się ciekawił, ale jak wrócę to pójde śiknąć. Idę z tobą.

Siostra Weronika ocknęła się ze snu dobrą chwilę wcześniej, zanim jeszcze usłyszała dobiegający z zewnątrz głośny huk. Jej totem – Anioł Stróż – zawsze dawał znać, kiedy należało przystąpić do działania. Zwykli ludzie myśleli, że mała, pulchna zakonnica w okularach dysponuje niezwykłą intuicją albo po prostu ma szczęście. Nikt nie domyślał się istnienia smukłej, rudowłosej postaci w białej szacie i o skrzydłach koloru patyny podążającej za Weroniką krok w krok.

Schronisko graniczyło z terenem kościoła i zakrystii, cały teren dawno temu ogrodzono wysokim murem. Ktokolwiek próbował wejść albo wyjść, musiał przekroczyć główną, żelazną bramę albo tylną furtkę. O tej porze obydwie były zamknięte na cztery spusty. A jednak siostra wyraźnie czuła znajomą obecność.

Światło padające z otwartych drzwi wejściowych oświetlało część podwórza. Przez chwilę stała na cementowych schodkach, obserwując cienie i kształty skryte na granicy mroku. Nie potrzebowała

dłuższej obserwacji. Szybko dostrzegła kilka poprzewracanych metalowych pojemników na śmieci oraz skuloną sylwetkę nieopodal wiaty.

Tuż obok przywarował wielki czerwony lew, widoczny tylko dla tych, którzy dysponowali szóstym zmysłem.

– Eunice!

Zakonnica pobiegła truchtem w jej kierunku. Dziewczyna siedziała na zimnym betonie, pochylona nad jakimś nieprzytomnym człowiekiem. Sprawdziała mu puls.

– Dobrze, że jesteś... – szepnęła zmęczonym głosem, nawet nie podnosząc wzroku. – Proszę, zajmij się nim jak najszybciej.

Nawet w półmroku dało się zauważyć, że twarz miała bladą jak papier, oczy zaś podkrążone.

Weronika złożyła dłonie jak do modlitwy, prosząc swojego Anioła Stróża o pomoc. Skinął głową i majestatycznie rozłożył skrzydła.

Bezwładne ciało Charlesa Wighta zamgliło się lekko. Magia uzdrawiająca potrzebowała czasu, co w wypadku ojca Eunice mogło zaważyć o przeżyciu. Weronika właśnie zwiększyła na to szansę, tworząc wokół Charlesa sferę, w której bieg czasu zwalniał stokrotnie. Teraz należało jeszcze zabrać go do infirmerii.

Zakonnica się przeżegnała. Wiedziała, że w potrzebie duch może zatryumfować nad ciałem. Potrafiła zdobyć się na wielką siłę.

Stary Tom i jego współlokator Keith obserwowali całą scenę z za progu, niezdolni choćby mrugnąć. Wiedzieli, że siostra Weronika jest osobą niezwykłą. Ale jak do tej pory nie zdawali sobie sprawy z tego, jak bardzo.

– Patrzaj no. Podniosła go, jakby nic nie ważył – zachrypiał Tom z fascynacją. – Myślisz, że to cud?

– Ciii...

– Panowie, do łóżek! – zawołała Weronika, odwracając głowę w ich kierunku.

Dwaj obserwatorzy popatrzyli po sobie i zniknęli w głębi korytarza.

Eunice dźwignęła się ostrożnie, po czym ciężko oparła na wiacie.

– Widzieli?

– To bez znaczenia. – Zakonnica pokręciła głową z uśmiechem. – Rano sami nie będą tego pewni. Ale, ale. Eunice, co się właściwie tutaj stało?

– Ja... biegłam. Wiatr przewrócił kosze na śmieci... przepraszam.

– Eunice. – Weronika przyjrzała się jej uważnie z za swoich grubych okularów. – Furtka była zamknięta. Zabezpieczyłam ją alarmem i wiedziałabym, gdybyś ją otworzyła.

– Chyba – dziewczyna dotknęła czoła dłonią – chyba się przez nią teleportowałam. Ale ja przecież jeszcze tego nie umiem.

Siostra Weronika spoglądała na nią przez chwilę, zdumiona. Kim jest ten człowiek? Skąd taka determinacja?

Ale pytania mogły poczekać. W tej chwili potrzebowano jej pomocy.

– Chodź do środka, bo zmarzniesz – ponagliła zakonnica. – Jeśli chcesz, oprzyj się na mnie. Dam radę.

W białym, plastikowym czajniku zabulgotała woda. Pyknął głośno i wyłączył się samoistnie. Eunice spojrzała tępo na gruby, fajansowy kubek stojący na kuchennym blacie. Mechanicznie wyjęła saszetkę z tekturowej paczki, wrzuciła ją do kubka i zalała wrzątkiem. Kojący zapach herbaty rozszedł się po pomieszczeniu. Dziewczyna ujęła kubek w ręce, a potem przytrzymała go kolanami, chłonąc ciepło. Na zmianę zakrywała herbatę to jedną, to drugą dłonią, rozgrzewając je prawie do oparzenia. Jej ramiona powoli się rozluźniły, skroń przestała boleć. Ogarnęło ją senne rozleniwienie.

Siedziała na twardym krześle, w kuchni połączonej z jadalnią. Pachniało tutaj starym tynkiem, świeżymi ścierkami i pomarańczowym płynem do zmywania naczyń. Na kuchence stały wielki gar na

zupę oraz biała waza w pastelowe kwiaty. Lekko wyszczerbione latami używania talerze ustawiono w równym rzędku na suszarce. Jedna ze świetlówek migotała drażniąco. Eunice przypomniał się obóz harcerski, w którym uczestniczyła, dawno, dawno temu. Ile to już lat...? Sześć, a może więcej? Jej samej trudno było uwierzyć, że kiedyś chciała zostać skautem.

Wspomnienia Eunice odbiegły daleko w przeszłość.

„Nie wolno ci się nim bawić”, ostrzegła ją mama, chowając w górnej szufladzie fiński nóż z nierdzewnej stali. „Jeszcze zrobisz sobie krzywdę”.

„Ale mam...” protestowała mała dziewczynka. „Prawdziwy harcerz musi mieć prawdziwy nóż. Tata zabierał go na obozy, prawda?”

„Eunice...”, westchnęła mama. „Obiecuję ci, że kiedy zostaniesz harcerzem, dostaniesz ten nóż. Ale na razie jesteś dopiero zuchem i jeszcze na niego nie zasłużyłaś. A teraz bądź grzeczna i zacznij się pakować, dobrze?”

Tata podróżuje, tata zarabia na chleb, tata był harcerzem. Ze skąpych informacji, których czasem udzielała jej matka, dziewczynka stworzyła legendę. Wyobrażała sobie tatę jako tajemniczego bohatera, który walczył ze złoćyńcami i z dzikimi zwierzętami w odległych krainach. James Bond, Indiana Jones, Krokodyl Dundee – wszystkie te postacie były jej ojcem. Kiedy czytała o doktorze Livingstone, podróżniku zaginionym w głębi Afryki, zapytała się mamy, czy tata zabrał ze sobą chininę.

„Nie martw się o niego, doskonale sobie radzi”, odpowiedziała Sabrina Wight, a Eunice, zbyt mała, żeby wyczuć sarkazm, widziała ojca ze sztucerem na plecach, przedzierającego się przez dzikie ostępy z maczetą w ręku. Za nim posłusznie podążała karawana tubylczych tragarzy.

Dziewczynka była gotowa pobić każde dziecko, które ośmieliło się powiedzieć, że tata opuścił mamę. Zaginął na Czarnym Łądzie, szuka złota na Alasce, podróżuje do źródeł Amazonki, ratuje świat przed machinacjami KGB. Wróci zmęczony, zwycięski i obładowany skarbami. Z całą pewnością rząd przyzna mu medal.

Skrzypienie drzwi wyrwało Eunice z zamyślenia. Obejrzała się i znieruchomiła, obserwując. Do jadalni wchodziły dziwne postacie, jakby żywcem wyjęte z koszmarnego snu.

Chudy starzec z czerwonym nosem i twarzą pokrytą brązowymi plamami. Białowłosego chłopaka, któremu trzęsły się ręce. Przedwcześnie postarzała kobieta o przeredzonych włosach i błędnym spojrzeniu. Czarnoskóry facet pozbawiony prawej ręki, który nie strzygł się i nie golił chyba od stuleci. Poubierani w jednakowe szpitalne piżamy, przypominali zjawy. Nie spiesząc się, zaczęli zajmować miejsca dookoła niej.

Starzec odchrząknął.

– Dobry wieczór – powiedział chrypliwym głosem. – Bardzo nam miło panią szanowną tutaj spotkać.

– H... herbaty? – wyjąkała Eunice.

– Dziękuję. Keith, chcesz herbaty?

– Nie będę potem spał. Tylko bym lał po tych szczurach.

– Bądź miły dla szanownej pani – upomniał go starzec. – Zachowuj się kulturalnie.

– Masz ślicznego pieska – odezwała się ni stąd, ni zowąd kobieta. – Czy to jest mastiff? Taki rudy, bardzo ładny.

Eunice odruchowo obejrzała się na swój totem, który spokojnie leżał pod stołem, jakby też odpoczywał w ciepłej jadalni. Ciarki przeszły jej po plecach. Potem przypomniała sobie, jak Timothy mówił, że niepełny talent magiczny, bez kontroli nad szóstym zmysłem, ujawniał się czasem u ludzi chorych albo poważnie opóźnionych umysłowo. Granice między światami, rzeczywistym i astralnym, były dla nich zatarte.

– Na pewno mastiff. – Tamta skinęła głową. – Zostaniesz tutaj? Będziesz moją przyjaciółką. Bardzo chcę mieć przyjaciółkę.

– Oj przymknij się, Mina – zirytował się Tom. – Przestraszysz gościa. Nie bój się, mała. Ona jest nieszkodliwa.

– Pozbądź się strachu – rzekł blady chłopak, uśmiechając się lekko. – Jesteśmy menażerią

odrzuconą przez społeczeństwo, lecz menażerią oswojoną. To wszystko szlachetne dusze, wyciągnięte za uszy z bagna, nawet jeżeli są trochę nieokrzesani.

Dziewczyna zamarła. Przez krótką chwilę zobaczyła w nim Gabriela, takiego jakim mógł się stać, gdyby nie trafił do Domu Wschodzącego Słońca. Gabriela, który ześliznął się w dół spiralą autodestrukcji.

– Mena co? – Stary Tom zamrugał.

– Idź książki pisać, poeto – warknął Keith i pociągnął go za włosy.

– Puszczaj! – zaprotestował chłopak. – Nie mówiłem o tobie.

– Co tu się dzieje? – rozległ się znajomy głos. Weronika stała w progu, podpierając boki pięściami. Światło odbijało się w jej okularach. – Mówiłam, żebyście szli już spać.

– Chcieliśmy się tylko zaprzyjaźnić – usprawiedliwiła się Mina.

Zakonnica westchnęła głęboko.

– No dobrze, kochanie, już się zaprzyjaźniłaś. Zaprowadźcie Minę do łóżka. Nie mogę każdemu z was z osobna podawać śniadania.

Stary Tom wstał z krzesła i uklonił się w pas.

– Dobranoc szanownej pani. Może się jeszcze zobaczymy.

– Na pewno. – Eunice uroczyście skinęła głową.

Dziwaczna zbieranina powoli opuściła salę jadalną. Dziewczyna przypatrywała im się jeszcze przez jakiś czas, a potem w zamyśleniu pociągnęła łyk herbaty ze swojego kubka.

– I jak?

– Zająłam się nim. Leży na górze – powiedziała Weronika, ale jej spojrzenie nie wróżyło nic dobrego. – Eunice, bardzo cię proszę, opowiedz mi wszystko od samego początku. Kto to w ogóle jest?

– Mój ojciec.

Dziewczyna bawiła się mokrą saszetką herbaty.

– Ojciec?!

– Chyba nie przypuszczałaś, że jestem niepokalanie poczęta – mruknęła gorzko Eunice i zaraz się zreflektowała. – Przepraszam, nie chciałam... Po prostu... ech.

Weronika westchnęła.

– Mów.

Dziewczyna streściła jej wszystko, co wydarzyło się do tej pory. Zakonnica chłonęła opowieść, nie przerywając jej ani na chwilę. Kiedy Eunice skończyła, siostra Weronika pokręciła głową z niedowierzaniem. Ta historia brzmiała tak nieprawdopodobnie, że musiała być prawdziwa. Co gorsza, brakowało jej szczęśliwego zakończenia, pomyślała... ale o tym dziewczyna nie musiała na razie wiedzieć.

– I co to jest, jak myślisz? Co napadło mojego tatę?

– Nie mam pojęcia. – Zakonnica bezradnie rozłożyła ręce. – Istota mityczna, jak sądzę, i to wyjątkowo potężna. W porównaniu z nią panna Redfairry to bezbronne dziecko.

Eunice zdusiła przekleństwo. Dobrze pamiętała, jaką mocą dysponuje szkocka nimfa.

– Ale powiedz mi, dlaczego nazywała nas po totemach? Z początku zdziwiłam się, że je wyczuwa, ale to przecież naturalne dla istot magicznych. Z tym, że zachowywała się tak, jakby dla odmiany nie widziała mnie.

– Nic dziwnego. Jeśli przybyła bezpośrednio z wymiaru mitycznego, nie zwraca uwagi na taką drobnostkę, jak twoja forma. Ważna jest tylko nieśmiertelna dusza. Pewnie dlatego Wierzba, czyli Kaja, dla niej po prostu śpi – wyjaśniła zakonnica. – Wolę nie myśleć o tym, co to stworzenie zrobiło, żeby zyskać wymiar materialny i pojawić się w naszym świecie.

Jeżeli Weronika wolała o tym nie myśleć, Eunice nie zamierzała dopytywać się o szczegóły. Nagle dziewczyna uświadomiła sobie, że istniały zagrożenia, które stanowiły wyzwanie nawet dla starych magów, weteranów Mrocznej Wojny. Wcale jej to nie uspokoiło.

– Czy to znaczy, że ten stwór znał nas wszystkich z poprzedniego wcielenia? – zastanowiła się na głos. – Albo jakoś tak... Powiedz mi, czy damy radę go pokonać?

– Możemy się tylko o to modlić. – Weronika skłoniła głowę. – Nie zachowałam się zbyt rozsądnie, Eunice... Chociaż prawdę mówiąc, na twoim miejscu postąpiłabym tak samo. Bądź co bądź, ratowałam własnego ojca.

– Nie da się ukryć. – Dziewczyna westchnęła gorzko i odstawiła pusty kubek. – Musimy jak najszybciej zawiadomić pozostałych.

– Już idę po telefon – odparła Weronika.

Z jakiegoś powodu w Eunice drgnęło uczucie niepokoju. Przez całą rozmowę zakonnica wyraźnie unikała jej wzroku. I jeszcze ta nadmierna gorliwość, z jaką polerowała kubek... próbując zamaskować drżenie rąk.

– Weroniko – powiedziała głośno. – Nie mówisz mi wszystkiego.

Zakonnica odwróciła się, trochę zbyt szybko.

– Dlaczego tak sądzisz? – odezwała się z wymuszonym uśmiechem.

– Bo to po tobie widać! Nie żartuj sobie ze mnie! – Eunice uderzyła dłonią w stół. – Przecież cię znam! Nie trzeba umieć czytać w myślach, żeby wiedzieć, że nie potrafisz kłamać! Powiedz mi, czy on żyje?!

Siostra Weronika przysiadła na krześle, przytłoczona gwałtownością jej wybuchu.

– Jeszcze tak – szepnęła. – Ale... to zapewne nie potrwa długo.

– Ale przecież... dlaczego... twoja magia... – zająknęła się Eunice.

– Nie w ludzkiej mocy jest uleczyć tego typu rany. Uzdrowiłam jego ciało... ale duch został trwale okaleczony. Jeśli nawet przeżyje, wątpię, żeby kiedykolwiek odzyskał świadomość.

Widzę smukłą, małą dłoń. Jest rozświetlona od środka, delikatna i biała jak alabaster.

Nie mogę jej puścić, nie tym razem.

Który to już raz? Pięćdziesiąty, setny, tysięczny? Znowu powtarza się to samo, jak na filmie w zwolnionym tempie. Spoglądam prosto w jej oczy, takie turkusowe, pełne magii i bezbrzeżnego smutku.

„Nie zatrzymuj mnie! Nie rób tego, inaczej wszyscy zginiemy!”.

Nie mogę. Nie mogę jej stracić. Nie zniósłbym tego po raz kolejny. Zaciskam uchwyt palców na białym ramieniu, aż boli mnie świadomość, że zostawiam ślince na jej aksamitnej skórze. Nie wypuszczę jej z rąk.

Wiem, co się stanie za chwilę. Oglądałem to już tysiąc razy.

Odpycha mnie gwałtownie, całą swoją mocą. Moja dłoń otwiera się sama, chociaż zaklinam się na wszystko, aby wytrzymać jeszcze te kilka minut. Ścierpniętym palcom brakuje czucia.

Widzę jej oczy, takie turkusowe, oddalające się ode mnie w nieistnienie.

„Podróżniku”.

Czy to jej głos?

„Podróżniku”.

Sen zawsze kończy się w tym momencie. Nigdy nie ma dalszego ciągu. Wszystko zaczyna się od nowa. Więc co się dzieje? Kto do mnie mówi?

„Obudź się, Podróżniku”.

Wzbiera we mnie niepokój. Czuję jej obecność. Czuję ją tak wyraźnie, jakby stała tuż przy mnie. Ale nie widzę nikogo, jest tylko pustka.

Gdzie jesteś?

„Obudź się, obudź. Nie wolno ci spać. Nie wolno ci dryfować w przeszłości, jesteś potrzebny na jawie!”

Pokaż się...!

„Pokaż się!”.

Krzysztof Podróżnik gwałtownie usiadł na łóżku. Spazmatycznie łapał oddech, serce niemal wyskakiwało mu z piersi. Przyszła do niego, na wszelkie moce, naprawdę przemówiła do niego we śnie. Dlaczego nie mogła zostać choćby odrobinę dłużej? Nie potrafił wyrazić słowami, jak bardzo pragnął wreszcie z nią porozmawiać. Dlaczego? Mag przygryzł usta, a z jego oczu popłynęły łzy.

Długowieczność całkowicie zmienia perspektywę postrzegania. Ponad trzydzieści lat nie wystarczyło, aby zblizniły się rany po stracie ukochanej, z którą czarodziej dzielił los przez ostatnie kilka wieków. Mieli już za sobą równie długie rozstanie, kiedy Krzysztof podjął się odpowiedzialnej misji w innym wymiarze, a Kaja była potrzebna na ziemi. Wtedy jednak wiedzieli, że znów się spotkają, czarodziejka sprawdziła to, zaglądając w przyszłość.

Ale teraz sprawy przedstawiały się inaczej. Cały kunszt Krzysztofa nie wystarczyło, aby odnaleźć ją w zaświatach i przywrócić do życia, niezależnie od tego, czym właściwie były zaświaty i gdzie się znajdowały. Istniały miejsca, do których nawet Podróżnik nie potrafił znaleźć drogi.

Czarodziej uspokajał się powoli. Czuł kojący dotyk świeżej pościeli, słyszał leniwe kapanie wody z kranu i wiatr za oknem. Pelargonie pachniały na swój mechaty, egzotyczny sposób, niedokończony artykuł czekał na jego powrót w wysłużonym laptopie, a świeżo wywołane zdjęcia poniewierały się po stole. Na telewizorze, tuż za doniczką z żywym kryształem, pochrapywał mały gnom, w fałdach zamszowych zasłon skryły się domowe duchy.

Krzysztof, zupełnie już rozbudzony, wstał z łóżka i sięgnął po stojący na stole kubek z resztką zimnej herbaty. Wyssał płyn z fusów, czując, jak wraca mu zdolność myślenia. Sen, który tak nim wstrząsnął, niewątpliwie był ostrzeżeniem. W Farewell działo się coś niedobrego, potrzebowano jego pomocy. Nadszedł czas, aby zagłębić się w astralną strukturę miasta i dokładnie zbadać przyczynę, dla której Kaja uznała za stosowne przesłać mu wiadomość aż z zaświatów. Albo z przeszłości, olśniło go nagle. Wieszczka o takiej mocy mogła przecież zostawiać przesłania czekające tylko na odpowiednią chwilę w przyszłości, przecież tak właśnie postąpiła, pisząc Księżę. Czy potrafiłaby to samo zrobić ze snami? Czy zaklęcia mogą podróżować w czasie?

Postanowił, że tą zagadką zajmie się później, teraz miał inne, znacznie ważniejsze zadanie. Usiadł po turecku na podłodze i zamknął oczy.

Mówi się, że historia przypomina gobelin, że nasza rzeczywistość to tkanina, w której przeplatają się setki tysięcy wątków. Prawda jest jednak dużo bardziej skomplikowana. Otóż wszystkie układy, które składają się z wielu wpływających na siebie elementów, przybierają postać sieci. Jeżeli potrącimy jedną nici, drgania przeniosą się w miejsce oddalone, zdawałoby się, daleko poza zasięg naszego działania. Jeśli jedna z nici zostanie zerwana, sieć nadal będzie działać – inne elementy przejmą rolę brakującego fragmentu. Taki brutalny czyn odbija się jednak śladem w całym układzie, który zacznie dążyć do osiągnięcia równowagi. Wszędzie nastąpią drobne zmiany.

Mózg działa na zasadzie sieci, tak samo jak nasze ciała, jak każda komórka. Podobnymi prawami rządzą się społeczeństwa i ekosystemy.

Świat astralny nie należy do wyjątków.

Trudno wyobrazić sobie, jakiego mistrzostwa i koncentracji potrzeba, aby móc dostrzegać te wszystkie zależności, aby umiejętnie potraćać nici w pajęczynie magii. Praca na takim poziomie nawet Podróżnikowi sprawiała niejaki problemy. Ale dzięki swoim zdolnościom wiekowy czarodziej niemal natychmiast wykrył, co się stało.

W Farewell już od kilku godzin grasował intruz. Przeszedł przez nie jak tornado, mordując, pustosząc i pobierając energię ze wszystkiego, co znajdowało się w jego zasięgu. A później, gdzieś w okolicy Starówki, po prostu wessał się w astralny wymiar miasta i przesiąknął do samej podstawy, aż do Świata Opowieści.

Dlaczego spałem, pomyślał czarodziej ze złością. Jeszcze niedawno mógłby bezpośrednio stawić czoło obcej mocy i wykurzyć ją na dobre. Teraz nikt nie potrafiłby tego dokonać, w każdym razie nie na planie materialnym. Mag musiał wejść do serca sieci i dopiero tam podjąć walkę.

Istniał tylko jeden sposób, aby tam się dostać.

Wierzba.

– Czy możesz mi wreszcie powiedzieć, po co wracamy? Nie ma go tutaj od dawna. Zamykają o pierwszej.

Czerwony, rozklekotany dodge zatrzymał się przed cichym i zamkniętym na głucho klubem studenckim. Reflektory przeciwmgielne omiały pusty, zabłocony parking, wycieraczki miarowo oczyszczały przednią szybę z topiących się, lepkich płatków śniegu. Gabriel z ledwością dostrzegał ściany budynku pokryte pstrokatą mozaiką plakatów. Neonowy napis z nazwą klubu drgał niepewnie, w wyrazie Syriusz w literze „u” brakowało kilku żarówek.

– Idź na zaplecze. Szukamy alternatywnej drogi kontaktu. Lloyd przygotował coś dla nas na wypadek, gdyby zawiodły net i telepatia. – Głos Timmy’ego, dobiegający z samochodowego CB-radia, niemal ginął w szumie trzasków i zakłóceń.

– Mów mi takie rzeczy od razu. – Gabriel pogrzebał w skrytce na dokumenty i po chwili wyjął z niej krótkofalówkę. – Przełączam się na przenośne.

– Powinieneś mieć wszystko nastawione. Jak odbiór?

Zazgrzytało w krótkofalówce.

– Zaskakujące, ale ten podrasowany zasięg działa. Trochę trzeszczy, co prawda. – Gabriel odrobinę doregulował częstotliwość. – Chyba wolę komórki.

– Wiesz, że Lloyd im nie ufa. Twierdzi, że za łatwo można je śledzić, a dziś pewnie należy tę paranoję pomnożyć razy dziesięć. Jeśli go znajdziemy, skorzysta z radia, ale nie z komórki, i od razu każe ją wyłączyć, może nawet zawinąć w folię. Przetestujmy i będziemy mieć z głowy.

– Dobra, dobra. – Gabriel przeciągnął się za kierownicą. – Tymczasem spróbuj jeszcze raz skontaktować się z Krzysztofem i z Mandalą. Lucy nie odpowiada?

– Lucy jest na konferencji w Glasgow.

– Naukowcy to mają życie – westchnął piosenkarz. – Nie męczą się na koncertach. Posiedzą sobie trochę na seminariach, a potem zwiedzają do woli. Żadnych groupies, nudnych wywiadów...

– Gabiś, trzeba się było uczyć, a nie na gitarze grać. Buzia na kłódkę, już.

Drzwiczki samochodu otworzyły się i z dodge’a wysiadł zakapturzony człowiek, odziany w długi, nieprzemakalny płaszcz.

Kiedy tylko piosenkarz zamknął za sobą drzwi, kontury Gruchota zbladły, stopniowo wtapiając się w cień. Samochód nie stał się niewidzialny – gdyby ktoś przypadkiem chciał zaparkować obok, mógł wymanewrować bez problemu. Na pierwszy rzut oka parking wyglądał jednak na zupełnie pusty. Postronny obserwator nie zwróciłby żadnej uwagi na auto Gabriela, takie niepozorne i łatwe do przeoczenia...

Tekturowe pudła walające się z tyłu klubu znajdowały się już w stanie rozkładu. Przy tej pogodzie wystarczyło, że obsługa zalegała ze sprzątnięciem przez kilka dni. Gabriel ostrożnie stąpał po

metalowych, śliskich schodach. Nieraz wchodził tutaj tylnym wejściem, ale po raz pierwszy odgrywał rolę nocnego włamywacza. Skradanie się po cichu nie należało do jego specjalności. Był hipnotyzerem tłumów, mistrzem przemian i iluzji. Najlepiej czuł się na estradzie, skąpany w kolorowych światłach; przemykanie się w cieniu pasowało raczej do Lloyda. Mimo wszystko czuł się nieco podekscytowany. Jak chłopiec kradnący cukierki z kredensu.

Drzwi zamknięto na łańcuch i kłódkę, a także kilka zwyczajnych zamków. Żadne wyzwanie dla kogoś, kto potrafi manipulować przedmiotami siłą woli. Istniało jednak lepsze wyjście...

– Timmy, przenieś mnie przez drzwi – szepnęła do krótkofalówki.

– Gabiś, mówiłem ci, dzisiaj nie zaryzykuję teleportacji – odpowiedział Timothy po dłuższej chwili.

– W takim razie mnie przeniknij – mruknął Gabriel. – To zupełnie co innego, nie będziesz przerzucać mnie na skróty przez wymiary. Nie mam ochoty zostawiać tutaj śladów.

– Po prostu nie chce ci się otwierać drzwi – prychnął Tim. – Masz trochę racji, ale i tak przekazywanie magii przez krótkofalę to karkołomne zadanie. Szczególnie dziś. Nie marudź.

Rozległo się kilka metalicznych szczęknięć i w kilka minut później tylne drzwi do klubu stały otworem.

– Gotowe – oświadczył Gabriel. – Wchodzę.

– Czekaj, głupku – zatrzeszczała krótkofalówka. – Pamiętasz, kogo szukamy? Kto jest tutaj ochroniarzem? Pominąwszy zwykły alarm, w środku musi znajdować się coś ekstra.

– No dobrze, ale jak ja to mam...

– Pożycz oczu.

Gabriel Shade poczuł, jak znajoma świadomość rozsiada mu się wygodnie na płatach wzrokowych.

– Cholera...! – jęknął. – Jak ja tego nie cierpię. Podobno telepatia miała nie działać...

Jeżeli mam pomoc w postaci krótkofali, na dłuższą metę męczy, ale działa. Ależ tutaj ciemno. Przyda się detektor ruchu i podczerwień...

Kolejne zakłęcia wzbogaciły wzrok Gabriela/Timothy'ego.

– Mówiłeś mi, że to trudne.

Telepatia za pośrednictwem radia? Na takim niewprawnym umyśle, jak twój? Chyba żartujesz...

– Ty egoistyczna, złośliwa małpo.

Nawzajem. Wchodzimy, na razie nic nie widać.

– Gdyby cokolwiek tutaj było, już by nas usłyszało – stwierdził Gabriel.

Jego słowa okazały się prorocze. Piosenkarz uszedł zaledwie kilka kroków, gdy runęła na niego mroczna sylwetka.

Uskoczył w ostatniej chwili, przewrócił się i odturlał kilka metrów dalej. Uniósł się na łokciu i szybko wstał, gotów natychmiast wziąć nogi za pas. W świetle padającym z zewnątrz widział tylko wielki, czarny, pozbawiony właściciela cień, rozpostarty na ścianie korytarza. W prawej ręce zdawał się dzierżyć jakąś broń.

Mag cofał się krok po kroku na drżących nogach. Strach odbierał mu zdolność myślenia.

– O cholera, cholera, cholera...

– G... b... riel... – rozległ się cichy, niewyraźny głos.

Piosenkarz zatrzymał się, zdumiony. Cień falował w półmroku, nie ruszając się z miejsca. Wyglądało to tak, jakby...

– Poznajesz mnie?

Pewnie, że cię poznaje. Przyjrzyj mu się trochę. Lloyd zdublował własny cień. Kto lepiej dopilnuje straży niż on sam?

– Lloyd... – odezwał się Gabriel powoli. – To ja. Ja. Szukamy cię. Gdzie...?

– P... r... k... m... – zaszeptala sylwetka, wskazując ręką w kierunku wyjścia.

No, jak na kontakt, to nie jest zbyt komunikatywny.

– Cicho bądź, Timmy. Próbuje się dogadać – mruknął piosenkarz. – Powtórz, proszę. Nie

rozumiem cię...

Cień zawirował, zaszumiał, zbliżył się niebezpiecznie. Nagle – jakby opadła na nich kurtyna z czarnego jedwabiu – wokół zapadła nieprzenikniona, chłodna ciemność. Jednolity mrok, w którym nie widać nic.

– Oczy! Nasze oczy! – Przez krótkofalówkę rozległ się przerażony głos Timothy’ego.

– Spokojnie, Tim – szepnął Gabriel Shade, który w jednej chwili zrozumiał, co się stało. – Moje oczy działają, jak należy. Po prostu jesteśmy w środku. Wewnątrz cienia.

Park Miejski.

Głos istoty był bezbarwny i dziwnie bezosobowy, a jednak w jakiś sposób przypominał im Lloyda. Ciemność spowijała ich umysły w gładki kokon.

Przyjdźcie do Parku Miejskiego...

Potężne gałęzie największych drzew trzeszczały pod naporem wichru, stare jałowcowe krzewy sypały przemarzniętymi jagodami. Bezpańskie psy i miejscowe ptaki dawno już skryły się w bezpiecznych schronieniach. Żwirowe alejki znikły pod wszechobecnym błotem i grubą warstwą gnijących liści. Tu i ówdzie poniewierały się śliskie szczątki foliowych torebek, ogryzione szkielety szyszek, gnijące kasztany.

Gabriel szedł z pochyloną głową. Jedną ręką trzymał kaptur, drugą zaś chował w kieszeni. Wiatr rzucał mu płatki śniegu prosto w oczy. Co jakiś czas mijane latarnie budziły się, rozpraszając ciemności wątpliwym, bladym światłem. Park wydawał się całkowicie opustoszały. Żadnych włóczęgów, żadnych zwierząt. Mag nie wyczuwał nawet duchów drzew, zawsze obecnych w tym miejscu.

Nawet nie rozglądał się za energią Lloyda – wiedział, że stary czarodziej świetnie zacierał za sobą tropy. Szóstym zmysłem dostrzegał za to opalizującą rzekę wzburzonej, starożytniej magii pozostawionej za sobą przez nieznanego intruza. Za nią, jak drobne nitki, plątały się inne ślady, były jednak zbyt słabe, aby mógł je rozpoznać; ginęły w szumie.

Niepokój Gabriela powoli zaczął przeradzać się w panikę. Wyobrażał sobie, że jest sam, zupełnie sam w tej wielkiej, szumiącej przestrzeni. Wystawiono go na ofiarę dla jakiegoś strasznego, przedwiecznego stwora. Opuszczono, pozostawiono na zatracenie. Umrze ze świadomością porzucenia...

– Timothy, odezwiąj się – szepnął do krótkofalówki. – Odezwiąj.

Nikt nie odpowiadał. Obiektywnie Gabriel Shade wiedział, że Timothy zapewne próbuje dodzwonić się do Chrisa lub do kogoś z magów w Mandali. Ale...

– Timmy, odbierz – powtórzył błagalnym tonem. – Proszę, jest mi źle, wariuję.

Radio milczało jak zakłete. Piosenkarz zaczął pogwizdywać, aby dodać sobie otuchy, melodia zginęła jednak w szumie wiatru. Poczł się jeszcze bardziej niepewnie. Czy zza tych drzew nie przypatrywały mu się czyjeś oczy? Czy ktoś nie czyhał za jego plecami, o krok poza granicą widoczności?

Sądziłem, że dawno już odeszły czasy, kiedy bałem się nawet spać po ciemku, myślał, na próżno starając się zachować zdrowy rozsądek.

Wraz z kolejnym podmuchem wiatru w jego nozdrza uderzył potworny smród. Zachciało mu się wymiotować. Krew... na pewno była w tym krew... i dużo, dużo więcej. Gabriel z przerażenia skulił się obok najbliższej ławki. Co tam się stało? Co się stało?

– Gabrielu – rozległ się zrzędlawy głos Timothy’ego. – Można cię, świrze, chociaż na chwilę zostawić samego?

– Timmy! Jesteś tam...? Cały i zdrowy?

– Pewnie. Nigdzie sobie nie poszedłem. Siedzę sobie wygodnie w fotelu i jedyne, czego mi brakuje, to odrobina mocnej herbaty – rzeczowym, spokojnym tonem Timothy sprowadzał przyjaciela na ziemię. – Dobrze się czujesz?

– Już lepiej. – Gabriel czuł, że powoli wraca mu rozum. – Nikogo tutaj nie ma, ale przechodził tędy nasz nieproszony gość. I coś strasznie śmierdzi trupem.

– Może powinieneś to zbadać – zastanowił się Tim. – Dałbyś radę? Zrób się niewidzialny i podejź bliżej.

– Wiesz, jak ja się boję krwi – jęknął piosenkarz. – Proszę cię, nie każ mi tego robić.

W eterze na krótką chwilę zapadła cisza.

– W takim razie wyłącz się psychicznie – odezwał się po chwili Timmy. – Zastosuj autohipnozę. Odłącz wszystkie emocje i rejestruj obrazy. To tylko drobna modyfikacja tego, czego zdołałeś się nauczyć z zakresu telepatii. Jeśli zrobi się niebezpiecznie, skocz tam i pomogę.

– Timothy, sam mówiłeś, że teleportacja...

– To ja zaryzykuję, a nie ty. Żadnych ale – uciął cybermag.

Nadal nie mógł sobie darować wcześniejszego wybuchu paniki na zapleczu „Syriusza”. Zdawało mu się wtedy, że ponownie traci wzrok. Do tej pory był przekonany, że to tylko Gabriel jest podatny na ataki lęku.

– Dobrze. Spróbuję. Raz kozie śmierć – rzekł piosenkarz, chowając krótkofalówkę do wewnętrznej kieszeni płaszcza.

Starał się, aby to zabrzmiało odważnie, ale jego głos drżał.

Zimno. Zimno i śmierdzi. Głodna. Nie ruszać się i przeczekać.

Sygnaly docierały do umysłu Grace z opóźnieniem. Siedziała skulona w mirtowych krzewach, pogrążona w bezruchu. Nie wiedziała, ile już czasu spędziła w tym miejscu. Zdawała sobie sprawę, że w końcu będzie musiała je opuścić i wrócić do swojej dziennej kryjówki. Miała nadzieję, że nie natknie się ponownie na potwora.

Głodna. Głodna.

Jedzenie.

Delikatna, ciepła woń wypełniła jej nozdrza, kły wysunęły się lekko. Wyraźnie czuła w okolicy zapach soczystego, zdrowego śmiertelnika. Żołądek Grace zaburczał głośno – odruch z czasów, kiedy odżywiała się w bardziej urozmaicony sposób. Wampirzyca podniosła się z mokrej ziemi i bardzo ostrożnie wyjrzała zza krzaków. W oddali dostrzegła ludzką sylwetkę. Przechadza się tutaj i jeszcze żyje, to znaczy że potwór już sobie poszedł. Zaraz jednak ostrzegł ją instynkt łowcy – co to za śmiertelnik, który wybiera się na spacer do Parku po zachodzie księżyca?

Postanowiła obserwować go, dopóki nie podejdzie bliżej.

Nie zauważył jej. Oczywiście, w sztuce ukrywania się nie miała sobie równych – przynajmniej pośród swojego rodzaju. Rozglądał się jednak dookoła, jakby czegoś wypatrywał. Musiał przyciągnąć go tutaj odór trupów i Grace zastanawiała się dlaczego. Istnieli tacy śmiertelnicy, którzy badali niebezpieczeństwa, ale oni nosili niebieskie ubrania i robili dużo hałasu. Ten tutaj miał na sobie ciemnoszary płaszcz. Może pod spodem też ubierał się na niebiesko.

Przyglądała mu się uważnie. Poruszał się z wrodzonym wdziękiem. Teraz dostrzegła już jego twarz, częściowo skrytą w cieniu kaptura. Grace zamruczała z uznaniem – rysy nieznajomego były harmonijne, skóra gładka, usta jakby stworzone do spijania z nich krwi. Różnił się od tych, których zwykle wybierała. Dawno już nie widziała kogoś tak pięknego. Przez jakiś czas po prostu kontemplerowała jego hipnotyzującą urodę.

A potem skoczyła.

Gabriel w ostatniej chwili poczuł ruch za swoimi plecami. Odwrócił się szybko... ale nie dość szybko. Coś ciężkiego wpadło prosto na niego, natychmiast stracił równowagę, lądując w błocie. Otworzył oczy, zdając sobie sprawę z tego, że trzyma czyjeś nadgarstki. Kilka sekund zajęło mu zorientowanie się w sytuacji.

Leżał na plecach, przygniatany do ziemi przez młodą kobietę, z niewiadomych przyczyn rozwścieczoną do żywego. Była cała utyłana w błocie i ubrana w brudne strzępy letniej sukienki. Jej długim, splątanym czarnym włosom przydałoby się kilka godzin mycia i szczotkowania. Nie nosiła też bielizny.

Gabriel przełknął ślinę.

– Jak to zrobiłeś? Jak to zrobiłeś? – zasyczała. – Nie widziałeś mnie! Wiem, że nie!

Jej ostre kły wysunęły się na pełną długość. Mag zrozumiał – pod wpływem autohipnozy podświadomie zareagował na energię nieumarłego i uniknął ataku zza pleców. Grace, przypomniał sobie. Ta młoda wampirzyca. Lloyd coś kiedyś o niej mówił, ale Gabriel nie pamiętał dokładnie co. Jak to szło? Jest trochę jak małe zwierzątko? Ładne mi małe zwierzątko.

– Przestań, Grace – powiedział. – Daj mi spokój, bo zrobię się bardzo niedobry.

Napastniczka spojrzała na niego przytomniejszym wzrokiem. Jej nozdrza poruszały się, węszyła.

– Magia – powiedziała. – No tak, schowałeś swoją magię, ale i tak czuć ją z bliska.

Ma nosa, przeszło przez myśl Gabrielowi. Zamaskowałem moją aurę tak dobrze, jak tylko umiałem.

– Nie poluję na magów – oznajmiła Grace.

Nie wykazała jednak najmniejszej ochoty na zmianę krępującej pozycji. Dotykała maga swoimi białymi, krągłymi piersiami. Gabriel wiedział, że są chłodne i martwe, że ciało Grace może ogrzać jedynie ciepło skradzione żyjącym. Wstrząsnął nim lekki dreszcz.

– Ale może sam dasz mi trochę krwi? Proszę, proszę. Głodna jestem.

Z nadzieją oblizła usta.

– Może kiedy indziej. – Mag uśmiechnął się zniewalająco. – Dzisiaj naprawdę, naprawdę nie mam na to czasu.

– A co robisz? Szukasz potwora?

– Nie... tak. Jego też szukam. Ale przede wszystkim chcę znaleźć mojego przyjaciela. Wysoki, z mieczem, w czarnym płaszczu.

– Znam go, nazywa się Lloyd – przerwała mu Grace i odskoczyła do tyłu z kocią zwinnością. – Bardzo silny. Nie lubi, kiedy pije się krew z magów.

– Był tutaj? – Gabriel powoli wstał, a potem otrzepał się ze zgniłych liści i błota. Nie zastosował magii oczyszczającej, chciał zachować na później możliwie jak najwięcej sił.

– Nie wiem. Siedziałam w krzakach. – Wampirzyca przechyliła lekko głowę. – Ale mogę go znaleźć, raz-dwa. Żaden problem.

– Żaden problem...? Pierwsze słyszę – zdziwił się mag.

– Jego krew płynie w moich żyłach – wyznała Grace z właściwą jej prostotą.

– He?! – zakrztusił się Gabriel.

– Wymieniliśmy krew – wyjaśniła wampirzyca, jakby to była najbardziej oczywista rzecz na świecie. – Wie, gdzie jestem. I ja też wiem, gdzie on jest.

(...) Próżnować będzie nieuważny gospodarz.

Poznasz lisa naturę, moje słowa rozważ.

Dla ostrożności nie opuści innych lisów,

Z konieczności tylko, nie poluje z kaprysu.

Przyjaciół szuka – nie samotny, głową rusz.

Na rzeczy się znasz już – bohater, nie tchórz.

Zaprzeczy, niewinny. Kury cudze gryźć

Taką jego słabość. Zwierzę sprytne – lis,

Szuka też zwady; nie żałuje bestia kłów.

Stratą będzie nie posłuchać moich słów. (...)

Wysoka, ciemna sylwetka przemykała między drzewami, wtapiając się w cienie. Żaden szelest nie zdradzał jej obecności, nie zostawiała nawet odcisków butów na mokrej ziemi. Zjawa, złudzenie albo niepokorny cień – gdyby komukolwiek jakimś cudem udało się zauważyć przybysza, nie mógłby dojść

do innego wniosku.

Ślady krwi kończyły się przy olbrzymim, pomnikowym cyprysie. Lloyd nie znalazł żadnych szczątków, co znaczyło, że komuś udało się uciec. Komu i jakim cudem – to pozostawało zagadką. Mag wyczuwał tam zapach obcej magii tak intensywny, że nieprzyjemnie kręciło mu się w głowie. Zaczynał tracić cierpliwość. Z tego, co udało mu się wywnioskować, intruz wracał do Parku co najmniej dwa razy. Za ostatnim zdeptał wszystkie poprzednie tropy tak dokładnie i skrupulatnie, że to nie mógł być przypadek. Przeczucie mówiło Lloydowi, że skrywały się w nich kluczowe informacje. A on je przeoczył.

Próbował oczywiście cofać się wzdłuż niektórych śladów. Udało mu się tylko doszczętnie pogubić. Intruzowi zaczęło zależeć na ukryciu się, więc zamiast maskować swoją aurę, spotęgował ją do tego stopnia, aby zagłuszyć wrażliwe zmysły magów. Z powodzeniem.

Lloyd Dark dałby wiele, aby się dowiedzieć, co skłoniło to stworzenie do nagłej zmiany taktyki. Próbował skontaktować się zarówno z Timothyem, jak i z Krzysztofem, ale telepatia na daleką odległość zawiodła, co nie napawało go optymizmem.

Przez te kilka nocnych godzin nieproszony gość niebywale urósł w siłę, do tego stopnia, że jego obecność wpływała na całą miejską rzeczywistość. Lloyd musiał przyznać z niechęcią, że teraz zapewne nie dałby sobie z nim rady sam. Tym bardziej należało się spieszyć. Musiał wierzyć, że jego przyjaciele również dostrzegą niebezpieczeństwo. Nie miał innego wyboru.

Z łatwością rozpoznał obecność wampirzycy Grace. Wyczuł ją na długo przedtem, zanim usłyszał ich oboje.

– Gabriel i Grace. – Podniósł nieco głos, odwracając się w kierunku krzaków. – Co za niespodzianka. W samą porę, powiedziałbym.

– Lloyd, cholera...! – Gabriel, który ledwo nadązał za zwinną wampirzycą, dostał już zadyszki. Jego kaptur opadł, a jasne pukle niemal całkiem przemokły od śniegu. – Cholera...

– Spokojnie, nikt cię nie goni – zmiłgował go szermierz. – Oprzyj dłonie na kolanach i oddychaj, to pomaga.

– Dobranoc, Cienisty – pozdrowiła go Grace i po swoim przykucnęła na ziemi.

– Dobranoc, łowczyń.

Gabriel Shade popatrzył na nich podejrzliwie.

– Lloyd, ja nie chcę być wścibski, ale co to za historia z wymienianiem krwi? Znaczący, ja rozumiem, że ona może się podobać, ale... wiesz no, z wampirem... chociaż to do ciebie nawet podobne.

Mag roześmiał się szczerze, prosto z przepony. Śmiał się tak przez jakiś czas, a piosenkarzowi robiło się głupio.

– Przepraszam cię, Gabrielu – rzekł wreszcie. – Ale dawno już nikt mnie tak nie rozśmieszył. Ceremonialnie wymieniliśmy krew, dokładnie kroplę. Na przypieczętowanie umowy.

– Mam nie zabijać ludzi, a on obroni mnie przed Derekiem – wyjaśniła rozbawiona Grace..

Piosenkarz zrozumiał. Wampir Derek, przywódca niewielkiego ulicznego gangu i podwładny Juliusa, wykazywał się czasem samodzielnością niewygodną nawet dla swojego szefa. Z pewnością zawziął się na wampirzycę, która nie należała do ich organizacji.

– Grace, kiedy tylko może, w bardzo szczególny sposób wybiera swoje ofiary – wyjaśnił Lloyd.

– Pachnie jej adrenalina i testosteron. Rabusie, zbrojenci, groźni psychopaci. Niektórzy z całą pewnością zasługują na śmierć, ale nie nam o tym decydować, prawda? W każdym razie, po takim przeżyciu na jakiś czas są wyłączeni z gry. Żywię nadzieję, że niektórzy zmieniają sposób postępowania. Tak więc Grace potrzebuje Parku, a Park potrzebuje Grace.

– Naturalny wróg szumowin – mruknął Gabriel. – To ma sens.

– Właśnie – przytaknęła wampirzyca niecierpliwie. – Był tutaj potwór. Gdzie poszedł?

– Nie wiem – powiedział Lloyd. – Ale z pewnością już go tu nie ma. Możesz iść polować. O ile znajdziesz jeszcze dzisiaj jakąś zwierzynę, ma się rozumieć.

– Pójdę spać na pusty żołądek – syknęła. – Zła noc. Pomyślnych łowów.

I w mgnieniu oka znikła w zaroślach.

– Zawsze zadziwiała mnie łatwość, z jaką nawiązujesz z nimi kontakty. – Gabriel spojrział w miejsce, gdzie jeszcze chwilę temu stała Grace.

– Niestety, nie wszyscy są równie czarujący – westchnął Lloyd. – I nie sądzę, abym chciał przypieczętować w ten sposób układ z kimkolwiek innym. Wyczuwamy nawzajem swoją obecność, o ile nie znajdujemy się w miejscu chronionym. To dosyć ryzykowne.

– Wiem. – Gabriel skinął głową i naciągnął kaptur na przemoczone włosy. – Posłuchaj, mam łączność radiową z Timmym.

– To doskonale, bo już zaczynałem żałować, że nie noszę komórki. Gdyby Timothy zabezpieczył je przed niepowołanymi uszami, dajmy na to zaszyfrował sygnały albo przejął satelitę...

– Halo, tu Houston – odezwał się głos z krótkofali. – Słuchacie mnie? Dobrze. Dzwoniła Weronika i mówi, że ma wam do przekazania coś ważnego.

Z początku zmiany nie były wielkie. Śnieg zgęstniał, temperatura spadła o stopień czy dwa. Wydłużyły się cienie. Kilka bezpiecznych psów wyczuło unoszącą się w powietrzu woń niepokoju. Ocknęły się ze snu, aby ujadać na wiatr.

Tej nocy wiele małych dzieci obudziło się z płaczem. W szpitalu psychiatrycznym imienia świętego Antoniego chorzy dostawali ataków hysterii lub katatonicznie zwijali się w kłębek. Artyści śnili męczące, fantazyjne koszmary, które następnego dnia miały przerodzić się w nowe dzieła sztuki. Koty zbierały się w grupki na śmietnikach i w milczeniu oczekiwały końca świata.

Zrujnowana kamienica już dawno temu powinna zostać wyburzona. Pozbawione szyb okna ziały pustką. Niechlujne graffiti szpeciły tynk, a raczej to, co z niego zostało. Drzwi zabito deskami.

Wisząca wciąż na rogu budynku tabliczka głosiła „7/49”.

Na podwórzu rosła zaś olbrzymia, stara, rosochata wierzba.

Jej grube konary rozpościerały się szeroko, kpiąc sobie ze wszelkich burz i wichrów. Korzenie przerastały ziemię i wysadzały płyty chodnikowe w promieniu kilku metrów. Szeroki pień, który mogłoby objąć dziesięciu ludzi, lekko rozszczępiał się w górnej części, tworząc dziuplę.

Podróżnik szedł w kierunku potężnego drzewa, mimo woli omijając przyzmy błotnisteo śniegu, zmarznięte kałuże i potłuczone butelki. Nie lubił tutaj wracać, to przywoływało zbyt wiele gorzkich wspomnień.

Kaja żartowała, że dom spodobał jej się ze względu na grę liczb. Siedem, czterdzieści dziewięć. Z początku wynajmowali go we dwójkę, ale stopniowo społeczność magów się rozrastała. Ostatecznie przed Mroczną Wojną pod siódmką zamieszkało właśnie siedmiu czarodziejów. Dowcip, który potrzebował kilkudziesięciu lat, aby puenta stała się w pełni jasna; owszem, to było jak najzupełniej w stylu Kai. Krzysztof pamiętał, że bardzo go irytowało, kiedy tak robiła.

Ale w rzeczywistości wybrali kamienicę z lepszego powodu. Drzemało tutaj potężne źródło mocy, wieki temu dobrze znane indiańskim szamanom. Czarodziejka zdecydowała się podjąć ryzyko i w samym sercu nowoczesnego miasta obudziła pradawną magię. W ciągu jednej nocy na podwórzu pojawiła się gigantyczna wierzba, a ludzie wierzyli, że rosła tu od zawsze. Od tej pory przemysłowe Farewell zaczęło się zmieniać, wzbogaciło się o pierwiastek marzeń i mistycyzmu. Obydwoje wspomagali te zmiany jak mogli, uważnie kształtując astralną pajęczynę. Stopniowo przybywało magii i dobrobytu, mieszkańcy stawali się odważniejsi i mądrzejsi, miasto przyciągało istoty nadnaturalne oraz ludzi o twórczych umysłach.

Kto wie, jak obecnie wyglądałoby Farewell, gdyby nie Wojna? Świat astralny doznał wtedy wielu uszkodzeń, których do tej pory nie udało się naprawić. W dodatku przed ostateczną walką czarodziejka zapieczętowała źródło tak, aby nikt nie mógł z niego czerpać. Z istotnych powodów – ich wrogowie również chcieli korzystać z jego mocy.

Pozostali magowie nie znali wszystkich tajemnic Wierzyby. Nie domyślali się, że chociaż uśpiona, wciąż stanowiła mistyczne serce miasta i swego rodzaju portal. Krzysztof przestał ich szkolić, gdy zamieszkał z dala od innych i odsunął się w cień. To było konieczne zarówno z powodów praktycznych,

jak i ze względu na proroctwa Błękitnej Księgi. Tylko tutaj stary mag potrafił wejść w sieć powiązań na najbardziej podstawowym poziomie Świata Opowieści. Stąd mógł także wyruszyć w podróż w dowolny wymiar, tego jednak nie robił już od dawna. Trwał na posterunku, aby utrzymywać świat astralny w jak najlepszym stanie, aby Farewell nie przestało być Miastem Magów. Czasem robił to z poziomu Wierzby, ale częściej podróżował po mieście, niezauważony jak zwykły przechodzień, i opłatał siecią delikatnych zaklęć kolejne uszkodzenia, ograniczał ogniska rozpadu, pomagał, gdy magiczna struktura Farewell zaczynała się zrastać. Podejmował ciężką, codzienną pracę, która pochłaniała większość jego mocy. Nie zamierzał o tym nikomu opowiadać, gdyż młodszym magom brakowało umiejętności, aby mu pomóc, a wrogowie chętnie przypuściliby atak, gdyby znali prawdę. Sam nieraz podsycił opinie, że stracił dawne możliwości. Ale teraz zjawiał się intruz, który mógł obrócić wniwecz wszystko, co udało mu się odbudować po Wojnie.

Krzysztof Podróżnik zamknął oczy i położył dłonie na szorstkiej korze. Mokre płatki śniegu zawirowały, mieszając się z żółtymi, widmowymi liśćmi. Spod palców czarodzieja rozbłysło światło, które po chwili spowiło całą jego postać.

Charles Wight przegrywał swoją ostatnią bitwę. Jego twarz była blada jak wosk, oddech – płytki i urywany. Mokre kosmyki włosów przylegały gładko do skroni. W małym pokoiku na górze pachniało świeżą pościelą i krochmalem, ale Eunice czuła tylko nadchodzącą śmierć.

To niesprawiedliwe. Po tylu latach, po tym wszystkim, co się wydarzyło... po prostu umierał bez jednego słowa wyjaśnienia. To takie okropne, mieć pretensje do własnego ojca na łożu śmierci, myślała dziewczyna. Policzki piekły ją od łez.

Drzwi pokoju otworzyły się, światło padające z korytarza sprawiło, że zmrużyła oczy. Lekko przygarbiona kobieca postać zbliżyła się nieśmiałym krokiem.

– Czy chcesz herbaty?

– Odejdź, Mina – chlipnęła Eunice.

Kobieta wpatrywała się w nią wodnistymi oczami, które wydawały się za duże w chudej, zniszczonej twarzy.

– Mogę przynieść herbaty – szepnęła. – I jedzenia dla pieska. Mogę pomóc.

– Nie potrzebuję pomocy – odpowiedziała dziewczyna z rozdrażnieniem. – Idź sobie stąd.

Mina z całą pewnością miała dobre intencje, ale obecność innych ludzi była w tej chwili ostatnią rzeczą, jakiej życzyłaby sobie Eunice. Pomimo prośby kobieta nie opuściła pokoju; przeciwnie, znowu podeszła bliżej.

– Co to za świecąca piłeczka w twojej kieszeni? – Zapytała, wskazując kościstym palcem.

Jabłko, przypomniała sobie Eunice ze zdumieniem. Przecież to dzięki niemu umknęłam Juliusowi. Jak do tej pory w ogóle nie miała czasu o tym pomyśleć, działo się tyle innych rzeczy.

Dziewczyna sięgnęła do kieszeni parki i wyjęła z niej niewielki owoc o złocistej skórce. Wyglądał inaczej. Lśnił wewnętrznym, kojącym światłem i ogrzewał jej dłoń magicznym ciepłem. Jego słodki zapach wypełniał cały pokój, rozjaśniał myśli i dodawał nadziei.

Nie wiedziała, że jabłka mogą tak cudownie pachnieć.

W jej domu, w „martwym punkcie”, owoc wydawał się zwyczajny. Teraz biła od niego potężna moc, silniejsza niż wszystko, z czym Eunice miała do czynienia w krótkiej karierze maga. Charakter tej mocy w pewien sposób przypominał jej nimfę Redfairya, istotę z legend.

Skojarzenia przychodziły same. Mity i legendy. Złote jabłko. Stugłowy potwór. Strażnik.

Jabłko z Ogrodu Hesperyd.

– Jakie to ładne – powiedziała Mina.

Eunice zerwała się na równe nogi.

– Gdzie idziesz?

– Do kuchni! – krzyknęła dziewczyna i w chwilę później zbiegała już z tupotem po schodach.

Siostra Weronika należała do tych osób, które po prostu nie potrafią nic nie robić. Zakonnica twierdziła, że beczynność osłabia ducha i sprowadza złe myśli. Z całą pewnością miała rację. Należało jednak uczciwie przyznać, że jej pracowitość nie miała nic wspólnego z duchowym udoskonaleniem. Weronika nie umartwiała się pracą. Wykonywała ją niemal mimo woli.

Tak więc i teraz – mimo że wstrząsnął nią dramat Eunice, mimo groźby wiszącej nad miastem – w oczekiwaniu na pozostałych czarodziejów Weronika szorowała podłogę w kuchni. Ostro zapach środka czyszczącego uspokajał ją, stwarzał pozory, że wszystko jest w najzupełniejszym porządku. Nawet jeśli sprzątanie o czwartej nad ranem nie należało do zwykłych domowych rytuałów.

Dobiegający z korytarza hałas zaskoczył ją. Uniosła głowę w samą porę, aby dostrzec wbiegającą do kuchni Eunice – zadyszana, podekscytowaną, z błyszczącymi oczami.

– Tarka! – zawołała dziewczyna. – Weroniko, gdzie masz tarkę?

– W dolnej szafce po lewej stronie – odparła zakonnica odruchowo. – Co się dzieje?

Eunice nie odpowiedziała. Natychmiast dopadła szafki i zaczęła kolejno wyrzucać z niej poszczególne sprzęty, szukając tarki. Weronika patrzyła na nią w osłupieniu. Dopiero po chwili zaczęła zdawać sobie sprawę z delikatnego aromatu o bogatej nucie unoszącego się w powietrzu. Rozpoznawała tę woń. Tak pachniały jabłka nagrzane słońcem, szarlotki pieczone przez jej babcię, jabłoniowy sad latem, dawno, dawno temu, za czasów jej dzieciństwa. Tak pachniało szczęście.

– Robimy mus jabłkowy – wyjaśniła Mina, jakby chodziło o najbardziej oczywistą rzecz na świecie. – Takie bardzo zdrowe jedzenie dla chorych ludzi.

– Wielki Boże – szepnęła Weronika. – Czy to jest jabłko z Raju?

– Blisko – mruknęła Eunice, kładąc na stole jabłko, tarkę, nóż i miseczkę. – Z Ogrodu Hesperyd. Młodość, zdrowie, nieśmiertelność. Pomyśleć, że cały czas miałam je w kieszeni...!

– Powinnaś dodać trochę cukru i cynamonu – poinstruowała ją Mina. – Moja mama zawsze tak robiła.

Dziewczyna nawet jej nie słyszała. Obrała owoc ze skórki i energicznie starta go na papkę. Kiedy skończyła pracę, Mina podeszła do stołu i podniosła to, co zostało z jabłka.

– Ogryzek-zgryzek – powiedziała w zamyśleniu. W jej oczach płonęła fascynacja. – Trzeba zasadzić go w ogródku.

Już drugą godzinę z rzędu Timothy siedział przed Homerem i zamiast wchodzić do Ponadsieci, regulował pokrętkiem stojące obok CB-radio. Przy klawiaturze położył elektrody z przyssawkami – sposób na stabilniejsze, chociaż znacznie wolniejsze połączenie z Siecią. Nie zamierzał na razie z nich korzystać. Całą olbrzymią pamięć operacyjną komputera zajmował w tej chwili program, który analizował astralną mapę Farewell. Oczywiście wersja prototypowa. Cybermag zawsze miał pod ręką parę niedokończonych projektów, niekiedy porzucał je w połowie tylko po to, aby wrócić do nich kilka lat później. Technologia wciąż się rozwijała, a on nadal uczył się magii.

Zabawne, nigdy nie przypuszczał, że kiedyś znów będzie używał radia w miejsce telepatii. Od tego właśnie zaczynał – kiedy komputery przypominały jeszcze olbrzymie szafy i odczytywały dane z perforowanych kart, Timothy'ego znacznie bardziej interesowała teoria fal. Dzięki niej zaczął zresztą rozumieć magię. Gdyby nie Wojna i klątwa, której skutki odczuwał do dziś, skończyłby zapewne fizykę na uniwersytecie w Farewell. Może nawet na MIT. Nie zdążył zdecydować, nie zdawał nawet egzaminów wstępnych.

Co jakiś czas Timmy wybierał na swoim smartfonie numer Mandali albo Krzysztofa. Nikt nie odpowiadał i mag zaczynał już się poważnie tym martwić. A może jednak nic złego się nie stało, może po prostu jeszcze spali?

Jest! Połączenie z Mandalą, nareszcie...!

– Halo? Halo?

– Słucham, kto mówi?

Timothy Hawkins od razu rozpoznał ten głęboki, zmysłowy kontralt. Widział Titanię tylko kilka razy, za pośrednictwem Homera, ale z łatwością poznał ją po głębokim, zmysłowym tembrze głosu. Wyobraził sobie, jak smukła śniada dłoń podnosi słuchawkę.

– Titania? Co za szczęście! Wszystko w porządku?

– Najzupelniejszym – odparła chłodno. – Skasowało nam wszystkie zabezpieczenia, straciliśmy łączność z Lustrzanym Zamkiem, a w Studni Życzeń zamiast wody mamy solankę. Ale poza tym owszem, jakoś się żyje.

– To świetnie. Podaj mi Emily.

– Posłuchaj, wiem, czego chcesz. Nie pomożemy wam, Timothy. Mamy wystarczająco wiele kłopotów u siebie. Nie ruszymy się stąd, dopóki nie uda nam się opanować sytuacji.

Timmy zacisnął zęby.

– Titania, problem dotyczy nie tylko Mandali, ale całego miasta. Nie poradzicie sobie z tym, bawiąc się we własnej piaskownicy. Chcę porozmawiać z Emilią.

– Nie jesteśmy wam potrzebni, Timothy. – Głos Titanii zmienił się nagle, jakby zmatowiał. – Według wszelkich moich danych prawdopodobieństwo, że dożyjecie jutra wynosi najwyżej pięć procent. Bez względu na to, czy wspomozemy was, czy nie.

Klik! Biip... biip... biip

Timothy znieruchomiał, wstrząśnięty. Czy naprawdę rozmawiał z Titanią Faraday, beztroską piosenkarką jazzową? Czy ten wyprany z emocji, obcy głos należał do niej? Wielki Turingu! Co takiego działo się w Mandali?

Nie zwlekając dłużej, wybrał numer Krzysztofa. Może tym razem się uda. Wiekowy mag znajdował się tylko jedną nogą w rzeczywistości. Jeżeli nosił przy sobie telefon, z reguły go wyłączał. Nawiązanie z nim kontaktu graniczyło z cudem.

Długi sygnał. Raz. Dwa. Trzy. Klik! A więc cud jednak się zdarzył.

– Halo?

Odniósł wrażenie, jakby nagle eter wypełniły iskry.

Wierzba

czekajcie na znak będę

intruz stopiony z siecią

Sh`var yarsun tvarak b`htharhan

– Cholera!

Timmy zerwał połączenie, przerażony, z szybko bijącym sercem. Krople potu spływały mu po szyi, głowa pulsowała bólem. Czuł się tak, jakby jakaś obca istota próbowała przed chwilą dokonać inwazji na jego umysł. A jednak wiedział, że w jakimś przedziwnym sensie rozmawiał z Krzysztofem. Przypomniało mu się, jacy byli podczas Mrocznej Wojny, on i Kaja. Kiedy korzystali z pełni swoich możliwości, zastanawiał się, czy aby na pewno ma do czynienia z ludźmi. Teraz wątpliwości powróciły.

Co do jednego miał pewność – Chris nie próżnował.

– Hej, Tim – zaszumiało CB-radio. – Jesteśmy prawie na miejscu. Timmy? Słyszysz mnie, Timmy?

– Tak, słyszę – odezwał się szybko Timothy i zaraz zgiął się w ataku kaszlu.

– Timmy?

– Czekać... – Sięgnął po inhalator, wziął kilka głębokich wdechów. – Aerozol... już lepiej... Chris już nam pomaga. Nie mam bladego pojęcia, co właściwie robi, kazał nam czekać na znak. Powiedział też, że intruz jest stopiony z siecią, cokolwiek to oznacza. Może chodzi o Ponadsieć? Zaczekam, aż Homer wypluje jakieś wyniki.

– A co z Mandalą?

– O, to dobre pytanie...

Przygotowania do rytuału dobiegały końca. Przestronny salon willi Mandala opróżniono z większości mebli, zdjęto cenne obrazy, zwinięto puchate perskie dywany. Całą lśniącą, zadbaną podłogę pokrywał zawily wzór namalowany szkarłatnym atramentem. Nadal unosiło się nad nim kilkanaście drobnych pędzelków, które tu i ówdzie poprawiały szczegóły. Uważny obserwator spostrzegłby szybko, że figura miała strukturę fraktalną. Każdy zaś, kto kiedykolwiek liźnął kabały, natychmiast rozpoznałby, co przedstawiała.

Było to drzewo Sefirot.

Ubrana w czerwoną suknię wieczorową, której używała zamiast tradycyjnej szaty rytualnej, Emily Spencer krążyła dookoła. Porównywała dzieło z projektem, który trzymała w ręku. Efekt bardzo przypadł jej do gustu. To zdumiewające, co można zrobić z klasycznymi metodami Lustrzanego Zamku, jeżeli tylko trochę się je zmodyfikuje. Emily przechowywała w szufladzie wiele takich ulepszonych zaklęć, opracowanych wspólnie z Titanią Faraday. Jej uczennica nie miała sobie równych, kiedy w grę wchodziło łączenie matematyki z magią.

Krok w krok za panią prezes podążał starszy mężczyzna z bródką – współpracownik Emily i jej towarzysz życia, profesor Anton Glenn. Przyglądał się wzorom z wyraźną dezaprobatą.

– Nadal nie jestem przekonany, czy to dobry pomysł – mruknął. – A już dreszczy dostaję, kiedy pomyślę, że mamy po tym codziennie chodzić.

Emily westchnęła. Od czasu Mrocznej Wojny profesor jako jedyny mag w Farewell starzał się jak każdy śmiertelnik. Zazwyczaj wcale jej to nie przeszkadzało. Ale czasami, tak jak teraz, Anton dawał wyraźne oznaki starczego uporu.

– Wy tłumaczyłam chyba dokładnie. – Jeszcze raz przestudiowała kartkę. – Moc zostanie przefiltrowana przez drzewo. Jeśli rytuał przebiegnie pomyślnie, ocalimy miasto i przy okazji zgromadzimy zapas czystej żywej energii. Nie zamierzam przecież magazynować we własnym domu jakiegoś pierwotnego zła.

– A jeżeli to nie zadziała? Albo moc, którą uzyskasz, nadal będzie skażona? – Profesor lekko podniósł głos. – Emily, Kaja wyraźnie zabraniała pobierać energię z podobnych istot!

Pani prezes odwróciła się gwałtownie, aż jej suknia zawirowała wokół kostek. Teraz była wściekła. Wiedziała, że traci panowanie nad sobą, ilekroć ktoś wymienia przy niej wieszczkę. Nie potrafiła nic poradzić na te wybuchy i bardzo tego w sobie nie lubiła.

– Mówisz o czarodziejce martwej od prawie czterdziestu lat, w dodatku nieszczególnie zrównoważonej – warknęła. – O kobiecie, która układała sobie zagadki, a jak przyszło co do czego, to wzięła i umarła, zostawiając mnie z całym tym burdelem na karku!

– Kochanie...

– Antonie, gdyby nie ja, co by się stało z miastem? Kto zająłby się dyplomacją, dbaniem o nasz wizerunek, o rozwój? Chyba nie ta banda hipisów bawiących się w superbohaterów? Albo Krzysztof w swojej wiecznej depresji?

Profesor z wielką delikatnością położył dłoń na jej ramieniu, łagodnie spojrzał jej w oczy.

– Ja w ciebie wierzę, Emily.

Uspokoiła się trochę, zatrzymała na chwilę jego rękę.

– Więc uwierz także Titanii – powiedziała. – Ona nigdy nie myli się w obliczeniach. To nasza jedyna szansa. Jeżeli nie spróbujemy, wszyscy magowie z Farewell zginą.

Nietrudno stracić życie w Rynsztoku, kiedy człowiek nie zachowuje należytej ostrożności. Zwłaszcza jeśli tym człowiekiem jest przybysz z zewnątrz, tym bardziej mag. Wampiry przestrzegały, rzecz jasna, traktatu pokojowego... ale zawsze mógł się zdarzyć wypadek. Niektóre ze stworzeń mieszkających w północnej dzielnicy miały sobie za nic jakiegokolwiek prawa.

Wielki, czarny motocykl wyhamował z piskiem na dziurawym asfalcie. Szermierz uważnie lustrował otoczenie. Oczywiście śledzono ich, nie miał co do tego żadnych wątpliwości. Obecność Lloyda w Rynsztoku wywoływała zapewne podobną reakcję, jak wpuszczenie tygrysa na terytorium stada szakali. Ale nie dlatego mag przystanął.

Przy ścianie szarego bloku mieszkalnego, nieróżniącego się zbyt od pozostałych budynków, niewielka część podwórka została wygradzona i przekształcona w boisko do koszykówki. Komuś zależało na utrzymaniu tego miejsca we względnym porządku. W obrębie boiska nie poniewierały się żadne odpadki i chociaż w zardzewiałej, drucianej siatce było pełno dziur, obręcze koszy nadal znajdowały się tam, gdzie powinny.

Na zewnątrz placu stały dwie ławki, prawie doszczętnie obrane z drewnianych elementów. Za dnia zapewne przesiadywali tutaj miejscowi, oglądając mecze, rozmawiając i sącząc piwo za piwem. Teraz Lloyd dostrzegł na jednej z nich leżącego człowieka. I chociaż gęsty śnieg z deszczem poważnie ograniczał widoczność, mag natychmiast zorientował się, że mężczyzna nie śpi. Na jego swetrze odznaczała się wielka plama krwi.

– Co się stało? – Gabriel uchylił szybę dodge'a.

– Nie wychodź z auta, Gabrielu. – Szermierz zsiadł z motocykla i dobył miecza. – Nie spodobałby ci się ten widok, jak mniemam.

Czyżby intruz uderzył ponownie? Mag wyczuwał jego energię, ale nie tak wyraźną jak poprzednio, bardziej rozmytą, rozrzedzoną. Zwłoki wyglądały dość nietypowo – potwór miał zwyczaj patroszyć swoje ofiary i zostawiać flaki rozwleczone po całej okolicy. Może zbrakło mu czasu na zabawę?

Krok po kroku Lloyd Dark zbliżył się do ławki. Teraz dostrzegał, że jej metalowy szkielet był w dziwaczny sposób powykręcany, jakby zmiękł pod wpływem wysokiej temperatury, a potem zastygł na nowo. Albo... jakby na chwilę ożył.

Szermierz przyjrzał się truposzowi z bliska. Musiał wyzionąć ducha całkiem niedawno, ubranie nadal przesiąkało świeżą krwią. Spoczywał twarzą do góry i pozornie wyglądało na to, że został pchnięty nożem w plecy. Czyli zwyczajna śmierć w północnej dzielnicy? Nie... niezupełnie. Mężczyzna wciąż leżał nadziany na to, co go zabiło. Dwa potężne metalowe szpikulce, które najwyraźniej... wyrosły... z ławki.

Lloyd bardzo, bardzo ostrożnie cofnął się w kierunku motocykla.

W tym samym momencie nad jego głową rozległ się głośny łopot skrzydeł. Dookoła na asfalcie jeden po drugim zaczęły lądować wielkie kruki o ślepiach lśniących ludzką inteligencją. Patrzyły na niego w milczeniu.

– Dobrej nocy, panowie – odezwał się mag uprzejmie. – Wybaczcie niezapowiedzianą wizytę. Wiem, że nie powinniśmy tutaj przebywać, ale dzisiejsza sytuacja jest wyjątkowa.

– Domyślamy się tego, dziękuję – zakrakał największy z nich. – Ta przeklęta istota wrosła w naszą mistyczną rzeczywistość. Spójrz, jak używa materii, aby mordować. Nie zabijesz zabójcy, Szermierzu Cienia, dopóki go stąd nie wygnasz. On zajmuje nasze miejsca na gniazda. W dodatku tego mięsa nie da się zjeść. Skażone.

Kruk łypnął okiem w stronę zwłok.

Jak to powiedział Gabriel? „Intruz stopiony z siecią”? W swoim czasie Lloyd zdążył się nasłuchać koncepcji Krzysztofa dotyczących rzeczywistości i magii. Brzmiały co najmniej abstrakcyjnie. Szermierz podejrzewał, że ich praktyczne opanowanie wymaga długich i żmudnych studiów, albo co najmniej kilkuset lat doświadczenia. Intuicyjnie mag doskonale jednak rozumiał, co się dzieje. Potwór już nie tyle znajdował się w mieście, ile raczej próbował stać się miastem.

– Przyjmijcie wyrazy najwyższej wdzięczności za ostrzeżenie. – Lloyd uklonił się lekko. – Jutro wieczorem. Udziec wołowy. Tam gdzie zwykle?

– I mózdzek! – zachrypiał kruk radośnie, a reszta podjęła wrzask. – Wyszarpimy, rozedrzemy! Mięciutki cielący mózdzek! Dobre, słodkie mięsko!

– Lloyd? – zapytał drżącym głosem piosenkarz, który nie rozumiał ich języka. – Co one tam

kraczą?

– Nie chcesz wiedzieć, Gabrielu. Uwierz mi, nie chcesz tego wiedzieć.

Lśniące, czarne lakierki wybijały niecierpliwy rytm na betonowej powierzchni. Julio Vicente de Toledo del Niebla, powszechnie znany pod imieniem Juliusa, nie znośił zbyt długo czekać. A jego kontakt spóźnił się już piętnaście minut.

Czterej ochroniarze nauczyli się już rozpoznawać ten wyraz twarzy szefa – zdawał się zupełnie beznamiętny, ale lekko zaciśnięte szczęki zdradzały złość. Julius wściekał się na zimno. Najbardziej niebezpieczny robił się właśnie wtedy, gdy zdawał się zupełnie spokojny.

De Toledo znano w Rynsztoku między innymi jako dobrotliwego władcę i filantropa, ale nikt nie zostaje nieformalnym władcą półświatka wyłącznie za sprawą hojnych gestów oraz dobrej prezencji. Julius był chciwy, próżny i pozbawiony skrupułów. A tej nocy wprost podważono jego władzę na oczach jego podwładnych. Mała magini sprzeciwiła mu się i uciekła. Obserwatorzy donieśli, że nadal przebywała w kościele, i na domiar złego pozostali, wbrew traktatowi, również zaczęli się kręcić po jego terytorium. To jeszcze nie było oczywiście złamanie reguł. Ale wymagało reakcji.

Wampir leniwie okrążał swojego srebrzystego rolls-royce'a, a każdy krok odbijał się echem w podziemnym parkingu. W powolnych umysłach jego podwładnych zaczęło się formułować pytanie – którego z nich zabije najpierw, aby rozładować gniew? Doskonale zdawali sobie sprawę z tego, że podejmując pracę dla Juliusa, oddali się we władzę potworowi. Żaden z nich nie myślał przy tym o dziwnych nawykach szefa, takich jak na przykład picie krwi. Osoby jego pokroju mogły sobie pozwolić na ekscentryczność.

Przecucie mówiło mu, że za wzmożoną aktywnością czarodziejów kryje się coś więcej. Juliusowi brakowało szóstego zmysłu, ale zadał sobie kiedyś sporo trudu, aby uwięzić w swoim kolczyku duszę całkiem wprawnego maga i od pewnego czasu ta dusza szeptała niespokojnie, sączyła mu do ucha słowa o zmianach w mieście, smokach, potworach. Wpadli w kłopoty, a w walce o władzę nad całym Farewell można takie kłopoty wykorzystać. Julius miał swoje plany dotyczące miasta, i – jak to nieśmiertelny – wystarczająco dużo cierpliwości, aby nie spieszyć się z ich realizacją.

Z oddali dobiegł ich odgłos kroków. Po niedługim czasie zza białego pontiaka wyłoniła się przygarbiona postać w spranym garniturze, niski, grubawy mężczyzna o rzadkim wąsiku i skórze barwy nadgniętego orzecha. Przyciskał go piersi teczkę i ostrożnie wpatrywał się w hrabiego del Niebla.

– Przepraszam za spóźnienie – powiedział. – Nie dało się inaczej.

Julius gestem nakazał mu podejść. Informator drżącymi rękami podał mu teczkę. Wampir uchylił ją z niezwykłą delikatnością. Wewnątrz, starannie owinięte w watę, połyskiwały przedmioty, które pozornie były zwykłymi śmieciami: dziwacznie poskręcane gwoździe, fragmenty blachy, połyskujące kawałki szkła. Del Niebla głęboko wciągnął powietrze w płuca, nasłuchiwał szeptów maga zamkniętego w brylantowym kolczyku i własnego wielowiekowego doświadczenia.

Żył nadzieję, że dwa potwory mogły znaleźć wspólny temat rozmowy.

– Przepraszam – przypomniał o sobie informator. – Pieniądze?

Julius uniósł wzrok, po czym dobył z kabury pistolet z tłumikiem.

– Nie lubię spóźnień – odezwał się w zamyśleniu. – Naprawdę za nimi nie przepadam. Inaczej się umawialiśmy.

Mężczyzna cofnął się o krok i uniósł powoli dłonie w obronnym geście, ale to mu nie pomogło. Rozległ się świst, a potem chrupnięcie. Chwilę później zakrwawione ciało osunęło się na beton.

– Raz im odpuścisz – odezwał się niby w przestrzeń. – I dyscyplina zupełnie się sypie.

Ochroniarze milczeli, wiedząc, że rozsądnie będzie się nie odzywać. Wampir natomiast wydobyl z kieszeni lśniący telefon i wybrał jedno nazwisko, a potem zaczął komponować wiadomość. Należało odświeżyć pewne znajomości.

Eunice obawiała się, że ojciec nie będzie w stanie przyjąć lekarstwa. Okazało się jednak, że chory sam wiedział, czego potrzebuje. Pierwszą łyżkę papki przełknął dopiero po dłuższej chwili, ale następne poszły już gładko. Charles Wight zdrowiał w oczach. Jego policzki odzyskiwały kolory, oddech wzmacnił się, puls ustabilizował. Dziewczyna przysięgłaby, że znikły mu nawet dwie czy trzy zmarszczki.

Skrzywił się, zacisnął dłonie na pościeli i wymruczał coś nieokreślonego. Eunice i Weronika przypatrywały mu się z zapartym tchem. Wreszcie otworzył oczy.

– Gdzie ja jestem? – szepnął.

– Tato! – ucieszyła się dziewczyna. – Hej, hej, to ja. Twoja córka. Jak się czujesz?

– Dobrze... nawet bardzo dobrze. – Charles ostrożnie usiadł na poduszkach. – Jak to możliwe? – spojrzał na Weronikę. – Kim pani jest?

– Weronika Carter, przełożona siostr augustianek z klasztoru pod wezwaniem Świętej Julianny – wyjaśniła zakonnica.

Na twarzy maga odmalował się wyraz zdumienia.

– Wydaje mi się – rzekła Weronika z uśmiechem – że miałam coś do zrobienia na dole. Na pewno jeszcze zdążymy porozmawiać.

Po czym opuściła pokój.

– Nie bój się, jeszcze cię wymagałuję pytaniami, jak tylko uzna, że doszedłeś do siebie – powiedziała Eunice. – Wie, że mamy do obgadania kilka poważnych rodzinnych spraw.

Charles poszukał dookoła swoich okularów. Odnalazł je na szafce nocnej, starannie przetaił szkła i założył.

– Rodzinnych... jasne – mruknął. – A więc też posługujesz się magią? Nigdy bym się tego nie spodziewał.

– Dlaczego? – Eunice wzruszyła ramionami. – Czy to takie dziwne? Niedaleko pada jabłko od jabłoni.

Charles Wight dostrzegł miskę i łyżeczkę w rękach Eunice i zrozumiał natychmiast. Jęknął głośno, złapał się za głowę.

– Coś ty najlepszego zrobiła?!

– Uratowałam ci życie, do jasnej cholery!

– To jabłko nie było przeznaczone dla mnie! Tylko...

– Dla Sabriny – powiedziała Eunice twardo. – Dla mojej matki.

Charles jęknął ponownie.

– Cholera, ja tego po prostu nie rozumiem. – Dziewczyna cedziła słowa jak obelgi. – Dlaczego najpierw od niej odchodzisz, trzymasz się z dala, olewasz nas obie, a potem narażasz życie, wracając z mitologicznym jabłkiem młodości? Mógłbyś się jakoś wytłumaczyć?

– To takie skomplikowane... – westchnął ojciec Eunice, ale unikał jej wzroku.

– No dalej, spróbuj! Może zrozumiem. Jestem już w szkole średniej!

– Byliśmy wtedy młodzi i pełni nadziei... – zaczął Charles Wight z opuszczoną głową.

Byliśmy wtedy młodzi i pełni nadziei. Może trudno ci w to uwierzyć, ale Sabrina wyglądała wtedy naprawdę pięknie – smukła, roześmiana, z blaskiem w oczach. Ceniłem ją wyżej niż własne życie. Wierzyłem, że jest jedyną osobą na świecie zdolną podążyć moją ścieżką. Wiedziałem, że w niej także drzemie magia, czekając tylko na przebudzenie. Pobraliśmy się i przez jakiś czas czuliśmy się bardziej szczęśliwi niż ktokolwiek na ziemi.

A potem Sabrina zaczęła się zmieniać. Zamiast, jak dotychczas, iść u mojego boku, coraz częściej wyrażała sprzeciw wobec moich wypraw w nieznanne. Przystawała wierzyć w cuda. Twierdziła, że potrzebuje stabilizacji. Bała się i nie chciała dłużej mnie wspierać, powoli popadała w coraz gorszą życiową rutynę. Nie mogłem jej przekonać, żeby mnie posłuchała. Przed ostatnią wyprawą rozstaliśmy się w gniewie. Powiedzieliśmy sobie mnóstwo przykrych słów. Sabrina spodziewała się wtedy dziecka.

Kiedy wróciłem, okazało się, że twoja matka z własnej woli otoczyła się barierą niewiary. Na całym świecie na palcach można zliczyć osoby, które potrafią dokonać tego w tak definitywny sposób. Sabrina tak mocno nie wierzy w cuda, że żadna zwykła magia w jej pobliżu po prostu nie działa. Nawet Smok z Ogrodu Hesperyd stracił węż tuż za progiem. Nie zorientował się, że jabłko zostało w mieszkaniu, a później szedł za mną, kierując się zapachem, którym zdążyło przesiąknąć moje ubranie. Aura Sabriny nie tłumi jednak w pełni magii Mitu, ponieważ mity drzemią we wspólnej podświadomości wszystkich ludzi – przestać w nie wierzyć to tak, jakby przestać być człowiekiem.

W pełni zdawałem sobie z tego sprawę, kiedy postanowiłem zdobyć dla niej jabłko i spróbować odzyskać stracone lata.

Dziewczyna zacisnęła pięści. Jak to możliwe, żeby dorosły człowiek, w dodatku mag, postępował jak kompletny dureń? Czy on w ogóle siebie słyszy? Ja, mnie, moje...

– Czy ty masz pojęcie, o czym mówisz? – zapytała gorzko. – Jeśli się bała, to musiała mieć jakieś powody. Wymagałeś, żeby szła za tobą jak mały piesek i słuchała się ciebie we wszystkim? Nie miała prawa do własnego zdania? Potrzebowałeś partnerki czy muzy? Miała cię wspierać, ale czy ty wspierałeś ją?

– Eunice... to nie tak...

– Wiesz, po co stworzyła tę całą barierę? – Córka wpadła mu w słowo. – Żeby mnie chronić! Matki chronią swoje dzieci. A ty? Romantyczne wyprawy, przygody i tragedie, tak naprawdę myślałeś tylko o sobie! Tchórzliwy kretyn! Wolałeś ruszyć po złote jabłko, niż przy niej zostać i naprawić, co spieprzyłeś. Wydawało ci się, że jak przesyłasz nam forszę, to jesteś w porządku?

– Masz rację. – Charles westchnął i pokręcił głową. – Jestem do niczego. Wszystko zmarnowałem. Ja po prostu inaczej nie potrafię. Nie nadaję się i nie jestem godny ani Sabriny, ani bycia twoim ojcem...

– Dalej, uzalaj się nad sobą. – Eunice wstała gwałtownie. – Jasna cholera, teraz znowu szantaż emocjonalny! Tato, zachowaj się godnie i przynajmniej się broń!

W odpowiedzi mag bezradnie wzruszył ramionami.

– Czy tutejsza gospodyni ma jakieś zapasowe ubranie? – zapytał, zmieniając temat. – Chyba czeka nas walka, a ja jestem w piżamie.

– Pewnie nawet twoje własne, naprawione, uprane i wyprasowane – mruknęła dziewczyna. – Weronika bywa czasem trochę nadgorliwa. Pamiętaj, żeby jej podziękować.

– Zakonnica-mag... dziwne.

– Kiedyś takich ludzi nazywali świętymi – wyjaśniła Eunice. – Zresztą w Farewell wszystko jest możliwe... Pójdę po twoje ciuchy. Tylko nie myśl, że już skończyliśmy naszą rozmowę.

Trzasnęły drzwi.

Charles Wight zdjął okulary.

Przez dłuższą chwilę wycierał je tak starannie, jakby od tego zależało jego życie. A potem, wetknąwszy je z powrotem na nos, podszedł do okna. Krok za krokiem, ostrożnie i powoli, niemal tak ociążale jak Timothy Hawkins. Z tym, że Charles nie czuł się chory ani zmęczony. Wręcz przeciwnie – coraz wyraźniej zdawał sobie sprawę z mocy czarodziejskiego jabłka buzującej w jego żyłach. Każde włókienko jego ciała pulsowało mityczną, nieokiełznaną energią. A ponieważ wiedział, że to nie potrwa długo – postanowił działać natychmiast.

Świadomość Krzysztofa Podróżnika znajdowała się w miejscu, które nie dawało się dobrze opisać żadnymi ziemskimi pojęciami. Traciły tutaj znaczenie czas i przestrzeń, góra i dół. Dookoła nielicznych stabilnych punktów odniesienia kipiała pierwotna zupa bezustannie zmieniających się informacji.

W pewnym sensie Świat Opowieści przypominał Ponadsieć, jednak jego stopień

skomplikowania przewyższał wszystko, co może stworzyć człowiek. Swoją opowieść ma przecież każda istota i każdy przedmiot, własnych historii dorabiają się również postacie i stworzenia całkiem zmyślone. Nie mówiąc już o plotkach, które w pewnym momencie zaczynają żyć własnym życiem. I żadna z tych historii nie istnieje w izolacji. Stykają się, splatają i rozszczepiają, bez ustanku wymieniając się treścią. Tworząc największą i najbardziej zawiłą ze wszystkich sieć.

Niewielu magów potrafiło dostać się tutaj i nie przyplącić tego utratą zmysłów. Krzysztof musiał zdobyć się na wielki wysiłek, aby jego „ja” nie rozplynęło się w chaotycznym oceanie. Bywał już tutaj wcześniej, w zakresie swoich możliwości kształtując opowieści Farewell. Teraz dostrzegał intruza, który rozpełzał się wśród nich jak ameba, usiłował na trwałe wpleść się w historię miasta, odcisnąć swoje piętno w ludzkich myślach, snach i marzeniach.

Istota doskonale wiedziała, jak postępować. Pochodziła w końcu ze Świata Mitów, które z opowieściami mają wiele wspólnego. Różnica polega na tym, że Świat Opowieści jest zmienny, niestabilny, natomiast mity to trwałe wzorce drzemiące we wspólnej ludzkiej podświadomości. Kiedy przybysz zaczął poruszać się wśród ludzi, porzucił swój dawny wizerunek i przeszedł gruntowne zmiany, wybierając taką formę, jaka zapewniała mu największą moc. Po tym, jak zabrał się do wplatania swojego wątku w rdzeń Farewell, stał się prawie nie do rozpoznania.

Szczęśliwym zrzędzeniem losu Podróżnik miał naturalny talent do odnajdywania pierwotnych wzorców wszystkich stworzeń. Był przecież Wichrem Jesiennym, Wiatrem Zmian. Razem z Kają stanowili kiedyś świetnie dopasowany duet. Wierzba, Drzewo Świata.

Chaos i Ład.

Nieproszony gościu, Smoku z Ogrodu Hesperyd – myśl starego maga rozbłysła jak magnezja. – Nie jesteś tutaj mile widziany. Natychmiast wynoś się z mojego miasta.

Poczuł, jak wokół niego zaczyna gromadzić się obca, potężna świadomość. Wredna, złośliwa, napęczniała od cudzego strachu i bólu, którymi żywiła się przez ostatnie kilka godzin. Czarodziej nie przypominał sobie, aby kiedykolwiek przedtem osobiście natknął się na ten Mit, odniósł jednak silne wrażenie déjà vu.

Wicher Jesssienny... – zagrział Smok. – Wicher Jesssienny, taki mały i taki ssssłaby. Bardzo ssssę zmienięsss, sssss.

Gdzie ten, którego znałysssmy? Gdzie Wicher Wiosssseny?

Jessteśmy bardzo rozczarowane, hisss, hisssssss.

Podróżnik mentalnie zmarszczył brwi. W tym życiu nigdy się nie spotkali. Czyżby w poprzednim...?

Gwałtowny przypływ ciekawości niemal rozmył świadomość maga na cząstki składowe. Muszę uważać, upomniał sam siebie, nie wolno mi z nim przegrać.

Każdy się zmienia, Smoku, i to czasami na gorsze – odrzekł. – Zapewniam, nie jesteś wyjątkiem. Nazwałem cię po imieniu i żądam posłuszeństwa. Wracaj, skąd przybyłeś.

Nie brak ci pewności sssiebie, Wicherze Jesssienny – zasyczał potwór z aprobatą. – Naprawdę myślisz, że dasz sssobie ze mną radę sssam?

Mimo powagi sytuacji Krzysztofowi zachciało się śmiać. Czyżby jego przeciwnik naprawdę to przeoczył? Czy nie rozumiał, w jaki sposób czarodziej przedostał się do Świata Opowieści?

Sam? Nie zapomniałeś o kimś przypadkiem? Wierzba potrafi się bronić. Zawsze umiała.

Nawet przez sssssen...?

Za lśniącym wirem jesiennych liści – którym w tej chwili był Krzysztof – zarysowały się niewyraźne kontury potężnego, rosochatego drzewa.

Przekonaj się na własnej skórze.

Emily zacisnęła w garści poplamione na wpół zaschniętym, szkarłatnym tuszem pędzelki, po czym podetknęła je pod kran. W strumieniu ciepłej wody barwnik rozpuszczał się szybko. Arcymistrzynie obserwowała, jak czerwona ciecz spływa do zlewu i w zamyśleniu przygryzała usta.

Zamierzała złamać prawo. Jedno z niewielu, których należało przestrzegać w tym mieście. Tradycyjny kodeks Lustrzanego Zamku liczył sobie setki stron i tysiące kodycyli, regulował wszystko, włącznie z nakazami etykiety. Zbiór praw Farewell miał postać cieniutkiej broszury i zawierał same niezbędne, zdroworozsądkowe zasady. Długo obywali się zresztą bez wersji pisemnej, ufali sobie na słowo. Ale to było dawno temu, jeszcze przed Wojną. Teraz Emily wiedziała, że nie może ufać nikomu, że musi polegać wyłącznie na własnej ocenie sytuacji. Krzysztof i Kaja mimo całej swojej wiedzy pomylili się, nie zapobiegli Mrocznej Wojnie i jej katastrofalnym skutkom. Wierzyła w nich, a oni zawiedli.

Skrupulatnie wytarła pędzelki w papierowy ręcznik. Plan zaabsorbowania mocy intruza za pośrednictwem rytuału przedstawiał się ryzykownie, ale nie widziała innego wyjścia. Titania Faraday szybko opracowała odpowiednie wzory, jak zwykle pracując z maszynową rzetelnością. Emily poświęciła kiedyś wiele czasu, aby opanować matematykę w stopniu, który pozwalał jej choćby zrozumieć metody działania swojej uczennicy. Czasami zastanawiała się, kto tutaj właściwie kogo uczył.

Dokładnie splukała resztki tuszu, dbając, aby nie osadziły się na emalii. Anton powinien już rozstawić świece i przygotować wszystkie komponenty, najwyższa pora odszukać Titanię Faraday. Rytuał odprawiają we trójkę. Czarodziejka nie chciała angażować w to niebezpieczne przedsięwzięcie najmłodszego maga z Mandali, świeżo upieczonego prawnika Prestona Johnsa. Pewnie byłby aż za bardzo chętny, ale wolała nie dawać tak odpowiedzialnego zadania komuś, kto poznawał magię od niespełna trzech lat.

W oranżerii wypełnił jej nozdrza nieznośnie słodki, upojny zapach. Jedna z egzotycznych roślin, jakie hodował Anton, otwierała kwiaty dopiero po zachodzie słońca, wydzielając intensywną woń. Emily przeszła obok donic z paprociami, minęła kratę, na której wiły się sploty pnącego bluszczu o pstrokatych liściach oraz bujnie rozkrzewioną cytrynę, gęsto obwieszoną pękatymi owocami. Wysoka, smukła postać Arcymistrzyni odzianej w czerwoną balową suknię odbijała się w lśniących szybach. Pod zachodnią ścianą, gdzie szerokie liście agawy zasłaniały światło, przez okna dało się dostrzec zasypany śniegiem ogród.

Znalazła Titanię przy szachowym stoliku, ubraną w puchaty kąpielowy szlafrok. Piękna Hinduska w skupieniu przyglądała się ustawionym na planszy figurkom. Prawdopodobnie już z daleka usłyszała stukot obcasów mentorki, ale nie zdradziła tego nawet najmniejszym grymasem.

– Chodźmy już, Titanio – ponagliła ją Emily. – Najwyższa pora.

Dziewczyna nie odpowiedziała. Najwidoczniej znowu weszła w trans obliczeniowy – jej usta poruszały się nieznacznie, jakby bezgłośnie wypowiadała jakieś zaklęcia. Wzory matematyczne, poprawiła się w myślach Emily. Z całą pewnością recytowała wzory.

Wreszcie z trudem oderwała spojrzenie od planszy i popatrzyła swojej mistrzyni prosto w oczy.

– Nasze warunki uległy zmianie – oznajmiła. – Krzysztof Podróżnik przeszedł do wymiaru astralnego, na tę samą płaszczyznę, co obiekt. Pojawiła się także zmienna, której nie potrafię zdefiniować. Potrzebuję więcej danych.

Arcymistrzyni mocniej zabiło serce. Niemożliwe. Nie przypuszczała, że Podróżnik jest jeszcze zdolny do przekraczania barier między światami. Doskonale pamiętała, jaką mocą dysponował u szczytu swojej potęgi, czego dokonywał podczas Wojny. I chociaż wtedy odnieśli pyrrusowe zwycięstwo, a później Krzysztof sprawiał wrażenie człowieka złamanego, może istniała jeszcze nadzieja? Może coś tkwiło w niezmiennym zaufaniu, jakim darzyli go czarodzieje z Domu Wschodzącego Słońca, z Lloydem na czele?

– A więc ten stary piernik jednak się ruszył – szepnęła. – Powiedz, Titanio, jakie ma szanse w walce z obiektem?

Dziewczyna na kilka sekund zastygła w bezruchu nad stolikiem.

– Prawdopodobieństwo wygranej: od zera do dwóch procent – odpowiedziała wreszcie. – Szacuję, że walka zakończy się po około dziewięćdziesięciu minutach.

Cuda się nie zdarzają, westchnęła w duchu Emily. Nie zamierzała dłużej się łudzić. Krzysztof mógł jeszcze pokazywać kły, ale w gruncie rzeczy jego czas już przeminął. Teraz wszystko zależało od

niej. Oraz od komputerowo dokładnej i bezwzględnie posłusznej Titanii.

– W takim razie zapewne nie obrazi się za pomoc. Określ nowe warunki astralne tak dobrze, jak tylko potrafisz – zdecydowała twardo Arcymistrzynie. – Myślę, że zdążymy skończyć przed upływem godziny.

Nikły blask światła odbijał się od mokrej nawierzchni, czerwone auto nerwowo podskakiwało na wybojach. Gabriel Shade prowadził samochód z paranoiczną ostrożnością. Kurczowo ścisnął kierownicę, po czole spływały mu kropelki potu. Radio nie odzywało się przez ostatnich kilka minut i piosenkarz czuł, jak dochodzą do głosu wszystkie jego podskórne lęki.

Wiedział, że dzisiejsza noc nie zakończy się pojedynkiem tańca. Nie potrzebował nawet wyjaśnień Lloyd'a i Timmy'ego, aby zrozumieć, że Farewell w niepokojący sposób zmieniało się pod wpływem intruza. Atmosfera miasta powoli stawała się coraz bardziej nieprzyjazna, ponura, wręcz drapieżna. Wrażliwy artysta wyczuwał podobne subtelności lepiej, niż ktokolwiek inny. Zdawał też sobie sprawę, co to może oznaczać zarówno dla świata nadnaturalnego, jak i zwykłych ludzi.

Oczywiście się bał. Nigdy nie uważał się za odważną osobę. Pewność siebie nie opuszczała go tylko wtedy, gdy miał do czynienia ze sztuką. Dzięki muzyce stawał się zupełnie kimś innym. Unoszony na skrzydłach wyobraźni, był Pięknym Gabrielem, gwiazdorem, idolem i wieszczem. Mógł porwać za sobą tłumy. Mógł oczarowywać nimfy równie łatwo, jak zwykłe kobiety. Mógł zmieniać świat.

Teraz jednak nie znajdował się na scenie. A grożące im wszystkim niebezpieczeństwo mogło okazać się boleśnie rzeczywiste.

Motocykl Lloyd'a zatrzymał się tuż przed wysokim murem i zardzewiałą ze starości bramą z kutego żelaza. Betonową ścianę szpeciły niewybredne napisy i ponure zacieki, wzdłuż niej ciągnęły się kwadratowe poletka pełne błota. Co roku siostry zakonne podejmowały walkę o przekształcenie tych bagienek w schludne kwietniki i co roku przegrywały. Wandalizm, który panował w Rynsztoku, sprawiał czasem wrażenie siły natury, czegoś równie wszechobecnego jak bezosobowego.

Oprócz kilku nowych napisów na murze, nic się tutaj nie zmieniło od czasu, gdy Gabriel ostatnim razem odwiedzał kościół Świętej Julianny – niecały rok temu. Według słów traktatu magowie mieli prawo przychodzić do północnej dzielnicy na pasterkę. Czarodzieje z Farewell różnili się między sobą zarówno pod względem wyznań, jak i religijności, nie zamierzali jednak robić przykrości Weronice.

Gabriel uważnie zaparkował przed murem. Zaciągnął hamulec ręczny, wyłączył silnik i z pewną ulgą zdjął nogę ze sprzęgła. Podczas jazdy bez przerwy nerwowo napinał mięśnie, przez co zdrętwiała mu lewa stopa. Może jednak powinienem zmienić skrzynię biegów na automat, pomyślał. Wszyscy teraz jeżdżą automatami, cokolwiek sądziłby o tym Lloyd. Będzie sarknął na taką przeróbkę, ale pewnie w końcu się zgodzi.

Piosenkarz podumał jeszcze krótką chwilę, po czym zdecydował, że wyjmie radio. Choć Gruchot znakomicie bronił się przed zwykłymi złodziejami, tutaj należało się liczyć ze złośliwymi poplecznikami Juliusa.

Wciąż nasłuchując astralnych zmian w mieście, nie przygotował się na szok. Od nagłego, gwałtownego zawirowania mocy zrobiło mu się ciemno przed oczami. Na kilka sekund stracił świadomość. Kiedy się ocknął, leżał z twarzą na kierownicy, z rozbitym nosem. Miał wrażenie, że jego głowa zaraz wybuchnie z bólu.

Zaraz potem odezwało się CB-radio.

– Gabriel! Słyszałeś to? Słyszałeś?!

– Przymknij się, Tim... martwy by poczuł... – Gabriel stopniowo odzyskiwał zdolność mowy. – Co to było?!

– Walczy z nim w astralu! – zatrzeszczało radio. – Nawet nie tam, jakoś inaczej! To jest niesamowite, Gabrielu, gdybyś tylko wiedział, jakie wyniki wyrzuca Homer...

– Timmy, uspokój się – jęknął artysta. – Kto z kim walczy?

– ...jeżeli uśrednić zmiany na przestrzeni całego miasta, nadal dostajemy w dupę, ale wyraźne

skoki mocy w kluczowych węzłach energetycznych sugerują, że... ja piernicę, co za mistrzostwo! Wychodzi poza spektrum, chyba o pół skali, program tego nie chwyta, ekstrapoluję dane na wycucie...

– Zamknij się, Timmy! – ryknął Gabriel, roztrzęsioną dłonią badając nos. Krew... krew, tyle krwi... – Co się dzieje, do cholery?

– Przestań na mnie wrzeszczeć – fuknął obrażony cybermag. – Histeryzujesz jak baba!

Gabriel się zapienił. Już otwierał usta, aby powiedzieć Timothy'emu coś takiego, czego być może żałowałby do końca życia.

– Gabrielu? – odezwał się znajomy, niski głos.

– Lloyd? W samą porę...

– Gabrielu, jesteś cały? Wyjąć drzwi?

– Dzięki, sam otworzę – mruknął mag. – Tylko mój nos... moment.

Pod dotykiem jego palców ból ustąpił prawie natychmiast. Chrzątki nastawiły się i zrosły same, a naczynia zasklepiły. Przez mgnienie oka artysta rozważał lekką zmianę kształtu nosa – ot tak, dla kaprysu – ale zrezygnował. Nie warto było zajmować się teraz takimi drobiazgami.

– Lloyd, czy słysz...

Szermierz szarpnął go gwałtownie za sweter i siłą wyciągnął z samochodu.

– W nogi!

– Ale co...

– *Już!*

Odbiegli kilkanaście metrów. Lloyd odwrócił się gwałtownie, spięty jak drapieznik przed skokiem. Bezwiednie położył dłoń na rękojeści miecza, jego oczy błyszczały groźnie.

Zdezorientowany Gabriel również spojrzął za siebie i oniemiał.

Rozmiękła ziemia na klombach pękała. Grube kawałki darni wznosiły się na szybko rosnących bąblach półpłynnej błotnistej mazi. Każdy z nich błyskawicznie przybierał humanoidalny kształt. Po chwili dookoła starego dodge'a zgromadziło się kilkanaście nieforemnych, lejących się postaci, jakby naprędce ulepionych z mokrej gliny. Wszystkie naraz zaczęły atakować samochód, wgniatając blachę uderzeniami stwardniałych pięści. Zdawały się nie zauważać magów.

– Ukryj swoją moc najlepiej, jak potrafisz – odezwał się szermierz. – Lepiej, aby nas nie wywęszyły.

– Zaatakowały, bo użyłem magii? – Gabriel pełen grozy obserwował, jak jego auto zmienia się w beużyteczny wrak. – Rany, wyglądają jak... ohyda. Nie możesz czegoś z tym zrobić?

– Te kreatury wyrosły z błota, Gabrielu – mruknął Lloyd. – Równie dobrze mógłbym walczyć z hydrą. Posiekam jednego, w jego miejsce powstanie drugi... Lepiej zaczekajmy. Przynajmniej nie są rozumne.

– A co z moim samochodem?

Szermierz gwałtownie wciągnął powietrze, szeroko otworzył oczy.

– Na Moce! Staraj się nie przyglądać bramie.

Gabriel już miał spytać, dlaczego, kiedy słowa utkwiły mu w gardle. Nagle poczuł, że grunt pod jego stopami zaczyna się ruszać.

– *Bleedin' hell!*

Piosenkarz dawno już nie słyszał, jak Lloyd przeklina. Trzeba było przyznać, że tym razem miał ku temu wyjątkowo dobre powody.

Nawierzchnia ulicy zmieniała konsystencję, pulsowała jak podgrzana smoła, pękała i zwijała się ze skwierczącym sykiem. W powietrzu rozchodził się swąd palonych opon. Chwilę później z szarej, gumowatej masy zaczęły formować się nowe stwory. Przybierały mniej lub bardziej humanoidalne kształty i natychmiast twardniały, przeistaczając się w swego rodzaju betonowe golem. Wśród nich były zarówno karzelki, jak i olbrzymy, niektórym brakowało kończyn, podczas gdy innym z korpusu wyrastały dodatkowe ręce i nogi. Kilka golemów przewróciło się zaraz po tym, jak spróbowały się ruszyć z miejsca. Pozostałe jednak otaczały magów zwartym kręgiem.

Lloyd natychmiast dobył miecza. Złowrogi świst ostrza odbił się znajomym echem w świecie

astralnym. Przeciwnicy zawahali się może na ułamek sekundy – ale ta krótka chwila w zupełności wystarczyła szermierzowi. Błyskawicznie ruszył do ataku, torując sobie drogę ku bramie.

Gabriel wykorzystał swoje zdolności telekinetyczne i natychmiast uniósł się kilkanaście centymetrów nad ziemię. Nie potrafił wlecieć wyżej, wołał jednak nie mieć żadnego kontaktu z pulsującym betonem. Następnie zwinął dłonie w trąbkę i przyłożył je do ust.

– Bum.

W powietrzu rozeszła się poddźwiękowa fala uderzeniowa. Kilka stworów rozpadło się z bolesnym dla uszu chrupnięciem. Niektóre pękały i traciły kończyny, co jednak zdawało się nie robić na nich większego wrażenia.

– Znakomicie, Gabrielu! – krzyknął szermierz. – Ale wstrzymaj się z powtórką, bo zniszczysz moje osłony!

– Co mam robić?

– Telekineza. – Lloyd jednym zamaszystym cięciem rozpołowił trzy zniekształcone, humanoidalne sylwetki. Betonowe szczątki uderzyły o ziemię. – I na litość boską! Miej oczy dookoła głowy!

– Mam to wziąć dosłownie?! – Głos Gabriela ze zdenerwowania zabrzmiał wyżej o pół oktawy.

Zgodnie z radą przewracał okrążające go stworzenia za pomocą siły woli. Masywne humanoidy upadały na siebie jak klocki domina i kruszyły się pod własnym ciężarem.

– Jeżeli chcesz. – Lloyd przedzierał się przez armię posągów jak burza. Każde z wyprowadzonych cięć rozpruwało ożywiony beton, jakby to było zetlane płótno. Co rusz kolejny golem padał na ziemię, rozsypując się na drobne kawałki. – Nie patrz na bramę! To pułapka.

Gabriel bezwiednie spojrział na poskręcane bramy z kutego żelaza. Wiedział, że wrota do jednego z miejskich schronień wiele lat temu precyzyjnie zabezpieczono magią. Jak potężny – i jak bezczelny – musiał być przeciwnik, aby podporządkować sobie tak starannie splecione zaklęcia?

Metalowe desenie, spirale i krzywizny wywierały na piosenkarza hipnotyczny wpływ. Zamarł w bezruchu, niepomny zbliżających się do niego przeciwników. Coś czyhało na nich w przeszłości... obserwowało ich...

Sssidhe.

Znamy cię, Sssidhe. Nie lubisz żelaza, o nie, o nie.

Polegniesz od żelaza, Sssidhe. Tak, jak wcześniej.

– Aaa!

Poczuł przeszywający ból w żebrach i usłyszał swój własny, rozdzierający wrzask. Ocknął się z transu pod gradem uderzeń betonowych pięści. Krztusił się krwią, od jej słonego smaku chciało mu się wymiotować. W panice zasłonił głowę rękami. Dygotał.

– Gabrielu!

Otworzył oczy. Lloyd stał tuż przy nim, roztrącając napastników.

– Do diaska. Przecież ostrzegałem! Uzdrów się, już!

Piosenkarz ostatkiem sił zmusił się do zachowania przytomności. Obrazy i dźwięki docierały do niego z opóźnieniem, jego umysł spowijała mgła. Skoncentrował się, przywołując magię uzdrowicielską. Kojące ciepło powoli rozchodziło się po ciele. Wypłuł na ziemię brunatny skrzep, udając, że wcale go nie widzi. Spokojnie... spokojnie... jeżeli pozwoli sobie na myślenie, wpadnie w panikę.

– Ilu ich zostało? – zapytał półgłosem.

– Odrobinka.

Wyraźnie dawało się słyszeć, że szermierz wciąż ma ręce pełne roboty.

– Uff. – Gabriel podniósł się ostrożnie. – Ten eufemizm wcale mi się nie podoba.

Pijany magią i otoczony rozjarzoną aurą Charles Wight unosił się w powietrzu nad kościelnym dziedzińcem. W żadnym calu nie przypominał już opanowanego, światowego biznesmena. Odziany w srebrzystoszarą rytualną szatę oraz płaszcz z czarnego aksamitu, sprawiał wrażenie przybysza

z fantastycznego świata. Jego oczy lśniły.

Bez najmniejszego trudu pokonał grawitację i stworzył oficjalny strój mistrza. Szumiąca w żyłach moc zagłuszała głos rozsądku, który podszeptował Charlesowi, że zachowuje się jak dzieciak. Czuł się demiurgiem, twórcą Rzeczywistości, władcą nici Losu. Wrogowie nie mieli żadnych szans. Rozjaśniał sobie drogę własnym światłem.

Wzbierał w nim śmiech, kiedy obserwował z góry pokryty patyną dach kościoła, wyblakłe dachówki przytułku i starej plebanii. Zwycięstwo było dla Charlesa pewne jak wschód słońca. Czy jakkolwiek smok mógł mu się przeciwstawić?

Tumult przy bramie niemal natychmiast zwrócił jego uwagę. Ujrzał skłębiony tłum niekształtnych postaci stworzonych z materii i magii. Trzydzieści lub czterdzieści – nie potrafił zliczyć ich dokładnie. Zniżył lot, aby przypatrzeć się im uważniej i wtedy zobaczył dwóch magów, samodzielnie dających odpór nacierającej hordzie. Wyższy z nich, czarno odziany mężczyzna, walczył za pomocą japońskiego miecza – tyle Charlesowi udało się dostrzec, kiedy szermierz zatrzymał się na krótką chwilę. Szczupły, jasnowłosy chłopak – a może dziewczyna – telekinetycznie rozbijał atakujące istoty. Włosy i ubranie miał (miała?) poplamione krwią.

Charles Wight pokręcił głową. Chyba tylko cud sprawił, że obydwaj wciąż żyli. Z całą pewnością przyda im się pomoc, zdecydował.

Nagły rozbłysk światła na krótką chwilę oślepił obydwu, Lloyda i Gabriela. Kiedy odzyskali wzrok, zobaczyli, że ich przeciwnicy nieruchomieją i rozpadają się na drobne kawałki. Ciężkie odłamki betonu runęły z hukiem na zniszczoną ulicę.

– Szybko! – Głos dobiegał gdzieś z góry. – One zaraz ożyją.

– Zrobiłeś też coś z bramą? – zapytał rzeczowo Gabriel.

Spojrzał w górę, osłaniając oczy dłonią. Od nieznanego biła jasna, srebrzysta poświata. Piosenkarz ze wszystkich sił starał się nie pokazać po sobie, jakie wrażenie zrobił na nim niespodziewany ratunek. I jak bardzo zazdrościł przybyszowi tego imponującego wejścia smoka.

– Bramą? – Charles nie poświęcił zbyt wiele czasu dokładnemu rozeznaniu się w sytuacji.

– Człowieku, na Boga, zgaś to światło! – zawołał Lloyd. – Ściągasz niepotrzebną uwagę! I jeśli możesz, przenieś nas za bramę. Mocy ci chyba wystarczy!

Charles zdławił oburzenie, jakie wywołały w nim te niewdzięczne słowa. Mimo wszystko postanowił jednak uratować magów. Jestem zbyt dobry, myślał, gdy wszyscy trzej lewitowali ponad bramą. Dobroć nigdy nie spotyka się z wdzięcznością.

Opadli miękko na szeroką aleję, nieopodal kościelnych wrót. Gabrielowi wciąż kręciło się w głowie – od niedawnych, w większej części zaleczonych ran, od bitwy, nagłego ratunku i tego krótkiego lotu. Jego umysł pracował jednak przytomnie. Przyjrzał się bystro nieznanemu. Srebrna szata, czarny płaszcz. Widać, skąd czerpał inspirację – gdyby zmienić kolory, kostium przypominałby doktora Strange'a. Nadal otaczało go delikatne światło, które stopniowo przygasało. Ponadto, co nie uszło uwadze Gabriela, za jego plecami krążył niewielki, półprzeźroczysty lis.

– To było całkiem niezłe – odezwał się piosenkarz. – Chociaż na twoim miejscu popracowałbym jeszcze nad stylem. W każdym razie, dzięki za pomoc.

– Przydała się niewątpliwie – potwierdził Lloyd Dark i energicznie otrzepał płaszcz z betonowego pyłu.

– No cóż, cieszę się, że mogłem pomóc – powiedział Charles. – A teraz, jeżeli panowie wybaczą, muszę iść... auuu! Puszczaj!

To ostatnie słowo odnosiło się do Lloyda, który właśnie chwycił go za ramię.

– Proszę chwilę poczekać – mag szermierz odezwał się groźnym, cichym głosem. – Najpierw odpowie mi pan na kilka podstawowych pytań. Kim pan jest? Co pan tutaj robi? Co ma pan wspólnego z naszym nieproszonym gościem? I ponadto – gdzie pan zdobył tyle mocy?

Gabriel Shade gwizdnał. Jego przyjaciel reagował szybko, jak zwykle. Nie ulegało wątpliwości,

że nieznajomy był, potocznie mówiąc, przecpany magią. Żaden mag nie mógł przez dłuższy czas utrzymywać w sobie takiej energii. Tymczasem aura nieznajomego jarzyła się jak żarówka, a najbliższe źródło, z którego mógł skorzystać – kościół Świętej Julianny – znajdowało się tuż przed nimi. Aby zaczerpnąć tyle mocy, musiałby wysuszyć je do cna.

– Nawet mi przez myśl nie przeszło czerpać z tutejszych źródeł – obruszył się Charles Wight. – Może pan sprawdzić, jeśli to konieczne. Proszę mnie puścić.

– Nie uzyskałem jeszcze odpowiedzi na moje pytania – powiedział Lloyd twardo. – Poza tym, czy pan naprawdę tak gorąco pragnie zginąć? Tym właśnie skończy się wyjście na zewnątrz. Pański zapas energii szybko się skończy.

– Mam swoje powinności! – Obcy mag spróbował wyszarpnąć rękę z żelaznego uchwytu.

Palce Lloyd'a zacisnęły się jeszcze mocniej.

– Czy mnie się tylko wydaje, czy chcesz, wariacie, walczyć sam? – spytał Gabriel. – Albo jesteś lepszy od Chrisa albo masz ego większe niż moje. W każdym wypadku, jest to pewna sztuka.

– Nie rozumiecie. To ja naraziłem całe miasto na zagładę. To ja popełniłem świętokradztwo. I to ja powinienem za to zapłacić – oświadczył Charles.

– Tym więcej ma pan powodów, aby się przedstawić i szczegółowo opowiedzieć swoją historię – powiedział Lloyd spokojnie. – Potrzebujemy więcej informacji. Gdyby stwór miał poprzestać na pożarciu pańskiej osoby, dałbym panu tylko krzyżyk na drogę. Obawiam się jednak, że nie pozbedziemy się go tak łatwo.

– Jestem Wędrownym Nadmistrzem – napuszył się tamten. – I nie mam obowiązku przedstawiać się komukolwiek niższej rangi. O ile pamiętam, nie macie tutaj nawet zwykłych mistrzów.

– Wiesz, chyba nie do końca odrobiłeś pracę domową – zasugerował Gabriel Shade. – Oficjalnie nie mamy mistrzów, bo nie używamy rang. Taki miejscowy zwyczaj. Arcymistrzynie mianowaliśmy tylko ze względu na Lustrzany Zamek i lepiej sprawdź, co tam o nas mówią.

– Słyszałem o dziwaczkich zwyczajach magów z Farewell. Fakt, jesteście oryginalni jak rzadko – prychnął Charles z ironią. – Ale prawo jest prawem.

– Dosyć – uciął Lloyd, mocno już zniecierpliwiony. – W kwestiach spornych prawo zezwala także na pojedynki na poświęconej ziemi. Nie traćmy czasu.

– To jest wyzwanie?

– Ależ oczywiście. – W oczach szermierza pojawił się błysk.

– Naturalnie, przyjmuję. – Uśmiechnął się Charles.

– To ja sobie tutaj usiądę i poczekam – westchnął Gabriel zrezygnowany.

Czy oni obydwaj zwariowali? Pojedynkować się w takiej chwili? Powinni pamiętać, że nie ma na to czasu. Na zewnątrz, za murami sanktuarium, jakiś obcy potwór zamienia miasto w piekło. Czy inne miejsca – takie jak Dom Wschodzącego Słońca i Mandala – są wystarczająco dobrze zabezpieczone? Jeżeli Emily Spencer odmówiła pomocy, aby strzec własnego schronienia, to czy Timmy sam da sobie radę?

Pod prawą ręką czuł miękkie oparcie skórzanego fotela – jego palce rejestrowały znajome fałdy i pęknięcia. Lewą dłoń zaciskał na chłodnej obudowie smartfona. CB-radio wydawało z siebie ciche trzaski, Homer pomrukiwał jednostajnie, wciąż analizując dane.

Wszystkie sygnały umilkły. Nikt nie próbował nawiązać kontaktu. W eterze panowała pełna oczekiwania cisza, żaden dźwięk nie zakłócał jego samotności w piwnicy Domu Wschodzącego Słońca. A przynajmniej żaden rzeczywisty dźwięk.

Wrażliwy słuch Timothy'ego nie miał ograniczeń właściwych zmysłom śmiertelnych. Jeżeli tylko cybermag tego zapragnął, mógł usłyszeć muszkę owocową przelatującą nad zlewem piętro wyżej, sonar nietoperza za oknem, trzęsienie ziemi o sile jednego stopnia Richtera dwieście kilometrów dalej. Burzę magii w nieznanym mu dotychczas, równoległym wymiarze.

Nie potrafił się tam przedostać, to nie była jego znajoma Ponadsieć. Rozumiał jednak, że ten

świat stanowił brakujące ogniwo znanej mu astralnej rzeczywistości. Gdyby wcześniej wziął poprawkę na jego istnienie, zdołałby wygładzić sprzeczności w swoim programie analitycznym. Teraz wszystkie wzory zgadzały się co do joty, teorie nabierały sensu.

Przypomnił sobie, że już przed Wojną słyszał o Świecie Opowieści. Wtedy jednak brakowało mu umiejętności, aby zrozumieć, w czym rzecz. Po kilkudziesięciu latach obycia z Siecią znalazł przynajmniej zbliżony model. Jak zwykle skopiowaliśmy naturę, dumiał Timothy, zafascynowany odkryciem. Jeżeli życie jest opowieścią, ile takich historii musi mieścić dzielnica, miasto, kraj? Czy nie wystarczy ich w zupełności na odrębny wymiar?

Nie miał dobrych słów na opisanie tego, co słyszał. Magia, której używał Chris była dla niego równie niezrozumiała, jak proces hakowania komputera dla pięcioletniego dziecka. Wiekowy mag pracował na zupełnie innym poziomie niż oni. Timothy mógł tylko starać się śledzić przebieg pojedynku i odczytywać niekompletne dane, jakie podrzucał Homer. Czuł się trochę tak, jakby wróżył z tarota. Intuicja mówiła mu, że walka na razie jest wyrównana, że obcy usiłuje zmęczyć Podróżnika i w ten sposób zapewnić sobie wygraną.

Spróbuje uderzyć w słaby punkt, przyszło mu do głowy. Rozproszyc jego uwagę.

A potem serce podeszło mu do gardła, kiedy zorientował się, co stanowi słaby punkt Krzysztofa Podróżnika, założyciela miejskiej społeczności magów. Oczywiście, oni sami. Nie wiedział, czy zabezpieczenia Domu Wschodzącego Słońca – na wpół magiczne, na wpół elektroniczne – wytrzymają atak.

Postanowił, że sprawdzi to osobiście.

Tak szybko, jak tylko pozwalały mu na to schorowane ręce, sięgnął po wiązkę elektrod i przylepił je do czoła. Znajomy dreszcz przebiegł mu po kręgosłupie. Chwilę później ciało pozostało daleko za nim i srebrzysty, energetyczny byt bezgłośnie pomknął światłowodami. Timmy z niecierpliwością oczekiwał włączenia się w doskonale mu znaną rzekę informacji.

Nic takiego jednak się nie stało. Zamiast zwykłego rozszerzenia świadomości Timothy Hawkins poczuł duszący ból, jakby poraził go prąd. Osuwał się w mrok, rozpadał na liczby niepodzielne. Degradował do jedynek i zer. Nie miał nawet siły na panikę.

Uczucie przejmującego zimna wróciło mu przytomność. Znajdował się z powrotem w swoim kalekim ciele, bardziej obolały niż kiedykolwiek. Z trudem łapał oddech, z nosa ciepłą stróżką ciekła mu krew. Najgorsza była jednak świadomość porażki. Nawet nie zauważył, kiedy przejęto kontrolę nad zabezpieczeniami. Wróg podszedł go jak dziecko, jego, który śledził rozwój Sieci od jej narodzin.

Palce Timothy'ego zacisnęły się kurczowo na oparciu fotela. Czy to oznacza, że Dom obróci teraz wszystkie siły przeciwko niemu? Cholera! Trzeba stąd spieprzać, najszybciej, jak tylko się da! Nie może się teleportować – w tej sytuacji przypląciłby to życiem. Nie może liczyć na swoje zdolności sterowania energią – jej domowe zasoby zostały opanowane przez przeciwnika.

Praktycznie rzecz biorąc, jest bezbronny.

Dźwignął się ciężko z fotela, złapał kule i zgarnął do kieszeni smartfona. Zmuszał swoje ciało do maksymalnego wysiłku. Wiedział, że zaraz się zacznie. Odliczał w myślach. Dziesięć... dziewięć...

Zagryzając usta, pokuśtykał w kierunku schodów. Szybciej, stary, szybciej...

Osiem, siedem...

Przechylił ciężar ciała na prawą stronę, mocno oparł się na kuli. Dźwignął udo i poczekał, aż kolano zegnije się samo. Postawił nogę na schodku, przemieścił obydwie kule i podciągnął się na nich w górę. Powtórzył całą operację.

Sześć, pięć...

To tylko kilka stopni. Nic wielkiego.

Dwa...

Jeszcze jeden stopień!

W pośpiechu Timothy pomylił się w ocenie odległości i zawadził stopą o próg. Stracił równowagę, wypuścił jedną z kul i osunął się do tyłu. Przez chwilę próbował utrzymać się poręczą, ale nie dał rady. Gwałtownie i boleśnie upadł pośrodku schodów.

Ogłuszające wycie alarmu rozdarło powietrze. Timothy przetoczył się na podłogę u podnóża schodków. Zbyt wolno. Poczł swąd spalenizny i przypiekane go mięsa. Laserowe wiązki, które przed chwilą poszatkowały zejście do piwnicy, zapewne trafiły go w nogi – w innym wypadku dałby o sobie znać ból. Nie miał pojęcia, jak ciężkie są jego rany. Na razie żył i musiał możliwie szybko wycofać się z tej okolicy. Nie wyjdzie stąd, o tym już wiedział. Może jednak przeczekać apokalipsę w graciarni, zawinięty w latający dywan. Jego magia powinna go osłonić.

Pierwsze odpaliły flary. Timothy zaprojektował to zabezpieczenie na wypadek, gdyby chciał unieszkodliwić napastnika, sam znajdując się w środku. Odetchnął z ulgą – wiedział, że mogło trafić na coś gorszego. Miał trzydzieści sekund, zanim system uruchomi kolejną niespodziankę.

Powoli pełzył w głąb piwnicy, wsparty łokciami o zimną podłogę. W jego oskrzelach zaczynał narastać drażniący ucisk. Nie w tej chwili, nie teraz... Zaciął zęby, wziął ostrożny wdech nosem. Przeszło. Co za szczęście.

Ominął fotel i Homera, trafił lewą dłonią na kilka kabli i oponę roweru. Jeżeli przesunie się półtora metra w prawo, znajdzie szmatę do podłogi. Przyda się, ponieważ...

Zewsząd rozległy się ciche syknięcia. Timothy poczuł gryzący zapach. Gęsty dym zaczynał wdierać się w jego płuca i cybermag wiedział, że za chwilę dostanie potężnego ataku astmy. Szmata, gdzie ona do cholery...

Jest! Wymięty kawałek materiału znalazł się w jego dłoni. Timothy przytknął go do nosa i ust, z wdzięcznością witając zapach stęchlizny. Może wytrzyma. Może się nie udusi. Jeżeli uda mu się dotrzeć do celu, przetrwa. Latające dywany miały własną strefę powietrza, aby umożliwić podróże na znacznych wysokościach.

Zaczęło go ogarniać osłabienie. Nie miał pojęcia, co dzieje się z jego nogami, ale wołał o tym nie myśleć. Dotarł wreszcie do kąta, w którym trzymano stare, bezużyteczne magiczne przedmioty.

I wtedy usłyszał niepokojące, metaliczne szczęknięcie. Jedno. Dwa. Dziesięć. Trzydzieści.

Kurwa, kurwa, kurwa!

Ogarnęła go rozpacz. Wiedział, które to zabezpieczenie. Przewidziano je na potrzebę całkowitej destrukcji piwnicznego sprzętu. W normalnych warunkach zawsze się go słuchały. Sam je projektował – metaloorganiczne pajęczaki, wyposażone w szerokie, ostre szczytce. Zazwyczaj przebywały bez ruchu w zamaskowanych wnękach ścian. Aktywowane, cięły wszystko, co stało na ich drodze. Kable, dętki, materiały, ludzkie ciało... Nie eksplodowały. Nie wywoływały pożaru. Nie do tego zostały przeznaczone. Ale ze swoich zadań wywiązywały się doskonale.

Szybko poczuł pierwsze ostrze. Ledwie musnęło skórę na żebrach, grzęznąć w trzech warstwach grubych swetrów, które nosił na sobie wiecznie przemarznięty Timothy. Nerwowo przesunął się w bok i doznał przeszywającego bólu w prawym ramieniu. Jego ubranie zaczęło przesiąkać krwią.

Po chwili cięły go w trzech różnych miejscach: w biodro, bark i lewą dłoń. Zwinął się w ciasny kłębek, rozpaczliwie próbując ograniczyć ich pole działania. Nie chciał myśleć nad tym, w jakim stanie są jego nogi; nie potrafił tego ocenić.

Kolejne ostrze rozpruło jego policzek. Wrzasnął i wypuścił z dłoni zakrwawioną szmatę do podłogi. Przeturlał się gwałtownie, uderzając w jakąś szafkę. Przewróciła się na niego z hukiem, zbyt lekka, aby zadać mu poważne rany, ale wystarczająco ciężka, żeby go unieruchomić. Szuflady powypadały na podłogę, ich zawartość rozsypała się dookoła. Pajęczaki cięły go nadal. Timmy doszczętnie stracił rozsądek; kaszląc, dusząc się dymem i dławiąc własną krwią, wstrząsał rękami w bezsilnej próbie odpędzenia napastników.

Naraz zdał sobie nagle sprawę z tego, że już nic go nie atakuje. Dookoła wciąż było słychać metodyczną pracę pajęczaków. Nadal krwawił z wielu ran, ale żadne nowe ostrza nie wbijały się w jego skórę. Pod prawą dłonią czuł gładki jedwab. Zorientował się, że przypadkowo trafił na przedmiot, który jakimś cudem chronił go przed pocięciem na strzępy. Co więcej, Timothy poczuł, że może swobodnie oddychać – o ile przechylał głowę tak, aby krew nie zalewała mu gardła.

Cybermag badał znaleźisko palcami. Jedwab. Twardy kształt, sześcian... pudełko, nie... szyty grzbiet, kartki wystające z brzegu. Książka. Rozpadająca się książka. Nie byle jaka książka, uświadomił

sobie nagle.

Błękitna Księga Kai.

Przytulił ją do siebie obronnym gestem i pozostał w takiej pozycji – skulony, pod szafką, oczekując końca świata.

Ciemne, jednolite niebo zasnuwała gruba warstwa chmur. Zielony, pokryty patyną dach kościoła Świętej Julianny powoli białiał od śniegu. Staromodne latarnie rozświetlały dziedziniec żółtawym blaskiem, który łagodził widoczne uszczerbki w ściennych płaskorzeźbach i gzymsach budynku. Pozlepiane śnieżynki nie rozpuszczały się już na bruku, stopniowo tworząc cienką białą warstwę.

Na wprost od głównego wejścia stało dwóch ludzi, oddalonych od siebie na odległość kilku kroków. Ich ciemne sylwetki rzucały długie, rozproszone cienie. Zaczęli się powoli okrążyć, uważnie mierząc się wzrokiem. Wysoki szermierz trzymał dłoń na rękojeści broni. W dłoniach czarodzieja odzianego w srebrną szatę lśnił kłębek energii.

Gabriel wiedział, że to jest tylko honorowy pojedynek, że magowie nie zamierzają walczyć ze sobą na śmierć i życie. W żołądku ścisnęło go jednak z niepokoju. Artysta wyczuwał, że obca magia, która opanowała miasto, wpływała również na umysły jego mieszkańców. Wzmagala agresję, podsycala lęki. Któryś z czarodziejów mógł stracić nad sobą kontrolę. Nieznajomy, który wchłonał nadmierną ilość mocy, zachowywał się brawurowo jak na solidnym rauszu. A Lloyd w bezpośrednim zagrożeniu życia nie będzie się przecież hamował.

Piosenkarz z westchnieniem zanurzył palce w pozlepianych krwią włosach. Jego uzdrowicielska moc miała swoje granice, a on nie chciał ich sprawdzać. Boże, niech to się już skończy, pomyślał. Niech to wszystko okaże się tylko złudnym snem. Chodźmy do domu, zróbmy gorącą herbatę. Nie każcie mi tutaj tkwić na mrozie, w ubraniu poplamionym zaskorupiałą krwią.

Uszczypnął się nawet, ale to nie dało żadnego efektu. O, jak bardzo żałował teraz utraty CB-radia. Chciałby pogadać z Timothyem. Stary spryciarz zawsze miał w zanadrzu jakąś dobrą radę.

Walczący wciąż krążyli wokół siebie. Charles Wight wpatrywał się w swojego przeciwnika tak, jakby chciał pożreć go żywcem. Co za impertynent! Co za cham! Jak on w ogóle śmie zachowywać się w taki sposób po tym, jak uratowałem go od niechybnej śmierci! Chce posmakować prawdziwej mocy, będzie ją miał. Sam się prosi o nauczkę!

Lloyd wydawał się zupełnie spokojny. Tylko leciutko ściągnięte brwi świadczyły o tym, że szermierz koncentruje się na pojedynku. Poruszał się płynnie i miękko jak kot, jak gdyby instynktownie, bez udziału woli.

Charles na chwilę zwątpił. Nie zauważył u swojego przeciwnika żadnych oznak lęku, zdenerwowania czy też choćby naturalnej w tym wypadku agresji. Szermierz patrzył prosto na niego, ale nie próbował przygwoździć go wzrokiem, a raczej obejmował spojrzeniem całą jego postać.

Co to jest, jakieś cholerne zen, zirytował się Charles. Natychmiast podjął decyzję. Nie zamierzał dłużej zwlekać.

Zakrzywił czasoprzestrzeń wokół siebie tak, aby nie mógł dosięgnąć go żaden atak. W myślach przygotował skomplikowaną sieć magii losu, która odwróci zdolności Lloyda i zmieni go w nieszkodliwego błazna.

Uniósł dłoń i otworzył usta, aby wypowiedzieć Pierwszą Mistyczną Sylabę, jak nauczono go tego w jego obrządku. Stało się jednak coś, czego się w ogóle nie spodziewał.

Zanim Charles dokończył zaklęcie, Lloyd dobył miecza... i wetknął czubek ostrza w szczelinę między kamieniami. Charles nagle zrozumiał i przeklął własną nieostrożność. Plotąc czar z wysokiej magii, spodziewał się odpowiedzi na podobnym poziomie. Był zbyt nabuzowany mocą, by zauważyć subtelną interwencję przeciwnika. Nie dostrzegł nici podwiązujących jego magiczną sieć w krytycznych punktach. Miecz zadziałał jak katalizator.

Calutka magia zawarta w Mistycznej Sylabie zacisnęła się w jeden, wielki, splątany kłębek i posłusznie spłynęła w przygotowane ostrze. Na tym jednak się nie skończyło. Jej śladem popłynął

wartki strumień mocy uciekającej z maga jak piasek z sita. Charles Wight poczuł, że przez jego kości przechodzi zimny dreszcz, jakby właśnie zanurzono go w lodowatej wodzie. Wrzasnął, opadł na kolana, zakreśliło mu się w głowie. Opierał się dłońmi o bruk i dygotał na śniegu. Okulary zaszyły mu parą.

– Coś... coś ty mi zrobił?

– Przywróciłem ci zdrowy rozum, o ile w ogóle taki posiadasz – rzekł chłodno szermierz, podchodząc do niego wielkimi krokami. – Zbyt wiele mamy kłopotów, aby ich jeszcze sobie dokładać, nieznajomy magu. A teraz mów! – Ton jego głosu zmienił się, stwardniał. – Wszystko i po kolei.

Tamten potoczył wkoło błędnym spojrzeniem; najwidoczniej jeszcze nie całkiem doszedł do siebie.

Gabriel uśmiechnął się szeroko. Lloyd Dark dokonał czegoś genialnego w swej prostocie – wykorzystał nieuwagę drugiego maga i sprawił, że tamten dosłownie wyrzucił z siebie całą felearną nadwyżkę mocy. Czyste zagranie, szach i mat. Mag otwierał już usta, aby pogratulować przyjacielowi, ale słowa zamarzyły mu w krtani.

– Mów, bo wypatroszę – warknął szermierz, a w jego oczach zapaliły się niebezpieczne iskierki. Szybkim ruchem ręki chwycił Charlesa za włosy. – Ale po kawałku, żeby bardziej bolało.

Jego głos zabrzmiał agresywnie i obco. Tak jakby naprawdę miał zamiar spełnić groźbę. Gabriel zerwał się na równe nogi.

– Lloyd, czekaj, przestań. Teraz tobie odbiło?

Lloyd całkowicie go zignorował i szarpnął czupryną przerażonego Charlesa.

– Skąd to się wzięło? Mów! Skąd to się wzięło w moim mięście?

– Przy... przyszło za mną... – Magowi z bólu i ze strachu płątał się język.

– Ty morderco – wysyczał szermierz. – Ty przeklęty morderco. Masz pojęcie, ilu ludzi rozpruła ta bestia? To jest hekatomba! Hekatomba z twojej winy.

Zmuszony do patrzenia prosto na niego Charles Wight widział w oczach starego czarodzieja szaleństwo. On mnie zabije, pomyślał. Naprawdę mnie zabije...

– Przestań! – rozległ się nagle znajomy głos. – Lloyd, puść go, popierdoliło cię, czy co?!

To była Eunice. Ubrana w swoją parkę, jakieś dzinsy i buty od Weroniki. Zadyszana i zła, mocno zaciskała pięści.

– Eunice! – Gabriel złapał ją za ramiona. – Lepiej nie...

– A ty co, kolejny idiota! – wybuchła dziewczyna. – Jak w ogóle mogłeś na to pozwolić? Puszczaj go, no mówię ci! Puszczaj natychmiast!

Lloyd popatrzył na nią ze zdumieniem, jakby widział ją pierwszy raz w życiu. Mimo woli odemknął pięść, puszczając Charlesa, który jęknął, skulił się i złapał za głowę. Gabriel jeszcze wiele dni później zastanawiał się, czy szermierz naprawdę stracił wtedy nad sobą panowanie. Czy Charles Wight zginąłby, gdyby nie interwencja Eunice? Czy w jakimś zakamarku duszy starego maga nie skrywały się nadal dawne, mroczne zadry?

Zapadła chwila milczenia.

– To prawda? – zapytała cicho Eunice. – Że zginęło tylu ludzi?

Gabriel przytaknął, Lloyd odwrócił wzrok.

– To ja już sama nie wiem – szepnęła dziewczyna z goryczą. – Cholera, tato. Właściwie mogłam cię tam zostawić.

Charles wstał z kłęczek i otrzepał się ze śniegu, unikając jej spojrzenia. Eunice poprawiła niebieski polarowy szalik i wsadziła dłonie do kieszeni parki. Nagle zrobiło jej się bardzo zimno.

Magowie osłupieli.

– „Tato”...? – zdumiał się Gabriel.

– No tak, właśnie, a dlaczego nie?! – krzyknęła Eunice, wznosząc ręce do góry w bezradnym geście. – Za tobą latają groupies, Lloyd podrywa panienki po barach, to chyba wiecie, że do zrobienia dziecka potrzeba tatusia i mamusi! Kurrrwa! – Obróciła się na pięcie. – Pierdole, idę do Weroniki.

– Zaczekaj! – Gabriel położył dłoń na jej ramieniu. Otrząsnęła się gniewnie. – Przepraszam.

Popatrzyła na niego z niedowierzaniem. Piękny Gabriel nigdy nikogo nie przeproszał. Po prostu

nie przechodziło mu to przez gardło.

– Przepraszam cię, że go nie powstrzymałem.

Eunice uśmiechnęła się, chociaż tak właściwie, to miała wielką ochotę się rozplakać. Pogrzebała w kieszeni kurtki, a potem wyjęła z niej nieco pogniecioną chusteczkę higieniczną i starła Gabrielowi krew ze skroni.

– Strasznie się upaprałeś, staruszkule – powiedziała łamiącym się głosem. – Powinieneś bardziej o siebie dbać.

Nigdy wcześniej nie odwiedzała zakrystii i nie zastanawiała się, jak właściwie może wyglądać to miejsce. Podświadomie wyobrażała sobie zimny, nieprzyjazny pokój, ascetyczną celę o ścianach pokrytych złuszczającym się tynkiem. Tak przynajmniej podpowiadała jej irracjonalna część umysłu. Zgodnie ze zdrowym rozsądkiem Eunice wiedziała, że jest to pomieszczenie równie zwyczajne, jak każde inne biuro. Ludzie wchodzi i wychodzą. Przygotowania przed mszą, spotkania w sprawie pogrzebów i ślubów. Wygodne krzesła o profilowanych oparciach, szafy, papiery, segregatory pełne akt, a nawet komputer, chociaż jego obecność w kościele wydawała się jakimś wyrafinowanym rodzajem świętokradztwa. Jedyną różnicą powinny być Bibliie, krzyże i stuły leżące na widoku.

Nie spodziewała się powagi, jaka wypełniała cichą i pustą zakrystię na dwie godziny przed świtem. Nikt na nich nie czekał – w kościele nie odprawiano jutrzni od niepamiętnych czasów. Ale nie było to miejsce samotne. Dziesiątki starych ksiąg parafialnych zalegały w zamkniętych na klucz regałach, a w nich – setki, a może nawet tysiące ludzkich historii zostawiało swoje ślady przez ostatni wiek. A może nawet jeszcze dłużej. Chrztu, śluby, pogrzeby... Zakrystia była wspólnym punktem wielu opowieści.

Weszli przez boczne drzwi prowadzeni przez Weronikę. Zakonnica milczała. Magowie nie usłyszeli od niej żadnych wymówek, a jednak czuli się zawstydzeni. Eunice niemal czuła na języku gorzki smak słów, jakie wypowiedziała nie tak dawno temu. Lloyd pochylił głowę, pogrążony w niewesołych myślach, Charles nerwowo zaplatał palce. Tylko Gabriel zapomniał się całkowicie. Poniosła go wyobraźnia, kiedy tylko zdał sobie sprawę z zawartości ksiąg. Wzrok miał lekko zamglony; zapewne znajdował się dziesiątki lat i setki kilometrów stąd. Wyimaginowane ludzkie historie pochłonęły go bez reszty.

Przysunęli sobie krzesła, za wyjątkiem Gabriela, który usiadł tak, jak stał, na drewnianej podłodze. Eunice zastanowiła się przelotnie, czy właśnie w tej chwili nie powołuje do życia nowej piosenki. To byłoby do niego podobne, pomyślała. Kiedy cały świat wali się im na głowę, Gabiś tworzy. Może to doskonały sposób na stres? Szkoda, że ja tak nie potrafię...

Weronika znalazła gdzieś elektryczny czajnik i pięć kubków na herbatę.

– Jest zielona, czarna i z jaśminem – oznajmiła tonem, w którym dało się wyczuć nutę nagany.

– Weroniko. – Lloyd Dark skłonił głowę. – Zachowałem się niewybaczalnie. Zechciej przyjąć moje szczere przeprosiny. Eunice, Gabrielu... i pan też...

Ojciec Eunice drgnął, widząc, że ten straszny człowiek zwraca się do niego.

– Przepraszam was z całego serca.

– Hai, Lloyd-san – rzucił Gabriel odruchowo.

W normalnych okolicznościach po tych słowach zapewne wszyscy roześmieliby się i napięcie prysłoby natychmiast. Teraz jednak uśmiechnęli się uprzejmie, jakby pod przymusem. Weronika wrzuciła saszetki do kubków.

– W porządku – powiedziała, wzdychając leciutko. – Niech pan wyjaśni, panie Wight, co się tutaj właściwie dzieje. Nie wszyscy jeszcze wiedzą, z czym mamy do czynienia, a żadne z nas, jak sądzę, nie wie wszystkiego. Tylko zwięźle.

Charles Wight przesunął się niespokojnie na krześle.

– Jak już mówiłem wcześniej – zaczął – to moja wina. Ja zerwałem... ukradłem jabłko z Ogrodu Hesperyd. Nie przypuszczałem, że Strażnik przekroczy barierę między wymiarami i zacznie mnie ścigać.

Takie stworzenia są zwykle przywiązane do miejsca. Zresztą, kiedy znalazłem Ogród, sprawiał wrażenie takiego... uśpionego miejsca. Smok nie wyglądał nawet szczególnie groźnie. Zwiodła go zwykła iluzja niewidzialności. Przyznam, że poczułem się zaskoczony – po tym wszystkim, co przeszedłem, żeby odnaleźć drogę...

– Ożywił pan jego mit – stwierdził Gabriel cicho. – Mogę się założyć, że nawet postać, którą przyjął Smok, jest zainspirowana pana koszmarami. Legendy żyją tym bardziej, im bardziej ludzie w nie wierzą. Pewnie był pan pierwszą osobą, która tam trafiła od czasów Atlasa.

– A to nie Herkules ukradł jabłka? – zdziwiła się Eunice. – Czy ja może źle pamiętam?

– Namówił Atlasa, żeby odwalił za niego brudną robotę – poinformował ją artysta, który większość europejskich mitologii miał w małym paluszku. – Greccy bohaterowie nie byli szczególnie rycerscy, jeśli o to chodzi.

– Ale jego nikt nie gonił.

– Bo Atlas zabił Smoka – wyjaśnił Gabriel. – Oczywiście, nie można w taki sposób wykończyć mitu, ale odradzanie się pewnie zajęło mu trochę czasu. Tym razem nikt potwora nie załatwił, za to wkurzył z całą pewnością.

– No cóż, gratuluję – mruknął Lloyd. – Pański ożywiony mit wprowadził tutaj odrobinę zamieszania.

– Po przełożeniu z lloydowego na ludzki, to się nazywa „krwawe jatki” – wtrącił Gabriel sarkastycznie.

– Musimy to jakoś powstrzymać – westchnęła Weronika. – I to jak najszybciej.

– Ale na razie nie możemy... – Gabriel rozłożył ręce.

– To znaczy?

– Smok stał się częścią naszego miasta – rzekł szermierz. – Może postanowił nim zawładnąć, aby łatwiej dostać się panu do skóry, skoro znalazł się pan w chronionym miejscu. Krzysztof zмага się z nim w świecie astralnym, winniśmy czekać, aż da nam znak.

– To przeze mnie – szepnęła Eunice. – Ten stwór mnie rozpoznał. Powiedziałam mu, że jeśli ruszy mojego ojca, to będzie miał do czynienia z wami. Chyba potraktował mnie poważnie. Zawziął się na nas.

– Co to znaczy: rozpoznał? – Gabriel zerknął na nią bystro.

– Wydaje mi się, że zna nas wszystkich z poprzedniego życia – powiedziała dziewczyna. – To głupie, ale... chyba się was boi. Nawet ciebie, Gabiś.

– Tego z całą pewnością nie mogłaś przewidzieć, Eunice – odezwał się Lloyd z powagą.

– Wypraszam sobie... – prychnął piosenkarz.

– Przestałbyś brać tak wszystko do siebie, Gabrieliu – zachnął się szermierz. – Po co, u licha, w ogóle skradł pan to jabłko, panie Charles?

Zapadła chwila krępującego milczenia.

– Ja... ja chciałem przywrócić młodość Sabrinie – wyznał mag z ociąganiem. – Żeby... zacząć wszystko od nowa. Cofnąć czas.

– Naprawdę, nie mam pojęcia, gdzie w tym wszystkim widziałeś miejsce dla mnie. – Eunice schowała spojrzenie w kubku herbaty. – Nie cofnąłbyś tego, że się urodziłam. A wspomnienia? Chciałeś wykasować mamie pamięć, czy co?

– Jasne, że nie...! Porozmawialibyśmy... przecież w takich okolicznościach na pewno byśmy to jakoś omówili... a ty mogłabyś podróżować z nami. Oczywiście, w dniach wolnych od szkoły.

– Już to sobie wyobrażam – mruknęła dziewczyna ponuro. – W pierwszej kolejności to mogłeś nie porzucać mamy, wiesz?

– Nie zdawałem sobie sprawy z tego, że tak bardzo mi jej będzie brakowało. Nie przewidziałem tego...

– Nie przewidziałeś?! – zatchnęła się Eunice. – Chwila. Ustalmy coś. Wolałeś wyprawiać się po złote runo, przepraszam, jabłko, niż przeprosić i przyznać się do błędu? Myślałeś, że cudownie odmłodzisz mamę, a ona padnie ci w ramiona? Ile lat ci zabrało szukanie drogi do Ogrodu, ta cała pogoń

za tęczę?

– Dziecko! – zirytował się Charles. – Jak ty w ogóle nic nie rozumiesz! Co ty możesz wiedzieć o takich sprawach!

Dziewczyna spojrzała na niego wściekle i otworzyła usta, szykując się do jakiejś wyjątkowo sarkastycznej odpowiedzi.

– Khm. – Weronika wstała i zdecydowanym gestem postawiła swój kubek na biurku. – Bardzo was proszę o zaprzestanie tej kłótni.

– Dołączam się do prośby – oznajmił poważnie Lloyd. – Wie pan, panie Charles, ja też chciałbym nieraz cofnąć czas... – Szermierz zerknął na rzędy grzbietów parafialnych ksiąg. – Ale magia nigdy nie działa w taki sposób. Panta rhei, czy tego chcemy, czy nie. Hm. Tak. Gdzie pan schował jabłko?

– Wiesz co, Lloyd... – wymamrotała Eunice. – Raczej nie spodoba ci się to, co zaraz usłyszysz.

Światło.

Białe światło.

Unosił się w przestrzeni, nie czując bólu ani zmęczenia. Dookoła niego we wszystkich kierunkach przepływały terabajty danych, ich ścieżki wciąż łączyły się i rozdzielały, tworząc nieregularną, wielowęzłową sieć zależności. Bardziej złożoną niż cokolwiek, z czym do tej pory miał do czynienia. Nie rozpoznawał żadnych znajomych punktów orientacyjnych, nie znał tego systemu. Jak wiele czasu musiałby poświęcić, aby chociaż w niewielkiej części objąć to miejsce rozumem? Fascynujące.

Chyba znajdował się w raju.

Dokonał wielkiego wysiłku, aby jego osobowość nie rozplynęła się wśród mutujących informacji.

Timmy.

Timothy Hawkins. Srebrny Rycerz.

Nazywam się Timothy Hawkins. Gdzie ja jestem?

Natychmiast wróciła mu pamięć o tym, co stało się w piwnicy. A więc nie żyję, naprawdę nie żyję, pomyślał Timothy. Ciekawe, czy tak wygląda niebo dla informatyków? Ale chwilę, przecież ja nie wierzę w niebo.

Wyczuwał, że trafił w sam środek burzy. Obcym wymiarem wstrząsały drgawki, rzeki informacji zmieniały swój bieg. Nieznany wirus niszczył kluczowe węzły lub dobudowywał tam swój kod. W ślad za nim podążały iskry systemu naprawczego. Timothy z bijącym sercem śledził wyścig dwóch sił.

Nagle zrozumiał. Przecież nie tak dawno temu podsłuchiwał tę samą walkę z ziemskiego wymiaru. Znajdował się w Świecie Opowieści i obserwował zmagania Krzysztofa z intruzem, który zagrażał im wszystkim.

Nie pojmował w pełni natury tego miejsca. Znał jego nazwę, ale to niczego nie zmieniało. Różnica między teorią a praktyką była mniej więcej taka jak między płatkami śniegu a alpejską lawiną. Przytłaczająca.

Timothy! – Rozdzwoniło się w jego umyśle. – Timmy! Skąd ty się tutaj wziąłeś?!

Krzysiu... to ty...? – Z największym trudem sformułował odpowiedź. – Wydaje mi się, że umarłem!

Nie bądź głupi, Timothy. – W myślach Krzysztofa dawało się wyczuć znużenie graniczące z rezygnacją. – Jesteś tak samo żywy, jak ja.

Kolejny spazm wstrząsnął obcym światem. Nagle krajobraz zmienił się całkowicie.

Timothy stał na unoszącej się swobodnie złotej ścieżce. Biegła daleko naprzód delikatnym łukiem. Z jakiegoś powodu wiedział, że przybierała kształt wstęgi Moebiusa. Odruchowo spojrzał w dół i znieruchomiał.

Dookoła rozpościerał się kosmos. Niekończąca się przestrzeń, którą wypełniały różnobarwne gwiazdy, planety i nieregularne asteroidy. Po chwili Timmy zaczął dostrzegać także obiekty, których

w żadnym wypadku nie spodziewałby się w kosmicznej otchłani. Błyszczące słupki kryształów, czaszki olbrzymich zwierząt, a nawet fragmenty budynków o fantastycznej architekturze. Znalazł asteroidę porośniętą kwitnącymi magnoliami oraz taką, która wyglądała jak wielki kawałek żółtego sera. Gdzieś w oddali dryfowała przednia połowa kadłuba transatlantyku, prawie doszczętnie przeżartego rdzą. Timothy'emu zdawało się, że rozpoznaje napis na burcie: Queen Victoria.

W niedalekim podwójnym układzie gwiazd, błękitnej i czerwonej, toczyła się bitwa. Tysiące małych, czarnych myśliwców ostrzeliwało flotyllę galeonów, których żagle do złudzenia przypominały pozółkłe liście.

No, znacznie lepiej. – Rozległy się myśli Chrisa. – Przynajmniej wygląda w miarę znajomo. Trudno mi było dotrzeć do ciebie przez tamto wyobrażenie.

Timmy drgnął i spojrzał prosto przed siebie. Naprzeciwko niego wirowały żółte, jesienne liście. Co jakiś czas jeden z nich odłączał się od reszty i szybował w stronę bitwy, przekształcając się w kolejny okręt. Timothy zdał sobie sprawę z tego, że on sam przybrał postać Srebrnego Rycerza, tak jak w Ponadsieci.

Nasz gość jest zaniepokojony. Sądził, że zwycięży mnie z łatwością. – zasygnalizował Krzysztof. – Prawdę mówiąc, ledwo dotrzymuję mu pola, nawet z pomocą Wierzby.

Wierzby?

Timothy'emu wydało się przez chwilę, że widzi delikatne kontury olbrzymiego drzewa rysujące się w centrum wiru liści.

To cień, tylko cień zawarty w stworzonym przez nią portalu. – W „głosie” Krzysztofa dał się słyszeć smutek. – Chociaż... ale nieważne. Dobrze, że tutaj jesteś, to wiele ułatwi.

Nie mam pojęcia, jak ci pomóc. Nie do końca rozumiem ten świat.

W ogóle go nie rozumiesz. – Liście zdrząły w rozbawieniu. – Widzisz tylko to, co możesz zobaczyć. Ale to nieistotne. Już oddałeś mi nieocenioną przysługę. Przyniosłeś Księgę. Albo raczej: Księga przyniosła się za twoim pośrednictwem.

Księga... – Timmy zorientował się, że trzyma ją w dłoniach: brulion wypełniony luźnymi kartkami, obity spleśniałym bladoniebieskim materiałem. – A niech to!

Niesamowite, prawda? Ciągle potrafi mnie zaskakiwać. – Księga uniosła się w powietrze i pofrunęła w kierunku żółtych liści. – A teraz słuchaj mnie uważnie. Zaraz rozpęta się piekło. Mam nadzieję, że uda mi się go stąd wyrzucić, ale to jeszcze nie koniec. Przejdzie do naszego świata. Trzeba koniecznie powiedzieć reszcie. Dam znak, kiedy sam wrócę, pojawię się przy Wierzbie. Musicie zwrócić go mitom przed świtem.

Chris, proszę, jaśniej. Nie mów do mnie zagadkami...

Timothy, przecież to proste...

Potężny wstrząs zakołysał złocistą wstęgą.

Ssssssrebrny Rycerz! Ssssłaby jak dziecko. Pożremy go, o tak, o tak...

Timothy, nie ma czasu! – Myśli Krzysztofa miały siłę huraganu. – Uciekaj! Już!

Pomoże ci Księga.

Na parkiecie kładły się długie, rozchwiane cienie świec. Świeżo zaschnięty tusz połyskiwał nieznacznie. W półmroku fraktalne wzory sprawiały wrażenie namalowanych czarną farbą, jedynie tuż przy świeczkach dało się dostrzec szkarłatną barwę atramentu. W kluczowych punktach drzewa Sefirot umieszczono małe lusterka i soczewki z kryształu górskiego, które przygotował profesor Glenn. W samym centrum figury siedziała rozebrana do naga Titania Faraday. Zastygła w transie, z nogami zaplecionymi w kwiat lotosu przypominała hinduskie bóstwo.

Emily Spencer wrzuciła kilka grudek kadzidła do dwóch mosiężnych miseczek wypełnionych zarzającymi się węglami. Po chwili powietrze w salonie zaczęło nasycać się ciężką, słodkawą wonią.

Anton Glenn niespokojnie oczekiwał na sygnał rozpoczęcia rytuału. Nadal miał wątpliwości, czy postępują właściwie, zabrnęli jednak za daleko, aby mógł się wycofać. Z trudem opanował drżenie kolan.

Obawiał się niepowodzenia, skutków złamania tabu – a przede wszystkim bał się Titanii Faraday.

Osiem lat temu Emily przyprowadziła do Mandali uczennicę. W tamtym czasie profesor był jak wszyscy przekonany, że panna Faraday to beztroška jazzowa piosenkarka z wyższych sfer, taki arystokratyczny odpowiednik Gabriela. Podziwiał jej wszechstronne wykształcenie i świetną znajomość gry w szachy – toczyła pojedynki na równi z Timothyem, co zasługiwało na wielkie uznanie.

Wolałby nigdy nie poznać jej prawdziwej osobowości.

Titania postrzegała cały świat w kategoriach matematycznych. Cyfry i wzory, tylko to uważała za istotne. Nie odczuwała żadnych emocji, może poza podstawowymi, jak lęk i agresja. Anton nie umiał tego dokładnie stwierdzić. Wszystkie problemy rozwiązywała z bezwzględną komputerową logiką. Potrafiła przy tym, kiedy tego chciała, bez trudu symulować zwykłe ludzkie reakcje i bardzo zręcznie manipulowała otoczeniem. Z początku zrzucała maskę tylko w obecności Emily, później na prośbę mentorki przestała także udawać wobec Antona. Profesor dopiero po dłuższym czasie nauczył się dostrzegać sztuczność w jej zachowaniu wobec innych, tak jakby rozszyfrowywał grę ulubionej aktorki.

Całą swoją magię opierała właśnie na matematyce, analizowała w ten sposób każde intuicyjne przeczucie. Miała olbrzymi talent, porównywalny z mocą samej Arcymistrzyni. Pod pewnymi względami nawet ją przewyższała. Jej możliwości, powiązane z całkowitym brakiem uczuć, przerażały profesora. Doskonale sobie wyobrażał, do czego może być zdolna taka psychopatka.

Pozostawało niewyjaśnioną zagadką, dlaczego tak bardzo przywiązała się do Emily, dlaczego słuchała się jej we wszystkim jak mały piesek. Anton wolał nie wiedzieć, skąd tak naprawdę Titania wzięła się w Farewell i kim była. Grunt, że Arcymistrzyni sprawowała nad nią pełną kontrolę.

Przynajmniej taką miał nadzieję.

Emily stanęła za uczennicą i powoli uniosła ręce do góry. Anton ostatni raz zerknął na swoją kartkę zapisaną wzorami. Jak dla niego wyglądały cokolwiek plugawo. Tradycyjne rytuały powinno się układać w języku łacińskim, greckim lub hebrajskim, a i to wtedy, gdy magowie współtworzący zakłęcie nie znają wystarczająco dobrze enochiańskiego. No cóż, nie on tutaj rządzi.

Zaczerpnął powietrza w płuca i podniósł dłonie na wysokość mostka, gromadząc w nich solidną porcję mocy. Następnie rozpostarł szeroko ręce. Magia zaiskrzyła na czubkach jego palców i na obrzeżach szkarłatnych symboli. Rytuał został ustabilizowany.

– Określ dziedzinę – poleciła Arcymistrzyni.

Titania otworzyła usta, lecz nie wydobył się z nich żaden dźwięk. W powietrzu zaczęły materializować się wzory matematyczne, kreślone eleganckim pismem o barwie miedzi. Anton wiedział, co przedstawiają, wyjaśniono mu wszystkie niezbędne szczegóły. Energia istoty, przeciwko której walczyli, podlegała stopniowej kompresji. Odsączona ze świata astralnego i przesuwana względem czwartego wymiaru, była powoli wtłaczana w obiekt trójwymiarowy, czyli podłogę, na której namalowano fraktalne drzewo. Cała moc, jaka po drodze mogła ulec rozproszeniu, skupiała się w kryształowych soczewkach, odbijała w lusterkach i z powrotem trafiała w obręb Sefirot.

Wspólnie z Emily zaczęli wtórować Titanii. Wszystko przebiegało znakomicie, magia przepływała przez dziewczynę wartkim strumieniem.

I wtedy nagle wydarzyło się coś nieoczekiwanego. Rzeczywistość astralna wywinęła kozła. Anton poczuł się tak, jakby właśnie wcisnął do deski hamulec w samochodzie pędzącym sto kilometrów na godzinę. Albo jakby dostał w twarz od boksera wagi ciężkiej.

Opadł na kolana, w ostatniej chwili podpierając się rękami. Przed oczami widział mroczki. Podświadomie rozumiał, że rytuał właśnie został przerwany, ale nie potrafił w tej chwili o tym myśleć. Walczył o zachowanie świadomości; miał wrażenie, że tonie.

Po jakimś czasie rzeczywistość wróciła do równowagi. Anton skonstatował, że wciąż klęczy i wpatruje się tępo w swoją lewą dłoń. Gwałtowne zaburzenie mocy, czymkolwiek było, już minęło. Profesor podniósł głowę i zobaczył Titanię leżącą bez czucia pośrodku drzewa. Emily badała jej puls.

Dziewczyna usiadła gwałtownie i wpiła palce w spódnice swojej nauczycielki. Miała zmieniony wyraz twarzy. Tym razem nie grała, nie udawała, rzeczywiście była przerażona. Antonowi wydało się, że w jej oczach chwilę przez moment mignęło czerwone światło.

–Emily... ja tego stwora... – szepnęła, a profesorowi wydało się nagle, że patrzy na zupełnie inną osobę, Titanię, jakiej nigdy nie znał. – Ja go chyba pamiętam.

– Nie przypuszczałem, że sprawy tak się potoczą – powtórzył Charles. Wpatrywał się gdzieś w podłogę. – Po prostu się nie zastanowiłem.

– Nie zastanowił się pan! Dobre sobie! – wzburzył się Lloyd. – Nawet pensjonarka zachowałaby się bardziej odpowiedzialnie. Nie sądzę, abym kiedykolwiek zrozumiał, jakim cudem otrzymał pan tytuł Nadmistrza.

Charles rozejrzał się wkoło jakby w poszukiwaniu ratunku. Napotkał czujne spojrzenia reszty zebranych: Weroniki, Gabriela oraz Eunice. Córki, o której istnieniu jeszcze niedawno pamiętał dosyć mgliście, którą traktował właściwie jako dodatek do Sabriny. Wiedział, że osądzi go bezkompromisowo, że położy na szali każdy jego błąd – jak to nastolatka. Będzie nim gardzić i będzie miała za co. Charles uniósł głowę.

– Udzielę każdej pomocy, jakiej mogę wam zaoferować. Chciałbym przynajmniej spróbować to wszystko jakoś naprawić.

– Trzymam pana za słowo – rzekł poważnie szermierz. – Proszę tylko nie próbować się poświęcać. Wtedy dopiero zmarnowałby pan jabłko.

– Nawet mi to przez myśl nie przeszło – skłamał czarodziej i się zawstydził.

Lloyd Dark miał rację; najwyższy czas nauczyć się odróżniać bohaterstwo od głupoty. A niedoczekanie, żeby ten skośnooki psychopata był wzorem dla Eunice, pomyślał Charles. Muszę się jakoś zrehabilitować.

– Tak więc... – zaczął, ale nie dokończył zdania.

Nagle poczuł się tak, jakby wszystkie cztery wymiary zostały wykręcone na lewą stronę. Skulił się na krześle, gwałtownie złapał oddech. Czas zwolnił. Upuszczony przez Eunice kubek z herbatą spadał na podłogę klatka po klatce, przez całą wieczność. Poprzez zasłonę szumu w uszach Charles słyszał krzyk Gabriela i cichą modlitwę Weroniki. Świat przebudowywał się cegielka po cegielce, przedmioty roztapiały się i pojawiały z powrotem, jak odbicia na zmąconej tafli wody.

Stopniowo rzeczywistość się uspokajała. Wracały zmysły, wracał czas. Charles wyczuwał jednak różnicę. Coś się zmieniło. Spróbował dokładniej określić to wrażenie. Trochę lżej się oddychało, myśli płynęły swobodniej. Powróciło coś... coś, o czym Charles zdążył zapomnieć. Nadzieja? Odwaga? Pewien rodzaj atmosfery, właściwy tylko dla Farewell.

– Miasto. – Gabriel podniósł się z podłogi, oszołomiony. – Chris uwolnił miasto.

– Dobry Boże – szepnęła Weronika. – Coś się dzieje w kościele!

Zadziwiająco zwinna jak na swoją tuszę siostra wyminęła wszystkich zebranych i otworzyła wewnętrzne drzwi.

– Pierwsza boczna nawa! – zawołała jeszcze i wybiegła.

Podążyli za nią.

Nigdy jeszcze nie widzieli czegoś podobnego. Zdawało się, że blask oświetlał kościół od zewnątrz ze wszystkich stron. Przenikał przez witraże, kładł się wielobarwnymi zajęczkami na ciemnym drewnie, ceglanych ścianach i na szarym granicie podłogi. Błękitne i czerwone plamy prześliznęły się po dwunastu apostołach, dotknęły Marii z Dzieciątkiem, ubarwiły staroświeckie ławy. Długie paski złotawego światła przebiegły po granitowych płytach, biało-niebieska mozaika frywolnie zamigotała na masywnych kolumnach. Pełne majestatu figury świętych wydawały się ożywać. Kolory wydobywały z nich uczucia: smutek, cierpienie, rozbawienie. Każda z barwnych plamek żyła własnym życiem.

Stopniowo i bez pośpiechu, wszystkie zdążyły do jednego miejsca; do zachodniej nawy, tuż przed konfesjonalem. Na szarym granicie powoli malował się obraz. Z początku zamglony, w miarę jak przybywało światła, stawał się coraz bardziej wyraźny. Zaczynał przypominać zarys ludzkiej postaci.

Obserwowali zjawisko z nabożnym przejęciem. Kolorowe światełka kładły się teraz na sobie warstwami, jedno na drugim. Postać zyskiwała trzeci wymiar. Błękit, czerwień, żółć... Podstawowe kolory mieszały się ze sobą, plamki z każdą sekundą nabierały gęstości.

– To nie są zajączki. – Zdumiony głos Gabriela zburzył ciszę, złamał patos. – To są piksele.

Nie czekając dłużej, podbiegł do materializującej się postaci.

– Timmy! – Okrzyk Gabriela odbił się echem w całym kościele.

Timothy Hawkins w pełni przybrał już materialny kształt. Gabriel przyjrzał mu się z przerażeniem. Na poszarpanym ubraniu cybermaga rozlewały się plamy krwi. Poprzez strzępy dżinsów widać było jego chude nogi, poparzone i pocięte do żywego mięsa. Głęboka rana biegła także przez prawy policzek. W pierwszej chwili mag znieruchomiał jak skamieniały. Nie mógł się przemóc, aby podejść bliżej, cokolwiek powiedzieć, skupić moc. Wszędzie widział krew. Najchętniej uciekłby stąd jak najdalej i zwymiotował całą zawartość żołądka.

Wiedział jednak, że bez natychmiastowej pomocy jego przyjaciel wkrótce zginie. Zamknął oczy, próbując sobie wyobrazić, że to wszystko dzieje się na filmie albo w grze komputerowej. Że wcale nie uczestniczy w tych wydarzeniach, tylko ogląda coś, co dawno temu zostało wyreżyserowane w studio.

– Weroniko!

Nie musiał krzyczeć, zakonnica stała już przy nim. Wiedziała, że będą musieli pracować wspólnie. Odkąd Timothy Hawkins został okaleczony za sprawą kłętwy Mrocznej Ścieżki, magia lecznicza prawie na niego nie działała. Nawet tak dobry uzdrowiciel jak Gabriel nie poradziłby sobie sam.

– Lloyd, Eunice, Charles, natychmiast po apteczkę – zakomenderowała Weronika i ujęła prawą dłoń rannego. – Dobrze, że to nie jest sprawka Smoka – dodała ciszej.

– Apteczkę? – Charles popatrzył pytająco na córkę. – Przecież pan Shade...

– Wyjaśnię ci później – odparła Eunice. – Chodźmy!

Gabriel z dreszczem przerażenia dotknął zakrwawionego czoła Timothy'ego. Koncentracja przychodziła mu z trudnością. Weronika uklękła obok, położyła dłoń na jego ramieniu.

– Jestem tutaj. Skup się – szepnęła. – Trzeba zatrzymać go w czasie.

Nie! Zabraniam! – Rozległ się telepatyczny okrzyk. – Najpierw muszę wam coś powiedzieć! To kwestia życia i śmierci!

Weronika i Gabriel wzdrygnęli się, zaskoczeni. Od takich obrażeń każdy inny zemdlałby już dziesięć razy. Timothy nie stracił przytomności – zapewne dlatego, że nie czuł połowy swoich ran.

– Tamuj krwawienie, już – zdecydowała Weronika.

– Nie przypominaj mi o krwi! – pisnął mag, ale natychmiast spełnił polecenie.

Krzysztof wyrzucił stwora z powrotem tutaj. Powiedział, że musimy go zwrócić mitom przed świtem. Timothy gorączkowo przesyłał myśli. Chociaż znajdował się w opłakanym stanie, najwyraźniej rozumował szybko i jasno.

– Co to znaczy? – spytał Gabriel.

Rany Timothy'ego pochłaniały jego moc jak małe czarne dziury. Miał wrażenie, że zatrzymuje upływ krwi pojedynczą warstwą gazy.

A cholera wie! Słuchaj, Chrisa też zaraz wywali. Przy Wierzbie. Będzie całkiem sprany z mocy. Muszę go tutaj teleportować. Inaczej stwór go dopadnie i zeżre.

– Mowy nie ma! – zaprotestował Gabriel.

– Nie dasz rady – zawtórowała Weronika.

Pierdołę! – oznajmił twardo Timmy. – On zginie, nie rozumiecie? Tylko ja umiem...

– Dobra. – Gabriel odetchnął głęboko. Głos mu drżał. – W takim razie znam tylko jedną metodę na szybkie wyleczenie twoich ran.

– Chyba nie myślisz o tym – zatchnęła się Weronika. – Gabrielu!

– A tak – powiedział piosenkarz, z zadziwiającym spokojem jak na kogoś, kto boi się widoku krwi. – Zwyczajnie przejmę je na siebie. Robiłem to już kiedyś.

Bałwan... idiota... to są przecież moje rany, magia słabo działa... blizny będą ci schodzić

miesiącami.

– Pierdole – odparł niemal beztrąsko Gabriel. I pochwyciwszy zaszokowane spojrzenie siostry Weroniki, dodał z chichotem: – Panie, wybacz zatwardziałemu grzesznikowi.

Pod osłoną zaklęcia Lloyd bezszelestnie przemknęli korytarzem przytułku. Nawet Eunice w swoich ciężkich butach szła cicho jak nocny drapieżnik. Wszystkie światła zostały wygaszone, nikt ich nie zaczepił, nikt nie opuścił pokoju. Może Weronika zastosowała magię usypiającą, a może po prostu zmęczenie jej podopiecznych przeważało nad ciekawością.

Eunice Wight wcale nie odczuwała znużenia. Dziewczyna zastanawiała się, czy nie jest to po części zasługa jabłka z Ogrodu Hesperyd – sam jego zapach miał przecież ożywcze właściwości, a ona spędziła na przygotowywaniu owocu kilka dobrych chwil. A może zwycięstwo Krzysztofa i Timmy’ego na planie astralnym – o ile Eunice dobrze rozumiała to, co się właśnie stało – wywarło też jakiś wpływ na czarodziejów z Farewell? Bez względu na przyczynę, czuła się całkiem rozbudzona i w pełni sił.

Wiedziała, że kiedy to wszystko się skończy, adrenalina ucieknie z niej jak z przeklętego balonika. Obecnie zbyt wiele działo się naraz, aby miała czas się bać. Timothy został ranny, więc działała – ale niebezpieczeństwo cały czas wydawało się jej na wół rzeczywiste. Nabrała nierealistycznej pewności, że wraz z nastaniem świtu wszystko wróci do normy, że koszmar skończy się nagle jak w hollywoodzkim filmie i wszyscy będą się śmiać podczas końcowych napisów. Nie chciała dopuścić do siebie myśli, że mogłoby się stać coś nieodwracalnego. Że ktoś mógłby zginąć.

Charles Wight, jej ojciec, biegł przodem – pełen nowego zapału i chęci wykazania się przed córką. On w ogóle nie zdaje sobie sprawy z tego, co jest grane – pomyślała. Na wszystko patrzy przez różowe szkiełka wiecznego Piotrusia Pana. Nawet kiedy cierpi, to tylko dlatego, że ucierpiała jego duma. Chce być w centrum uwagi, romantyczny bohater we własnym mniemaniu, bez względu na okoliczności. Zdaje mi się, że rozumiem mamę – gdyby taki człowiek pokazywał mi magię, też kazałabym mu się wypchać.

Bez trudu znaleźli infirmerię. Lloyd zapalił światło, rozejrzeli się dookoła. Krzesło, przykryta prześcieradłem leżanka, pomalowane na biało szafki z medykamentami. Większość z nich pozamykano na klucz lub solidną kłódkę – dla mieszkańców przytułku nawet spirytus salicylowy mógł stanowić zbytnią pokusę. Eunice podeszła do pierwszej szafki z brzegu i delikatnie pociągnęła za kłódkę, a ta otworzyła się z cichym szcęknięciem.

– Zestaw pierwszej pomocy – mruknęła. – Ale mam nosa.

– Wydawało mi się, że Weronika potrafi obyc się i bez tego – odezwał się Charles. – Chyba że o czymś nie wiem.

– W przypadku Timothy’ego magia uzdrawiająca bywa nieskuteczna – wyjaśnił Lloyd, przeglądając kolejną szafkę. – Środki znieczulające są tutaj. Nie traćmy czasu.

– Ale jak on to w ogóle zrobił? – Charles pokręcił głową. – Z tym światłem i witrażami... Nie rozumiem...

– W chwili obecnej nie mam bladego pojęcia – wzruszył ramionami Lloyd. – I chętnie dowiem się czegoś więcej, kiedy przywrócimy go do stanu używalności. Przede wszystkim chciałbym wiedzieć, co go zaatakowało. Nie wyczułem energii pańskiego Smoka...

– To nie jest mój Smok...

– ...ale cokolwiek to było, daję słowo, że nie doczeka świtu.

Oczy szermierza zabłysły dziko.

– I ty się z nimi zadajesz – mruknął Charles gdzieś w przestrzeń.

Gabriel zamknął oczy i zacisnął zęby. Zgromadził w sobie tyle energii, ile tylko zdołał. A potem ukierunkował ją na Timmy’ego, po raz pierwszy z własnej woli stosując zaklęcie, do którego wcześniej niejednokrotnie go zmuszano.

Starczyło mu odwagi na podjęcie decyzji. Kiedy jednak poczuł ból i ciepłe strużki krwi przesiąkające ubranie, nagle wróciły wspomnienia. Opanowanie artysty rozsypało się jak domek z kart. Wrzasnął przeraźliwie, a jego krzyk wypełnił echem całą przestrzeń kościoła. Trząsł się spazmatycznie, płakał, pluł krwią z rozciętego policzka.

– Mistrzu... ja przepraszam... już nie będę...

– Ocknij się, Gabrielu! Ocknij się natychmiast! – krzyknęła Weronika. – Nie uzdrowię cię bez twojej pomocy!

– Nie jestem złym chłopcem... – Gabrielem wstrząsały drgawki. Łzy wielkie jak ziarna grochu spływały mu po policzkach, mieszając się z krwią. – Nic nie zrobiłem... idź sobie ode mnie...

– Timmy, pomóż – jęknęła zakonnica. – Może tobie się uda do niego dotrzeć.

Timothy Hawkins uniósł się ciężko na łokciu i kościstymi palcami wpił się w ramię przyjaciela.

– Obudź się! Nie wolno ci teraz umrzeć – warknął. – Masz koncert we wtorek, pamiętasz?

Piosenkarz nadal szlochał i szcząkał zębami, zwinęty w kłębek na podłodze.

– Gabrielu! – krzyknął Timmy na tyle głośno, na ile pozwalały mu jego słabe płuca. – Co ty sobie w ogóle myślisz? Przecież nie zostawisz tak swojej gitary! Ty cholerny świrze, do diabła, Gabrielu! Wisisz mi partyjkę szachów!

Cybermag przerwał, zanosząc się suchym kaszlem.

Piosenkarzowi zdawało się, że leży na czerwonych poduszkach w apartamencie Jean-Pierre’a, który z całej siły kopie go w zębra okutymi butami. Nagle dostrzegł opartego o ścianę Timothy’ego. Skąd on tam się wziął? Dlaczego tak rozpacza? Czyżby z mojego powodu?

Jeszcze trochę, a zakaszle się na śmierć, przemknęło artyście przez myśl. Weźmie i się udusi, a przecież dopiero go wyleczyłem. To idiotyczne.

Na wpół świadomie otoczył się delikatnym kokonem magii uzdrawiającej. Widmo Jean-Pierre’a oddalało się powoli. Wreszcie piosenkarz jęknął cicho i otworzył oczy.

– No. Nie ograłeś mnie jeszcze, wiesz? – wychrypiał Timmy. – Nie darowałbym sobie, gdybyś mnie nie ograł.

– Ch... chyba musiałbym być Kasparowem... – Gabriel splunął krwią. – Albo wiem, dodam ci rumu do herbaty. Spijesz się... tfu... i wtedy nareszcie wygram.

– Teraz mógłbyś – zasugerował informatyk. – Mój mózg właśnie wszedł w tryb *stand-by*.

– Obydwaj napędziliście mi strachu – jęknęła Weronika. Jej życiodajna magia płynęła w kierunku Gabriela szeroką strugą. – Zaczepnijcie ze źródła, kościół jest pełen łaski. Tutaj nie musicie korzystać z własnej mocy.

– Ale ja nie wierzę w Boga – zastrzegł Timothy.

– Bądź pewien, że to Bogu wcale nie przeszkadza. – Weronika uśmiechnęła się ciepło.

Zielonoskrzydły anioł siedział obok niej na kamiennej podłodze, mrużył oczy i ziewał.

– Każda chwila jest odpowiednia na nawracanie, he? – spytał Gabriel nieco pewniejszym już tonem. – Ależ boli... Koncert we wtorek. Cholera, nieźle będę wyglądał. Może da się przypudrować?

– Daj spokój. Fanki na pewno uznają, że jesteś seksowny – prychnął Tim. – Co ci szkodzi pozgrywać raz macho... ooo – Timothy obrócił głowę, jakby nasłuchiwał. – To już! Weroniko, mam w kieszeni smartfona, wyjmij i mi podaj. Ech! Mam nadzieję, że łaska boska jest kompatybilna z moim systemem operacyjnym.

– Jeżeli on się nie obudzi, macie prawo ściąć mi głowę – mruknął Timothy Hawkins. – Wiedziałem, że teleportacja to dzisiaj zły pomysł.

Wszyscy magowie zebrali się w pokoju na pierwszym piętrze, tym samym, w którym wcześniej leżał ojciec Eunice. Lloyd pościelił wersalkę, wniesiono też rozkładany leżak. Gabriel odpoczywał na łóżku, a Weronika w skupieniu oglądała jego rany. Magia wreszcie zadziałała, ale mimo wszystko należało założyć kilka szwów. Timothy uparł się na niewygodny leżak z plecionki („Boli mnie tyle co zawsze, a poza tym jestem przytomny, dziękuję”). Obydwaj zostali obmyci z krwi i przebrani w świeże

flanelowe pizamy.

Wersalkę zajął Krzysztof Podróżnik, teleportowany do kościoła przez Timmy'ego. Wiekowy mag znajdował się w stanie głębokiego transu. Miał spowolniony puls i obniżoną temperaturę ciała. Skrzyżowane ramiona kurczowo przytrzymywały szaroniebieski gruby brulion – Błękitną Księżę. Weronika nie stwierdziła u niego żadnych ran ani nawet oznak wyczerpania. Mimo to nikomu nie udało się go wybudzić.

– Sam powiedziałaś, że nie wyczułeś żadnych zaburzeń natury magicznej. – Lloyd badawczo przypatrywał się Krzysztofowi. – Nie sądzę, żeby to była twoja wina.

– Jasne – wymamrotał Timmy. – Ciało teleportowałem, a duszy nie. A przecież słyszałem, że stamtąd wyszedł. Nie pomyliłem się, cholera.

– Uspokój się, Timmy. – Eunice kucnęła przy leżaku i ujęła jego dłoń. – Chris zawsze wie, co robi. Jestem pewna, że to też musi czemuś służyć.

– To jest *ten* Krzysztof, prawda? – zapytał nerwowo Charles Wight. – Podróżnik?

Dziewczyna skinęła głową.

– W takim razie podzielam twoje zdanie, Eunice. Ten człowiek sam jest mitem. Nie uwierzę, żeby cokolwiek mogło mu się stać.

– Możliwe, że z rozmysłem dał ci sygnał, Timothy... – rzekł Lloyd. – A potem udał się gdzie indziej. Nie pierwszy raz widzę go w takim stanie. W latach trzydziestych często wybierał się w podróże astralne, nie mogłeś tego zaobserwować. Zresztą dla niego granice między światami już dawno przestały mieć znaczenie.

– Dziwne tylko, że nas nie uprzedził.

– O, wcale nie czułbym się zaskoczony. Sam wiesz, że Krzysztof potrafi postępować zagadkowo i oczekiwać, że wszyscy go zrozumieją. Daję słowo, kiedy mieszkaliśmy jeszcze we trójkę, obydwój z Kają zachowywali się czasem jak przybysze z innej planety.

– Cóż, mam nadzieję, że nie zdziwicieję tak na starość – rzucił cybermag zgryźliwie. – Dlaczego właściwie musimy zdążyć do świtu?

– Nie wiem – odpowiedział Lloyd – Mniemam, że to ma związek ze starym porzekadłem: „Kto spędzi noc w posłaniu wroga, nie zginie od jego miecza”. Im dłużej Smok tutaj pozostaje, tym łatwiej mu na powrót wnikać w miasto. Godzina świtu jest porą magiczną.

– Jasne – mruknął Timothy. – Ile czasu nam zostało?

– Prawie dwie godziny. Noce trwają teraz długo.

– To niedużo. A ja nie mam siły myśleć – westchnął cybermag – Co to znaczy „zwrócić Smoka mitom”?

– Miejsce Smoka z Ogrodu Hesperyd jest w Ogrodzie Hesperyd – rzekł Charles. – Ale przecież nie będziemy go ciągnąć do Grecji. Zapewniam was, że szukanie odpowiedniego przejścia i opracowywanie rytuału zajęło mi długie lata.

– A ja kiedyś taki film widziałem – odezwał się Gabriel. – Wchodzili i wychodzili w tę i we w tę i nikt nie potrzebował żadnego przejścia...

– Ja rozumiem, Gabiś, że jesteś na środkach przeciwbólowych i mogłeś stracić wątek, ale nie rozmawiamy o kinematografii.

– Ty mi daj lepiej dokończyć, co? – Piosenkarz poruszył się gwałtownie, tak że Weronika o mały włos nie wbiła mu igły głęboko w ramię. – Przecież nikt z nas nie zamierza się tam przenosić. A mity wchodzą i wychodzą codziennie. Normalnie. Na przykład książkami.

Zapadła chwila milczenia.

– Czyli jedyne, czego potrzebujemy, to jakiś egzemplarz *Mitów greckich*? – odezwała się Eunice z niedowierzaniem.

– Nie j... jakiś. – Gabrielowi trochę płatał się język. – Taki dobrze zaczytany. Przetarty...

– Coś w tym jest... – zastanowił się Lloyd Dark. – Co prawda postaci z mitów i legend na ogół nie przechodzą do świata ludzi w sensie dosłownym, w innym wypadku co wieczór wypraszałbym z Syriusza Rycerzy Okrągłego Stołu. Ale Gabriel ma rację. Książka może posłużyć jako brama. Pod

warunkiem, że przeszła przez wiele rąk i wystarczająco silnie wpisała się już... a raczej wczytała... w naszą rzeczywistość.

– Że tworzy sieć z innymi opowieściami. – Timothy się zamyślił.

– Czyli w efekcie lądujemy w mojej bibliotece szkolnej. Jest najbliżej – podsumowała Eunice Wight. – Kradniemy *Mity greckie* i dopadamy z nimi Smoka... i próbujemy go wcisnąć do środka?

– *Ditto*. – Gabriel ziewnął.

– Nie. – Charles pokręcił głową. – To draństwo jest szybkie. Potrzeba nam zamkniętego pomieszczenia i porządnego rytuałów ochronnych. Inaczej ucieknie, zanim zdążymy cokolwiek zrobić. Smok musi przyjść do biblioteki.

– A potem szkoła zapłaci za remont? – wtrąciła Eunice. – Ludzie, trochę szacunku dla literatury. Skądś muszą brać lektury, w miejskiej są zawsze wypożyczone.

– Eunice, mamy dzisiaj chyba inne priorytety...

– ...Ale uważam, że sala gimnastyczna to całkiem dobre miejsce na testowanie mrocznych rytuałów – dokończyła dziewczyna.

– Otóż i to. – Lloyd Dark skinął głową. – Potrzebujemy jeszcze tylko przynęty. Jeżeli potwór ujrzy jabłko, którego poszukuje, bez wahania ruszy w pościg.

– Ale my nie mamy żadnego jabłka – zaoponował Charles. – Za to Smok mnie pamięta. To ja muszę zwabić potwora.

– Wykluczone. Z całym szacunkiem, nie nadaje się pan. Nie zna pan tego miasta. Zgubiłby pan drogę. A przecież musi pan przygotować rytuały ochronne. – Lloyd podszedł do łóżka i spojrzał na Gabriela, który biernie poddawał się zabiegom Weroniki. – Czy potrafiłbyś jeszcze dzisiaj stworzyć iluzję jabłka?

– Jasne – zgodził się piosenkarz. – Jak mi przekażecie jego obraz. Ale tylko wzrokową. Dotykową mogę, ale pobieżnie. Wiesz, jakie trudne są szczegóły?

– Pozna się, kiedy tylko zobaczy je z bliska. – Charles pokręcił głową.

– Nie pozna się – zaprzeczyła Weronika niespodziewanie. – Wie pan, u mnie nic się nie marnuje. Schowałam obierki po jabłku do słoika. Co prawda niewiele zostało w nich mocy, ale pomyślałam że do czegoś jeszcze mogą się przydać. Włożymy skórki w iluzję i sfalszujemy aurę. Są w kuchni, w lodówce na dolnej półce. Znajdzie pan?

– Jasne. – Charles Wight się uśmiechnął.

– Znakomicie. – Lloyd Dark rozejrzał się wkoło. – Timothy, zlokalizujesz Smoka.

– O ile się orientuję, pewnie nadal jest przy Wierzbie... ale sprawdzę to.

– Zwabię go pod szkołę. Panie Charles, Eunice: zajmijcie się przygotowaniem. Weroniko, widzę, że to już ostatnie szwy? Jak się czujesz, Gabrielu?

– Czuję się jak połędwica przepuszczona przez sieczkarnię – oznajmił Gabriel omdlewającym tonem. – Wszystko mnie boli, w głowie kręci mi się od prochów i chyba zaraz się wyrzycam. Ale tak poza tym to ujdzie. Możesz walczyć ze smokami, Weroniko. Ja sobie trochę pośpię. Zostaw mi tylko jakąś miskę i kubek gorącej herbaty w razie czego.

– Idę z wami – zadeklarował Timothy.

– Chyba żartujesz – zaprotestowała Eunice. – Dopiero co prawie się wykrwawiłeś.

– Nie zaprzeczę. Ale dzięki Gabrielowi już mi lepiej. – Timothy obrócił się na skrzypiącym leżaku i wyciągnął rękę. W jego dłoni zmaterializował się smartfon, uprzednio zostawiony przez Weronikę na szafce nocnej. – Na pewno znajdą się dla mnie tutaj jakieś kule... i coś na grzbiet oprócz tej flanelki.

– Proszę pana, tam przecież będzie niebezpiecznie – odezwał się ojciec Eunice. – W pańskim stanie...

– Znaczy jakim? No? – Mag podniósł się na leżaku. – No, proszę powiedzieć. Proszę się nie wstydić i zrobić mi tę przyjemność.

Charles doznał wrażenia, że popełnił gruby błąd i że jakakolwiek odpowiedź pogorszy tylko sytuację.

– Brałem udział w bardziej niebezpiecznych akcjach, kiedy pan jeszcze uczył się zginać łyżeczki. Przed chwilą mnie uzdrowiono. Mam ze sobą smartfon. Świeżą moc ze źródła. Czego jeszcze pańskim zdaniem mi potrzeba? – Zakasłał. – Jak się panu nie podoba, proszę wracać do swojej piaskownicy!

– Timothy, nie zamierzam cię łudzić. – Lloyd podniósł głos. – I powiem od razu, że jesteś tutaj niezbędny jako centrum łączności. Kto tylko ma, niech zaopatrzy się w komórkę, CB-radio. Cokolwiek. Chętnie coś pożyczę. Po wydarzeniach dzisiejszej nocy zachowywanie dyskrecji niewiele nam pomoże. Nie wiem tylko, czy poradzisz sobie z takim maleńkim komputerem do pomocy?

– Teraz, kiedy miasto jest już uwolnione, a stwór wyczerpany po walce... – Timmy zastanowił się chwilę. – Bez połączenia z Homerem to będzie oczywiście dość męczące, ale nie, aura Smoka nie powinna mi już przeszkadzać.

– A więc zostajesz. W razie potrzeby dysponujesz na miejscu wystarczającym zapasem energii, aby teleportować nawet i dziesięć osób.

– Czyli teleportujemy się na miejsce? – spytał Charles.

– Mowy nie ma. Efekty specjalne gwarantowane, równie dobrze moglibyśmy zadać w róg przed spotkaniem ze Smokiem. Po tym, co się tutaj działo, nadprzestrzeń jest dziurawa jak ser szwajcarski. Każdy skok grozi odwiedzinami gości ze Świata Cieni, utratą rozumu albo po prostu śmiercią. Nie. Centrum łączności – zgoda, ale teleportacji używamy tylko w nadzwyczajnych wypadkach. Jak już i tak zaczniemy umierać.

– Ale w takim wypadku... ja nie mogę iść – odezwała się Weronika. – Muszę pozostać na miejscu, żeby Timmy mógł korzystać z bożej łaski. Nic na to nie poradzę. On po prostu nie wierzy. W krytycznym momencie może nieświadomie odciąć się od źródła.

– Mówiłaś... – zaczął cybermag.

– Timmy, sam stawiasz osłony. Musiałam je osobiście rozplątywać – westchnęła Weronika. – Zupełnie jakbyś się wstydził pomocy.

Timothy tylko wzruszył ramionami i zaczął nonszalancko bawić się smartfonem. Natychmiast zmienił temat.

– Chciałbym wiedzieć, co tak właściwie dzieje się z Mandalą. Nie odpowiadają na telefony, włączyli automatyczną sekretarkę. A kiedy wychodziłem z astralu, wyraźnie czułem energię Emily i pozostałych. Chyba próbowali na własną rękę załatwić Smoka. Dość nieskutecznie. Mimo wszystko nie chciałbym, żeby ich zjadł, albo co...

Gabriel Shade ostrożnie dźwignął się na poduszkach. – Coś takiego. A jednak widzą coś poza czubkami własnych nosów. Może kiedyś dojrzą do współpracy.

– Miejmy nadzieję, że wkrótce dadzą o sobie znać... – Szymierz spochmurniał i zamilkł na dłuższą chwilę.

Timothy przypomniał sobie, że przed Wojną Emily Spencer i Lloyd Dark przez pewien czas byli zaręczeni. A potem Arcymistrzynie wybrała Antona Glenna i związek rozpadł się z wielkim hukiem.

– Do rzeczy – zdecydował wreszcie stary mag. – Weroniko, zostajesz tutaj. Panie Charlesie, sprowadzę Smoka do szkoły w ciągu godziny. Postarajmy się dać z siebie wszystko.

Istnieją takie więzy, których nie da się zerwać. Takie zobowiązania, których nie można spłacić całym swoim życiem. Takie grzechy, których nie da się odkupić.

Telefon komórkowy, który Paul ukrywał zwykle przed wzrokiem zakonnic oraz ciekawskich współmieszkańców, lśnił w półmroku żółtawym światłem. Jego wychudzone dłonie trzęsły się mocniej niż zazwyczaj. Wciąż się wahał.

A potem przypomniał sobie raz jeszcze, że i tak nie ma wyboru. Nie ma możliwości wyrwania się z zakłętęgo kręgu. Zbyt wysoko zaszedł niegdyś w hierarchii ulicznych dealerów tego potwora Juliusa. Na tyle wysoko, że zdecydował się na podpisanie przysięgi wierności i przypieczętowanie jej dosyć dziwnym rytuałem uwieńczonym posmakowaniem kropli krwi samego *capo di tutti capi*. Wtedy jeszcze myślał, że to jest tylko taki lokalny zwyczaj.

Dopiero potem dowiedział się od innych, że dobrowolnie zgodził się na coś równie strasznego, jak uzależnienie od heroiny. Został przywiązany do swojego mocodawcy niewidzialnym łańcuchem. Paul mógł uciekać, ale nie mógł się ukryć – Julius odnalazłby go nawet na końcu świata. Według pewnej starej cygańskiej mistyczki największym błędem Paula była jednostronność tego dziwnego paktu krwi. Chłopak został istotą podrzędną, faktycznym niewolnikiem swojego szefa. Sprzeciwiając się Juliusowi – nawet w myślach – natychmiast odczuwał efekty bardzo podobne do silnego ataku głodu narkotykowego.

Paul nigdy w życiu nie chciał mieszać się w jakieś pieprzone wudu. Nie kontaktował się z Julusem od ponad trzech lat i miał nadzieję, że zupełnie już o nim zapomniano. Życie zaczynało z powrotem nabierać barw. Stopniowo wyszedł z niewoli nałogu, znalazł przyjaciół, a odgrywanie roli naczelnego poety schroniska nawet go bawiło.

Dzisiejszej nocy wszyscy jego współmieszkańcy spali jak dzieci, a on nie mógł zmrużyć oka po krótkiej wiadomości od swojego mocodawcy. Wiedział, że powinien wyrzucić ten telefon w diabły, ale jakoś nigdy nie mógł się na to zdobyć.

Paul nie zrozumiał połowy z tego, co usłyszał za drzwiami pokoju. Zapamiętał jednak rozmowę szczegółowo, zgodnie z poleceniem. Czuł, że jeśli przekaże jej treść Juliusowi, zdradzi wszystko, na czym mu jeszcze zależało.

Pewnie będę się za to smażył w piekle. Ale smołę dla mnie podgrzewają tam już od dosyć dawna, pomyślał smętnie i z rezygnacją oparł się o zimną ścianę. Po czym guzik dotknął ekranu i wiadomość poszła w eter.

Ciche szuranie w ciemnym, pustym korytarzu sprawiło, że serce podeszło mu do gardła. Dostrzeżono go. Z cienia stopniowo wyłaniała się chuda, przygarbiona sylwetka.

To Mina, ubrana w białą koszulę nocną. Do piersi przyciskała wyliniałego pluszowego misia. W milczeniu wpatrywała się w Paula wylupiastymi, rybimi oczyma. Nie przypuszczała, żeby umiała ogarnąć umysłem całą sytuację, ale od jej spojrzenia zrobiło mu się bardzo nieswojo.

– Wicher wieje – przemówiła wreszcie dziwnym, napiętym głosem. – Wicher wieje i nie wie, że wieje. Zdmuchnie kurz. Zdmuchnie liście.

Mina zbliżyła się do Paula, wyciągnęła w jego kierunku palec wskazujący. Chłopak przylgnął plecami do ściany. Kobieta dotknęła palcem jego krtani. Teraz patrzyła mu prosto w twarz; przed oczyma miał kosmyki jej przeredzonych włosów i zwiotczałe policzki. Unikał jej wzroku.

– Na wiosnę – wyszeptała ze świstem. – Obudzi się Wierzba.

Zabrzmiało to jak ostrzeżenie.

A może jak groźba.

Parking i uliczka przed kościołem Świętej Julianny przypominały krajobraz księżycowy. Pokruszone kawały betonu, malowniczo rozrzucone po zdewastowanej nawierzchni, dawały złudzenie intensywnie prowadzonych prac drogowych. Na niewielkiej wyspie zniszczonego asfaltu, otoczone pokaźną wyrwą, stało czerwone auto Gabriela. Jego karoseria była powyginana, drzwi powyrywane. Wyglądało tak, jakby już nigdy nie miało ruszyć w żadną podróż.

– Co tu się działo? – Eunice nie wierzyła własnym oczom.

– W drodze do was natknęliśmy się na niewielkie problemy. – Lloyd Dark podszedł do samochodu i zaczął oglądać go uważnie.

– Niewielkie problemy? – zapytał Charles. – A więc jak, pana zdaniem, wyglądają duże problemy?

– Wie pan, nigdy się nad tym zbyt nie zastanawiałem. – Szymierz zajrzał pod maskę Gruchota. – Zazwyczaj w podobnych sytuacjach całą uwagę skupiam na wyjściu z nich.

– Mamy tym jechać?

– Wbrew pozorom, to dość błahe uszkodzenia. Niełatwo zniszczyć auto Gabriela. Silnik jest cały, mechanika również. Trzeba tylko zająć się blachą. Ale nie, raczej nie. Nawet z pomocą magii naprawa

zająłaby mi co najmniej godzinę, a nie mamy tyle czasu. Jak daleko jest stąd do twojej szkoły, Eunice?

– Dwadzieścia minut autobusem, dwie godziny piechotą – odpowiedziała. – Na taksówki w tej dzielnicy raczej nie warto liczyć. Autobusy chodzą już od piątej. Podejźmy tylko na przystanek, stąd na pewno złapię jakieś połączenie.

– Znakomicie.

– A ty...?

Szermierz odwrócił się tyłem do nich. Ciemna, wysoka sylwetka odcinała się wyraźnie na tle półmroku szarej godziny. Kilka kosmyków czarnych włosów wymknęło się z kucyka, łagodząc ostre rysy twarzy. Spoglądał daleko przed siebie.

Zapewne był to jedynie wpływ zmęczenia po nieprzespanej nocy, ale Eunice doznała odczucia déjà vu. Brakuje mu zbroi, pomyślała sobie. I lunety w dłoni. A dookoła powinni się zgromadzić...

Lloyd Dark zagwizdał głośno na palcach i wrażenie przysło. Chwilę później usłyszeli głośny warkot motocyklowego silnika. Zabytkowy krążownik szos zbliżał się bez udziału kierowcy. Zatrzymał się w pewnej odległości od swojego pana, tam gdzie nawierzchnia była jeszcze przejezdna. Mag podszedł do pojazdu lekkim krokiem i dokonał pobieżnych oględzin. Najwyraźniej wypadły one pozytywnie, ponieważ wszedł na motocykl i zsalutował im z lekkim uśmiechem.

– Powodzenia – powiedział.

I nie zwlekając już dłużej, ruszył na spotkanie Smoka.

Odrapana ławka pod wiatą przystanku doszczętnie zwilgotniała od śniegu. Architekt, który zaprojektował rachityczną budkę z pleksiglasu, pewnie sam nigdy nie jeździł autobusami.

Ani śnieg, ani zimno nie przeszkadzały chuderlawemu człowiekowi, który spał oparty o plastikową ściankę z głową odchyłoną do tyłu i szeroko otwartymi ustami. Roztaczany przez niego odór strawionego alkoholu docierał do Eunice i jej ojca z odległości dobrych kilku metrów.

Dziewczyna niecierpliwie przestępowała z nogi na nogę. Czowała, jak marznie jej nos i koniuszki palców. Półprzytomna z niewyspania, myślała o książkach fantasy, jakie często czytywała. Jak to jest, dumiała Eunice. W takich powieściach nikt nie musi czekać na autobus, żeby ocalić miasto. Bohaterowie nie miewają ciekącego nosa ani obtartych pięt. Nie krępują im ruchów pożyczone, za duże spodnie.

Zerknęła na Charlesa. Cudownie odnaleziony ojciec bohaterki okazuje się magiem, który skradł jabłko z Ogrodu Hesperyd. To by nawet nieźle wyglądało w książce. Każda historia brzmi heroicznie, jeżeli zostanie opowiedziana we właściwy sposób.

Ścisnęła w dłoni srebrny krzyżyk, który dostała od Weroniki. Zakonnica rzadko się z nim rozstawiała i podobnie jak miecz Lloyda przez lata zdążył nasiąknąć jej mocą. Czy symbol chrześcijański może przydać się do czegokolwiek w walce z potworem ze starożytnej mitologii? Czy poprawi ich szanse w walce ze Smokiem?

Chyba gonię w piętę, pomyślała ponuro. Niech ten autobus wreszcie przyjedzie.

Jej życzenie spełniło się minutę później. Numer sto piętnasty zatrzymał się z piskiem, wydając z siebie ciężkie stęknienie. Śpiący na ławce mężczyzna wymamrotał coś bardzo niepoehlebnego, opuścił głowę i głośno zachrapał.

Wbrew pozorom autobus o tej porze wcale nie wydawał się pusty. Z tyłu przycupnęło kilku „wczorajszych”, którzy pokładali się na fotelach. Jak najdalej od nich i jak najbliżej kierowcy rozsiedli się ludzie zdążający do pracy, szarzy, zmęczeni i źle ubrani. Patrzyli tępo w okna albo przysypiali. Jakiś bardziej przytomny pasażer czytał wczorajszą gazetę.

Eunice chuchała w dłonie i rozcierała je energicznie. Co właściwie zrobią, kiedy znajdą książkę i zwabią już Smoka? Czy dadzą mu radę we trójkę? Oby plan Lloyda poskutkował jak należy.

– Zaufał ci – odezwała się cicho. – Powinieneś być mu wdzięczny.

Charles Wight badawczo przyjrzał się córce.

– Zakochałaś się w nim?

– Co za pytanie! Przecież on jest strasznie stary. Mógłby... – urwała.

– Być twoim ojcem – dokończył Charles z pozorną obojętnością.
– Raczej pradziadkiem. – Dziewczyna nieskutecznie spróbowała rozładować atmosferę. – Wiesz, że nie umie wysyłać esemesów? A na emaile mówi „listy komputerowe”. Mówię ci, żywa skamielina.

Ojciec dziewczyny postanowił podjąć grę:

– On jest w końcu Anglikiem czy Japończykiem?

– Gorszą połową każdego z nich.

– Aha. – Charles pokiwał głową. – Czyli flegmatyczny furiat. Rozumiem.

Nagle pojazdem szarpnął wstrząs, a zaraz po nim następny – kierowca gwałtownie hamował, jednocześnie skręcając ostro w prawo. Eunice wypadła z fotela i odruchowo oparła się dłońmi na zabłoconej podłodze. Rozległ się donośny huk, wraz z akompaniamentem przerażonych krzyków pasażerów. Autobus zakręcił jeszcze raz, prawie w miejscu, a potem stanął.

– Terrorysty! – wrzasnęła jakaś kobieta na siedzeniu z przodu i tym samym wznieciła taką panikę, że gdy chwilę później kierowca opuścił swoją kabinę, środkowe drzwi zostały już wyważone przez dwóch młodych mężczyzn.

– Proszę się uspokoić! – huknął kierowca. – Spokój! Nie ma żadnych terrorystów! Człowiek prawie wpadł mi pod maskę! Wzywam pogotowie. Wysiadać, idźcie państwo czekać na przystanek. Zaraz przyjedzie drugi autobus.

Eunice podniosła się z kolan, dokładnie otrzepując spodnie, przez co udało jej się tylko lepiej rozprowadzić błoto na nogawkach.

– Autobus, którym jedziemy... – mruknął Charles. – Nie wierzę w takie przypadki.

– Mam szczerą nadzieję, że to zwykły pech – westchnęła. – Jeszcze trzy przystanki. Kwadrans piechotą, o ile się pospieszymy.

Skręcili w boczną, osiedlową ulicę. Minęli śmietnik z szarej cegły i żeliwną bramę prowadzącą na podwórze staroświeckiej kamienicy podobnej do tej, w jakiej mieszkała Eunice. Dolne okna były zakratowane, z nadkruszonych gzymsów zwieszały się długie sople lodu. Kilka lat temu komuś przyszło do głowy odmalować budynek, używając do tego celu jaskrawożółtej farby. Kanarkowy kolor ścian poszarzał z czasem od spalin i stopniowo nabrał nieprzyjemnego, chorobliwego odcienia. Kamienica szybko przyciągnęła uwagę miejskich graficiarzy i obecnie wyglądała jak sen pijanego malarza abstrakcjonisty.

Dziewczyna mimowolnie zarejestrowała wszystkie te szczegóły, uważnie obserwując okolicę. Coś jej tutaj nie pasowało, brakowało czegoś ważnego. Stałego elementu krajobrazu.

Rozległo się gwałtowne prychnięcie. Z zaułka wyskoczył łaciaty kot, zjeżony do tego stopnia, że wydawał się dwukrotnie większy.

Ptaki! Eunice uderzyła się w czoło. O tej porze powinno być ich pełno!

– Tato, uważaj – odezwała się spanikowana. – Ktoś nas...

– Au! – jęknął Charles i dotknął ręką szyi.

– Tato?!

– To jakaś... – zaczął mag zdumiony. – Strzy...

Zabełkotał coś niezrozumiale i stracił równowagę. Eunice zdołała go tylko podtrzymać, aby nie upadł twarzą w kałużę.

– Strzykawka. Kurrrwa! – Dziewczyna poczuła, że zaczyna się trząść. Środek usypiający? Trucizna? Co się robi w takich wypadkach? – Kto u diabła...

– Gdybyś przypadkiem wpadła na jakiś głupi pomysł, mam go na muszce – rozległ się fałszywie łagodny głos i Eunice wiedziała już, kogo zobaczy, jeśli uniesie głowę. – Owieczko.

Julio Vicente de Toledo stał w odległości kilku kroków od nich i uśmiechał się wrednie, odsłoniwszy bielutkie wampirze kły. Brylant w jego uchu skrzył się delikatnie; połyskiwała lufa eleganckiego pistoletu, profesjonalnie zaopatrzonego w tłumik.

– Raczej się nie zawaham – poinformował ją wampir i na poparcie swoich słów strzelił.

Kula drasnęła Charlesa w łydkę. Eunice krzyknęła przerażona.

– Niesłychane. Całkowicie niewiarygodne. – Julius westchnął i wycelował nieco wyżej, w samo

serce. – Magowie spodziewają się magii. Magowie zabezpieczają się przed magią. Ale zwykła chemia... masz w ogóle pojęcie, ile to kosztuje?

– Czego właściwie chcesz? Nie możesz tutaj polować.

– Znam każde słowo traktatu, słoneczko ty moje. – Pieszczotliwe zdrobienie zabrzmiało wyjątkowo ironicznie w ustach wampira. – Ten człowiek przybył na moje terytorium i się nie przedstawił. Ponadto jest mi winien krew. Nieznajomy mag, intruz. Mam prawo wyrównać z nim porachunki.

– To bardzo naciągany pretekst.

Dziewczyna zastanowiła się, czy może pomóc sobie magią losu. Zakłąć pistolet w taki sposób, żeby nie trafił.

– Naturalnie masz rację. Będę musiał długo przekonywać starszyznę, aby dopomogła mi w wojnie z wami. Dlatego postanowiłem, że oddasz mi tego człowieka jako zakładnika. Nie zawiedziecie mnie chyba i spróbujecie go uratować. W ten sposób sami złamiecie traktat bez szczególnego wysiłku z mojej strony. Ach, tak przy okazji, ten pistolet jest odporny na magię losu.

– Skąd...

– To zasługa mojego bardzo drogiego przyjaciela. *Brilliant mage*.

Rozbawiony własnym dowcipem wampir ponownie zaprezentował kły.

– Myślisz, że tak po prostu go oddam? – zaprotestowała Eunice.

– Trudno. – Julius wzruszył ramionami. – W takim razie strzelam. Fakt, będzie potem trochę tłumaczenia...

– Czekaj!

– Przecież czekam. – Wampir ziewnął. – Ale już zaczynam się nudzić.

Eunice pomyślała, że tak właśnie musi czuć się ryba schwytana na wędkę albo mysz w pułapce. Skąd w ogóle Julius wiedział, gdzie ich znaleźć?

– Nie rozumiesz, co tu się dzieje. Nie masz pojęcia, z czym walczymy. Jeśli nie pozwolisz nam odejść...

Słowa uwięzły jej w gardle. Hrabia Północnej Bramy przypatrywał się jej badawczo. Spoważniał nagle, porzucił drwiące miny i grę pozorów. Jego spojrzenie stało się zimne, stanowcze... i bardzo nieludzkie. Eunice zorientowała się, że jakimś cudem wampir wie już o wszystkim.

– W czasach konkwisty sprzymierzyliśmy się z demonem. – Cichy głos Juliusa wyraźnie rozbrzmiewał w pustej uliczce. – Bogiem Azteków. Pożądał krwi, którą zapewniali mu jego wyznawcy. My obiecaliśmy więcej i dotrzyмалиśmy słowa. Opłaciło się, wiesz? Myślę, że z tym panem także można znaleźć wspólną płaszczyznę porozumienia. Nie lubi was tak samo jak ja. A sam nie da rady wyłapać wszystkich.

Dziewczyna bezwiednie zacisnęła dłoń na krzyżyku Weroniki. Czy jej się tylko zdawało, czy dostrzegła, jak wampirowi drgnęły powieki?

Wstrzymała oddech. Krzyżyk! Nagle przypomniała sobie jedną z lekcji Lloyda.

„Większość rekwizytów znanych ci z filmów grozy: czosnek, woda święcona, krzyże, jest całkowicie nieprzydatna w obliczu prawdziwego wampira. Równie dobrze mogłabyś bronić się przy pomocy lemoniady – tłumaczył szermierz. – Ale są wyjątki od tej reguły. Na przykład Julius, bezwzględny mafiozo narkotykowy, brzydzi się świętych symboli. To ma coś wspólnego z jego psychiką, rozumiesz. Julius jest na swój sposób głęboko wierzący...”.

Ciekawa informacja, ale, niestety, bezużyteczna – przynajmniej dopóki pistolet z tłumikiem pozostawał wycelowany prosto w głowę Charlesa.

Co zrobić? Co zrobić? Na pewno istnieje jakieś wyjście z tej sytuacji.

„Eunice, furtka była zamknięta. Wiedziałabym, gdybyś ją otworzyła”.

„Furtka była zamknięta”.

Świeże wspomnienia, poprzednio zignorowane w następstwie szoku, gwałtownie wypływały na powierzchnię.

Jak ja to zrobiłam? Jak przedostałam się na teren kościoła?

Nie potrafiła jeszcze teleportować się, choćby na krótkie odległości. Poza tym nawet Timothy'emu sprawiało to dzisiaj trudność, mówił coś o problemach z czasoprzestrzenią. Ale mogła... tak... o rany, przecież to jasne. Mogła instynktownie użyć innego rodzaju magii. Przejść przez metalową bramę jak przez powietrze. Ćwiczyła tę sztukę pod kierunkiem Timmy'ego, do tej pory z mizernym efektami. A teraz... gdyby tylko umiała to powtórzyć!

– Słoneczko – odezwał się Julius. – Twoje urocze cielece spojrzenie nie zadziała na mnie, chyba zdajesz sobie z tego sprawę. Czekam na twoją decyzję. Liczę do trzech. Raz... dwa...

Przed jej oczyma ukazywały się twarze – Timothy, Gabriel, Weronika, Lloyd...

„Dziesiątki innych wymiarów, Eunice...”

„Wzajemne przenikanie materii i energii. Ja i dźwięk stajemy się jednością...”

„Z prochu powstaliśmy, lecz dusza jest nieśmiertelna”

„Wszystkie ograniczenia są w twojej głowie”

Gwałtownym gestem dziewczyna wyciągnęła krzyżyk.

– Apage, chuju...!

Julius odruchowo nacisnął cyngiel. Dobrze wymierzony pocisk trafił Charlesa, a wtedy...

Jakby przestrzelił hologram, kula po prostu wbiła się w asfalt.

W tym samym momencie Eunice zerwała się na równe nogi, podtrzymując ojca, z krzyżykiem w dłoni wyciągniętym przed siebie. Dopóki się koncentrowała i nie wypuszczała Charlesa z rąk, obydwójce byli niematerialni jak duchy. Rzuciła się naprzód, prosto na hrabiego Północnej Bramy.

Są takie chwile, gdy o ludzkich losach nie decydują umiejętności ani przygotowanie, ale szczęśliwy traf. A ta noc w Farewell sprzyjała zbiegom okoliczności. W połowie należała do Mitu, w połowie do Opowieści, a zarówno jeden jak i drugi świat kocha historie, w których słabszy zwycięża w obliczu przeważającej siły przeciwnika. Wampir spodziewał się wszystkiego, ale nie tego, że Eunice, natchniona świeżo odkrytą mocą, spróbuje przez niego przeniknąć razem z krzyżykiem.

Poczuła, jakby tysiąc drobnych igiełek kłuło ją od wewnątrz.

Julio Vicente de Toledo mógłby skontrolować jej magię. Mógłby użyć własnych wampirzych mocy, aby ją schwytać. Miał jednak bolesną świadomość srebrnego krzyżyka przechodzącego przez sam środek jego wnętrza. Krzyżyka, który należał do Weroniki. Pamiętał wiarę i moc zakonnic i przez lata stał się czymś więcej, niż zwykłym przedmiotem. Targnęło nim potężne obrzydzenie; z całą pewnością wymiotowałby, gdyby tylko wampiry mogły wymiotować. Niemal natychmiast odzyskał rezon i odwrócił się w stronę magini, w pełni skupiony i gotów zabijać. Ale Eunice zniknęła już za rogiem razem z niedoszłym jeńcem.

Są takie chwile, gdy ludzkim losom sprzyja Opowieść. Trzeba jednak pamiętać, że jej prawa każą płacić za niespodziewane zwycięstwa. I tym razem, przenikając przez hrabiego Północnej Bramy, Eunice splótła z nim losy i zyskała potężnego, zaprzysięgłego wroga.

Od tej pory wampirzy władca półświatka nie dbał już o żadne traktaty. Rozmyślał nad bardzo okrutną zemstą. Zamiar ten zgadzał się z jego długotrwałymi planami względem miasta, ale teraz to była już sprawa osobista. Gdy wreszcie zabierze się za magów, zacznie od niej.

Ulica Czterdziesta Dziewiąta znajdowała się niedaleko samego centrum miasta. Przez lata dookoła wyrastały nowe bloki, wieżowce i supermarkety. Dwie przecznice dalej zbudowano nowoczesne gimnazjum. Poszerzono trasę przelotową, odremontowano chodniki; na wszystkich skrzyżowaniach założono sygnalizację świetlną.

Tylko mała jednokierunkowa uliczka czterdziesta dziewiąta pozostała nietknięta nowoczesnością. Nikt nie wiedział, dlaczego tak się stało. Stojące przy niej domy, puste i zdewastowane, od dawna czekały na rozbiórkę. Nawet uliczni chuligani rzadko odwiedzali to miejsce. Miało w sobie coś niesamowitego, zwłaszcza kamienica numer siedem budziła podświadomy lęk. Dzieci powtarzały sobie szeptem, że tam straszy. Starsza pani Blake, która od lat sprzedawała kwiaty za rogiem, twierdziła, że ulica czterdziesta dziewiąta była świadkiem tragicznych wydarzeń. Nigdy jednak nie powiedziała

jakich.

Ta historia jeszcze się nie zakończyła, tak przynajmniej mówiła pani Blake, i pewnego dnia wszyscy zobaczymy jej finał. A do tego czasu niech pozostanie okryta mgłą tajemnicy.

Dla Lloyda dom siódmy przy Czterdziestej Dziewiątej symbolizował złotą erę, dawno miniony sen. Po tylu latach wspomnienia mieszały się, szermierz czasami nie mógł dojść do porządku z ich kolejnością. Z niezmienną wyrazistością pamiętał jednak dzień, w którym po raz pierwszy zobaczył podwórze kamienicy i wielką, rosochatą Wierzbę. Słońce raziło go wtedy w oczy – nie wychodził na powietrze przez cały rok i jeden dzień. Był wyleczony z szaleństwa. I chociaż poczucie winy miało dręczyć go jeszcze przez długie lata, cieszył się pierwszym dniem wiosny, chłodnym, lecz zapowiadającym lepsze czasy. Słuchał, jak Krzysztof i Kaja śpiewali jakąś zabawną piosenkę w ich szeleszczącym, ojcystym języku i chociaż rozumiał tylko pojedyncze słowa, śmiał się razem z nimi.

Wieczorem udali się do klubu Darling Lou, jednego z tych, w których potajemnie serwowano alkohol. Pamiętał, że tańczył charlestona z prześliczną blondynką i cała sala wpatrywała się w nich; pamiętał, że upił się prawie do nieprzytomności i nie pozwolił otrzeźwić się magią. Znalazł swoją chwilę zapomnienia w butelce, a potem bardzo się tego wstydził.

Na początku mieszkali tam we trójkę, a z czasem w mieście pojawiali się następni – Weronika, Anton... Lustrzany Zamek wysłał młodą mistrzynię Emily Spencer, aby śledziła niedające się przewidzieć poczynania magów z Farewell. Zaprzyjaźniła się z nimi zanadto i tym samym Zamek utracił lojalnego szpiega.

Jako ostatni przybył do nich młody Timothy, geniusz i złota rączka. W połowie lat sześćdziesiątych Stany Zjednoczone i Związek Radziecki ściagały się w poszukiwaniu tajemnicy ESP. Magowie spod numeru siódmego wyciągnęli Timmy'ego z rządowego laboratorium, razem z dwoma innymi obiektami badawczymi – prawdziwym wilkołakiem oraz wróżką oszustką. Jako zagorzały miłośnik rocka, ruchu hippisowskiego oraz nowych technologii chłopak wyrócił życie magów z kamienicy do góry nogami. Zaraził ich nawet modą na długie włosy i kolorowe dzwony.

Później nadeszła Mroczna Wojna i dobre czasy się skończyły. Zginęła Kaja, Krzysztof prawie wycofał się z życia. Antonowi i Timothy'emu przez kilka miesięcy niewiele brakowało do śmierci. Zresztą magia Mrocznej Ścieżki trwale odcisnęła na nich ślady, każdy z nich został dotknięty odmienną klątwą. Emily Spencer bardzo się zmieniła – stała się podejrzliwa, nerwowa, zamknięta w sobie. Nie potrafiła już współpracować ze swoimi niegdysiejszymi przyjaciółmi, wołała nimi rządzić. Próbowali z nią rozmawiać, ale to nie dało żadnych efektów. Poza Antonem wszyscy wkrótce mieli jej dość.

Lloyd westchnął bezgłośnie, a potem zatrzymał swój motocykl u wylotu ulicy czterdziestej dziewiątej i wyciągnął z kieszeni niewielkie przenośne radio.

– Zgłasza się Trójka – odezwał się przyciszonym tonem. – Jestem w punkcie zero. Potwierdź odbiór. Over.

– Słyszę cię – odpowiedział lekko zniekształcony głos Timothy'ego. – Nie wygłupiaj się, nikt nas nie śledzi. I jak to wygląda?

– Na razie czysto. Czuję, że jest niedaleko, ale jeszcze mnie nie dostrzegł. Jeżeli porozmawiamy bezpośrednio, przekażę ci obraz sytuacji. – Mimo zapewnień przyjaciela, szermierz wołał nie wypowiadać na głos słowa „telepatia”.

– Dziękuję, chyba nie ma takiej potrzeby – odparł Timmy. – Muszę pilnować tamtej dwójki. Nie mogę ich złapać, coś przerywa kontakt. Niby nic poważnego, ale wcale mi się to nie podoba.

– Strzeż ich więc – polecił Lloyd z powagą. – I nie rozmawiajmy już więcej. Kiedy stanę w szranki ze Smokiem, będę potrzebował skupienia. Over.

– Over, staruszkule, over. Nie daj się zjeść.

Lloyd Dark melancholijnie uśmiechnął się do siebie, ukrył motocykl w załomie zniszczonej ściany i ruszył naprzód. Szedł samym środkiem uliczki, nawet nie próbował się ukrywać. Pod jego ciężkimi butami chrząścił gruz.

Zbyt wiele wydarzyło się w tym miejscu. Odszczepieńcy nie żałowali klątw podczas walki i chociaż czarodzieje gruntownie oczyścili uliczkę ze skażonej energii, po Wojnie nikt już tutaj nie chciał

mieszkać. Najpierw wyprowadzili się magowie, potem stopniowo swoje domy zaczęli opuszczać okoliczni mieszkańcy. Szermierz do tej pory pamiętał niektórych sąsiadów. Pod czwórką mieszkała rodzina z sześciorgiem dzieci, ich ojciec – pan Mathias – dorobił się małej fortuny na handlu słodyczami. Na parterze piątki niewielki warzywny sklepik prowadziła rumiana pani Bramborova. Jej lokatorzy, zaangażowani politycznie studenci, organizowali co tydzień spotkania poetyckie. Czasami dało się usłyszeć, jak śpiewali przy akompaniamencie gitar.

Który z magów dbał wtedy o zachowanie incognito? Nikogo z sąsiadów jakoś nie zastanawiało, dlaczego mieszkańcy siódemki się nie zestarzelili. Umykało to ich uwadze, może dzięki wpływom Kai. A może po prostu czasy były inne, bardziej magiczne.

Teraz okna czwórki straszły pustką, szyld sklepiku pani Bramborovej wyblakł prawie do cna, a żeliwny balkon, na który kiedyś studenci wychodzili zapalić, niszczał od rdzy. Kamienice z wolna popadały w ruinę. Sypały się gzymsy, w opustoszałych pomieszczeniach hulał wiatr. Czasami można było natknąć się na zbląkanego kota. One również nieczęsto odwiedzały ulicę czterdziestą dziewiątą, w nieobecności ludzi nie miały czego tam szukać.

Krok za krokiem szermierz zbliżał się do źródła mitycznej potęgi. Nawet początkujący mag wyczułby z daleka takie natężenie mocy. Ba, zwykły człowiek wiedziałby, że powinien jak najszybciej się stąd ulotnić. Lloyd w pewnym momencie zorientował się, że braknie mu oddechu, że chociaż świadomie nie odczuwa strachu, jego pierwotny instynkt próbuje skłonić go do ucieczki. Zastosował jedną z podstawowych technik medytacyjnych i zdołał się uspokoić. W samą porę.

Kiedy bowiem minął już kamienicę numer sześć, jego oczom ukazał się obraz jakby wzięty prosto z koszmaru.

Cały chodnik zaścielały płaty smolistej substancji. Grube, czarne żyły oplotły rosochatą wierzbę i szkielety ławek, wpełzły na ściany najbliższych budynków. Materia sprawiała wrażenie ożywionej, pulsowała i rozprzestrzeniała się dookoła, wciąż pochłaniając kolejne powierzchnie. Jak małe grzyby kielkowały z niej na wpół ukształtowane węzowe główki, które prawie natychmiast pękały, strzelając lepką cieczą na wszystkie strony. Wszystko, co weszło choćby w przelotny kontakt z czarną mazią, ulegało stopniowej absorpcji. Cegły topiły się jak masło, w ścianach tworzyły się wielkie wygryzione dziury.

Wierzba pozostawała nienaruszona. Pasożyt nie wywierał na nią żadnego wpływu. Zdawała się rosnąć w tym miejscu od początku wszechświata, zbyt głęboko ukorzeniona w starej ziemi, żeby jakkolwiek siła mogła ją zniszczyć. Choć czarne żyły dotarły już do korony drzewa, nie mogły na dobre przykleić się do pnia. Lloyd odniósł wrażenie, że unosiły się w odległości kilku centymetrów od powierzchni kory.

Cały ten proces trawienny nie przebiegał w ciszy. Każda z węzowych główek syczała własnym głosem, a pożeraniu fragmentów ścian towarzyszył piskliwy zgrzyt, jakby ktoś rysował nożem po szkłe. Dało się słyszeć także jęki podobne do zniekształconych ludzkich głosów. Szermierz szybko zauważył, że dźwięki powtarzają się regularnie, że tworzą coś na kształt kakofonicznej, kulawej muzyki.

Z jakiegoś powodu melodia wydała mu się znajoma. Gdzie ja to słyszałem...? Z całą pewnością nie w radio, zastanawiał się mag. Żaden szlagier, ale coś znanego. Miał to na końcu języka... o, niebios. Oczywiście. Kto by pomyślał...

Lloyd wstrzymał oddech ze zdumienia. Słyszał tę kołysankę dziesiątki lat temu, poprzez furie, która spowijała wtedy jego umysł, w innym języku, którego później zdołał się nauczyć. Miała wtedy inne słowa, i jak wiele z nich, była także zaklęciem. Smok naprawdę wiedział, z kim walczy. Naprawdę ich pamiętał. Próbował używać przeciwko nim ich własnej magii w spaczony, zniekształconej formie.

Już gwiazdy lśnią

Już duchy śpią

Sen zmorzył Wiatr Jesienny

Więc liście stul

Gdy przyjdzie mróz

Śpij dalej snem kamiennym...

Zaabsorbowany snuciem melodii, Smok nawet nie dostrzegł zbliżającego się szermierza. Mag zatrzymał się w pewnej odległości od kipiącej, smolistej masy. Nieoczekiwanie odżyło w nim stare wspomnienie. Kiedy jako dziecko mieszkał w internacie szkoły dla młodych dżentelmenów, okno jego pokoju wychodziło na dziedziniec. Pewnego razu obudził się w środku nocy i w oddali za szybą ujrzał ciemny, wzdęty, podobny do meduzy kształt, wielki jak słoń, a może nawet wieloryb. Falował miarowo na wietrze, zdawał się oddychać. Lloyd nie zasnął już do świtu, skulony pod kołdrą, przekonany, że zobaczył potwora. Rankiem okazało się, że późnym wieczorem przed szkołą wylądował balon. Pozostawiono go na dziedzińcu, nie podgrzewając w nim powietrza.

Oczywiście nikomu się nie przyznał, że przeżył wtedy jedną z najstraszniejszych nocy swojego życia.

Szermierz znów przywołał w myśli techniki medytacyjne, uspokoił bicie serca. Wiedział, że Smok świadomie roztacza wokół siebie aurę lęku i wykorzystuje najbardziej podstawowe z ludzkich instynktów. Był w końcu Strażnikiem Ogrodu Hesperyd, starożytnym monstrem. Musiał znać się na tym, co robił.

– Dziecinna kołysanka, kołysanka dla wierzby – odezwał się Lloyd mrukliwie. – Czyżbyś uważał, że jest potrzebna, Stugłowy Smoku z Ogrodu Hesperyd?

Dopiero teraz stwór zdał sobie sprawę z obecności szermierza. Czarne wypustki skurczyły się i pogrubiały, węzowe główki zasyczały chóralnie. Mag oddychał spokojnie, kontrolując strach. Z pozoru całkowicie rozluźniony, cierpliwie wyczekiwał, kiedy Smok postanowi ruszyć za nim w pościg. Przynętę cały czas trzymał w kieszeni.

– Układasz ją do snu – ciągnął spokojnie. – Ale przecież Wierzba śpi od ponad trzydziestu lat, nieprawdaż? Została zapieczętowana przez Kaję, tylko ona mogłaby zdjąć zaklęcie. A może myliliśmy się od samego początku?

– Nie boisz się nass, hsssssss... – Trzy większe głowy uformowały się nad powierzchnią ciemnej substancji. – Powinieneśś kulić się ze strachu, o tak...

– Przyznaję, że na twój widok niektórym może zrobić się nieswojo – rzekł szermierz. Odkrycie, jakiego dokonał przed chwilą wzbudziło w nim takie zdumienie, że na moment zapomniał o hipnotycznej magii Smoka. – Jednak ty lękasz się czegoś znacznie bardziej niż ja ciebie. Obawiasz się, że obudziliśmy Wierzbę.

Potwór już się nie rozprzestrzeniał bezładnie na podwórzu. Jakby urósł, zebrał się w sobie, uformował coś na kształt węzowatego cielska. Grube wypustki na powrót wessały się do pierwotnej masy. W ich zastępstwie pojedyncza żyłka wystrzeliła w stronę Wierzby i podzieliła się na cały pęczek nici, które owinęły się wokół drzewa.

– Hsssssss... Chceszszsz nam przeszkodzić? Tym blaszonym patyczkiem, igielką? Ssssssss... No zbliż sssię! Dalej!

Lloyd przełknął ślinę. Reakcja stwora pokazywała, że trafił w dziesiątkę. Aura Smoka zgęstniała nagle w nieprawdopodobnym stopniu. Lęk i agresja. Niewiele brakowało, a szermierz zareagowałby na prowokację jak drapieżne zwierzę. Wiedział, że jeśli straci nad sobą panowanie, to albo skoczy na przeciwnika w przyływie furii, albo rzuci się do natychmiastowej ucieczki.

– Poważnie zastanawiam się nad przyjęciem wyzwania. – Sięgnął lewą ręką do kieszeni płaszcza. – Najpierw jednak chciałbym zapytać, czy przypadkiem czegoś nie zgubiłeś.

I Lloyd Dark zaprezentował lśniący, złocisty owoc.

Potwór skulił się jak pijawka dźgnięta patykiem. Zasyczał tak głośno, że zapewne było go słychać na sąsiedniej ulicy. Po czym gwałtownie poderwał się z legowiska i całą swoją masą ruszył wprost na

szermierza.

Mag odbił się od pokruszonego asfaltu i wyskoczył na kilka metrów w górę, jakby nie obowiązywały go prawa grawitacji. Obrócił się w zgrabnym saltie, miękko opadł na ziemię pół ulicy dalej. A potem gwizdnął donośnie.

W przeciągu trzech uderzeń serca zza rogu wyłonił się motocykl.

Bestia zbliżała się błyskawicznie. Lloyd dosiadł harleya w ostatniej chwili. Smoliste nibynóżki musnęły rąbek płaszcza, wygryzając w nim pokaźną dziurę. Silnik zaszumiał na wysokich obrotach, znajomy zapach palonej gumy polectała nozdrza szermierza. Adrenalina uderzyła mu do krwi.

Z zawrotnym przyspieszeniem opuścił uliczkę czterdziestą dziewiątą. Niemal czuł oddech Smoka za plecami, kątem oka dostrzegał wyciągające się w kierunku motocykla wypustki. Manewrował zwinnie, starając się ich unikać. Aż do bólu zaciskał dłonie na kierownicy.

Skręcił w boczną ulicę. Podświadomie układał już trasę, która pozwoli mu wodzić Smoka za nos przez dłuższy czas. Miał nadzieję, że nie natknie się o tej porze na zbyt wiele pojazdów.

Wskaźówka prędkościomierza wychylała się poza czerwoną kreskę. Szermierz pruł środkiem jezdni sto dwadzieścia mil na godzinę. Choć z pomocą magii poprawił refleks ponad ludzkie możliwości, ledwie nadążał z wymijaniem samochodów. Światła latarni zlewały się w jedną żółtą smugę. Po obu stronach jezdni kierowcy gwałtownie zjeżdżali na chodnik, nie do końca zdając sobie sprawę z tego, co robią. Podświadomie reagowali na niebezpieczeństwo, niewiele jednak zapamiętywali. Widok monstrum nie mieścił się w pojmowaniu zwykłych ludzi, ich umysły racjonalizowały i spychały do podświadomości to, co się właśnie działo.

Lloyd zacisnął zęby. Poprzez szum w uszach i warkot silnika docierały do niego zniekształcone prędkością dźwięki klaksonów oraz odgłosy rozpaczliwego hamowania. Planował zaciągnąć bestię do kwartału jedenastego, tam zazwyczaj było pusto.

I wtedy właśnie usłyszał słaby, dziecięcy płacz. W pierwszej chwili był przekonany, że to tylko złudzenie. Po chwili jednak cienki głosik zabrzmiał wyraźniej.

Tato. Tato!

Jego oczy rozszerzyły się ze zdumienia. Rozpoznałby ten głos nawet za pięćset lat, w innym świecie i w innej rzeczywistości. Stracił kontrolę nad pojazdem, wpadł w poślizg na mokrej jezdni, ledwo wyhamował z przeraźliwym piskiem. Tylko cudem nie rozbił się prosto na ciężarówce nadjeżdżającej z naprzeciwka. Rozległo się kilka donośnych uderzeń, nastąpił karambol z udziałem co najmniej trzech samochodów. Jedna z głównych osiedlowych ulic w pobliżu centrum miasta została właśnie zatarasowana, ale mag nie zdawał sobie z tego sprawy.

Podniósł motocykl, nie czując, że zdarł sobie z prawej łydki spodnie razem ze skórą. Obejrzał się za siebie.

Spowita w kłęby siwego dymu, zbliżała się do niego drobna, dziecięca sylwetka. Kilkuletnia dziewczynka o śniadej skórze i lekko skośnych oczach. Miała na sobie kretonową, staroświecką sukienkę. Na jej ubraniu, na twarzy i rączkach znać było smugi sadzy. Tuliła do siebie dużą, szmacianą lalkę.

Ratunku! Tato, oni tu idą. Ratuj mnie!

– Soledad, moja malutka – szepnęła Lloyd drżącym głosem, całkowicie nieświadom tego, co dzieje się wokół. Zatoru drogowego, wyjących samochodów, rozkrzyczanych ludzi. – Soledad. Ty przecież nie żyjesz!

Nagle poczuł piekący ból, jakby coś przypalało mu bok. Instynktownie odskoczył, dobył miecza i obracając się wokół własnej osi, ciał na odlew. Wężowy łepiek na grubej szyi upadł na asfalt, trzepocąc się jak ryba.

Szermierz otrzeźwiał, złudzenie prysło. Nigdzie nie było żadnej dziewczynki. Naprzeciw niego wznosiły się dziesiątki połyskliwych węży barwy atramentu, wyrastających z pulsującego korpusu. Odcięta głowa pełzła po jezdni, zapewne dążąc do wessania się z powrotem w cielsko Smoka.

Lloydowi pociemniało w oczach z bólu. Skulił się, przycisnął do ciała lewą rękę. W miejscu, gdzie potwór dotknął jego płaszcza, materiał strzępił się w dłoni. Złote jabłko wypadło ze zniszczonej

kieszeni, potoczyło się po ulicy... i rozsypało w migocący pył.

Stwór zamarł ze zdumienia.

– Oszukałeś nasss!

– Zatem jesteśmy kwita – warknął szermierz. – Jak śmiesz zaglądać do moich wspomnień, ty nędzna, parszywa kanalio?!

– Zabijemy cię! Będziesz konał długo i boleśnie!

– A podejdźże tu i spróbuj. – Lloyd Dark roześmiał się gardłowo. Oczy lśniły mu niebezpiecznie, jak osaczonemu wilkowi. – Tanio swojej skóry nie sprzedam.

Setka łbów wystrzeliła naprzód. Mag skoczył wysoko w górę, co najmniej metr ponad olbrzymie smocze cielsko. Przez ułamek sekundy szybował nad potworem, podczas gdy paszcze z rozpędu gryzły powietrze w miejscu, gdzie stał przed chwilą. Kiedy głowy połapały się w sztuczce i skierowały w górę, szermierz opadał już na dół, tnąc przez kilkanaście szyj naraz jak przez masło. Cuchnąca posoka bryznęła na wszystkie strony. Smocze głowy jedna po drugiej uderzały o asfalt z lepkiem plaśnięciem.

Szermierz gwizdnął.

Rozległ się głuchy warkot. Lloyd wylądował ciężkimi butami wprost na fotelu swojego wiernego harleya. Smok zaczął przeraźliwie skrzeczeć, pączkować nowymi główkami i kończynami, ale już nie zdążył dopaść przeciwnika. Mag ruszył naprzód na stojąco. Dotknięte rozkładem fragmenty jego płaszcza sypały się na ziemię jak czarny śnieg.

Sycząc wściekle, stwór pospieszył za nim.

– No i gównu – powiedziała Eunice z zamierającym odcieniem buntu w głosie.

Od jakichś piętnastu minut mówiła do siebie, posługując się wyłącznie kuchenną łaciną. Było jej zimno, kręciło jej się w głowie i czuła, że jeśli przeżyje tę noc, z całą pewnością złapie zapalenie płuc. Magia wzmacniająca nie mogła działać wiecznie.

– Nienawidzę cię, ja cię kurwa nienawidzę. Ty dupku, ty pojebany pasożycie. Po co ja ci to pierdolone jabłko dawałam? W ogóle po co stawiałam się Smokowi? Niechby cię zezał, raz a porządnie, kurwa mać, obyłyby się bez tej całej szopki.

Dziewczyna siedziała na zmarzniętej trawie tuż pod szkolnym parkanem, z tej strony, z której wchodziło się na boisko. Przyglądała się bezmyślnie metalowym prętom pomalowanym na zgniozielono. Zostało jej dokładnie pół godziny. Całe pół godziny na odnalezienie książki i przygotowanie sali gimnastycznej do rytuału, którego nie знаła. Gdyby miała więcej czasu, gdyby była nieco bardziej doświadczonym magiem, mogłaby sama taki rytuał wymyślić. Ale magia o długotrwałym działaniu wymagała zwykle doskonałej kontroli. Eunice nie panowała jeszcze dostatecznie nad swoją mocą i jej wypadku improwizacja skończyłaby się tragicznie.

Eunice aż za dobrze zdawała sobie z tego sprawę.

Popatrzyła na ojca. Nadal nie odzyskał przytomności i nie zanosilo się na to, aby miał się obudzić w najbliższym czasie. Wiedziała, że nie groziło mu śmiertelne zatrucie; Julius niewątpliwie znał się na dawkowaniu, a przecież chciał pić z niego krew.

– Jeb się, kurwa. Zawsze, jak jesteś potrzebny, to cię nie ma. Umarłbyś chociaż, wte albo wewte, pierdolca można dostać.

Pojedynczy płatek śniegu opadł jej na nos. Nie, nie może tak tutaj siedzieć i jojczyć. Musi jeszcze raz spróbować skontaktować się z Timmym. Chyba po raz dwudziesty Eunice spróbowała uruchomić telefon ojca, który stłukł się wskutek upadku i teraz połowę jego ekranu zajmowały czarne plamy.

– Eunice Wight? Co ty tutaj robisz?

Eunice aż za dobrze znała ten głos – kostyczny, rozsądny i lekko wyniosły. Pochodził ze świata, w którym takie drobiazgi jak brak obuwia na zmianę czy też nieodpowiednia fryzura urastały do rangi życiowych problemów. Dziewczyna niemal poczuła, jak dookoła niej zaczyna spadać poziom magii.

Uniosła wzrok.

Jak co dzień rano, pani dyrektor Harper przybyła do szkoły niemal półtorej godziny wcześniej,

niż wynikałoby to z jej planu. Jako osoba zarządzająca sporym liceum miała znacznie więcej obowiązków niż reszta nauczycielek. Nie zamierzała zostawać w gabinecie po lekcjach i siedzieć nad papierami – życie nie kończyło się przecież na pracy.

Tego ranka pani dyrektor zaparkowała swoje małe, granatowe porsche na stałym miejscu. Zamknęła drzwiczki, odwróciła się... i wtedy właśnie, nieopodal szkolnego boiska, dostrzegła dwie postacie, w tym jedną dobrze jej znaną. Nikt inny nie mógł mieć tak skandalicznie ufarbowanych włosów. Zaintrygowana i zaniepokojona jednocześnie, podeszła bliżej.

Dla tej stojącej twardo na ziemi kobiety istniało tylko jedno wytłumaczenie sceny, jakiej właśnie była świadkiem. Pani Harper zapewne rozważała kilka rozmaitych wariantów, ale we wszystkich chodziło o grubsza o nadużycie mniej lub bardziej legalnych substancji odurzających.

– Wyjaśnij mi proszę, co się tutaj dzieje.

Eunice poczuła, że wzbiera w niej cała gama ciepłych uczuć, które niebezpiecznie graniczyły z nagłym wybuchem miłości. Nigdy nie przypuszczała, że tak bardzo ucieszy ją widok dyrektorki.

– Proszę pani – odezwała się błagalnie. – Potrzebuję pani komórki. Muszę koniecznie zadzwonić po pomoc...

– Nie trzeba, sama to zrobię – odrzekła chłodno pani Harper i wyciągnęła telefon z ostentacyjnym zamiarem zadzwonienia co najmniej po karetkę, policję i opiekę społeczną jednocześnie.

Dziewczyna jęknęła.

– Nie, nie tak... – zmełała w ustach jakieś wyjątkowo barwne przekleństwo. – Proszę. Oddać. Mi. Komórkę.

Cztery krótkie słowa zadźwięczały potężnym ładunkiem mocy. Właśnie odważyłam się użyć magii na dyrektorce mojej szkoły, zarejestrowała Eunice. Poczula się tak, jakby właśnie złamała jakieś tabu. Boże, co za cholerna satysfakcja.

– Proszę. – Wiedziona nieodpartym impulsem pani Harper posłusznie wręczyła dziewczynie telefon.

Eunice natychmiast zapomniała o istnieniu pani dyrektor. Zesztywniałymi z zimna palcami wystukała numer na klawiaturze.

– Timothy! – niemal krzyknęła do telefonu.

– Eunice, to ty? – W głosie po drugiej stronie pobrzmiwały nutki zdumienia. – Czyja to komórka, nie znam tego numeru... zresztą mniejsza z tym. Co się z wami dzieje?

– Timmy... Timmy... Ten cholerny Julius... tłumaczenie tego wszystkiego zajmie mi trochę czasu. Po prostu czytaj mi w myślach...

Z głośnika dało się słyszeć znużone westchnienie. Eunice poczuła łagodny, aczkolwiek zdecydowany nacisk cudzej świadomości na bariery ochronne swojego umysłu. Bardzo ostrożnie rozproszyła osłony – wiedziała, że nagłe zwolnienie oporu groziło nieprzyjemnymi sensacjami. Chwilę później poczuła, jak znajoma, bystra jaźń metodycznie przegląda jej wspomnienia z ostatniej godziny. Wzdrygnęła się lekko.

Czuję się jak Netflix.

Sama pozwoliłaś. W myślach Timothy'ego dał się wyczuć cierpki ton. Jest już bardzo zmęczony, zauważyła Eunice z niepokojem.

Spać mi się chce, ot i tyle. Dajmy już temu spokój, dobra – sarknęła Timmy. – Julius. No, pięknie. Jedna z tych rzeczy, na które nigdy nie ma miejsca w planie.

Powiedz mi, co mam robić. Czy Weronika ma może jakiś sposób na odtrucie Charlesa? Magia przez telefon, tak jak ty...

– Eunice. – Kontakt telepatyczny urwał się, dziewczyna usłyszała przez telefon słaby głos Timothy'ego. – Weronika tego nie potrafi. To dla niej niewykonalne.

Timothy zamilkł i wziął świszczący wdech.

– Czasami mogę pośredniczyć – dodał po chwili. – Ale na pewno nie w przypadku magii uzdrawiającej.

– Znaczy, że nic? Już nic się nie da? – Głos dziewczyny przeszedł w cichy szloch. –

Przegraliśmy?

– Weronika mówi, że ty to możesz zrobić. Oczyszczyć go z trucizny.

– Ale ja nie mam bladego pojęcia o uzdrawianiu!

– I nie musisz mieć. – Timothy mówił powoli i z naciskiem. – Krzyżyk pamięta takie rzeczy.

Pamięć przedmiotów, ile razy o tym wspominałem? Weronika uzdrawiała dziesiątki osób, nosząc przy sobie ten krzyżyk. To przecież jej... och, zabije mnie za to określenie, ale nie ma lepszego... to jej amulet.

– Wiem, oczywiście, wiem! Tak jak miecz Lloyda i twoje komputery, nie musisz mi tego tłumaczyć! Powiedz mi tylko, co mam robić!

– Moc, Luke. Użyj mocy.

– Kurwa mać.

Eunice wyjęła z kieszeni srebrny krzyżyk i położyła go na czole ojca.

– No skup się, mała – poleciła samej sobie.

Nie wiedziała nawet, od czego zacząć. Krzyżyk po prostu leżał, a ona marzła, klęcząc na trawie pokrytej brudnym śniegiem. Moc nie napływała i Eunice czuła się dość głupio.

Pani dyrektor przyglądała jej się z lekkim osłupieniem.

– To mi wcale nie pomaga – warknęła dziewczyna. – Niech się pani odwróci i nie patrzy, wszystko pani psuje!

– Co ja psuję...? – zapytała pani Harper, nadal niepewna, co się tutaj właściwie wyrabia. Opary zakłęcia spływały z niej powoli. – Czy możesz oddać mi już telefon? Trzeba zadzwonić na pogotowie. Policję. Czy nie po to go ode mnie pożyczyłaś?

– Nieważne. Proszę z dużym zaangażowaniem udawać, że pani tutaj nie ma.

Przymknąwszy oczy, dziewczyna uniosła prawą dłoń i się przeżegnała. Następnie dwoma palcami dotknęła srebrnego krzyżyka. Ten symboliczny gest pomógł – może ze względu na pamięć przedmiotu, a może z innych, głębszych przyczyn.

Przed jej oczyma przewinął się kalejdoskop obrazów. Zmęczone postacie w szpitalnych łózkach, dzieci z kroplówkami wkłutymi w ręce, wycieńczeni ludzie na inwalidzkich wózkach. Wpatrywali się w nią zrezygnowanym spojrzeniem, oddychali płytko w niespokojnym śnie. Czuła ich ból, wszystkie rodzaje bólu. Czekali na jej pomoc, która nie zawsze, nie w każdym przypadku bywała skuteczna.

Eunice oderwała dłoń od krzyżyka i przez chwilę wpatrywała się tępo w lśniące srebro. Więc to tak wyglądała magia uzdrowicielska, taka była praca Weroniki. Aby uzdrowić drugiego człowieka, należało najpierw zrozumieć naturę jego dolegliwości i poczuć jego ból. A przecież czasami nawet magia nie pomagała, mimo wszelkich wysiłków.

Poświęcenie Weroniki pozwalało jej unieść ten ciężar. Gabriel poznał większość odmian bólu za sprawą szalonego mistrza, Jeana. Oni potrafili dać sobie z tym radę. Ale nie wszyscy magowie dysponowali wystarczającą empatią, a tylko nieliczni byli wystarczająco odporni psychicznie. Nie każdy nadaje się na lekarza. Eunice rozumiała, że nigdy nie zostanie uzdrowicielką.

Tym razem jednak miała przy sobie krzyżyk. A on pamiętał.

– Obudź się – rozkazała Eunice i ponownie dotknęła zimnego metalu.

Poczuła, jak wypływa z niej moc, ale magia działa się poza nią, prawie bez jej udziału. Krzyżyk rozjarzył się bladą poświatą.

Pani Harper wstrzymała oddech. Przywidzenie, poranny miraż. Przecież nie istnieje inne wytłumaczenie.

Charles poruszył się niespokojnie, a potem usiadł tak niespodziewanie, że Eunice odskoczyła do tyłu. Jej ojciec rozejrzył się wkoło ze zdumieniem, podniósł krzyżyk z trawy.

– Co się stało? – zapytał trzeźwo. – Chyba zemdlałem. Mieliśmy jakieś problemy? Niczego nie pamiętam...

– Później ci wyjaśnię. – Dziewczyna szarpnęła go za rękaw. – Jesteśmy pod szkołą, pamiętasz?

Dwadzieścia minut do godziny zero.

– O, cholera.

– No właśnie.

– Czy możecie mi wyjaśnić, co to za komedia? – Pani Harper zamierzała zadać to pytanie surowym tonem, jej głos załamał się jednak i zadrżał.

– A to moja dyrektorka. Pożyczyła mi telefon... o właśnie, oddaję. Dzięki.

– Eunice, nieładnie pokazywać ludzi palcem – pouczył ją Charles odruchowo i zmarszczył brwi.

– Zaraz, chwilkę... czy ona cię obserwowała? Co widziała? Ma taką minę, jakby zobaczyła co najmniej rytuał przyzywania duchów zmarłych.

– Mniej więcej – odparła dziewczyna lakonicznie. – Pani idzie z nami.

– Co?! – Pani Harper sprawiała wrażenie wstrząśniętej.

– Pani. Idzie. Z nami.

Eunice odkryła, że kiedy już raz przełamała opory przed rozkazywaniem dyrektorce, życie stało się dużo prostsze.

– Eunice, postępujesz wbrew kodeksowi. Ona jest śmiertelniczką i nie stanowi dla ciebie żadnego zagrożenia.

– Wiesz, gdzie mam w tej chwili kodeks? – spytała zaczepnym tonem. – A poza tym to ona może jeszcze narobić kłopotów. Sobie i nam.

Timothy westchnął i niespokojnie obrócił się na leżance. Ze zmęczenia powoli ogarniał go chłód, jego dłonie zaczynały drętwieć. Marzył o ciepłej kąpeli i długim śnie. Wiedział jednak, że przez najbliższe pół godziny musi być gotowy na każdą ewentualność.

Tępy ból ścisnął mu skronie. Płuca buntowały się przy każdym głębszym wdechu. Chyba we wszystkich mięśniach czuł drobne, denerwujące przykurcze. Oczywiście za wyjątkiem nóg, w których i tak prawie brakowało mu czucia.

Złe samopoczucie Timmy maskował zazwyczaj cynizmem i zrzedliwymi uwagami. Ograniczenia stawiane mu przez własne ciało zawsze doprowadzały go do szewskiej pasji. Kiedy nie mógł ich ignorować, robił się kąśliwy i kwaśny jak ocet. Obecnie doszedł już jednak do etapu, gdy powoli zaczynało mu brakować sił na złość. Pojawił się lęk, że nie sprostą swoim zadaniom.

Smartfon leżał obok na szafce nocnej, a Timmy sterował nim za pomocą umysłu. Tej nocy, bez wsparcia Homera, było to bardzo męczące. Timothy zużywał niemożliwe ilości mocy, aby utrzymać stałą łączność. Czerpał energię z otoczenia pod kierunkiem Weroniki i rola żywego przewodnika zaczynała go już wyczerpywać.

– Timmy – odezwał się cicho Gabriel, który przysypiał na łóżku obok. – Timmy, kim była Soledad? Myślałem, że żona Lloyda nazywała się Inez.

– Słyszałeś?

– Jasne. Ten twój komputer gada dość wyraźnie, a ja już nie śpię.

Cybermag ponownie przewrócił się na drugi bok. Leżanka zaskrzypiała jękliwie.

– Soledad – mruknął. – Tak miała na imię córka Lloyda. Nie lubi o niej wspominać, nadal czuje się winny jej śmierci. Pamiętasz, co usłyszałeś od niego miesiąc temu o Inez?

Piosenkarz podniósł się na łokciach.

– Mhm. Masakra w Nowym Orleanie. Rozumiem, że wtedy zginęło także ich dziecko?

– Gorzej – westchnął Timmy. – Inez osobiście złożyła je w ofierze jednemu z ważniejszych demonów.

– Co?! – Gabriel usiadł, trochę zbyt gwałtownie. – Auuu! O rany. Własną córkę?

– To nie wszystko – dodał Timothy. – Przygotowała ją specjalnie na taką okazję. Nie ochrzciła jej, nie poddała patronatowi żadnej innej religii, nie zaszczepiła w niej nawet zdrowego sceptycyzmu, który też jest odrażający dla ważniaków z otchłani. Wręcz przeciwnie, napiętnowała dziewczynkę jako prezent dla swojego szefostwa.

– Cholera. – Artysta z niedowierzaniem pokręcił głową. – To ja teraz rozumiem, dlaczego Lloyd wtedy zwariował. Ile czasu byli małżeństwem? Siedem lat? I on nic nie podejrzewał?

– Niektórzy odszczepieńcy potrafią się dobrze kamuflować.

Gabriel z powrotem umościł się na poduszkach.

– Hmm. Tak, Jean-Pierre podobno też nieźle maskował swoją aurę, a przynajmniej tak mówił Krzysztof. Swoją drogą my w Farewell także za mało o sobie wiemy. Starzy magowie wciąż ukrywają różne rzeczy przed powojennymi...

Timothy Hawkins zakasłał sarkastycznie.

– Sugerujesz Gabiś, że zamierzam zniecka złożyć cię w ofierze? Przykro mi, ale się nie nadajesz. Do tego celu zasadniczo używa się dziewic.

– Oj daj spokój. – Gabriel splonął rumieńcem. – Nikogo o nic nie posądzam. Chcę powiedzieć, że nie rozmawiamy ze sobą o przeszłości. A potem wyskakują trupy z szafy, jak miesiąc temu, z Takedą.

– Sami staramy się o różnych rzeczach zapomnieć, nie rozdrapywać ran. – Timothy odkaslnął sucho. – Nie jesteśmy tacy otwarci wobec siebie jak przed Wojną. Ale masz rację, najwyższy czas to zmienić. Brak zaufania może nas kiedyś drogo kosztować.

Pod oczami Titanii Faraday wyraźnie zaznaczały się cienie, a jej ciemna skóra nabrała niezdrowego, szarego zabarwienia. Anton Glenn przyglądał się uważnie, jak otulona kocami i zagłębiona w miękkim skórzanym fotelu panna Faraday ogrzewa dłonie kubkiem z herbatą. Po raz pierwszy, odkąd pamiętał, okazywała słabość.

Kiedy przerwano rytuał, Titania popadła w dziwny rodzaj transu. Z szeroko otwartymi z przerażenia oczami, czepiając się kurczowo swojej mistrzyni, tłumaczyła jej coś długo śpiewnym tonem w nieznanym Antonowi języku hindi. Zdawało się, jakby duchem znajdowała się zupełnie gdzie indziej. Emily słuchała jej z uwagą, głaszcząc ją po głowie jak małe dziecko. Uspokajała swoją uczennicę szeptem. Profesor czuł, że używała subtelnej magii hipnotycznej.

Teraz panna Faraday powoli wracała do siebie, a Emily krzątała się wokół niej i obserwowała ją z wyraźnym niepokojem. Anton nie usłyszał ani słowa wyjaśnienia tego, co zdarzyło się ponad godzinę temu. Później, zbywała go Arcymistrzyni. Później.

Co ukrywała przed nim jego wieloletnia towarzyska życia? Co tak wytrąciło z równowagi chłodną, beznamietną Titanię? I jak, na wszelkie moce, przedstawiała się sytuacja w mieście?

– Emily, proszę cię, przejdźmy do komnaty luster – odezwał się zdecydowanym tonem. – Musimy koniecznie porozmawiać.

Arcymistrzyni wciąż uważnie przyglądała się uczennicy. Najwyraźniej studiowała jej aurę.

– Na litość boską, Emily!

– Jeszcze chwilę. – Pani Spencer wydobyła z torebki małe pudełko zwykłych leków przeciwbólowych, wyciągnęła srebrzysty listek i wycisnęła dwie tabletki na porcelanowy spodek. – Proszę, Titanio. Przez następne dwadzieścia cztery godziny nie używaj magii, a wszystko będzie dobrze. Chodźmy, Antonie.

Z pokoju gościnnego drzwi prowadziły do oranżerii. Profesor mimowolnie przyjrzał się roślinom, jak zwykle gotów zauważyć każdą niezdrową plamkę czy też zwiędły liść. Regularnie podlewał je wodą ze Studni Życzeń, tworzyły system naczyń połączonych z astralną rzeczywistością miasta. Gdyby potwór pozostał w Farewell, domowa dżungla Antona szybko zaczęłaby chorować. Na razie profesor nie dostrzegał żadnych zmian. Oby taki stan utrzymywał się jak najdłużej.

– Emily, na wszelkie moce, wyjaśnij mi, co się tutaj dzieje!

Arcymistrzyni nie patrzyła mu w oczy. Udawała, że z zainteresowaniem przygląda się cytrynom.

– Intruz zaatakował nas bezpośrednio – wyjaśniła wreszcie. – Przebywał w jakiejś... części świata astralnego, której nie znamy. Nic dziwnego, że obliczenia okazały się niepoprawne... a raczej oparte na mylnych założeniach.

– Titania się pomyliła.

– Nie. Ona nigdy nie popełnia błędów.

– Czyli ty się pomyliłaś.

Emily Spencer skubnęła liść cytryny. Raz, potem drugi.

– Przystań! – rozgniewał się Anton. – Czy wyrywałabyś komuś bezmyślnie paznokcie? Jak żyję, nie widziałem jeszcze, żebyś zachowywała się tak dziecinnie. Co się stało Titanii?

– Jest w szoku.

– To akurat sam widzę! – Profesor, zwykle spokojny, krążył po oranżerii, gestykułując energicznie. – Emily, do tej pory nie nalegałem. Ufałem ci bez zastrzeżeń. Ale teraz chciałbym wiedzieć, kim do diabła naprawdę jest twoja uczennica. Skąd ty ją wytrzasnąłaś? Co mówiła do ciebie po rytuale w salonie?

Pani Spencer nagle odzyskała pewność siebie. Przybrała swój zwykły, łagodny i odrobinę wyniosły wyraz twarzy. Odwróciła się, spojrzała Antonowi prosto w twarz.

– Uważasz, że nie możesz mi zaufać, ponieważ się pomyliłam? – zapytała spokojnym tonem.

– Ja... – Anton popatrzył na nią z rozpaczą. – Nie, och Emily, wszystko przekreśliłaś. Miasto znajduje się w niebezpieczeństwie. Titania, jak przypuszczam, doznała właśnie załamania nerwowego. A twoje zachowanie zaczyna mnie mocno niepokoić. Chciałbym być na bieżąco, wiedzieć, co to oznacza. Proszę.

– Przepraszam, kochanie. – Magini z ciężkim westchnieniem usiadła przy stoliku szachowym. – Podczas rytuału... panna Faraday przypomniała sobie coś, o czym dla własnego dobra nie powinna pamiętać. Na razie, uwierz, nie mogę powiedzieć nic więcej.

– Ale...

– Nie naciskaj, proszę.

Przytuliła się do niego. Profesor westchnął. I tak się kiedyś dowie. Na razie postanowił ją obserwować. Domyślał się, że pomoc będzie potrzebna. Zaczynał podejrzewać, że Emily swoim zwyczajem wzięła na barki ciężar, którym nie uznała za stosowne z nikim się podzielić, wychodząc z założenia, że tylko ona da radę go udźwignąć. Titania na pewno należała do Trzynastki, jej totem zapisano w księdze. Ale jej przeszłość pozostawała dla wszystkich zagadką. Cokolwiek tam się kryło, stanowiło tykającą bombę.

– Powiedz tylko, co teraz zrobimy – szepnął.

– Przygotujesz bramę do Lustrzanego Zamku – odpowiedziała. – Intruz znalazł się z powrotem w świecie materialnym. Rytuał pochłonął zbyt wiele naszych sił, żebyśmy mogli walczyć sami. Potrzebujemy sojuszników.

– Sojuszników z Zamku? – Profesor uniósł brwi. – To może potrwać. A co z pozostałymi?

– W tej chwili i tak na nic się nie przydamy. Ja nawet nie zapalę mocą świeczki.

– A jeśli zginą?

– Wtedy ktoś będzie musiał zadbać o resztę miasta. – Arcymistrzynie z ociąganiem uwolniła się z jego ramion. – Powiedz, czy też widziałeś Wierzbę?

– Co?!

– Nieważne. – Z głośnym stukotem obcasów Emily ruszyła przed siebie. – Czasami zdaje nam się, że widzimy to, co chcemy zobaczyć.

Lloyd Dark wziął kolejny ostry zakręt na czerwonym świetle. Krążyli po kwartale jedenastym, niedużej dzielnicy handlowej. O tak wczesnej porze ulice były puste, a sklepy pozamykane. Mag żywił nadzieję, że nikt nie wyskoczy mu na jezdnię bez ostrzeżenia. Nie wiedział, czy dałby radę zareagować, coraz bardziej słabł. Rany, które zadał mu Smok, przestały go boleć, za to mięśnie w tym miejscu dotknął paraliż, który powoli rozszerzał się na resztę ciała. Szermierz zmuszał się do jak największego wysiłku. Miał teraz zresztą jeszcze inny, gorszy problem.

Stary harley nie wytrzymał kontaktu z bestią ze świata Mitu. Tam, gdzie maszyna zetknęła się z potworem, powstały błyskawicznie rozprzestrzeniające się ogniska korozji. Szermierz czuł, jak motocykl z sekundy na sekundę dosłownie się rozsypuje. Odpadła już tablica rejestracyjna, lakier złuszczał się płatami, metal stopniowo rdzewiał. Pojazd poruszał się już właściwie tylko dzięki sile woli jego właściciela.

Lloyd próbował choćby przedłużyć agonię maszyny o dodatkowe minuty, starał się spowolnić korozję przy pomocy magii. Nawet on jednak nie potrafił zatrzymać procesu rozkładu, który zapoczątkował Smok.

Wysiłek, rany, a także ciągłe opieranie się aurze potwora w końcu zrobiły swoje. W pewnym momencie szermierza zawiodła koncentracja. Na ułamek sekundy przestał podtrzymywać magię i wtedy nastąpiła katastrofa.

Przednie koło wytoczyło się spod pojazdu. Nie było szans na hamowanie, Lloyd musiał zeskoczyć z motocykla pędzącego blisko sto mil na godzinę. W ostatniej chwili amortyzował upadek magią, przeturlał się po ulicy aż do betonowego krawężnika. Uniósł się na łokciu i plunął krwią do kałuży. Miał chyba połamane żebra, ale wiedział, że powinien wstać. Jak najszybciej. Natychmiast.

– Mamy cię, ssssss.

Mag dźwignął się z wysiłkiem i zobaczył nad sobą kłębowisko gadzich łbów o zębach ostrych jak igły i martwych, białych oczach. Jeżeli Smok zaatakuje teraz, to już koniec, przeszło mu przez myśl. Przyjął pozycję szermierczą, dobył miecza. Nie stanie się łatwym łupem.

– Gdzie to maszszszsz? Gdzie schowałeś prawdziwe jabłko, Cienisssty?

– Jabłko? – charknął Lloyd, z wilczym uśmiechem. – Jabłko, powiadasz? Ukryłem je w bezpiecznym miejscu. Chyba nie sądzisz, że zostawiłbym je w rękach tego żółtodzioba.

– Ssssssssss... – Setka głów naraz zatrzęsła się ze wściekłości. – Pożremy cię i zosssstawimy głowę dla przykładu.

– Wiele mówisz, ale nie zrobisz nic. – Szermierz ponownie splunął. – Obawiasz się, że jeśli mnie teraz zabijesz, nigdy nie odzyskasz swojego bezcennego jabłka. Słusznie. Zupełnie słusznie...

Bestia zamilkła i jakby odrobinę się skurczyła. Głowy zaczęły naradzać się między sobą, kilka z nich zdawało się kłócić z pozostałymi. Jeden z trzech większych łbów wymierzył im na oślep parę ugryzień, rozległy się głośnie piski protestu. Przez chwilę szermierz żywił rozpaczliwą nadzieję, że może jednak jego bluff zadziałał.

– Kłamsstwo!!! – W powietrze wzbil się chóralny syk. – Czuję zapach twojego kłamsstwa!

I Smok uderzył.

Wiele mówisz, ale nie zrobisz nic.

Timothy wstrzymał oddech. W tak bliskim sąsiedztwie Smoka przekaz brzmiał niewyraźnie mimo olbrzymich dawek mocy przekazywanych przez Weronikę. Zakłócenia i trzaski zniekształcały głos, w odbiorze nie pomagał też dobiegający z otoczenia hałas.

Ogólny sens tego, co się działo, był jednak dla Timothy'ego całkiem zrozumiały.

– Weroniko, przygotuj się – szepnął.

Kłamsstwo!!!

Meble zatrzęsły się, buteleczka ze spirytusem stoczyła się z komody, smartfon spadł z hukiem z nocnej szafki.

– Teleport! *Już!*

Timothy nigdy wcześniej nie próbował czegoś tak trudnego. Usiłował przenieść Lloyda z jednego miejsca w drugie, nie znajdując się osobiście w żadnym z nich, bez pomocy dodatkowych portali. Pewne wsparcie dawał mu rytuał zaczęty już przez Charlesa, ale to było niewiele. Nawet w pełni sił, nawet z Homerem lub szafą teleportacyjną do pomocy ponosiłby spore ryzyko. Sytuację dodatkowo komplikowała obecność Smoka. Timmy wcale nie przesadzał, tłumacząc się wcześniej oplakany stanem czasoprzestrzeni. Dopóki przebywał w kościele, miał prawie nieograniczony dostęp do mocy, ale sam wysiłek mógł go zabić.

Timothy przywołał astralną mapę miasta, wszystkie punkty i wszystkie współrzędne. W każdej chwili mógł załadować ją ze smartfona. Tworzyła w jego umyśle płataninę podświetlonych linii i barwnych plam. Dzięki niej potrafił zlokalizować w Farewell wszystko, co było podłączone do sieci telefonicznych, internetowych albo korzystało z radiodbiorników, włączając kioski oraz budki

z chińszczyzną.

Obecnie połowę mapy pokrywały ciemne, wygaszone plamy. Timothy odnalazł jednak słaby czerwony punkt oznaczający Lloyd'a.

Zaczerpnął mocy. Tyle, ile zdołał. Miał wrażenie, że każda komórka jego ciała została nasączona energią. Ogarnęła go niesłychana euforia, ale zdołał odzyskać nad sobą kontrolę. Dał przybliżenie na czerwony punkt i wyobraził sobie postać Szermierza Cienia.

Zeskanował go dokładnie, a następnie odszukał czerwony punkt oznaczający telefon komórkowy, z którego dzwoniła Eunice. W gruncie rzeczy Lloyd miał rację. Komórki rzeczywiście były szpiegowskimi urządzeniami i każdy mag z głową na karku umiał je wykorzystać, o ile ich nie zabezpieczono.

Ustalił współrzędne. Wybadał relacje między wymiarami. Wziął poprawki na zdewastowaną strukturę czasoprzestrzeni. Wszystko to zajęło mu nie więcej niż ułamek sekundy.

A potem wykrwawił się z całej zaczerpniętej energii prosto w przygotowany czar.

Skoncentrowany do granic możliwości Charles Wight rysował kredą pośrodku sali gimnastycznej znaki ochronne. Przy każdym z nich wypowiadał enochiańskie Słowo, jak nakazywała sztuka. Nie miał czasu, aby postępować zgodnie ze wszystkimi klasycznymi traktatami, ale nawet lustrzani magowie, tacy jak on, rzadko stosowali się do każdej litery protokołu. W rzeczywistości tylko początkujący potrzebowali takich składników jak na przykład krew jagnięca i sproszkowany bezoar. Charles osiągnął już wysoki stopień wtajemniczenia i wiedział, co robi. Wykreślił idealny pentagram bez pomocy miarki i niwelatora. Jego mistyczne symbole przewyższały kunsztem nawet znaki kanji malowane przez mistrzów japońskiej kaligrafii. Utrwalał kredę magią, by nie została starta poprzez przypadkowe nadeptanie – ilu starożytnych magów straciło życie z tak błahego powodu!

Charles żałował, że nie ma widowni zdolnej docenić jego sztukę. Eunice pobiegła do biblioteki po książkę, a pani Harper siedziała apatycznie w kącie, poddana łagodnemu działaniu magii hipnotycznej. Poza tym i tak nie była ekspertem.

Nagle przerwał w pół sylaby i ze zdumieniem uniósł brwi. W powietrzu zapachniało ozonem, zagęściła się moc...

Pośrodku sali z głuchym trzaskiem uderzyło kilka białobłękitnych błyskawic i w kręgu zmaterializowała się czarna sylwetka. Jaskrawe światło oślepiło Charlesa, a jego szósty zmysł zwariował. Rzeczywistość na kilka sekund stała się zupełnie niestabilna. Magiczne echo rozeszło się po okolicy jak kręgi po wodzie.

A potem wszystko ucichło. Kiedy już Charles odzyskał wzrok, zobaczył Lloyd'a w poszarpanym i zakrwawionym ubraniu, stojącego w samym centrum pentagramu. Szermierz miał twarz bladą jak pergamin, a jego oczy płonęły gorączką.

– Udało mu się, niewiarygodne... – Roześmiał się chrapliwie. – Myślałem, że już po mnie. To jest dokończony?

– Nie. Znaczący, nie zamknąłem kręgu, może pan wyjść. Czy ja pana przyzwałem?

– Teleportował mnie Timothy – wyjaśnił Lloyd półgłosem. Kuśtykając, opuścił symbol. – Miał rację, słyszał to chyba każdy wrażliwy na magię mieszkaniec Farewell. Smok trafi tutaj bez trudu. Jest tak rozwścieczony, że koncept pułapki nie przejdzie mu przez myśl. Mniemam, że mamy jakieś dziesięć minut.

– Pan jest ranny...

– Błahostka. – Lloyd sięgnął do kieszeni spodni. – Przewidziałem to i zachowałem sobie pewien drobiazg.

W małej plastikowej torebce spoczywał zamknięty bezpiecznie kawałek ściemniałej skóry jabłka z Ogrodu Hesperyd.

– Tworząc iluzję, Gabriel nie zużył wszystkiego – wyjaśnił Lloyd. Wyjął z torebki skórę, oderwał kawałek i dokładnie przeżuł. Zaraz odetchnął z wyraźną ulgą, stopniowo wracały mu kolory. –

Wiedziałem, że się przyda.

– I co? Jak to działa w takiej małej dawce? – Charles nie mógł powstrzymać ciekawości.

– Doskonale, muszę przyznać. – Szermierz wysupłał z drugiej kieszeni chustkę, a potem starannie wytarł ręce i twarz. – Rany nie zagoją się natychmiast, ale przynajmniej przestaną się jątrzyć. Kończ pan te swoje hokus-pokus, nie zostało nam zbyt wiele czasu...

W tym momencie dostrzegł skuloną w kącie panią dyrektor.

– A cóż ona, do diabła, tutaj robi?!

Nagle otworzyły się drzwi sali gimnastycznej i do środka wbiegła Eunice z książką pod pachą.

– Sorry, że tak długo, sprzątaczkę kręcą się już po... ooo... Lloyd? To już?

– W rzeczy samej – przytaknął szermierz. – Smok zjawi się tutaj za siedem minut. Daję ci minutę, abyś wyjaśniła jej obecność.

– Widziała mnie na gorącym uczynku – zająknęła się Eunice. – No wiesz, magia... Mogła podnieść larum...

– A teraz może stracić zmysły – rzekł ostro Lloyd.

– Pomyślałam, że ty, no wiesz, zmienisz jej wspomnienia...

– Nie sądzę, abyś pomyślała. – Szermierz podszedł do przerażonej pani dyrektor. – Wiedziałas, że ludzie z reguły racjonalizują to, co zobaczą. Twoje czary nie są zanadto widowiskowe i pani Harper zapomniaby o nich dosyć szybko. Obecnie zmiana wspomnień istotnie stała się niezbędna. I tak wywołaliśmy dziś zbyt wiele zamieszania, nie potrzeba nam więcej ambarasu.

– Niech pan mi nie robi krzywdy... – jęknęła pani dyrektor. – Ratunku, pomocy.

– Proszę na mnie spojrzeć, pani Harper – odezwał się Lloyd stanowczo. – Ma pani wysoką gorączkę. Zasnęła pani w swoim gabinecie i to wszystko tylko się pani śni.

– Zasnęłam i to wszystko jest tylko snem – powtórzyła z nadzieją pani dyrektor.

– Teraz zamknie pani oczy i obudzi się pani, kiedy policzę do dziesięciu. Będzie się pani zdawało, że śniła pani długi, męczący sen. Weźmie pani kilka dni wolnych od pracy, aby dojść do siebie.

– Tak zrobię – zgodziła się pani Harper, po czym zamknęła oczy i bezwładnie osunęła się na podłogę.

– Po co te całe kombinacje? – zapytała Eunice. – Nie możesz zupełnie tego wykasować?

Lloyd Dark pokręcił głową.

– Tak działa ludzki umysł – wyjaśnił. – Gdybym usunął wszystkie wspomnienia, jej jaźń pozostałaby rozstrojona. Musi poradzić sobie z nimi naturalnie, uznać je za niepotrzebne. Jak zwykły koszmar.

– Gotowe – odezwał się głośno Charles Wight i schował kredę do kieszeni. – Zapieczętuję go, kiedy tylko tutaj przyjdzie.

– Zimno mi. Zimno, zimno, zimno... – mamrotał Timothy półprzytomnie.

Dygotał pod kołdrą, którą odstąpił mu Gabriel i potrójną warstwą koców z polaru. Miał sine usta i bardzo szybki, ledwo wyczuwalny puls, tak, że obawiali się przenosić go na lepsze łóżko. Piosenkarz siedział na podłodze oparty o krawędź leżanki i trzymał przyjaciela za rękę. Próbował już przekazywać uzdrawiającą moc w nadziei, że to pomoże choćby w niewielkim stopniu. Niestety, magia nie dawała żadnych efektów, nawet przy pomocy Weroniki. Timmy wymykał im się z minuty na minutę.

– Weź się w garść, błagam – jęknął Gabriel płaczliwie. – Zawsze powtarzam, żebyś się szanował, a ty w ogóle o siebie nie dbasz. Timothy Hawkinsie, jak tak można?

– I kto jest lisem w tej bajce? – W tym, co mówił cybermag, z ledwością dawało się rozróżnić poszczególne słowa. – Kto nim jest, nie sposób powiedzieć. On i my, wszyscy razem. Tylko gospodarza brak. Dokąd udał się gospodarz, ten zakichany podróżnik? Bez wątpienia tęskni do swoich płaczących wierzb, ale nie czas jeszcze na to, nie czas...

Weronika odsłoniła chude ramię chorego i sprawnie naszykowała zastrzyk.

– Przytrzymaj go, Gabrielu – poprosiła. – Może się wyrwać.

Timothy niespodziewanie chwycił jej nadgarstek, mocno zaciskając na nim kościste palce. Strzykawka wypadła z dłoni zakonnicy i potoczyła się pod łóżko.

– Powiedz mi – odrobinę podniósł głos. – Powiedz mi, skąd się biorą opowieści. Jesteśmy tym, co tworzymy, a tworzymy to, do czego się przywiązujemy. Krzyżyk, motocykl, samochód, a nawet zwykły brudnopis. Dajemy im część własnej duszy i ona zostaje tutaj na zawsze, nawet kiedy odejdziemy do świata opowieści. Albo gdzieś dalej. Gdzie leży granica, Weroniko? Co dzieje się z duszą, kiedy brudnopis staje się magiczną księgą? Rozdziera się na dwoje czy wypuszcza pączki? Czy dusze mnożą się przez podział, jak jakieś stułbie albo drożdże? Czy rzucamy cienie na wszystko, co mijamy?

Ręka cybermaga bezwładnie opadła na koc. Gabriel popatrzył na zakonnice z rozpaczą.

– Weroniko... Weroniko, powiedz mi, że z tego wyjdzie. Proszę.

– Robię, co w mojej mocy – zagryzła usta, fachowo przygotowując nową strzykawkę z lekarstwem. Piosenkarz zrozumiał nagle, że sama była bliska płaczu. – Pokładajmy ufność w Bogu. Nie mamy innego wyboru.

Smok z Ogrodu Hesperyd przeciskał się do sali gimnastycznej przez otwarte okno. Mimo gargantuicznych rozmiarów nie sprawiało mu to żadnej trudności. Zmienił konsystencję na półpłynną, schował łapy i głowy wewnątrz cielska, a następnie zaczął wlewać się do środka jak olbrzymia masa czarnego budyniu. Śmierdział krwią, rdzą i roztopionym asfaltem.

Charles Wight zamknął oczy, po raz ostatni powtarzając w myślach przebieg rytuału.

Po nieprzespanej nocy nad ranem czas niekiedy zaczyna biec inaczej, klatka po klatce. Myśli zacinają się jak na wytartej płycie gramofonowej. Tracisz zdolność do świadomej refleksji, maszynowo rejestrujesz fakty. Wszystkie twarze są obce, rozmowy przeradzają się w jednolity szum. Jeżeli nadal próbujesz zachować przytomność, czas staje w miejscu.

I wtedy na krótki moment umysł odzyskuje jasność i zaczyna pracować z niezwykłą gorliwością. Wszystkie dotychczasowe problemy rozwiązują się same. W myślach formują się nowe wynalazki i śmiałe wizje przyszłości.

Trwa to zaledwie kilka sekund, minut lub godzin – pomiar czasu nie ma żadnego znaczenia. Gdyby ta chwila natchnienia trwała dłużej, mógłbyś zmienić świat – ale kiedy przemija, nie potrafisz jej sobie wyraźnie przypomnieć. Każda próba skończy się tak, jakbyś opowiadał sen. Jest to przecież nic innego, jak sen na jawie, stworzony przez zmęczony, niedospany mózg.

Potężna magia także dzieje się poza świadomością i poza zwykłą zdolnością postrzegania. Chociaż tradycyjni magowie są tak bardzo przywiązani do swoich rytuałów, prawdziwa moc nie ma nic wspólnego z instrukcjami wypisanymi na kartach, długotrwałą medytacją, perfekcyjną znajomością formułek. Narzędzia mogą tylko przygotować intuicję do podążania właściwą drogą. Kiedy mag nauczy się kroków, taniec tańczy się sam.

Kiedy monstrum wreszcie znalazło się w sali, Charles nie musiał skupiać się na gestach i słowach. Przychodziły do niego naturalnie.

Rozpostarł ramiona.

– **RAAS I RAFAEL!**

Mistyczny symbol w zachodnim rogu sali zapłonął jasnym światłem.

– **SOBOL I GABRIEL!**

Rozświecił się znak na wschodzie.

– **BABAGE I MIKAEL!**

Blaskiem załśnił symbol na południu.

– **OD LUKAL I URIEL!**

Znak na północy błysnął oślepiająco.

– **MICMA UNAL IALPOR OIVEAE DST BIAH ASPT TA.**

Charles Wight wskazał swojego przeciwnika prawym kciukiem. Jego oczy jaśniały, włosy falowały jak na wietrze.

– Zaklinam cię, Ladonie, przeklęty duchu, na wezwane moce Imion! Ugnij się przede mną! Zaklinam cię, demonie, byś spełnił nakazy wedle mojej woli.

Smok zakłębił się wewnątrz pentagramu i wybuchł chóralnym, kakofonicznym śmiechem.

– Jesteśmy pod wrażeniem, o tak. Ale to ci nie pomoże, oszuście, złodzieju. To nass nie zatrzyma, nie na długo, o nie. Nawet oni, z Trzynastu, są tacy sssłabi. Cienisssty próbował. Wicher Jesienny próbował. Nie zabije nas nikt, nikt z wasss.

U stóp maga zapłonął ostatni znak. Leżąca na nim niewielka książka sama otworzyła się na właściwej stronie.

– Jeżeli wypowiesz mi posłuszeństwo, niechaj moc Imion strąci cię w Otchłań, z której przybyłeś.

Książka zadrżała. Litery ściemniały i rozlały się na stronicach.

Przez całe lata tysiące czytelników poznawało mity greckie z kart tego niewielkiego tomiku. Dla większości z nich było to pierwsze i ostatnie poważne spotkanie z grecką mitologią, nie licząc telewizyjnych seriali. Głęboko w ich podświadomości drzemały obrazy olimpijskich bogów i starożytnych potworów. Ich kultura była przesiąknięta wzorcami zaczerpniętymi ze starożytności. Ale ich jedynym świadomym łącznikiem ze światem Mitu pozostawała zaczytana, rozpadająca się lektura szkolna. Stanowiła wąskie gardło, przez które przesączały się informacje. Kiedy proces został odwrócony, książka uzyskała siłę przyciągania wirów Scylli i Charybdy.

Smok zrozumiał, że padł ofiarą podstęp. Zasycał wściekle, w rozpaczliwym wysiłku spróbował wyrwać się spoza symboli ochronnych. W tym momencie Lloyd oraz Eunice wskazali pentagram prawym kciukiem. Potęga rytuału w jednej chwili gwałtownie wzrosła i atak zawiódł. Smok spróbował ponownie, tym razem nie starczyło mu jednak siły. Nie istniała żadna przyczyna, dla której miałby tutaj pozostać. Jabłko zostało zjedzone. Jego świat wchłaniał go więc nieubłaganie. Postać Smoka topniała z minuty na minutę. Traciła cielesność, zmieniała się w brudną mgłę.

A jednak zwyciężyliście. Chociaż brak wam dawnej mocy. Sprytnie wybrałeś pomocników, Lisi Magu.

Słaby głos potwora rozbrzmiewał już tylko w ich umysłach.

– Nade wszystko, nigdy nie powinieneś tutaj przybywać – pokręcił głową Lloyd. – Dlaczego opuściłeś Ogród Hesperyd, miast strzec pozostałych jabłek?

Nie ma pozostałych jabłek. Nie ma żadnych jabłek w Ogrodzie Hesperyd. Ludzie przestają o nas pamiętać. Jedno z naszych imion usłyszeliśmy po raz pierwszy od dawna dopiero tutaj, od was, w kręgu. Tego roku zakwitł już tylko jeden kwiat. Idzie zima, a my nie wiemy, czy kiedykolwiek nadejdzie wiosna. Przystaniemy istnieć.

– Prawie mi ciebie żal – rzekł szermierz i zmrużył oczy. – Czy wiesz, że moglibyśmy ocalić cię od zapomnienia?

– Panie Dark! – Charles spojrział na niego, wstrząśnięty. – Po tym wszystkim zamierza pan go jeszcze ratować?

– Proszę się uspokoić, panie Wight. Jeżeli pana to pocieszy, nie zostawię go przy życiu za darmo.

– No, dobrze. – Ojciec Eunice wrzucił ramionami. – Proszę bardzo, panie Dark. Więzień jest do pańskiej dyspozycji.

Jak chcesz dokonać tego, o czym mówisz?

– Pieśń, Smoku. Dostaniesz od nas jedną pieśń i dzięki niej przetrwasz jeszcze kilka kolejnych zim. Nie zapomną o tobie.

Lloyd Dark wpatrywał się w Smoka ze skupieniem.

Doskonale. Czego zaś pragniesz w zamian, co moglibyśmy ci dać?

– Odpowiedzi na moje pytania, Smoku. – Szermierz założył ręce. – Co stało się z Podróżnikiem? Skąd znasz nas wszystkich? Kogo dokładnie masz na myśli, mówiąc „Trzynastu”? I dlaczego bałeś się przebudzenia Wierzby? Dlaczego uważałeś, że to możliwe?

Wiele pytań. Mało czasu.

– Toteż proszę się streszczać. Zależy ci, Smoku.

Odpowiedź na pierwsze pytanie jest nam nieznana. Podróżnik wypchnął nas do waszego świata i wzajemność sił sprawiła, że odszedł w przeciwną stronę. Nie wiemy, jak daleko. Nie wiemy, czy odnajdzie drogę.

Mityczny stwór stawał się coraz bledszy, a jego głos stopniowo zanikał.

Dawno, dawno temu, zanim strześliśmy Ogrodu Hesperyd, zanim byliśmy Smokiem, istniało Trzynaścioro. Imię Czternastego na zawsze zostało wyklęte. Wierzyby należy się strzec, nawet wtedy, gdy śpi. A kiedy się zbudzi...

Słowa mitycznego Smoka zwały się w jednolity pomruk. Ostatnie strzępki mgły zniknęły wewnątrz książki. Wreszcie niepozorny tomik zamknął się bezgłośnie. Lśniące znaki wokół pentagramu zgasty w bladym świetle porannego, jesiennego słońca.

– Chciałbym wiedzieć, co on dokładnie miał na myśli – mruknął szermierz. – Trzynaścioro. Wymienił wszystkich magów z Farewell. Ale miast odpowiedzi, otrzymaliśmy tylko dodatkowe pytania.

– Nie zasłużył na pieśń – szepnęła Eunice. – I tak zresztą Gabriel by się nie zgodził.

– Przeżyj tak czy owak. Po dzisiejszej nocy, każdy w mieście będzie pisał o Smokach z Ogrodu Hesperyd. – Lloyd otarł czoło znużonym gestem. – Nie złamałem przyrzeczenia. Smok dostanie swoją pieśń.

Szermierz westchnął ciężko.

– Muszę panu pogratulować, panie Charles. Doskonały rytuał, chociaż jak dla mnie trochę zbyt dramatyczny.

– Pański kunszt również zasługuje na uwagę, mimo pewnego braku wyrafinowania.

– Przyznam – rzekł Lloyd z kamienną twarzą – że moja niegodna magia jest w dużej mierze sztuką improwizacji. W pańskiej szkole konieczne są, jak widzę, staranne przygotowania.

– O rany – jęknęła Eunice. – Zamiast znowu skakać sobie do gardeł, lepiej posprzątajcie salę. I odnieście panią dyrektor do gabinetu, zanim się ktoś zorientuje.

Gabriel odnosił wrażenie, że zaraz zaśnie na siedząco, mimo to wciąż uparcie tkwił przy łóżku przyjaciela. Timothy Hawkins od dłuższej chwili nie odzyskiwał przytomności. Oddychał płytko, jego twarz nadal była niepokojąco blada. Piosenkarz mimo woli przyglądał się jego dłoniom. Pod cienką, niemal przezroczystą skórą wyraźnie rysowały się żyłki. Gabriel z całą ostrością zdał sobie sprawę z tego, jak wielkiej siły potrzebuje Timmy do zwykłego, codziennego funkcjonowania. On przez cały czas nas oszukuje, uświadomił sobie artysta. Jest w tym tak dobry, że praktycznie zapominamy o jego chorobie.

Ogarnęło go poczucie winy. Mogliśmy jednak bardziej na niego uważać, wyrzucał sobie gorzko. Przecież wiedzieliśmy, że Timmy chętnie podejmie się każdego wyzwania, że zawsze mierzy siły na zamiary. A teraz może przez to zginąć.

– Nie odchodź, stary. – Piosenkarz pociągnął nosem. – Jak ty to sobie wyobrażasz? Jak my w ogóle damy sobie bez ciebie radę?

Rozległo się nieznaczne skrzywienie drzwi, a potem ciche szuranie kapci.

– Dzwonił Lloyd – szepnęła Weronika. – Już po wszystkim. Zwyciężyliśmy Smoka.

Gabriel poczuł, że zaraz znowu się rozplacze.

– Słyszałeś, Timmy? Głupio byłoby teraz umrzeć, prawda? Jeśli przeżyjesz, sam kupię ci nowy komputer – obiecał. – Przysięgam. Najlepszy, jaki tylko sobie zażyczysz. Ze skanerem i wszystkim, co tam tylko chcesz.

– Trzymam cię za słowo – wymamrotał niespodziewanie Timothy. – A teraz cicho bądź i daj mi trochę pospać.

– Obudził się! – Gabriela zatkało ze szczęścia. – On się obudził!

– Zamknij się z łaski swojej.

– Nawet sobie nie wyobrażasz, już myśleliśmy, że...

– Weroniko. Powiedz mu, żeby przestał kłapać jadaczką.

– Timothy. Jak możesz? Czuwałem przy tobie. Wiesz, że płakałem?
– Bo straszna z ciebie ciota – mruknął mag i ciaśniej owinął się kocami. – Zrób mi lepiej ciepłego mleka. Też byś się przekimał, zanim ci się do reszty w głowie pomiesza.
Gabriel uśmiechnął się szeroko, aż zaboląa go świeża blizna na policzku.
– Wedle rozkazu, staruszku.

Wchodzili po krętych schodach kamienicy krok za krokiem, oszczędzając siły. Zastali uchylone drzwi, natrętny dźwięk telewizyjnych reklam dało się usłyszeć już na korytarzu. Eunice i Charles w milczeniu popatrzyli po sobie, a potem weszli do środka.

Sabrina Wight siedziała przy stole w kuchni pochylona nad przedwczorajszą gazetą i szklanką pełną kawowych fusów. Rozgniotła w popielniczce któregoś z kolei papierosa.

– Jesteście. – Nawet nie odwróciła się na powitanie. – Mogliście zostać dłużej. Ósma rano, dziesiąta, co to za różnica.

– Kochanie...

Poczucie winy zupełnie przytłoczyło Charlesa. Chciał przeprosić swoją byłą żonę, chciał jej wszystko wyjaśnić. Nie sądził, żeby istniały jeszcze jakiekolwiek szanse na wspólne życie. Zresztą wcale tego nie pragnął, sama myśl o małżeństwie z obecną Sabriną napawała go grozą. Ale może dało się jeszcze naprawić niektóre błędy. Mieli przecież córkę, bardziej podobną do ojca, niż Charles kiedykolwiek podejrzewał.

– Tylko nie kochanie! – krzyknęła Sabrina.

Zlustrowała ich oskarżycielskim wzrokiem. Zmęczonych, brudnych, w zakrwawionych ubraniach. Jej córka wycierała nos w wymiętą chusteczkę.

– Tylko nie kochanie! Skończyliśmy z tym dawno temu. – W oczach matki Eunice pojawiły się łzy. – Jak śmiesz wciągać ją w te sprawy? – Jej głos się załamał. – Jak śmiesz włóczyć ją po tych twoich sektach?! A jeśli coś jej się stanie? Wyglądacie, jakbyście ledwie przeżyli...

I Sabrina rozsłochała się na dobre.

– Mamo... – Nie zważając na brudne ubranie, Eunice Wight przytuliła matkę. – Mamo, nie płacz. Nie płacz.

– Sabrino, ja przepraszam... Naprawdę, przepraszam...

– Charles... – Matka Eunice podniosła głos. Łzy spływały po jej twarzy. – Charles, wynoś się stąd. Spierdalaj! Czy dobrze mnie słyszysz?! Spierdalaj i nigdy więcej tu nie wracaj.

Nie miał siły jej odpowiadać. Dłuższą chwilę stał bez ruchu, wpatrując się w matkę i córkę. Potem metodycznie, po kolei pozbierał swoje rzeczy i tak jak stał, udał się na lotnisko.

Wykupił bilet na pierwszy samolot.

Eunice Wight została w domu i pocieszała matkę.

Nie poszła tego dnia do szkoły. Spała aż do popołudnia, a potem usiadła w piżamie przy komputerze. Wyciszyła dźwięk i starała się udawać, że jej tutaj nie ma. Obawiała się konfrontacji z matką. Czy bardzo będzie się wściekać? Albo, co gorsza, znowu się rozpłaczę? Eunice jakoś nie żywiła złudzeń, że uda im się szczerze porozmawiać.

„Magia”.

„Ogród Hersperyd”.

„Sens życia”.

„Charles Wight”.

Dziewczyna bezmyślnie wklepywała w wyszukiwarkę rozmaite hasła i nawet nie przyglądała się wynikom. Komunikator milczał. Oczywiście nie spodziewała się zastać kogokolwiek, pewnie nadal odsypiali. Ale mimo wszystko...

– Ja ci ten internet wyłączę.

Ubrana w zmięty szlafrok Sabrina Wight stała w uchylonych drzwiach i przyglądała się swojej córce z nieprzyjazną miną.

– Mamo...

– Telefon też. Zabiorę i schowam – dodała matka. – Mnie niepotrzebny.

– Mamo, ale...

– Gdzie ty masz rozum, żeby tak się włóczyć po nocy? Co wyście tam właściwie robili? Składaliście koty w ofierze? – wybuchła nagle Sabrina. – Masz mi powiedzieć wszystko, bez kręactw.

– Bez kręactw? – Eunice popatrzyła na matkę z rozpaczą i coś w niej pękło. – No dobrze. Masz bez kręactw. Walczyliśmy ze smokiem Ladonem, który przyleciał z Grecji, żeby odzyskać jabłko, które tata ukradł z Ogrodu Hesperyd. To nie była łatwa walka. Ja i moi przyjaciele daliśmy z siebie wszystko.

– Przestań pyskować. – Usta Sabriny zadrżały, jakby zaraz miała zacząć krzyczeć albo płakać.

– Nie pyskuję. – Dziewczynie już nie zależało, co zrobi matka. – Ukradł to jabłko dla ciebie, wiesz?

– Bronisz go?

– Ja go bronię? Zrobił najgłupszą rzecz pod słońcem. – Eunice roześmiała się gorzko. – Zamiast szukać dla ciebie gwiazdki z nieba, powinien kochać cię i akceptować. To jest ten typ człowieka, który wzdycha na romantycznych filmach, bo chciałby cierpieć z miłości. Wieczny chłopiec. Tacy zawsze znajdą sposób, żeby sobie spieprzyć życie.

Sabrina złagodniała. Przymknęła oczy; na jej twarzy malował się smutek. Doszły do głosu bolesne wspomnienia.

– Czasem za nim tęsknię... – westchnęła i zaraz się zreflektowała. – Nie. Nie za nim. Za takim, jakim powinien być...

– To ze mną jest tak samo. – Eunice oparła głowę na dłoni. – Całkiem tak samo.

Przez dłuższą chwilę obie milczały. Potem odezwała się Sabrina.

– Dlatego właśnie nie chcę, żebyś stała się taka, jak on. Uwierz, że sprawia mi to przykrość, ale muszę zastosować wobec ciebie areszt domowy. Żadnych spotkań. Żadnego internetu. Żadnych telefonów.

– Mamo...! – jęknęła dziewczyna.

Matka wzruszyła ramionami.

– Trudno. Moja córka musi wiedzieć, że nie ma Smoków z Ogrodu Hesperyd. Jeżeli trzeba, przyjdę po ciebie do szkoły. Nie oddam cię żadnym sekciarzom.

Nie stanę się taka jak on, ani taka jak ty, pomyślała Eunice i mimowolnie włączyła sfatygowaną wieżę, nastawiając jedną z ballad Neverlandu. Nie chce powtarzać waszych błędów.

Od dawna wiedziała o tym, że będąc magiem – ryzykowała życie. Ale dopiero teraz uświadomiła to sobie w pełni. Po tym, co wydarzyło się poprzedniej nocy, równie dobrze mogła odwrócić się od magii i zamknąć się w swoim własnym światku. Zaprześcić całą swoją moc i udawać, że nic się nie dzieje.

Ale nie potrafiła. Nie dlatego, żeby magia oferowała jej lepsze życie niż zwykła rzeczywistość. Niezwykłość miała swoją cenę i możliwe, że magowie nie mogli być zupełnie szczęśliwi. Zapewne potrzebowali też o wiele większej dawki rozsądku niż inni ludzie. Nie mogli udawać, że skoro istnieje magia, rzeczywistość jest mniej ważna, nie mogli szukać cudownych rozwiązań na wszystkie swoje problemy.

Eunice wiedziała, kim jest. Nie chciała uciekać ani od magii, ani od rzeczywistości.

Miała swoją własną ścieżkę i niezależnie od ryzyka, zamierzała nią podążać.

Gabriel Shade usiadł w pozycji kwiatu lotosu, przymknął oczy i położył ręce na kolanach. Wyciszył się wewnątrz, pozwolił, aby moc przepływała przez jego ciało. Czuł, jak w jego dłoniach gromadzi się ciepło. Po raz pierwszy od kilkunastu dni energia krążyła swobodnie; koncentracja przychodziła mu dużo łatwiej. Zaczął przyzwyczajając się do swojego odbicia w lustrze, a przynajmniej to sobie wmawiał. Wiedział, że prędzej czy później blizny znikną. Obecnie były jednak aż zanadto

widoczne.

Tydzień temu zjawił się na koncercie i oczywiście, wywołał sensację. Prasa branżowa rozpisywała się o napadzie z bronią, jakiego rzekomo doświadczył.

Zapinał koszulę pod szyję i nie pokazywał nagiego torsu. Brakowało mu cynizmu, aby publicznie demonstrować swoje blizny i z premedytacją czerpać z tego zyski. Jakiś dziennikarz to zauważył i od razu napisał stosowny artykuł. Pewien sprytny fan domalował czerwoną kreskę na koszulce z portretem wokalisty Neverlandu i niejedna osoba poszła jego śladem. Sprzedaż płyt wzrosła o trzydzieści procent.

Gabriel czuł się z tego powodu zażenowany. Dowiedział się o sobie czegoś nowego – wbrew temu, co myślał, nigdy nie był typem ekshibicjonistycznego idola. Zawsze pokazywał ludziom iluzję, dawał im to, czego chcieli. Blizny były prawdziwe, a teraz również wydawały się częścią przedstawienia. Płyty sprzedawały się dobrze, ale piosenkarz odczuwał niesmak, zarabiając na tak prywatnym przeżyciu. Żaden z jego fanów nie rozumiał, że ich idol naprawdę otarł się o śmierć.

Emily Spencer nalegała, żeby na czas remontu Domu Wschodzącego Słońca wszyscy przeprowadzili się do Mandali. Długo i rozwlekle tłumaczyła się z nieudanej próby pomocy Krzysztofowi, aż wszyscy mieli serdecznie dość jej wyjaśnień. Piosenkarz wiedział, że nie obędzie się bez sprzeczek – wystarczyło popatrzeć, jakie spojrzenia rzucali sobie nawzajem Anton i Lloyd. Najmłodszy uczeń Emily Spencer, prawnik Preston Johns, namolnie próbował wkraść się w łaski starszych magów, popełniając przy tym gafę za gafą. Gabriel zastanawiał się, kto pierwszy straci cierpliwość: szermierz, cybermag, czy też on sam. Pobyt w Mandali nie zapowiadał się więc różowo.

Na razie jednak magowie nie mieli lepszego wyjścia.

– Ile można tak medytować? Długo jeszcze? – Timothy ziewnął ostentacyjnie i głębiej zakopał się w pościeli.

– Już. – Gabriel otworzył oczy. – Dawaj łapy.

Timmy wynurzył spod kołdry kościste ręce. Mag artysta ujął je w nadgarstkach i się skoncentrował. Dawka magii uzdrawiającej, jaką przekazał Timothy'emu, w innym przypadku wystarczyłaby na jakiś pomniejszy cud. Dla cybermaga było to mniej więcej równoważne trzem godzinom intensywnej rehabilitacji.

– No jak? – zapytał Gabriel. – Lepiej?

Timmy uważnie zacisnął w pięść prawą dłoń.

– Nareszcie się domyka – powiedział z satysfakcją.

– A spróbuj usiąść.

Timothy obrócił się na lewy bok i podparł się ręką. Stęknął ciężko, kilkakrotnie poprawił pozycję i wreszcie usiadł.

– Wszystko mnie boli – jęknął. – Ale przynajmniej wiem, że moje nogi istnieją. Może wstanę za parę tygodni.

– Mówiłem przecież.

– Aleśmy solidnie oberwali – westchnął Timmy. – Teraz widzisz, jak to jest, bić się z mocami nie z tej ziemi.

– Czy Mroczna Wojna wyglądała podobnie?

Gabriel przysiadł na krześle, wsparł głowę na rękach.

– Dużo gorzej. Świat dosłownie rozpadał się na kawałki. – Głos Timothy'ego był pełen zadumy. – Trudno mi w ogóle o tym opowiadać. Znikały całe budynki, ludzie dostawali amoku. Apokalipsa. I Kaja to wszystko zatrzymała. Udała się do centrum tego chaosu. Sam nie pamiętam, wtedy już straciłem przytomność, znam te wydarzenia tylko z relacji Lloyda. Chris chciał zginąć razem z nią. Nie pozwoliła mu, powiedziała, że „musi zostać i trzymać opowieści w garści”. Opowieści. Do tej pory nie wiedziałem, o co jej chodziło.

– A już wiesz?

– Domyślałam się – mruknął. – Kiedy tam byłem... w Świecie Opowieści... widziałem, co potrafi zrobić Chris. Ta cała gadka o utracie mocy to jedna wielka bzdura. Dopiero teraz rozumiem, jak potężnej magii używali podczas Wojny on i Kaja. Tak jak z grą na gitarze: dopóki nic o tym nie wiesz, nie

potrafisz w pełni docenić mistrzów. Cholera, Gabiś, on przetwarzał rzeczywistość u podstawy, rozumiesz? Nie naciągał praw fizyki, tak jak my. Nie musiał. My zawracamy rzekę, a on po prostu zasłania dłońią źródło. Cholernie ciężko mi to wszystko wyjaśnić...

– Nie możesz opowiedzieć wszystkiego naraz – rzekł Gabriel. – Gdyby tak zebrać resztę... I tak przez jakiś czas jeszcze tutaj pomieszkamy. Powinniśmy wykorzystać okazję do wspólnej rozmowy. Powojenni przecież o niczym nie wiedzą. Musimy lepiej się zorganizować, choćby ze względów praktycznych. W ogóle trzeba nawiązać lepsze kontakty między nami i Mandalą. Nigdy nic nie wiadomo.

Timothy poważnie skinął głową.

– Tak, to prawda, Gabrielu. Jakby co... pamiętaj, że nie chcę zostać pochowany w garniturze.

– Co?! – zakrztusił się piosenkarz.

– Mam przygotowaną moją kurtkę motocyklową. I całkiem niezłe džinsy. Z całego serca nienawidzę garniaków – oświadczył twardo mag. – Nie pochowają mnie w niczym takim.

– Timmy – przeraził się Gabriel. – Przecież ty się jeszcze nigdzie nie wybierasz?!

Timothy naburmuszył się nieco.

– No wiesz. Każdy kiedyś umiera. Prędzej czy później po ciebie także przyjdzie Kostucha.

– To niemożliwe – rzekł Gabriel, nieco uspokojony. – Ktoś, kto nie istnieje, nie może umrzeć. Zastanów się: mam wygląd skonstruowany na poczekaniu i wymyślone nazwisko. Moje wspomnienia sprzed czasu niewoli u Jeana są w najlepszym razie fragmentaryczne. Nawet blizny mam cudze...

– Jasne – prychnął Timothy. – Mózgu też najwyraźniej nie masz. Zawsze muszę myśleć za ciebie.

– Ja ci tutaj filozoficznie, a ty mnie tak na ziemię sprowadzasz – obruszył się artysta.

– Ba. Ktoś musi.

Kora starego drzewa była popękana i szorstka w dotyku. Niedawne wydarzenia nie pozostawiły jednak na wierzbie żadnych śladów. Ściany niektórych budynków uległy zniszczeniu, leżący na ziemi gruz został zmielony na piasek. Mimo to wiekowe drzewo nie straciło nawet jednej gałązki.

Lloyd oparł się o szeroki pień i spoglądał w górę, pełen zadumy. Dookoła panował spokój. Aura otoczenia nie uległa żadnej zmianie. Nic nie zapowiadało przebudzenia wierzby, którego tak bardzo obawiał się Smok.

Tak wiele wydarzyło się tamtej nocy. Prawie jak podczas Wojny. Ponownie stanął oko w oko ze śmiercią; w jego długim życiu zdarzyło się to co najmniej kilkanaście razy, właściwie stracił już rachubę. Ale tym razem było inaczej.

Dlaczego potrzebował aż tyle czasu, żeby to zrozumieć? Że magowie, którymi opiekował się i których szkolił przez te wszystkie lata, stali się dla niego rodziną? Że Eunice, córka, jaką zawsze chciał mieć, zastąpiła Soledad. A Gabriel i Timothy stali się dla niego młodszymi braćmi.

Nie obawiał się śmierci, ale bał się o nich. Wiedział też, że od tej pory zacznie zachowywać się ostrożniej. Co się z nimi stanie, kiedy jego zabraknie? Przecież nie mógł liczyć na Emily Spencer. Oczywiście, jako Arcymistrzyni Farewell udzieliła im schronienia, kiedy Dom Wschodzącego Słońca stał się niezdatny do zamieszkania. Ale tak naprawdę dbała tylko o własnych uczniów.

Lloyd czuł podskórnie, że w mieście panował jedynie pozorny spokój. Smok z Ogrodu Hesperyd wzburzył zbyt wiele stojącej wody, naruszył miejską równowagę. Krzysztof zapadł w hipnotyczny sen, o czym na szczęście jeszcze nie wiedzieli ich wrogowie. Zegar tykał. Szymierz wiedział, że musi rozwiązać zagadki Smoka, zanim zrobi się za późno.

Mroźny, zimowy wiatr zaszumiał w ogołoconych z liści gałęziach. Jakaś kartka upadła u stóp szermierza. Coś go tknęło. Podniósł papieraek i przyjrzał mu się uważnie.

Trzymał w dłoni połowę artystycznego, czarno-białego zdjęcia. Rozpoznawał je. Przedstawiało Dom Wschodzącego Słońca na wiosnę i bez wątpienia zostało zrobione przez Chrisa.

Mag ponownie spojrział na wierzbę.

– I co ty nam próbujesz przekazać? – mruknął cicho. – Chciałbym wiedzieć.

Zbliżała się pora, o której powinien wybrać się do pracy. Schował więc zdjęcie do kieszeni, odwrócił się i pogrążony w rozmyślaniach, powoli ruszył przed siebie.

Kiedy tylko Cienisty Szermierz opuścił uliczkę czterdziestą dziewiątą, zza rogu wychyliła się kotka. Była bura, wyliniata i miała jedno oko o intensywnie niebieskiej barwie.

Miauknęła cicho, po czym pobiegła w sobie tylko znanym kierunku.

Podziękowania

Dom Wschodzącego Słońca pierwotnie ukazał się w druku w 2006 roku. Dziś prawdopodobnie napisałabym go inaczej. Gdy przygotowywałam książkę do wznowienia, powstał dylemat – ile zmieniać? Ostatecznie zdecydowałam się na kosmetyczne poprawki, zarówno z szacunku dla czytelników, jak i dla dwudziestosześcioletniej mnie. Zaledwie kilka scen zostało napisanych na nowo, poprawiłam niektóre dialogi, zmieniłam te szczegóły, które dziś wywołują zgrzyt. Mam nadzieję, że udało mi się odrobinę jaśniej opowiedzieć tę starą historię.

Mój debiut dedykowałam mamie, Marii Janusz. Chciałabym odnowić tę dedykację, ponieważ jej się nieodmiennie, zawsze należy.

Niniejszy cykl nie został złożony do szuflady, a nawet doczekał się kontynuacji dzięki mojemu mężowi Mikołajowi Kamińskiemu oraz przyjaciółom: Monice Biskupskiej (która pozostaje moim czempionem, mimo że to czasem trudne), Katarzynie Dug, Justynie Rudzkiej, Michałowi Różyckiemu i Krzysztofowi Szabunowskiemu. Po latach ponownie ujrzał światło dzienne dzięki Marcie Kisiel, dzięki której zaaplikowałam do właściwego wydawnictwa we właściwym czasie, oraz Agnieszce Trzeszkowskiej, która zdecydowała się przyjąć go do druku. W oczekiwaniu na publikację dopingowały mnie członkinie Hardej Hordy. Jerzy Szeja był bardzo cierpliwym i uważnym redaktorem dla nadgorliwej autorki, Agnieszka Czajkowska przypominała Wam o mojej obecności. Być może trzymacie tę książkę w ręku dzięki genialnej okładce Tomasza Majewskiego, więc jeśli macie pretensje – to do niego!

W pierwszej wersji podziękowań pojawiały się także inne nazwiska, ludzi biorących udział w powstawaniu poprzedniej wersji i poprzedniego wydania *Domu Wschodzącego Słońca*. Nie zapominałam o zespole nieistniejącego już wydawnictwa Runa: Annie Brzezińskiej, Edycie Szulc i Antoninie Liedtke, ani o redaktorce Ewie Guttmejer, o wkładzie Piotra Schmidtke i osób, z którymi przez lata kontakty rozluźniły się trochę albo zupełnie – Pawła Matysiaka, Noego Michejdy, Michała Cyruchina, Jakuba Zapalę, Wojciecha Jaworskiego oraz Iki Repeczko. Oni też, tak czy inaczej, są częścią tej historii.

Powinam także wspomnieć o dawnych czytelnikach cyklu, którzy jak się okazało, istnieli i przez cały ten czas czekali na *Mandalę*. Wiecie, kim jesteście =)

Owocnego gubienia się w mieście magów i wyglądania poza granice marzeń życzy

Autorka